

221

.....



26

lesiojot



JOANNA CHMIELEWSKA

# ROMANS WSZECHCZASÓW

CZYTELNIK

Joanna Chmielewska

ROMANS  
WSZECHCZASÓW



Wszystko zaczęło się od tego, że rozleciał mi się samochód. Wracając z Gdańska do Warszawy i za Pasłękiem wjechałam sobie do lasu, żeby nazbierać kwiatków. Ściśle biorąc, nie były to kwiatki, tylko jakieś badyle, zaczynające z siebie coś wypuszczać. Była pierwsza połowa marca, pogoda od kilku dni zrobiła się cudownie piękna, słońce świeciło i flora zdążyła zareagować.

Wjazd do lasu za Pasłękiem stanowił coś w rodzaju pętelki, jakby specjalnie służącej do wjeżdżania, zawracania i wyjeżdżania, wyglądającej sucho, zachęcająco i niewinnie. Nabrałam się na te złudne pozory, pętelka okazała się bagnem do topienia krów i zabuksowałam się w niej na amen.

Powinłam była zapewne zatrzymać kogoś na szosie i wezwać pomocy, ale tak proste rozwiązanie sprawy jakoś mi nie zaświtało. Z pomysłów, które mi wówczas przyszły do głowy, jeden był szczególnie celny, mianowicie: zaczekać do lata, aż to wszystko wyschnie i stwardnieje, i dopiero wtedy wyjechać. Ocena pomysłu sprawiła, że zamiast postępować rozsądnie, wpadłam w zaciętą furję, zgarnęłam pod koła połowę poszycia leśnego i w końcu wydostałam się z tego bagna tyłem, z rykiem nie gorszym niż topiącej się krowy. Samochód był już dość stary i zużyty, nie wytrzymał szaleństwa i w okolicy Mławy rozleciał się w drobne kawałki. Nie zewnętrznie, oczywiście, tylko gdzieś tam w środku, w silniku.

Dojechałam do Warszawy na holu, odstawiłam wehikuł do remontu i zaczęłam się posługiwać komunikacją miejską, głównie pospieszonymi autobusami, z całkowitym wykluczeniem taksówek. Jazda samochodem osobowym w charakterze pasażera denerwowała mnie niewymownie.

Późnym wieczorem wracałam od znajomych ze Starego Miasta. Ciągle jeszcze przyzwyczajona do własnego pojazdu, nie zważałam na upływ czasu i przeoczyłam fakt, że o jakiejś tam godzinie autobusy przestają kursować. Dokonałam tego odkrycia nagle, przeraziłam się tak, jakby zawisł nade mną co najmniej jakiś kataklizm, zakończyłam wizytę w pół zdania i wybiegłam w takim pośpiechu, że nie zdążyłam nawet spojrzeć do lustra i poprawić koafiury. Na głowie miałam perukę, która, czułam to, przekreśliła się nieco i utworzyła idiotyczną grzywkę, maquillage rozmazał mi się niewątpliwie po całej twarzy, ale prawdopodobieństwo spotkania kogoś, komu chciałabym się podobać, wydawało się raczej znikome. Na ulicach było ciemno, zimno, mokro i pusto.

Wchodząc z placu Zamkowego w Krakowskie Przedmieście ujrzałam idącego z przeciwka jakiegoś faceta, który na mój widok zareagował dość osobliwie. Gwałtownie zwolnił, na obliczu ukazał mu się kolejno wyraz zaskoczenia, zdumienia i natchnionego zachwytu, nogi uczyniły jeszcze ze dwa kroki, po czym wrosły w chodnik. Nie chcę twierdzić, że nigdy w życiu na żadnej ulicy w nikim nie wzbudziłam zachwytu, niemniej jednak takie objawy wstrząsu wydały mi się przesadne. Zastanowiłam się, czy go przypadkiem nie znam, pomyślałam, że muszę widocznie wyjątkowo głupio wyglądać, minęłam ten znieruchomiwały słup i oddaliłam się w kierunku przystanku autobusowego.

Znieruchomiwały słup przemienił się zapewne z powrotem w ludzką istotę i oderwał od chodnika, bo wysiadając ujrzałam go ponownie. Jechał tym samym autobusem, razem ze mną, wysiadł drugimi drzwiami i przyglądał mi się z tak przeraźliwym natężeniem, że wręcz powietrze przed nim gęstniało. Kiedy zbliżałam się do domu, szedł za mną, nie odrywając oczu od moich pleców. Trochę mnie to zniecierpliviło, nabrałam obaw, że wlezie jeszcze i na klatkę schodową, nie życzyłam sobie tego, w bramie odwróciłam się zatem i spojrzałam na niego wzrokiem, od którego powinien był paść trupem na miejscu. Nie padł .zapewne tylko dlatego,

że w bramie było ciemno i nie dawało się dokładnie dostrzec, co też ten mój wzrok wyraża.

On natomiast znajdował się akurat pod latarnią i przy okazji mogłam mu się przyjrzeć. Zaintrygował mnie nieco. Dość wysoki, bardzo szczupły, czarnowłosy i ciemnooki, z wydatnym, orlim nosem, w wieku tak pod czterdziestkę, ubrany bardzo starannie i przyzwoicie, wręcz elegancko. W twarzy miał jakąś niepewną łagodność i zupełnie nie robił wrażenia faceta podatnego na idiotyczne coup de foudre'y na środku ulicy i spragnionego prymitywnych podrywek. Jego wpatrywanie się we mnie z owym natchnionym zachwytem było całkowicie niepojęte. Razem wzięwszy, wyglądał nader nobliwie i nawet sympatycznie, ale mnie się nie podobał, ponieważ nie znoszę orlich nosów.

Nazajutrz natknęłam się na niego w Supersamie i w paru innych miejscach. Pętał się dookoła jak pies koło jatki i przyglądał mi się z natrętnym uporem. Obejrzałam się w szybach wystawowych. Doprawdy, nie było żadnego sensownego powodu, dla którego miałby popadać w taki obłąd na moim tle.

Zaraz następnego dnia miało miejsce wydarzenie niejako kontrastowe. Wyszłam z domu przerażająco wcześnie, o wpół do dziewiątej rano, udałam się na przystanek i wsiałam w autobus pospieszny B. Prawdopodobnie coś myślałam, chociaż o tej porze doby nie można za to ręczyć, w każdym razie nie dostrzegałam otoczenia. Dopiero w pobliżu placu Unii wpadł mi nagle w oko osobnik siedzący przede mną, po przeciwnej stronie.

Autobus był prawie pusty i nic mi go nie zasłaniało. Osobnik w zamyśleniu wpatrywał się w przestrzeń. Był jasny.

Tak jasny, że bez wątpienia wpadłby mi w oko nawet w najgęstszym tłumie, a co mówić w pustym autobusie!

Oko bezmyślnie zarejestrowało widok. Autobus jechał. Osobnik trwał w zamyśleniu. Przyglądałam mu się, bo nie miałam nic lepszego do roboty. W jakimś momencie ruszył mi wreszcie umysł.

Zaczęłam sobie zgadywać, kim on może być. Nie wiadomo dlaczego od razu nabrałam pewności, że z zawodu musi być dziennikarzem. Nic innego nie pasowało. Następnie pomyślałam, że powinien mieć albo samochód, albo niezwykle piękną żonę. Samochodu nie ma, bo jedzie autobusem, zostaje żona... Wprawdzie ja też jadę autobusem, chociaż mam samochód, ale on powinien mieć porządniejszy samochód, a zatem nie ma, a zatem musi mieć tę niezwykle piękną żonę. Oczyma duszy ujrzałam ową żonę, powinna być szczupła, czarna, gładko uczesana w kok i ubrana w coś zielonego. Najlepiej w zamsz. Następnie wydało mi się, że ona go chyba nie kocha albo kocha niedostatecznie, za mało, egoistycznie i w ogóle jest dla niego niedobra. Kompletna kretynka, dla takiego faceta...!

Następnie z posępną melancholią i gryzącym żalem pomyślałam to, co powinnam była pomyśleć na wstępie. Że, oczywiście, mną się taki nie zainteresuje. Wygląda jak wcielenie moich wszystkich marzeń, blondyn w tym specjalnym typie, który mi się ustawicznie błąka po życiorysie i właśnie u takiego ja nie mam żadnych szans. Na mnie wytrzeszcza głupowate gały czarna niedojda z orlim nosem, a taki jak ten co? Taki jak ten ma mnie w nosie. Diabli nadali, chała-monstre...

Wysiadłam z autobusu nieco rozgoryczona, pozałatwiałam te koszarne interesy, które wywlokły mnie z domu o wschodzie słońca, zrobiłam zakupy i w Delikatesach na Nowym Świecie ujrzałam znów tamtego natrętnego kretyna z nosem. Ukłonił mi się. Beznadziejny idiota.

Przez następne dwa dni spotykałam go na każdym kroku, co denerwowało mnie z godziny na godzinę bardziej. Co to jest, żeby miasto pełne było jednego człowieka! Gdyby nie zjawisko w autobusie pospiesznym B, być może odnosiłabym się do niego mniej niezyczliwie, w tej sytuacji jednakże, w obliczu porównań, napełniał mnie żywą niechęcią. W Domach Towarowych Centrum samym ukłonem wyprowadził mnie z równowagi tak, że spowodowała rewolucję w stoisku ze stanikami, buntując klientki informacją, że tych rzeczy nie

kupuje się na oko, bo nie na oku się je nosi, i w ogóle mierzy się na figurę, a nie na swetry i palta. Wybuchłą z tego awanturę wywołałam całkowicie altruistycznie, sama tam bowiem akurat nic nie kupowałam.

Czarny pomyleniec z orlim nosem nie odrywał ode mnie zafascynowanego wzroku. Przeczekał pandemonium w stanikach, przeczekał kosmetyki, pończochy i piżamy i przy męskich gaciach wreszcie podszedł. Od razu pomyślałam, że miejsce sobie wybrał niezwykle romantyczne.

- Bardzo panią przepraszam - powiedział trochę nieśmiało i z zakłopotaniem. - Zapewne dziwi panią, że od kilku dni tak się pani przyglądam. Mam po temu powody i jeśli można, chciałbym je wyjawic.

Głos miał miły i kulturalny i naprawdę robił bardzo dobre wrażenie. Moja niechęć do niego brała się wyłącznie z faktu, że nie był blondynem z autobusu.

- Wcale mnie nie dziwi - odparłam zgryźliwie. - Doskonale wiem, że jestem cudownie piękna i dlatego pan oka oderwać nie może.

- O Boże...! Dla mnie istotnie jest pani cudownie piękna, ale z innych przyczyn, niż pani zapewne sądzi, i w ogóle nie o to chodzi!

- A o co? - spytałam, nieco zaskoczona, ale ciągle pełna wrogości. Nieżyczliwość buchała ze mnie jak żar z hutniczego pieca.

Facet wydawał się zdeterminowany. Pospiesznie i z niepokojem rozejrzał się dookoła, entourage wyraźnie mu się nie spodobał, czemu, zważywszy gacie, trudno się dziwić.

- Chodźmy stąd - zażądał dość gwałtownie. - Na wszystko panią proszę, błagam, niech się pani zgodzi mnie wysłuchać! Tu zaraz, na Sienkiewicza, jest taka mała kawiarenka. Może pani sama zapłacić za swoją kawę, jeśli ma pani obiekcje, ale niech mi pani poświęci chociaż kwadrans! Chodźmy, błagam panią!

W jego głosie pojawił się nagle namiętny żar, nabierający chwilami akcentów rozpaczy. Zaskoczyło mnie to tak, że

przestałam protestować. Każdy by przestał. Poza tym kawy i tak zamierzałam się napić, więc ostatecznie, co mi szkodziło...

To, co usłyszałam, przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

- Muszę pani najpierw wyjaśnić sytuację - powiedział, patrząc na mnie wzrokiem pełnym nieśmiałej nadziei i mechanicznie gmerając łyżeczką w filiżance. - Otóż jest pewna pani... Przepraszam, że od razu zaczynani od osobistych wynurzeń, ale muszę. Bez tego nic się nie da wytłumaczyć. Jest pewna pani, która dla mnie... Jak by tu powiedzieć... Która jest kobietą mego życia, wzajemnie obdarza mnie uczuciami i niczego bardziej nie pragnę, niż się z nią ożenić.

Zabrzmiało to jakoś dziwnie desperacko i zainteresowało mnie. Moja niechęć od razu przygasła. Zawsze lubiłam romansowe historie, a fakt, że obiektem jego uczuć jestem nie ja, tylko jakaś inna osoba, zdecydowanie mnie ucieszył.

- Nieszczęście polega na tym, że ta pani jest zamężna - ciągnął facet. - Ja jestem wolny. Jej małżeństwo jest rozpaczliwie nieudane, właściwie de facto już nie istnieje, ale mąż za nic w świecie nie chce jej dać rozwodu. Dzieci, chwała Bogu, nie mają, ale co z tego, skoro mąż nie daje także żadnych powodów do rozwodu i nie można tego załatwić wcześniej niż za dwa lata. Rozumie pani, dla sądu trwały rozkład pożycia to jest co najmniej dwa lata. A my nie możemy czekać tyle czasu, bo ja wyjeżdżam służbowo za granicę na dość długo, i chcemy jechać razem, i oczywiście, żeby oficjalnie jechać razem, musimy być małżeństwem. Do pół roku sprawę tego wyjazdu jakoś przeciągnę, ale nie dłużej...

Mówił z coraz większym przejęciem, z tego przejęcia dostał chryпки, urwał na chwilę i napił się kawy. Poczulałam, że dramat, wbrew mojej woli, zaczyna mnie wciągać.

- I co? - spytałam krytycznie. - Do czego niby ja tu jestem potrzebna? Mam uwieść tego męża i nakłonić go do zgody na rozwód czy jak?

Zgnębiony adorator nieszczęśliwej żony machnął ręką ze zniechęceniem.

- Nie, to beznadziejne. On się nie zgodzi nigdy w życiu. Żeby nie było nieporozumień... Ogólnie biorąc, to jest zupełnie



normalny, przyzwoity gość, nie żaden potwór ani zbrodniarz, tyle że uparł się przy niej. A dla niej jest odpychający. Wstręt fizyczny, rozumie pani...

Kiwnęłam głową, dziwiąc się trochę równocześnie, skąd w takim razie mają tyle trudności. W sprawach rozwodowych na wstręcie fizycznym można przecież zajechać dowolnie daleko.

- Pod tym jednym względem zachowuje się jak istny szaleniec, jest obłędnie, patologicznie zazdrosny, śledzi ją, pilnuje, angażuje jakichś chuliganów, dosłownie ta kobieta nie może ani na chwilę spokojnie odetchnąć, nie mówiąc już o tym, że mowy nie ma o naszych spotkaniach. Potrafił wywołać koszmarną awanturę u mnie w domu, na klatce schodowej, sąsiedzi wzywali milicję, milicja odmówiła interwencji, bo to sprawy rodzinne, w ogóle straszne rzeczy!

W jego głosie pojawiło się głębokie rozgoryczenie, mówił z coraz większym zapalem, wyraźnie pękały w nim wszelkie tamy. Im mniej rozumiałam, tym bardziej czułam się zainteresowana. Na twarzy faceta malowało się przygnębienie, które sprawiło, że zaczęło się we mnie budzić serdeczne współczucie dla tych prześladowanych, strutyh rozłąką ofiar. Miałam przed sobą człowieka w stanie skrajnej rozpacz, widać było, jak stara się opanować, chociaż najchętniej rwałby włosy z głowy i tłukł nią o ścianę. Wzruszyło mnie, że w dzisiejszych, obrzydliwie zracjonalizowanych czasach zdarzają się jeszcze takie wybuchy namiętności. Marginesowo zaciekawiałam się, co takiego ta pani w nim widzi, ale przypomniałam sobie, że pewna moja przyjaciółka od piętnastu lat ślepo uwielbia swego męża dokładnie w tym samym typie, i z kolei zainteresowało mnie, jak też się prezentuje heroina tak płomiennego romansu.

- W końcu przyszedł nam do głowy pewien pomysł - ciągnął nieszczęśliwy amant z lekkim wahaniem i wyraźną determinacją. - Może trochę dziwny, ale, wbrew pozorom, jedyny realny. Ten mąż mógłby sobie protestować dowolnie długo i gwałtownie, pomimo jego protestów sąd dałby rozwód od razu, natychmiast... Radziłem się bardzo dobrych adwokatów... Gdyby ta pani... No, krótko mówiąc, gdybyśmy mieli wspólne dzieci.

Pamiętna tego, co mówił przed chwilą o owym zagranicznym wojażu, nie zdążyłam powstrzymać okrzyku zaskoczenia.

- Na litość boską! W ciągu pół roku...?! Wcześniaki...?

- No nie, nie to... Niezupełnie... Nie chodzi o to, żeby mieć, wystarczyłoby świadectwo lekarskie, oczywiście prawdziwe, żadne fałszerstwa nie wchodzi w rachubę...

Otworzyłam usta, żeby powiedzieć coś niewłaściwego, ale zamknęłam je czym prędzej. Oszołomił mnie obraz komplikacji, jakie pojawiły mi się natychmiast przed

oczyma duszy. Jasne, skoro chcą mieć dzieci, nie ma siły, muszą się przynajmniej spotkać, a jeśli ten mąż ją śledzi i urządza awantury na schodach... Zapewne wali także pięściami w drzwi... Trzeba mieć żelazne nerwy i w ogóle w takiej sytuacji. Co za dzieci z tego wynikną, oni pewnie chcieliby mieć normalne...

Nieszczęsny amant westchnął tak, że popiół z popielniczki poleciał mi do kawy. Spowodowało to lekkie zamieszanie i przerwę w konwersacji, bo sprawca czynu o mało nie oszalał z zażenowania i przestachu. Zerwał się przepaszając, zabrał kawę z popiołem, zamówił mi następną, ublażał, żebym pozwoliła mu za nią zapłacić. Przez ten czas moje zainteresowanie wydatnie wzrosło.

- No dobrze - powiedziałam z powątpiewaniem. - Zaciekawiał mnie pan. Ale ciągle nie wiem, dlaczego mi pan to wszystko mówi. Do czego ja tu panu mam służyć?

- Zaraz do tego dojdę. Dziękuję, że pani zgadza się słuchać. Otóż sama pani widzi, że w tej sytuacji wszelkie nasze kontakty są właściwie nieosiągalne. Planujemy zatem wspólny wyjazd na jakieś dwa, trzy tygodnie, wszystko jedno dokąd. Ten mąż to oczywiście uniemożliwi albo zatruje nieznośnie. Musiałby o tym w ogóle nie wiedzieć, nawet się nie domyślać, a to się da załatwić tylko w jeden sposób...

Przerwał na chwilę i popatrzył na mnie wzrokiem skazańca, któremu pod szubienicą świta ostatnia iskierka nadziei.

- Proszę pani - powiedział z tłumionym żarem - niech pani nie wydaje okrzyków, niech pani nie przerywa! Oni ze sobą nie

tylko nie żyją, oni nawet prawie nie rozmawiają. Prawie się nie widują. Między nimi trwa cicha wojna i ta rzecz jest możliwa...

Zaintrygował mnie tak, że wstrzymałam oddech.

- Jakaś kobieta by musiała ją zastąpić. Kobieta podobna do niej, oczywiście, oprócz tego charakteryzacja, ubranie, uczesanie... Także głos... Ona wyjdzie z domu, zamiast niej wróci tamta, on się nie zorientuje, mają oddzielne pokoje, mijają się nie patrząc na siebie... Pani jest do niej nadzwyczajnie podobna! Tam, na placu Zamkowym, myślałem, że to ona! Przyglądam się pani od kilku dni, obserwuję panią, podsłuchuję... Pani się idealnie nadaje! Błagam panią, w swoim i jej imieniu, niech się pani zgodzi!!! Zbaraniałam dokładnie. Nic nie mówiąc, wpatrywałam się w tego rozognionego szaleńca, niepewna, czy nie powinnam od razu uciec z krzykiem. Nie do wiary, co ta miłość robi z normalnych, dorosłych ludzi!...

- Niech pani zaczeka z odpowiedzią - powiedział szaleniec pospiesznie. - Niech pani nie odmawia od razu! Ja nie chcę od pani tej przysługi za darmo, broń Boże! Proszę mnie źle nie zrozumieć, zdaję sobie sprawę z trudności, z obiekcji, mąż jest osobnikiem gwałtownym i mściwym, w razie wykrycia mistyfikacji mógłby jakoś nieprzyjemnie zareagować...

Oczyrna duszy ujrzałam swoje zwłoki, nad którymi pastwi się dziki potwór. Chęć ucieczki wzrosła.

- Nic się oczywiście nie stanie, jeżeli rzecz się nie wykryje. Pani jednakże poświęci swój czas, wysiłki, ponosi pani ryzyko, to całe zdenerwowanie, napięcie, ja wiem, to są rzeczy niewymierne, ale ja jestem przygotowany na koszty. Jako rekompensatę proponuję pięćdziesiąt tysięcy złotych, płatne z góry. Ewentualnie nawet więcej...

Umilkł i patrzył pytająco, niepewnie i błagalnie. Reszta twarzy, poza oczami, miała wyraz stanowczości i zdecydowania. Objawów pomieszania zmysłów nie było po nim widać. Jedyne, co na razie byłam w stanie jako tako trzeźwo ocenić, to wysokość sumy.

- Chyba ma pan źle w głowie - powiedziałam mimo woli, z naganą. - Pięćdziesiąt patyków za dwa tygodnie?

- Może trzy. Najpewniej trzy. Dla mnie, proszę pani, te trzy tygodnie są warte pięćdziesiąt milionów, ale tyle nie mam. Zdaję sobie sprawę, że propozycja jest... nietypowa i może trochę niepokojąca i nikt nie ma powodu przyjmować jej bez odpowiedniej rekompensaty. Ja przecież wymagam bardzo wiele... Żeby nie było nieporozumień, od razu wyjaśniam, o, przepraszam, ja się pani nie przedstawiłem. Nazywam się Stefan Palanowski i nie jestem żadnym aferzystą ani złodziejem, pracuję w MHZ, co może pani w każdej chwili sprawdzić. To jest zresztą mój dodatkowy kłopot, ale o tym za chwilę... Ogólnie biorąc, jestem niezłe sytuowany, poza tym przed kilku laty dostałem spadek po krewnym, który zmarł we Francji. Posiadam konto w Credit Lyonnais, także pieniądze w Polsce, wszystko jak najbardziej legalne, jeśli pani sobie życzy, mogę pani wypłacić we frankach...

Widok przed oczyma duszy uległ mi nagle odmianie. W miejsce poszarpanych zwłok ujrzałam swój samochód stojący w warsztacie i tę całą kupę części do niego, które należało kupić za dewizy.

- Życie mi pani uratuje - mówił dalej z namiętym ogniem, nie pozwalając mi oprzytomnieć. - Bo nie ma dla mnie życia, nie ma dla mnie nic, bez tej kobiety!...

I ni z tego, ni z owego zmienił nagle ton, wyjaśniając dalej trzeźwo, rzeczowo i z naciskiem:

- Jak już wspominałem, pracuję w MHZ na odpowiedzialnym stanowisku. Moja opinia jest dla mnie podstawą egzystencji, a ten człowiek może ją bezpowrotnie zniszczyć. Byle co wystarczy, napisze na mnie donos, gdzieś coś powie i zniszczy mi awans, wyjazd, w ogóle wszystko! Nie chodzi o kwestie materialne, to może śmiesznie brzmi, ale ja nie pracuję dla pieniędzy, ja tę moją pracę lubię, jest mi potrzebna, ja jestem fachowiec... Niech pani zrozumie także tę kobietę! Pani jest też kobietą... Na każdym kroku śledzą ją jakieś podejrzanе typy, w domu ten człowiek, który budzi w niej wstręt i odrazę, ona jest na skraju załamania nerwowego.

Mówił dalej, potęgując wypełniający mnie chaos. Nedorzecznie uparty mąż, wielka miłość konająca w zaraniu,

na domiar złego ta opinia, handel zagraniczny, wspólne dzieci, załamanie nerwowe, do tego jeszcze mój przeklęty samochód w remoncie... Do głupich wydarzeń zostałam niewątpliwie specjalnie stworzona. Wahałam się nie ogarniając jeszcze umysłem całej afery, ale już zaczęła mi się podobać.

- Chwileczkę... - zaczęłam ostrożnie. - W razie gdyby to się wykryło...

- Nie może się wykryć!

- Ale gdyby... Ten mąż mógłby mi wytoczyć sprawę o oszustwo!

- Nie ma mowy o oszustwie, skoro robi to pani za zgodą zainteresowanej osoby! Nie ma w ogóle żadnego oszustwa, jest tylko jego pomyłka! Za jego pomyłki nikt nie może odpowiadać, jeśli on bierze obcą osobę za swoją żonę, to to jest jego prywatna sprawa! Poza tym w razie czego pokrywam wszelkie koszty, adwokat, odszkodowanie, grzywna, nie wiem, co tam jeszcze jest możliwe, wszystko jedno! Czy ma pani prawo jazdy?

Prawem jazdy ogłuszył mnie na nowo, spychając na powrót w kłębowisko, z którego usiłowałam się wydobyć. Z irytacją pomyślałam, że wynagrodzenie należy mi się już za samą rozmowę. Co tu ma do rzeczy prawo jazdy?

- Mam, oczywiście. Bo co...?

- I umie pani jeździć?

- No jasne, że umiem, co za głupie pytanie!

- To całe szczęście. Bo widzi pani, rzecz w tym, że ona ma nowe volvo i cały czas go używa. Pani by też musiała.

Jęknęłam. Coś we mnie pękło. Moja namiętność do samochodów okazała się silniejsza niż wszystko inne. Nowe volvo, o święci patroni!!!...

- Musiałby mi pan wypłacić kilka dni wcześniej... - powiedziałam niepewnie, nie zdając sobie sprawy z tego, co czynię, myśląc tylko, że zanim się wcielę w obcą osobę, powinnam załatwić te części do remontu, żeby równocześnie z powrotem do własnego jestestwa móc odzyskać i własny samochód.

- Ależ oczywiście, kiedy pani zechce! Boże, więc pani się zgadza?!

Od przynębionej dotychczas bezgranicznie ofiary uczuć zaczął nagle bić nadprzyrodzony blask. Nieco oprzytomniałam.

- Zaraz, proszę szanownego pana, chwileczkę - powiedziałam stanowczo. - Przede wszystkim niech pan się opamięta i puknie w głowę. To jest obłąkany pomysł. Który mąż nie pozna w codziennym życiu, że to nie jest jego żona, tylko jakaś obca baba?

- Ależ skąd, w jakim tam życiu, mówiłem pani, że oni się prawie nie widują! Oddzielne pokoje, oddzielnie jadają, unikają się wzajemnie, prawie nie rozmawiają ze sobą! Tyle że pracują, ale pracę się jakoś upozoruje, ona może...

- Zaraz - przerwałam podejrzliwie. - Jaką pracę? Rozgorączkowany amant okazał lekkie zakłopotanie.

- To jest właściwie zasadniczy szkopuł - wyznał. - Ale nie wątpię, że to się też da załatwić. Widzi pani, on ma warsztat wyrobu jakichś tam tkanin. I ona mu robi wzory na szablonach czy czymś takim. Mam wrażenie, że to się nazywa flokowanie czy jakoś podobnie, wychodzi z tego takie coś aksamitne.

Zbieg okoliczności wydał mi się tak niewiarygodny, że zgoła niemożliwy. Najwyraźniej w świecie zawisło nade mną nieuniknione przeznaczenie i nie pozostało mi nic innego, jak tylko poddać się bez niedorzecznych oporów. Pokiwałam głową z rezygnacją.

- Żaden szkopuł, proszę pana - powiedziałam dość ponuro. - Tak się składa, że ja doskonale umiem robić wzory do flokowania tkanin. Nie przepadam za tym, bo robota jest wyjątkowo parszywa, ale umiem i ostatecznie w pewnym stopniu mogłabym się poświęcić.

Przygasły na krótką chwilę blask pana Palanowskiego zapłonął z nową siłą. W utkwionych we mnie oczach pojawiło się nabożne zdumienie.

- Nie do wiary... Niebo mi panią zesłało! Ja przecież szukałem osoby podobnej tylko zewnątrznie, przewidywałem szalone trudności! Czy urnie pani może także pisać na maszynie?

- Pewnie, że umiem. W ogóle nie piszę ręcznie. Wyłącznie na maszynie.

Pan Palanowski po drugiej stronie stolika na moment przymknął oczy i jakby się zachłysnął.

- Proszę pani - powiedział głosem z lekka zdławionym. - Przyznam się pani szczerze... Ja zaczęłam panią zupełnie beznadziejnie, to był krzyk rozpaczony z mojej strony. W końcu nie ma pani przecież żadnych powodów do tego, żeby wyświadczać przysługi, trudzić się, narażać dla obcych ludzi! Te pięćdziesiąt tysięcy to jest zaledwie jakiś symboliczny wyraz wdzięczności, niewspółmierny do... w ogóle do niczego! Pani mi.. Pani nam.. Pani jest cudem!

Mechanicznie kiwnęłam głową, z niejakim roztargnieniem przyświadczając, że istotnie, jestem cudem. Umysł zaczęły mi już zaprzętać szczegóły techniczne imprezy.

- Pracę nie będę -- zastrzegłam się na wstępie. - Nie tylko za pięćdziesiąt tysięcy, ale nawet za pięćset.

- Nie trzeba, ona ma praczkę, wszystko oddaje do praczki.

- A jak tam jest z gospożą? Istnieje jakaś? Mąż mnie może nie poznać, ale co do gospozi, niech pan nie żywi złudzeń.

Pan Palanowski zrobił się nie ten sam. Z nie słabnącym zapałem rozwiewał moje wątpliwości i niepokoje. Gospożia jest, owszem, ale dostanie urlop na miesiąc i na oczy jej nie zobaczę. Razem z mężem, w warsztacie, pracuje człowiek, który właśnie się zwolnił, i zostanie przyjęty nowy, który mnie nie zna. To znaczy prawdziwej żony nie zna. Garderoba... Do dyspozycji będę miała bez mała cały magazyn odzieży całkowicie nowej albo prawie nowej, żeby mi nie było przykro chodzić w cudzych kieckach. Także obuwie.

- Bo widzi pani - wyznał tajemniczo. - My się z tym pomysłem nosimy już od pewnego czasu. Basieńka... to znaczy ta pani, o której mowa, na wszelki wypadek już od zimy kupuje mnóstwo nowych rzeczy, nie nosi tego, nie nadażyłaby zresztą, tylko rozrzuciła po mieszkaniu. Przez kilka dni to się poniewiera na wierzchu, żeby mu się dobrze w pamięć wraziło. Peruki... Nie ma pani nic przeciwko noszeniu peruk?

- Nie mam. Mogę nosić. Na placu Zamkowym widział mnie pan w peruce.

- Toteż właśnie, stąd podobieństwo! Znak szczególnie łatwo będzie dorobić, ona ma taki mały, ciemny pieprzyk pod okiem, o, tu!

Puknął się palcem w policzek z takim rozmachem, że omal sobie oka nie wybił. Zgodziłam się także i na pieprzyk.

- Niech pan teraz zamilknie na chwilę - zażądałam. - Muszę się zastanowić.

Ścisłe rzecz biorąc, moje zastanawianie się nie bardzo zasługiwało na tę szlachetną nazwę. Mieszając trzecią kolejną kawę, próbowałam opanować nieco dziki chaos w umyśle. Z góry było wiadomo, że się zgodzę. Impreza wydawała się całkowicie obłąkana, jak dla mnie zatem niejako automatycznie atrakcyjna. Dawno nie przytrafiło mi się nic głupiego i był już najwyższy czas.

Pan Palanowski uporczywie robił dobre wrażenie. Siedział po drugiej stronie stolika, wyglądał normalnie, spokojnie, nobliwie, łagodnie i statecznie i ostatnie, o co można by go posadzić, to ognisty szmergiel na uczuciowym tle. Szarpiąca jego jestestwem namiętność do maltretowanej Basienki przejawiała się wyłącznie w spojrzeniu, pełnym rozpaczliwej nadziei. Wpatrywał się we mnie jak zahipnotyzowana kura w kreskę przed dziobem, najwyraźniej w świecie niezdolny spojrzeć na nic innego. Nieco mnie to mąciło.

Usiłowałam rozważyć negatywne strony przedsięwzięcia. Pozytywnych rozważać nie musiałam, wielką miłość gotowa byłam ratować od upadku bezinteresownie, honorarium nie miało tu wielkiego znaczenia. W pierwszej chwili zdecydowana byłam nawet przyjąć tylko tyle, ile mi było potrzebne na moje części samochodowe, potem jednakże zreflektowałam się na myśl o szablonach. Szablonów darmo robić nie będę, mowy nie ma! Co do negatywnych natomiast, przyszło mi do głowy tylko jedno, a mianowicie ewentualne pretensje wykantowanego męża. W bezpośrednie niebezpieczeństwo raczej nie wierzyłam, uznałam, że udusić się nie dam, sprawę sądową jednakże wytoczyć mi mógł. Przegrałabym ją niewątpliwie, co



pociągnęłoby za sobą odszkodowanie za straty moralne i zapewne zwrot kosztów mojego utrzymania przez trzy tygodnie. Na szczęście nie jadam dużo, a w ogóle niech się o to martwi pan Palanowski...

Na wszelki wypadek w tej kwestii postanowiłam poradzić się przyjaciółki, będącej z wykształcenia prawnikiem i z zawodu sędzią, po czym porzuciłam temat. Ruszyła moja zwyrodniała imaginacja, prezentując oczom duszy rozmaite sceny, w rodzaju krycia się przed wzrokiem m?ża po co ciemniejszych zakamarkach, odwracania się do niego tyłem, kompletnej głuchoty na jego słowa i tym podobnych szykan. Zaciekało mnie to i zachęciło nadzwyczajnie.

Pan Palanowski wciąż patrzył we mnie jak w mówiący obraz święty.

- Dobrze, proszę pana - powiedziałam w końcu. - Zgadzam się na to dziwaczne kretyństwo, ale pod pewnymi warunkami...

Pan Palanowski omal nie zemdłał. Był gotów na wszystko. Gdybym postawiła warunek, że wymaluje w czerwone kwiatki cały Pałac Kultury od góry do dołu, zapewne bez namysłu popędziłby po stosowną farbę. Nie miałam takich wymagań, tym bardziej więc bez żadnego trudu doszliśmy do porozumienia. Wizja lubego szczęścia odmieniła go tak, że poczułam się szaleńczo zaintrygowana osobą Basieńki. Warto było się zgodzić już chociażby po to, żeby ją poznać. Cóż ona sobą prezentuje, ta niezwykła kobieta, budząca tak imponujące i kosztowne afekty i jakim cudem, na litość boską, mogę być do niej podobna...?!!!

Musiałam ją zobaczyć bezwzględnie i kategorycznie. Lekceważąc w sposób karygodny wszystkie pozostałe punkty programu stanowczo zażądałam spotkania. Pan Palanowski, acz nieświadom mojego zaciekawienia, zgodził się jednakże, iż jest to posunięcie niezbędne.

- Dobrze, proszę pani, oczywiście, musi pani ją zobaczyć i przyjrzeć się jej dokładnie, to ułatwi pani zadanie - powiedział z troską. - Ale będzie pani musiała jakoś zupełnie inaczej wyglądać. Rozumie pani, żeby nikt sobie nie skojarzył tego podobieństwa. Może ja przesadzam, ale lepszy wydaje mi się

nadmiar ostrożności niż jakieś niedopatrzenie. Za nią chodzą, ktoś mógłby zwrócić na panią uwagę...

Uzgodniliśmy pomiędzy sobą kontakt telefoniczny, ustaliliśmy czas i miejsce następnego spotkania. Romantyczna afery zaczynała mi się coraz bardziej podobać.

Obawy pana Palanowskiego, że ktoś mógłby na mnie zwrócić uwagę, okazały się w pełni uzasadnione. Wszelkimi siłami starałam się spełnić jego życzenie i zwrócili na mnie uwagę wszyscy. Bóg jeden raczy wiedzieć, co sobie myśleli ludzie, oglądający się za mną na ulicy, kiedy podążyłam na spotkanie z Basieńką, całkowicie niepodobna do niej, a zatem także i do siebie. Ubrana byłam w stare džinsy i stary sweter mojego młodszego syna, jedno i drugie trochę na mnie za duże, na głowie zaś miałam rzecz wstrząsającą, mianowicie teatralną perukę mojej ciotki. Peruka była nylonowa, jaskrawo ruda, na środku posiadała przedziałek, a po obu stronach, nad uszami, sterczały z niej dwa krótkie, grube warkoczyki. Na wszelki wypadek włożyłam jeszcze ciemne okulary i przysięgam na klęczkach - nie poznałam sama siebie!

Spotkanie, zgodnie z umową, miało nastąpić przy pałacu w Łazienkach. Wybraliśmy to miejsce jako najmniej podejrzane i łatwo dostępne, każdemu wolno bowiem przechadzać się po parku, a pan Palanowski miał prawo pokazywać się w towarzystwie wybranki serca wszędzie, gdzie zechciał, narażając się tylko na ewentualny atak złośliwego męża. Przechadzająca się obok, niepodobna do Basieńki osoba, to znaczy ja, mogła ją sobie oglądać do upojenia bez żadnych trudności.

Dzień był wyjątkowo wilgotny. Śnieg z deszczem przestał wprawdzie padać, ale pod nogami chlupotała grząska breja. Pan Palanowski błąkał się wokół pałacu z ukochaną, taplając się w błocie i co jakiś czas usiłując przysiąść na okolicznych ławkach. Towarzyszącej damie okazywał tkliwość, bez granic, wybierał jej miejsca dla postawienia stopek, płaśtał wokół niej, aż bryzg mu szedł spod obuwia, a wyraz rozanielonej ekstazy zniknął mu z oblicza tylko w chwilach, kiedy niespokojnie

zaczynał rozglądać się dookoła. Zapewne usiłował sprawdzić, czy już jestem na posterunku i patrzę.

Byłam i patrzyłam tak, że o mało mi oczy z głowy nie wylazły. W żaden sposób nie mogłam wydobyć się z osłupienia, w jakie popadłam od pierwszej chwili na widok prezentowanej mi szal-kobiety. To miała być ta heroina epokowego romansu, ta Helena Trojańska, wywołująca dzikie namiętności i kosztowne wybryki?! Ten przedmiot zaciekłych uczuć upartego męża i rozplómonionego gacha? To źródło zaćmienia umysłu skądinąd normalnych ludzi, przyczyna podstępów wojennych, godnych zgoła asów wywiadu? Rany boskie...!

Leciałam na spotkanie nadzwyczajnie przejęta, zaintrygowana, przepelniona palącym, niebotycznym zaciekawieniem. Oczekiwałam co najmniej cudu nadziemskiej urody, nie bacząc na to, że cud musi być podobny do mnie. Ujrzałam osobę zupełnie przeciętną, nawet ładną, ale jakoś dziwnie nieatrakcyjną. Doprawdy, nie warto było robić z siebie pośmiewiska za pomocą peruki mojej ciotki!

O pomyłce nie mogło być mowy, ognista czułość pana Palanowskiego mówiła sama za siebie. Trwałam w najgłębszym zdegustowaniu, pełna urazy i niesmaku, aż do chwili, kiedy przypomniałam sobie o łączącym nas podobieństwie. Wówczas pomyślałam, że jedno z dwojga, albo uznam ją za piękność, albo popadnę w kompleksy, i czym prędzej zaczęłam się przedstawiać na zachwyty.

Podobieństwo między nami istniało niewątpliwie. Ten sam wzrost, taka sama figura, kształt głowy, nogi, co gorsza, taki sam nos! Jej twarz różniły od mojej trzy zasadnicze elementy. Czarne, rzucające się w oczy brwi, kształt ust takich trochę kontra świat, niezadowolonych z życia, oraz uczesanie z obfitą grzywką. No i oczywiście ten pieprzyk. Pan Palanowski miał rację, maquillage mógł to wszystko załatwić. Zrozumiałam, jakim sposobem wpadłam mu w oko na placu Zamkowym, w tej przekrzywionej peruce i z rozmazaną szminką.

Wszelkimi siłami starając się odgadnąć przyczyny niepojętych afektów, wykrzyłam, czego jej brakowało i dlaczego wydawała mi się jakaś niemrawa. Najzwyczajniej w świecie nie

miała wdzięku. Była sztywna, trochę sztuczna, trochę rozlazła, bez energii, wigoru i seksu. Co tu dużo mówić, po prostu bez wdzięku! Owszem, mogłam ją zastąpić, każda niewydarzona jołopa mogła ją zastąpić, nadawała się do zastępowania.

Moje przebranie okazało się znakomite. Ledwo zdążyłam wrócić do domu, zadzwonił pozostawiony w błotnistej brei pan Palanowski, żywo zdesperowany, niespokojnie dopytując się, czemu nie przyszłam na spotkanie.

- Naprawdę mnie pan tam nie widział? - spytałam z zainteresowaniem. - Rozglądał się pan nieprzyzwoicie intensywnie.

- Jak to...? Skąd pani wie? Staralem się rozglądać nieznacznie. Pani tam była?

- Oczywiście. Spojrzał pan na mnie kilka razy.

- Nie rozumiem... Tam było tylko jakieś rude indywiduum, nie wiem, dziewczyna czy może chłopak, teraz to trudno rozpoznać. Sądziłem, że to może ktoś z tej jej obstawy, ale chyba nie, bo robił... czy robiła... wrażenie debilki. Nikt inny...

- To właśnie ja - wyjaśniłam uprzejmie. - Ta debilka. Też uważam, że nie wyglądałam najkorzystniej, ale starałam się nie być podobna.

Po dość długiej chwili pan Palanowski odzyskał mowę. Eksplozję uwielbienia i podziwu dla mnie zakończył umówieniem się na następną naradę produkcyjną. Zmierzał do wymarzonego celu z wyraźną, gorączkową niecierpliwością...

\*

Przez znajome osoby, podstępnie i dyplomatycznie, sprawdziłam, że pan Stefan Palanowski, magister ekonomii, istotnie pracuje w MHZ, gdzie cieszy się opinią znakomitego i cenionego fachowca. Informacja o planowanym wyjeździe służbowym również okazała się prawdziwa. Postanowiłam być rozsądna i ostrożna i na wszelki wypadek zbadalam nawet jego tożsamość, pokazując go palcem znajomej osobie.

Równie podstępnie i dyplomatycznie zdobyłam niezbędne wiadomości prawnicze. Moja przyjaciółka-sędzia, osoba

taktowna i łagodnego charakteru, nie wnikając w przyczyny moich osobliwych pytań, bez oporu udzielała wyczerpujących odpowiedzi, czym omal nie zniweczyła w zaraniu całego przedsięwzięcia. Początkowo obydwój z panem Palanowskim przewidywaliśmy, że będę się posługiwała dowodem osobistym i prawem jazdy jego ukochanej Basieńki, co nie powinno przysparzać najmniejszych trudności. Do fotografii siłą rzeczy muszę być podobna, a odcisków palców nikt nie będzie badał. Tymczasem od przyjaciółki dowiedziałam się, że za coś takiego należy mi się pięć lat bez zawieszenia i poczułam się trochę nieswojo.

Pan Palanowski zdenerwował się szaleńczo. Obawa, żebym się przypadkiem nie rozmyśliła, doprowadziła go wręcz do zaburzeń umysłowych. Usiłował podwoić wysokość zadeklarowanej sumy, ale nawet sto tysięcy nie wydawało mi się godziwą opłatą za pięć lat mamra, nie wyraziłam zgody i w końcu znalazłam jedyne możliwe wyjście... Postanowiłam nie posługiwać się żadnymi dokumentami. Swoje zostawić w swoim domu, Basieńki w jej i niczego nikomu nie pokazywać. Było to jak najbardziej osiągalne, jedyne bowiem, co mi mogło bruzdzić, to natrętna dociekliwość Służby Ruchu, zważywszy jednak, że mój sposób jazdy nie powoduje częstego zatrzymywania mnie przez milicję, ryzyko wydawało się niewielkie. Mandaty płacę na ogół tylko za parkowanie w niedozwolonych miejscach, przez trzy tygodnie, ostatecznie, mogłam nie parkować.

Ku mojemu zdumieniu pan Palanowski nie wydawał się całkowicie zadowolony z takiego rozwikłania kwestii, usiłował nawet dość niejasno protestować, ale zapałam się przy swoim. Nie dam się zamknąć na pięć lat nawet dla najognistszego romansu świata!

Kolejnym problemem stało się znalezienie takiego miejsca, w którym można było bezpiecznie dokonać zamiany Basieńki na mnie czy też mnie na Basieńkę. Wyłoniły się trudności.

- Ona wyjdzie i już nie wróci - rozważał rozgorączkowany amant, przy czym brzmiało to dość złowieszczo. - Zamiast niej wróci pani. Ale panie muszą się gdzieś przebrać, panią trzeba

ucharakteryzować, podretuszować, to nie może być ot, tak sobie, na ulicy! Nie może zaistnieć najmniejsze podejrzenie!

Po namyśle zaproponowałam, żeby może dokonać tego w jej domu, w czasie nieobecności męża. Mogłabym tam przybyć w charakterze na przykład baby z jajkami, potem ja bym została, a ona by z tymi jajkami wyszła. Zdenerwowany wielbiciel kręcił głową z powątpiewaniem.

- To na nic, musiałyby przyjść także charakteryzator. Jako co, jako chłop z węglem...? Poza tym ten mąż bardzo rzadko oddala się z domu, niech pani weźmie pod uwagę, że warsztat -ma na miejscu. Chyba trzeba będzie... Zaraz. Pani nie śledzą?

- Mnie...?! Po jakiego diabła miałyby mnie ktoś śledzić?!

- Nie wiem. Proszę pani, ja już obsesji dostaję. Bardzo panią proszę, niech pani zwróci uwagę, czy pani też nie śledzą. Nawet teraz, niech się pani rozejrzy jakoś nieznacznie, tam, pod ścianą, przygląda się pani jakiś gbur.

Siedzieliśmy na kolejnej naradzie w małej salce Świtezianki. Rozejrzałam się dookoła z niesmakiem, ale posłusznie. Gbur pod ścianą uklonił mi się uprzejmie, pan Palanowski drgnął nerwowo.

- Niech się pan nie przejmuję - powiedziałam uspokajająco. - To jest mój pierwszy mąż, który w dodatku mnie nie poznał, co wnioskuję po uprzejmości ukłonu. Przygląda mi się, ponieważ nie ma pojęcia, skąd mnie zna. Nigdy nie miał pamięci do twarzy.

Po dość długiej chwili pan Palanowski odzyskał równowagę. Przystąpił do kontynuowania rozważań.

- Charakteryzatora musimy wtajemniczyć, mam takiego przyjaciela... Jeżeli pani nie śledzą, to trzeba to będzie załatwić po prostu u mnie. Pani przyjdzie wcześniej, ona później, potem pani wyjdzie jako ona, a ona już zostanie.

- A mąż nie wpadnie zaraz za nią z nową awanturą?

- Owszem, wpadnie, ale nie wcześniej niż za jakieś pół godziny, może nawet trzy kwadransy. Musimy dokonać tej zamiany w ogromnym pośpiechu. I musi pani znów jakoś inaczej wyglądać...

Po namyśle zgodziłam się, że takie rozwiązanie istotnie będzie najlepsze. Wynajmowane przez męża typy śledzą ją, a nie mnie, ja zatem mogę spokojnie złożyć wizytę panu Palanowskiemu o jakiegokolwiek wcześniejszej godzinie i nikt na to nie zwróci uwagi. Potem przyjdzie Basieńka, za Basieńką typy, weźmiemy dobre tempo, po krótkim czasie typy ujrzą, że Basieńka wychodzi, pójdą za nią, to znaczy za mną, po czym ona inwigilację będzie miała z głowy. Na wszelki wypadek przebrana w cokolwiek może opuścić apartament ukochanego czule przytulona do charakteryzatora i w ten sposób wszystko ulegnie przemieszeniu.

Pan Palanowski ucieszył się i zaaprobował moje uzupełnienia.

- I żeby nie mieli już żadnych wątpliwości, może pani od razu iść na zwykły spacer - dodał z ożywieniem.

Zamarłam z kawą w przetyku, niepewna, czy się nie przesłyszałam. Lekki dreszcz przeleciał mi po plecach.

- Na co, proszę, mogę iść...?

- Na zwykły spacer. Trzeba to będzie załatwić późnym popołudniem, żeby się przeciągnęło do wieczora i spacer utwierdzi ich w pomyłce. Może pani iść od razu, odstawwszy tylko samochód...

- Chwileczkę, proszę pana - przerwałam zdławionym głosem, usiłując opanować wstrząs. - Niedokładnie rozumiem. Co to znaczy, zwykły spacer? Jaki spacer, na litość boską?!!!

Pan Palanowski przeprosił za niedopatrzenie. Nie zdążył mi jeszcze przekazać wszystkich szczegółów trybu życia Basieńki, który to tryb życia będzie mnie obowiązywał od chwili wymiany. Dotychczas byliśmy zbyt zajęci innymi kwestiami, ale teraz już najwyższy czas omówić i to.

Dowiedziałam się, że Basieńka jest osobą systematyczną do obrzydliwości i w kółko robi to samo. Rano i po obiedzie pracuje w warsztacie przy wzorach. Koło południa wyjeżdża na miasto i robi wszelkie zakupy, głównie spożywcze, przy czym wojna z mężem nie ma na to wpływu. Gotuje gospoia, ale w obecnym stanie rzeczy, przy braku gosposi, gotują sobie każde oddzielnie. Wieczorem zaś, około siódmej, czarowna Basieńka

codziennie wychodzi na spacer i najmniej półtorej godziny błąka się po skwerku. Może zaniedbać zakupy, może zaniedbać pracę, może zaniedbać wszystko, ale nigdy spacer!

- Po jakim skwerku, o Boże? - wyszeptałam słabo. - Gdzie ona w ogóle mieszka?!

- Wie pani, gdzie są takie domki jednorodzinne przy Spacerowej?

Wiedziałam. Przy Spacerowej, nomen omen... Do tej pory omówiliśmy rozmaite rzeczy, uzgodniliśmy kwestię dokumentów i lokalu, zostałam powiadomiona o stanie rodzinnym Basieńki i całkowitym braku przyjaciół i znajomych, których natręctwo mogłoby przysporzyć kłopotów, dowiedziałam się, że wszelką urzędową korespondencję męża Basieńka pisze na maszynie, że nie zmywa i nie sprząta po nim, prasę kupuje w kiosku na Belwederskiej, a na noc zamyka się w swoim pokoju na klucz. Dowiedziałam się jeszcze paru innych pożytecznych drobnostek, ale spacer wyskoczył dopiero teraz.

Niedobrze mi się zrobiło i zaległa się we mnie nagle głucha niechęć do Basieńki. Jedną z czynności, których serdecznie nie znoszę, do których odczuwam wręcz żywiołowy wstręt i które uważam za beznadziejnie głupią stratę czasu, są z całą pewnością kretyńskie, bezcelowe spacery po skwerkach. Trzeba upaść na głowę, żeby uprawiać coś takiego! Ja, ostatecznie, tłumaczy ta nieszczęśliwa miłość i obrzydzenie do współmieszkańca, ale mnie wrąbać w zniechęcony idiotyzm to już zupełnie koszmarny pomysł!...

Omówiłam nie wycofałam się z całej imprezy. Mniej przeraziło mnie pięć lat za dokumenty niż perspektywa systematycznych spacerów. Na szczęście przypomniałam sobie, że mam latać po skwerku nie za darmo, a za opłatą, na poczekaniu obliczyłam, że jeśli jedną przechadzkę odwalę bezinteresownie, pozostałe wypadną mi po dwa i pół tysiąca sztuka, i zdecydowałam się jakoś to przetrzymać.

- A co ona robi, jak pada deszcz? - spytałam ponuro, z cichą nadzieją, że może deszcz mnie uratuje.

- Spaceruje pod parasolką. Bardzo się do tego przyzwyczaiła.



- I nie chodzi nigdzie więcej, tylko na ten skwerek przy Morskim Oku?

- Nie, widzi pani, ona bardzo lubi to miejsce. Przyzwyczała się. Wpływa na nią uspokajająco.

Przyzwyczała się...! To nie przyzwyczajenia, to zgoła narowy! Mam się wcielić w maniaczkę...?!

Już byłam zdecydowana, już przywykłam do myśli, że będę grać rolę obcej osoby, już się nastawiłam na tę ryzykowną przemianę i trzy tygodnie niebezpieczeństw, już mi się to zaczęło wydawać realne i możliwe. Desperacki plan nie miał wprawdzie sensu za grosz, ale nie po raz pierwszy w życiu zamierałam uczestniczyć w czymś, co nie miało sensu. Teraz jednakże zakwitły we mnie wątpliwości i zawahałam się.

- Wie pan.. Ja nie wiem, czy to będzie dobrze - powiedziałam niepewnie. - Zaczynam się obawiać, że ten mąż zauważy różnicę. Ta pana Basieńka ma nieco odmienną osobowość...

Pan Palanowski zbladł.

- Jak to...? Przecież pani już wyraziła zgodę? Uważałem to za wiążące!

- Wiążące, wiążące... Zgodę, owszem, wyraziłam, ale nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za rezultaty! Niechże się pan zastanowi, każde kiwnięcie palcem w tym obcym domu może mnie zdradzić!

Pan "Palanowski zsiniał na twarzy, omal się nie udusił. Czym prędzej, z namiętną gwałtownością, zaczął mi wyjaśniać, na czym polega zasadniczy podstęp. Przewidując zastępstwo, Basieńka już od pewnego czasu jeła przyzwyczajając męża do osobliwych wybryków, rezygnując z dotychczasowych obyczajów i wprowadzając nowe w sposób chaotyczny i niezorganizowany. Doszło do tego, że kiedyś wszystkie brudne talerze wyrzuciła za okno, a obrazy na ścianach przewiesiła tyłem do przodu. Raz zesłała ze schodów tyłem i na czworakach. Na pytania udziela odpowiedzi idiotycznych i nie związanych z tematem. Cokolwiek powiem czy zrobię, tego męża już nic nie zdziwi i w ogóle im więcej dziwactw wymyślę, tym lepiej. I w końcu to tak krótko, zaledwie trzy tygodnie...!

Moje wątpliwości zbladły, perspektywa takiej swobody w działaniu wyglądała nawet zachęcająco. Pan Palanowski czynił dzikie wysiłki, punkt po punkcie likwidując moje obawy i logicznie dowodząc, że szachrajstwo musi się udać. Do głupich wybryków zawsze miałam talent... Dałam się przekonać na nowo.

\*

Udając się do pana Palanowskiego w celu przeistoczenia się w Basieńkę, przeszłam samą siebie. Włożyłam bardzo starą, kompletnie zdefasonowaną garsonkę, która nie została dotychczas wyrzucona wyłącznie przez przeoczenie, stary, przedwojenny kapelusz mojej ciotki, przyozdobiony sztucznymi kwiatami, oraz gumki. Nie wiem, jakim cudem nie wywołałam zbiegowiska, w każdym razie taksówkarz, którego zatrzymałam w pobliżu domu, zażądał pieniędzy z góry. W pobliżu mojego domu znajduje się zakład dla nerwowo chorych, zapewne sądził, że stamtąd uciekłam. Dużą pociechę stanowiła mi myśl, że Basieńka opuści apartament ukochanego jako ja, a zatem w tym samym stroju.

Systematycznie zwiększane i ugruntowywane głędzeniem pana Palanowskiego ogłupienie sprawiło, że wyborem odzieży zajęłam się bez reszty, postanawiając pozostałe, zaniedbane jeszcze szczegóły uzupełnić w trakcie przemiany. Po umyśle błąkały mi się jakieś mgliste przypomnienia rozmaitych kryminalnych utworów, w których jedne jednostki wcielały się w inne, przy czym przeważnie byli to szpiegdy i rzecz wymagała długich i skomplikowanych przygotowań. Miałam niejasne wrażenie, że moje przygotowania mogą się okazać niedostateczne, ale pocieszał mnie fakt, że nie jestem szpiegiem. Być może w sytuacji prywatno-cywilnej cała sprawa jest łatwiejsza i mniej skomplikowana.

Pan Palanowski był niebotycznie przejęty. Zdenerwowanie musiało mu się rzucić zarówno na umysł, jak i na wzrok, bo zachwycił się kapeluszem mojej ciotki. Niepojętym sposobem

przeoczyłam fakt, że istotnej pomocy w przygotowaniach nie mogę się po nim spodziewać.

Najbardziej męczyło mnie i niepokoiło to, że kompletnie nie znałam domu, w którym miałam zamieszkać. Otumaniony afektem amant nie pozwolił mi go obejrzeć, twierdząc, że jeszcze mógłby mnie tam ktoś zobaczyć, skojarzyć sobie i nabrać podejrzeń. Nie wiem, kto miałby mnie oglądać i podejrzewać, skoro wyraźnie było powiedziane, że inwazji znajomych i przyjaciół nie należy się obawiać, a Basieńka z małżonkiem prowadzą życie odosobnione. Uległam jednakże, nie zastanawiając się nad brakiem logiki u pana Palanowskiego, który z jednej strony prezentując przesadną ostrożność, z drugiej strony okazywał się przerażająco lekkomyślny.

Czas do przybycia charakteryzatora spędziłam na spożywaniu olbrzymich ilości kawy i wyjaśnieniach topograficzno-architektonicznych. Zostałam powiadomiona, że apartament niedobranego stadła mieści się w domku jednorodzinny, wchodzi się do niego od ulicy na tyłach, pod budynkiem znajduje się garaż, ale garaż zajęty jest na warsztat, samochód zatem, owo święte volvo, parkuje w ogródku. Pan Palanowski nie umiał rysować, nie znał dokładnie ogródka, oczyma duszy ujrzałam zatem od razu straszną scenę, jak, symulując pewność siebie, z rozpędem wjeżdżam w świeżo posadzone georginie lub też inną marchewkę. O ilości pomieszczeń, ich rozkładzie i wyposażeniu również nie był w stanie udzielić mi dokładniejszych informacji, nigdy ich bowiem nie wizytował, co wydało mi się wiarygodne i zrozumiałe.

Nie mając najbledszego pojęcia, co mi jeszcze może być potrzebne, co tu zostało przeoczone i zaniedbane, usiłowałam wyrzeć z półprzytomnego amanta jak najwięcej wiadomości o jego ukochanej. W chwili kiedy przeraził mnie niespodziewanym oświadczeniem, że ukochana dość często jeździ konno, przybył charakteryzator, niepozorny, chudy, łysy facecik, który, ledwo rzuciwszy na mnie okiem, od razu zdecydował, że należy czekać na wzór. Nie zwracałam na niego

uwagi, w panice usiłując się zorientować, czy uda mi się jakimś podstępem uniknąć tej konnej jazdy.

Jeździłam konno we wczesnym dzieciństwie, na oklep, bez siodła i miałam z tego okresu nie najlepsze wspomnienia, wsiowe chłopaki bowiem postraszyły mi konia. Pozycja, jaką zajmowałam na nim do chwili, kiedy kuregalopkiem osiągnął stajnię, niewiele miała wspólnego z siedzeniem na ^grzbiecie zwierzęcia i wrażliła mi się w pamięć na zawsze. Ściśle biorąc, wisiałam na nim za nogę. Nic dziwnego, że teraz wpadłam w popłoch.

- Na litość boską, niech pan od razu powie, co ona jeszcze takiego praktykuje, o czym do tej pory nie było mowy! - zażądałam rozpaczliwie. - Skacze z trampoliny? Śpiewa? Jeździ na nartach? Na upartego o tej porze roku dałoby się jeszcze pojeździć na nartach w Zakopanem!

- Wcale nie na upartego, jest środek marca, pełnia sezonu! - zaprotestował charakteryzator, nie wiadomo dlaczego z urazą, co sprawiło, że ogarnęła mnie zgroza i zgłupiałam z tego do reszty.

Za moim przykładem zgłupieli wszyscy. Wdaliśmy się w rozstrząsanie końskiego problemu tak gorączkowo, jakby Basieńka mieszkała w stajni. Wszystko inne poszło w niepamięć, równowaga umysłu przepadła z kretesem. Przybycie głównej postaci dramatu nie tylko nie pomogło, ale zdecydowanie pogorszyło sytuację.

W charakteryzatora na widok wzoru wstąpiło nowe życie, siłą zawlókł mnie do lustra, posadził na fotelu, oświetlił jupiterem i zabronił się odzywać. Basieńka, z obłędem w oczach, z trzęsącymi się rękami, zdenerwowana do nieprzytomności, zachowywała się jak ostatnia kretynka.

Konferowała w kącie szeptem z panem Palanowskim, trzymając go kurczowo za klapy. Charakteryzator trzymał mnie za głowę. Pan Palanowski miotał się po pokoju, usiłując dogodzić wszystkim równocześnie.

- Niechże ja się dowiem jeszcze czegoś więcej! - jęczałam rozpaczliwie półgębkiem. - Nie wiem, co mam zrobić! Ten mąż mnie pozna!

- Nie pozna, nie - zapewniała Basieńka półprzytomnie. - Niech pani na niego nie zwraca uwagi...

Mieszkanie pana Palanowskiego przemieniło się w dom wariatów. Miałam niejasne wrażenie, że coś tu jest okropnie nie w porządku, ale spojrzałam w lustro i zamurowało mnie tak fizycznie, jak i umysłowo. Łysy facecik z niewiarygodnym mistrzostwem odbierał mi twarz. Uczernił brwi, aa szczęście tuszem, nie henną, namalował pieprzyk pod okiem jak żywy i wymodelował usta. W mgnieniu oka nabrałam wyrazu niezadowolonej z życia primadonny i aż mnie otrząsnęło, Charakteryzator nie poprzestał na tych straszliwych efektach, działał dalej, podmalował mi oczy i przyczernił czwarty ząb od góry z lewej strony, który Basieńka miała martwy i nieco ściemniały. Przy zębie wróciło mi życie.

- Czy mi to tak zostanie na zawsze, proszę pana? - spytałam z przerażeniem, dość gwałtownie wydzierając mu głowę z rąk, zdecydowana kategorycznie odmówić udziału w przedsięwzięciu albo zażądać miliona w złocie. Czarny ząb, Matko Boska...!!!

- Proszę się nie ruszać! Nic pani nie zostanie, i ząb, i znamię musi pani codziennie poprawiać!

Dopadł Basieńki, zdarł jej z głowy perukę z grzywką i nasadził na mnie. Rezultat był wstrząsający! Sama byłabym w stanie się pomylić i wziąć Basieńkę za siebie, czy może odwrotnie. Nie zostało we mnie nic ze mnie, byłam Basieńka absolutnie, nie sposób było odgadnąć, że ja to nie ona! Nagle zachwiałam się w uprzednim, niezłomnym przekonaniu, że wszystkie tu obecne osoby są nienormalne i cierpią na pomieszanie zmysłów, zwątpiłam w obłąd pana Palanowskiego i nabrałam nieco otuchy. Kto wie, to kretyństwo mogło się udać...

Cholerna Basieńka oderwała się wreszcie od konspiracyjnych szeptów i obydwójce z panem Palanowskim przyglądali mi się z zainteresowaniem, podziwem i zachwytem. Przystąpiliśmy do wymiany odzieży. Wybór jej stroju pochwaliłam, jasny cynober i orange w połączeniu z ciemnym fioletem rzucał się w oczy i rzeczywiście mógł pociągnąć za

sobą obstawę, nawet gdyby jego zawartość przeistoczyła się w brodatego staruszka.

- A zatem pamięta pani - powiedział nerwowo pan Palanowski. - Doskonale pani wygląda, prześlicznie!... Te zakupy, koniecznie codzienne spacer, koniecznie! Codziennie trochę pracy... Znakomicie pani wygląda, to się nam musi udać!

Jego idiotyczny optymizm irytował mnie niewymownie, streszczenie obowiązków ciągle wydawało mi się dziwnie niedokładne. Moje obawy wzmożyły się na myśl, że lada chwila nadleci mąż, rozlegną się dzikie ryki na schodach i łomotanie do drzwi pana Palanowskiego, po czym ofiara kantu ujrzy nas obie, napadnie oczywiście mnie, bo jestem podobniejsza do Basieńki niż ona sama do siebie, zedrze mi z głowy perukę, stwierdzi pomyłkę i całą imprezę diabli wezmą. Nie pojmowałam, jakim cudem oni mogą się tym nie przejmować, i w tym momencie uświadomiłam sobie nagle rzecz straszliwą. Nie miałam zielonego pojęcia, jak wygląda ów mazi

To, co nastąpiło po ujawnieniu mojego odkrycia, przeszło wszystko. Basieńka i jej wielbiciel wpadli w nieopisany popłoch. Rzeczywiście, mogłam go przecież spotkać byle gdzie, przed domem, nawet tutaj, na schodach, musiałam mieć o nim jakieś wyobrażenie! Usiłowali mi go opisać, opis mnie nie zadowalał, zażądałam fotografii. Basieńka przeszukiwała obie torebki, swoją i moją, zapomniawszy, która teraz jest jej, znalazła zdjęcie jego brata, które próbowała mi podetknąć, twierdząc, że jest bardzo podobny, w końcu rzuciła się na amanta, domagając się sprawdzenia w jakichś pozostawionych u niego dokumentach. Ogluszony sytuacją pan Pałanowski rzucił się do biurka, do reszty skołowana patrzyłam, jak obydwójce gorączkowo grzebią w szufladzie i w końcu spośród różnych szpargałów wyciągają zdjęcie faceta. Co za przedziwny galimatias, zdjęcie męża u gacha żony, u żony zdjęcie szwagra... Musiała im ta wielka miłość dokładnie paść na mózg!

Szczęścia oglądania Basieńki w kapeluszu mojej ciotki nie doznałam. Kiedy opuszczałam tę jaskinię szaleństwa, siedziała na tapczanie owinięta w kąpielowy szlafrok amanta, paliła

papierosa i patrzyła za mną z tępą rezygnacją. Całe pandemonium nie trwało dłużej niż pół godziny, istniała szansa, że męża na schodach jeszcze nie spotkam.

Moment ulgi przeżyłam, kiedy wsiadłam do samochodu. Bliskość kierownicy zawsze wpływała na mnie uspokajająco. Odczekałam chwilę, żeby dać szansę obstawie, zapaliłam silnik i powoli ruszyłam cudownie pięknym, nowym volvo. Przepadło, przestałam być sobą i przemieniłam się w Basieńkę Maciejakową.

Świadomość tego, co uczyniłam, obudziła się we mnie po drodze. Z włosem stojącym dęba pod peruką i niemiłą czczością w dołku, odnalazłam właściwe miejsce i stwierdziłam, że budynek stoi przy ulicy Wybieg. To mi już zupełnie dokładnie precyzowało przyjęte na siebie obowiązki, projektowałam kiedyś wybiegi dla cieląt... Ślady postoju samochodu były widoczne, zaparkowałam, wysiadłam i spojrzałam w oświetlone okna. Gdzieś tam, wewnątrz niewinnie wyglądającego budyneczku, przebywał ten straszliwy potwór, to przerażające monstrum, ten upiór, któremu sama się rzuciłam na ofiarę... Mąż!

Desperacko ruszyłam do wejścia. Ręce mi się trzęsły, kiedy gmerałam w zamku obcym kluczem. Nie byłam przygotowana na żaden rodzaj spotkania z upiorem, wyobraźnia prezentowała oderwane strzępy różnych wariantów pierwszego kontaktu, żaden mi się nie podobał i na żaden nie mogłam się zdecydować. Otworzyłam drzwi, wkroczyłam do środka, zamknęłam je za sobą, po czym natychmiast oparłam się o futrynę, a nogi się pode mną ugięły. Nie dlatego, że właśnie w tej chwili oczyma duszy ujrzałam go, stojącego przede mną z dzikim wzrokiem i siekierą w dłoni, ale dlatego, że jak grom z jasnego nieba spadła na mnie myśl o zasadniczym, podstawowym niedopatrzaniu. Nie dowiedziałam się, jak temu mężowi na imię.

Co pomyślałam o sobie, o Basieńce i o panu Palanowskim, lepiej nie precyzować. Udało mi się w każdym razie nie powiedzieć tego na głos. Hol przede mną był pusty, potwór

przebywał w dalszych rejonach mieszkania. Trwałam w bezruchu, oparta o futrynę, oszołomiona ciosem, usiłując opanować słabość w nogach, aż do chwili, kiedy z głębi domu dobiegł mnie jakiś dźwięk. Wówczas odzyskałam nagle siły, zawróciłam, zatrzasnęłam za sobą drzwi i uciekałam.

Nie na zawsze oczywiście, w rolę Basieńki wkopałam się definitywnie i bezpowrotnie i prędzej czy później musiałam tu wrócić. Przedtem jednakże należało przyjść do siebie, nabrać ducha, zastanowić się nad okropną sytuacją i znaleźć jakieś rozwiązanie. Wojna, nie wojna, obrażona czy nie obrażona, nie mogę się przecież do tego człowieka w ogóle nijak nie zwracać! Ostatecznie, to mój mąż i jestem z nim na "ty"...

Wieczór był wiosenno-zimowy, zimny i wilgotny. W oranżach i fioletach Basieńki błąkałam się po skwerku jak spłoszona owca, bezskutecznie usiłując myśleć. Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to to, że tym razem musiałam już chyba całkowicie oszaleć i że prawdopodobnie na całe życie znienawidzę wszelkie romanse i amory świata.

Kwadrans po dziewiątej zdecydowałam się wracać. Żadna twórcza myśl wprawdzie we mnie nie zakwitła, ale za to zmarzłam tak, że zaczął mnie szlag trafiać. Panika powoli ustępowała miejsca wściekłości i czyhający w domu potwór wydawał mi się coraz mniej niebezpieczny.

Stanowczym krokiem przeszłam przez skwerek w poprzek i przed sobą, w miejscu jasno oświetlonym latarniami, ujrzałam nagle idącego z przeciwka faceta. Poznałam go natychmiast. Zwolniłam, zaskoczona i zdumiona, bo jego pojawienie się tutaj wydało mi się czymś niezwykłym i zupełnie nieprawdopodobnym, chociaż nie było żadnego racjonalnego powodu, dla którego miałby pojawiać się czy nie pojawiać gdziekolwiek. Na krótką chwilę mąż razem z imieniem wyleciał mi z głowy.

Alejką szedł ten sam blondyn, na którego zwróciłam uwagę w autobusie. Miał na sobie beżowy płaszcz i beżowe buty i znów robił wrażenie uderzająco jasnego i w ogóle z frontu wyglądał jeszcze lepiej niż z profilu. Zdążyłam mu się przyjrzeć,



miał wyjątkowo piękne, jasne, niebieskie oczy. Spojrzał na mnie jak na powietrze i poszedł w głąb skwerku.

Nagle ocknęłam się z otumanienia, odzyskałam wigor, umysł zaczął wreszcie pracować. Widocznie widok blondyna wpłynął na mnie dopingujące. Przestałam się nieprzytomnie bać, poczułam narastającą irytację i oburzenie. Z jakiej racji właściwie ten mąż był w domu, kiedy tam przybyłam? Nie powinno go być, powinien siedzieć na schodach u pana Palanowskiego i dobijać się do drzwi! Chyba że te jego wynajęte zbiry zdążyły go zawiadomić, że Basieńka już wraca...

Dotarłam na miejsce w nastroju dość bojowym, otworzyłam drzwi znacznie śmielej i stwierdziłam, że są od wewnątrz zamknięte na łańcuch. To mnie znów zaskoczyło. Miałam dzwonić, łomotać...? Co, u diabła, Basieńka zrobiłaby na moim miejscu?...

Wówczas przypomniałam sobie, że mam prawo do dziwactw. Żadnych normalnych poczynań, im większą głupotę wymyślę, tym lepiej! Obeszłam dom dookoła, ujrzałam, że oświetlone okno na parterze jest uchylone. Nie miałam pojęcia, jakie pomieszczenie znajduje się za tym oknem, ale nie miało to na mnie wpływu. Jasną jest rzeczą, że natychmiast postanowiłam wejść tędy.

Włożenie oknami z upodobaniem praktykowałam przez całe życie i nie przedstawiało to dla mnie wielkich trudności. Poniżej znajdowało się niskie okienko piwniczne, nad nim cokolik, przewiesiłam sobie torebkę przez rękę, wlałam na cokolik i pchnęłam okno, które otworzyło się szerzej. Za oknem ujrzałam kuchnię. Nie było w niej nikogo, na gazowej kuchence stał czajnik z kotłującą się wodą, na wprost widziałam uchylone drzwi. W chwili kiedy przekładałam nogi przez parapet, siedząc już na blacie podokiennej szafki, owe drzwi otwarły się nagle i stanął w nich mąż.

Nie przyzwyczał się widać jeszcze do wybryków Basieńki, bo najwyraźniej w świecie zdrętwiał. Mimo woli również zamarłam w bezruchu, przyglądając mu się z rozpaczliwą zachłannością. Trochę był nawet podobny do zaprezentowanej mi fotografii, czarny, łysiejący od czoła, z poziomo

przystrzyżoną bródką, z krótkim noskiem, średniego wzrostu, szczupły, żywy, nerwowy, postury, wbrew moim obawom, raczej koziołka niż bawołu, tak że kwestia uduszenia ostatecznie przestała wchodzić w rachubę. W jednej ręce trzymał szklanę z fusami po kawie, drugą dość gwałtownie poprawiał na nosie wielkie, kwadratowe okulary.

Poruszyłam się, bo parapet ugniatał mnie w nogę. Mąż drgnął, zleciała mu łyżeczka, którą miał na spodku, drgnął bardziej, schylił się, przechylił szklanę, zdążył ją złapać, podniósł łyżeczkę, zleciały mu okulary, poprawił je, dziabiąc się tą łyżeczką w nos, dmuchnął na nią i wetknął do szklanki. Przyglądałam się tym sztukom w napięciu, bo moment wydawał mi się decydujący. Pozna czy nie...?

Mąż przytrzymał chyboczącą się szklanę drugą ręką i odchrząknął dwa razy.

- Tego... hm... wychodzisz czy wracasz?... - spytał niepewnie jakimś dziwnie chrypliwym głosem.

Bezgraniczna ulga uświadomiła mi poprzednie napięcie. Więc jednak...! Nie poznał, wziął mnie za Basieńkę! I to tu, w tej jasno oświetlonej kuchni!...

Przełożyłam nogi do środka i zesłam z szafki. Przez krótką chwilę zwalczałam w sobie opór przeciwko zwracaniu się per "ty" do zupełnie obcego faceta, którego pierwszy raz w życiu widziałam na oczy.

- Woda się gotuje - powiedziałam zimnym głosem, pamiętna udzielonych mi instrukcji. - Spalisz czajnik.

Mąż przyglądał mi się tak intensywnie, że z trudem opanowałam chęć zakrycia sobie twarzy ścierką od talerzy. Odstawił szklanę i przykręcił gaz. Minęłam go i z godnością opuściłam kuchnię.

Pokój Basieńki znalazłam na górze bez żadnego trudu i na tym skończyły się sukcesy. Reszta wieczoru stanowiła jedno pasmo koszmarnych udrek.

Do kuchni zesłam po dobrej półgodzinie z zamiarem skonsumowania kolacji, ulga bowiem, jakiej doznałam na podokiennej szafce, wróciła mi apetyt, utracony uprzednio na skutek emocji. Zdawałoby się, że zjeść kolację można z

łatwością nawet w obcym domu. Możliwe. Z pewnością jednak nie w domu Basieńki.

Mąż w pokoju na dole gapił się w telewizor, nastawiwszy dźwięk na cały regulator, czego nie znoszę z całej duszy i co denerwowało mnie przeraźliwie. Nie wiedziałam, czy powinnam zażądać przyciszenia, czy też przeciwnie, nie zwracać uwagi. Miałam nadzieję, że może sąsiedzi zareagują, ale sąsiedzi byli widocznie głusi jak spróchniałe pnie. Wyprowadzona z równowagi tym potężnym rykiem, w żaden sposób nie mogłam znaleźć najprostszych rzeczy, herbaty, soli, cukru i sztuczków. Solniczka była pusta, cukiernicy nie było wcale, a ze sztuczków leżał w zlewie tylko jeden widelec. Bliska obłądu przeszukałam całą kuchnię, utwierdzając się w mniemaniu, że Basieńka musiała zwariować. Wszystko miała tam dziwacznie przemieszane, łyżki, noże i widelce znalazłam w szafce pod lodówką, gdzie raczej można było się spodziewać śmieci, z makaronem i mąką pomieszane były środki piorące, pieczywo leżało w lodówce, a puszka z herbatą na kredensie, w skrzynce z narzędziami. Wyglądało na to, że w dziedzinie wybryków pani tego domu doszła do perfekcji. Na domiar złego szukając, musiałam pilnie uważać, czy nie nadchodzi wróg, który mógłby zajrzeć i spytać, czego szukam. Dziwactwa dziwactwami, ale w końcu Basieńka to ja, jeśli nawet złośliwie schowałam w idiotyczne miejsce, powinnam o tym wiedzieć. Nie chowałam przecież sama przed sobą!

Mąż przestał ryczeć telewizorem i wychylił się z pokoju akurat w momencie, kiedy zamierzałam porzucić kuchnię i udać się na górę. Cofnęliśmy się równocześnie, po czym równocześnie ponowiliśmy próbę opuszczenia pomieszczeń. Chciałam mu dać pierwszeństwo, żeby sobie poszedł do wszystkich diabłów i nie przyglądał mi się tak nachalnie od razu pierwszego wieczoru, znów się zatem cofnęłam, on jednakże uczynił dokładnie to samo. Zanosił się na to, że pozostaniemy tak, każde w swoich drzwiach, do dnia Sądu Ostatecznego, on spędzi resztę życia w pokoju, a ja w kuchni. Przez głowę przeleciała mi myśl, że on umrze pierwszy, nawet jeśli zabrał cukier, to na długo mu to nie starczy i czeka go

śmierć głodowa. Zapewne pomyślał to samo, bo nagle zdecydował się, wyskoczył z pokoju i dzikimi skokami popędził na górę. Droga była wolna.

Z tego wszystkiego zapomniałam, jak wyglądam. Spojrzenie w lustro w pokoju Basieńki przyprawiło mnie bez mała o palpitację, ponieważ ujrzałam w nim nagle obcą twarz. Poprzyglądałam się sobie i nieco ochłonęłam po straszliwych przeżyciach. Pewnie, skoro tak wyglądam, jasne, że uważa mnie za swoją żonę i nie przychodzą mu do głowy żadne podejrzenia! Rozwój wydarzeń wskazuje wyraźnie, iż wzajemna niechęć państwa Maciejaków musiała się nieźle ugruntować i kontakty istotnie nie będą zbyt ożywione...

\*

Były garaż został podzielony na dwie części. W większej urzędował mąż z pomocnikiem, mniejsza, z wysoko umieszczonym oknem, tym samym, po którym włąziłam, stanowiła miejsce pracy żony. Na stole rozpięty był arkusz astralonu z rozpoczętym wzorem, bardzo prostym, złożonym z kółek i półksiężyców.

Siedziałam przy tym stole nad robotą, której kontynuacja nie przedstawiała dla mnie najmniejszych trudności, i rozpamiętywałam dotychczasowe kłęski i osiągnięcia, usiłując przy okazji stłumić ognistą zawiść, jaka ogarnęła mnie o poranku na widok wnętrza pokoju Basieńki. Umeblowanie tego wnętrza wydało mi się wstrząsające. Mogłam pogodzić się, ostatecznie, z wiszącym na ścianie genialnym, bezbłędnym lustrem, mogłam jej darować srebrne, rokokowe świeczniki, mogłam przeboleć biureczko, szczególnie, że dla mnie byłoby za małe, i kręcony fotel, ale nie mogłam odczepić się od komody. Całe życie marzyłam o posiadaniu komody, ta zaś, na domiar złego, była zabytkiem. Gdybym ją ujrzała w muzeum, bez wahania uznałabym ją za najprawdziwsze rokoko, nie wierzę jednak w prawdziwe rokoko w prywatnym domu, zdecydowałam zatem, że musi być imitacją. Jako imitacja zresztą też godna podziwu.

Obejrzałam ją dokładnie, obeszłam dookoła na czworakach, bez mała obwąchałam. Nie była w najlepszym stanie, wymagała odnowienia. Zameczek jednej z szuflad był uszkodzony, a cała powierzchnia mebla miała liczne zadrapania, z których jedno, na boku, przypominało kształtem konika morskiego. Gryząca zazdrość sprawiła, że każdy najdrobniejszy szczegół przedmiotu marzeń utkwił mi w pamięci. Ta Basieńka miała doprawdy za dużo! I wielkie uczucia, i komodę, nie mówiąc o volvo, ja nie wiem, czy kobieta, która nie trzyma w domu cukru i soli, zasługuje na aż tyle!

Prostota wzoru pozwalała spokojnie zająć myśl czym innym, do roboty potrzebne mi były tylko ręce. Nie znane imię własnego męża dręczyło mnie nadal, udręka ta jednak nie tyle złagodniała, ile zeszała na drugi plan, zepchnięta przez komodę, szczególnie że od poprzedniego wieczoru męża nie widziałam na oczy. Dawał się słyszeć w pomieszczeniu obok, gdzie razem z pomocnikiem pracował ciężko i uczciwie. Miałam nadzieję, że może ów pomocnik odezwie się do niego w sposób wyjaśniający sprawę, powie na przykład "panie Kajetanie" czy "panie Hipolicie", czy może "panie Zenku", wszystko jedno, w każdym razie uda mi się z tego wywnioskować, co mu dali na chrście świętym, bo innego sposobu uzyskania informacji raczej nie widziałam. Przed przystąpieniem do pracy przeszukałam cały pokój na parterze w przekonaniu, że znajdę jakikolwiek dokument, papier, świstek, na którym będzie widniało imię pana domu, ale przekonanie okazało się błędne.

Upiorna gospośnia idąc na urlop, posprzątała wszystko z nieludzką dokładnością. Zamiast imienia znalazłam zdumiewające ilości cukru w czterech naczyniach, poustawianych w nieoczekiwanych miejscach. Dwie cukierniczki stały w biblioteczkę, wśród książek, jedna w barku, wśród alkoholi, a jedna pod telewizorem. Pomyślałam, że sól znajdę zapewne w pudle z odkurzaczem. Dodatkowo denerwowało mnie przeraźliwe skrzywienie drzwi, które musiałam w związku z tym zostawić otwarte, żeby nie anonsować piskliwym zgrzytem każdego swojego poruszenia,

Zajęta rozpamiętywaniem omal nie przeoczyłam pory udania się po zakupy. Odruchowo spojrzałam w okno, żeby sprawdzić, jaka pogoda, i na moment zdrętwiałam.

W oknie tkwiła jakaś gęba. Była to gęba tak koszmarna, że zanim przypomniałam sobie, iż wszelkie gęby, rozplaszczone o szybę, robią nie najlepsze wrażenie, doznałam wstrząsu. Sama się zdziwiłam, że nie krzyknęłam, nie zemdlałam i nie dostałam natychmiastowego ataku hysterii. W pierwszym momencie myślałam, że to mąż, co wydawało się jeszcze bardziej upiorne, bo ciągle słyhać go było obok, musiałby się zatem rozdzielić, po chwili jednakże dostrzegłam różnicę. Gęba była szeroka, rozlazła, miała rudy koloryt i tępo, rytmicznie poruszała szczęką. Pozwoliła się przez chwilę - oglądać, po czym znikła.

Przemogłam zmartwiały bezruch. Z mocnym postanowieniem nie dać się sterroryzować gębami bez kadłuba wyskoczyłam na górę. Rzuciłam się do kuchennego okna, następnie do drzwi i zdążyłam jeszcze dostrzec właściciela gęby. Laźł powoli w głąb ulicy i robił wrażenie niedorozwiniętego, obszarpanego półgłówka.

Nie, to coś, w co się wdałam, to nie było spokojne życie. Nawet w samochodzie nie mogłam pozbyć się zdenerwowania, bo dokumenty Basieńki oczywiście wyleciały mi z głowy, zapomniałam zostawić je w domu i miałam przy sobie wszystko to, co groziło mi pięcioma latami mamra. Nigdy w życiu nie trzymałam się równie ściśle przepisów ruchu jak teraz!

Następny wstrząs miał miejsce późnym popołudniem, kiedy odwaliwszy godziny pracy wróciłam na górę. Już w przedpokoju usłyszałam telefon i nie mogąc w popłochu przypomnieć sobie, gdzie on u diabła stoi, pomyślałam wszystko na raz. Że chyba głupio będzie, jeśli pojawi się mąż i ujrzy, jak szukam tej maszyny piekielnej po różnych meblach, że jeśli to do niego, powinnam go zawołać, a nie wiem, ja mu na imię, że jeśli ktoś wymieni imię, nie będę wiedziała, czy to nie pomyłka, że lepiej, żeby on odebrał, i że jeśli to do Basieńki, to już w ogóle nie wiem, co zrobić. Równocześnie nagła jasność poraziła mi umysł. Od tych amorów pana Palanowskiego musiałam chyba zgłupieć do reszty, skoro nie przyszło mi

wcześniej do głowy, że przecież mam tu książkę telefoniczną, a w książce imię, nazwisko i adres...!

Telefon znalazłam od razu, na półeczce za stosem czasopism. Słusznie wydawało mi się, że stoi gdzieś nisko. Książka telefoniczna leżała obok, zawahałam się, co robić najpierw, i usłyszałam, że mąż zbiega ze schodów. Pojawił się w progu, zatrzymał się gwałtownie, spojrzał na mnie zaskoczony i poprawił okulary. Telefon dzwonił jak wściekły.

- Na co czekasz? - spytał mąż podejrzliwie. - Odbierz to!

Jeszcze czego! W jego obecności...?!

- Sam odbierz - odparłam wrogo, dostrzegając w tym najlepsze wyjście z sytuacji.

- Wykluczone! To na pewno do ciebie! Ja... tego... Życzę sobie posłuchać tej rozmowy!

Cofnął się nawet o krok do holu, prezentując tym niezłomny zamiar nieodbierania telefonu samemu. Chciałam zaprotestować, ale przenikliwy dźwięk okropnie mnie denerwował. Nie kryjąc wstrętu i odrazy podniosłam słuchawkę.

- Halo! - powiedział ktoś tam. - Dzień dobry pani, tu Wiktorczak. Zastąłem męża?

Wiktorczak, stawiający sprawę tak jasno i zrozumiale, od razu wydał mi się sympatyczny. Doznałam niejakej ulgi.

- Wiktorczak do ciebie - wysyczałam z satysfakcją, zasłaniając ręką mikrofon. - Tak, proszę bardzo, już podchodzi - dodałam do Wiktorczaka.

Na twarzy przyglądającego mi się pilnie męża wyraźnie mignął nagły popłoch. Zawahał się, otworzył usta, nic nie powiedział, z niechęcią podszedł i ujął słuchawkę. Wyglądało na to, że ten Wiktorczak jest mu jakoś bardzo nie na rękę. Stał z tą słuchawką i patrzył na mnie chyba z nie mniejszym obrzydzeniem niż ja na niego. Widać było, że ' czeka z rozpoczęciem rozmowy, aż wyjdę z pokoju. Gdzieś tam, na marginesie umysłu, coś mi się nagle zaległo, uderzyła mnie dziwna zbieżność naszych pragnień. Ja też na jego miejscu czekałabym, aż on wyjdzie z pokoju...

Nie zależało mi na jego konwersacji z Wiktorczakiem, zabrałam mu sprzed nosa książkę telefoniczną i zachłannie rzuciłam się na nią w kuchni. W chwili kiedy znalazłam na kopy Maciejaków i szukałam właściwego, mąż pojawił się znowu, wtykając głowę w drzwi. Najwidoczniej zaczynał mnie natrętnie prześladować.

- Słuchaj... - zaczął niespokojnie i nagle urwał. Przyjrzał mi się nieufnie i jakby z rozterką, wskutek czego w środku zrobiło mi się niewyraźnie. Zaniepokoiłam się, czy niii się przypadkiem pieprzyk nie rozmazał.

- Słuchaj... - powtórzył. - Czego szukasz?

- Pralni pierza - odparłam bez namysłu, pamiętna swego prawa do dziwactw.

- Pralni czego...?!

- Pierza. Takie białe, z ptaków.

- A... Po diabła ci pralnia pierza?

- Do prania. Pierze się pierze, jak jest brudne.

- A...!

Konsternacja męża była wyraźnie widoczna. Przez chwilę patrzył na mnie niepewnie, po czym nagle ocknął się, jakby przypomniał sobie, po co przyszedł. Nie po informacjo pralni pierza, to pewne.

- Słuchaj, kiedy ty to skończysz? - spytał pośpiesznie.

Środek zdrewniał mi na nowo w mgnieniu oka. Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi. Kiedy skończę szukać pralni pierza...?

- Które kiedy skończę? - spytałam nieufnie, z wysiłkiem usuwając z głosu akcenty paniki.

- Ten wzór, który teraz robisz. Wiktorczak mówi... To znaczy, on już na niego czeka.

Konsternacja stała się teraz moim udziałem. Szablon mogłam skończyć w ciągu trzech godzin. Zamierzałam go robić trzy tygodnie. Jeśli go skończę, co, na litość boską, będzie z następnym wzorem? Skąd mu wezmę nowy projekt? Świadomość tego, że absolutnie nie wolno mi go samej stworzyć, uderzyła mnie nagle jak obuchem i ogłuszyła ostatecznie. Patrzyłam na tego obrzydliwego człowieka i patrzyłam, i głos nie chciał się ze mnie wydobyć.



- A... potem?... - spytałam w końcu bardzo ostrożnie.

- Co potem?

- Następny wzór? Masz jakiś wybrany?

Mąż wydawał się kompletnie dezorientowany. Mignęło mi w głowie, że jednak nie ma siły, to jest właśnie ta pierwsza okazja, przy której szachrajstwo musi się wykryć. Środek zdrętwiał mi wręcz rozpaczliwie.

- No, jak to.. - powiedział mąż bezradnie, patrząc na mnie osłupiałym wzrokiem. - Przecież są... tego... trzy wybrane. W tej tam... w szufladzie. Sama schowałaś.

Matko Boska, sama schowałam... W jakiej szufladzie, gdzie ja mam tego szukać...?! Może zgubiłam? Też niedobrze, razem z szufladą zgubiłam, czy jak...?

- Ja z tym Wiktorczakiem muszę załatwić - powiedział mąż nerwowo. - To kiedy skończysz?

Popłoch nie pozwalał mi się zastanowić. Wola boska, co będzie, to będzie!

- Jutro - odparłam za wszelką cenę chcąc się go na razie pozbyć. - Po obiedzie.

Wetknięta w drzwi głowa wykonała zamaszyste kiwnięcie i mąż znikł mi z oczu. Czulałam się tak, jakbym cudem uszła z życiem ze zderzenia pociągów, i siedziałam nad tą książką telefoniczną, usiłując ochłonąć. Pan Palanowski gwarantował brak kontaktów... Jakim sposobem ten półgłówek nie zorientował się jeszcze, że nie jestem jego parszywą Basieńką?! Patrzy na mnie z bliska, rozmawia, ślepy jest chyba i niedorozwinięty...

Podniesiona nieco na duchu oczywistym zidioceniem tego bęc wała wróciłam do książki telefonicznej i znalazłam, co trzeba. Mąż miał na imię Roman. Roman Maciejak, magister chemii. Istniała wprawdzie możliwość, że Basieńką zwraca się do niego per Dziubdziusiu, Rybciu, Kotku, czy jakkolwiek inaczej, ale w stanie wojny mogłam nie brać tego pod uwagę. Żadnych pieszczotliwych zdrobnień, Roman i koniec!

- Barbaro - rzekł nagle sucho małżonek, kiedy odniósłszy na miejsce książkę telefoniczną, zamierzałam opuścić kalany jego obecnością pokój. Odwróciłam się i spojrzałam na niego

wyłącznie dlatego, że w ogóle wydał z siebie jakiś dźwięk, nawet mi bowiem w głowie nie zaświtało, że ta Barbara to ja.

Mąż zrobił się nagle jakiś niepewny i niespokojny.

- Słuchaj... Musisz mi napisać list. Na maszynie. Podyktuję ci.

Skamieniałam w drzwiach. Owszem, była mowa, że Basieńką załatwia jego korespondencję, pan Palanowski uprzedzał, nastawiłam się, jeden tylko drobiazg został przeoczony. Mianowicie miejsce pobytu maszyny do pisania. Przeszukiwałam już ten dom, znalazłam cukier, znalazłam imię, znalazłam nawet brakujące garnki i sól, notabene w wazie do zupy, ale maszyna nigdzie nie wpadła mi w oko. Co, do pioruna, mam teraz zrobić?...

Nagle spłynęło na mnie natchnienie.

- Proszę cię bardzo - powiedziałam lodowatym głosem. - Wieczorem, jak wrócę ze spaceru. Przez ten czas bądź uprzejmy przygotować maszynę i papier.

- A dobrze, to jak wrócisz - zgodził się mąż skwapliwie. - Może być, nie wracaj za późno.

Spełniłam jego życzenie o tyle, że nie przedłużyłam przechadzki w stopniu rażącym. Widok, jaki zastałam po powrocie, podzialał uspokajająco. Na niskim stole w pokoju stała maszyna, obok leżał papier, mąż szukał czegoś w kobyłastej machinie, zajmującej całą ścianę, będącej równocześnie kredensem, biblioteczką, regalem i szafą. Oprócz niej znajdowało się tam jeszcze kilka mebli dobranych dość osobliwie, między innymi staroświecki sekretarzyk z milionem szufladek i drzwiczek.

Weszłam na górę zmienić odzież i schodząc znów na dół usłyszałam jak coś tam w owym pokoju gruchnęło brzęcząco. Zaciekawilo mnie to. Zdążyłam pomyśleć, że pewnie mąż, nie mogąc się na mnie doczekać, w zdenerwowaniu rozbił maszynę do pisania, po czym ujrzałam oryginalne pobojowisko.

Największa szuflada sekretarzyka leżała na podłodze, wokół niej poniewierały się rozsypane, również zabytkowe, srebrne łyżki, noże, widelce, jedne w opakowaniu, drugie luzem, wśród tego Sezamu zaś klęczał pan domu, okropnie zdenerwowany,

zbierając wszystko pośpiesznie i upychając z powrotem. Zdumiewająco dużo sztucców mieściło się w tej jednej, niewielkiej szufladzie.

- Zapomniałem o tej urwanej listwie - mruknął wyjaśniająco, nie patrząc na mnie.

Nie zwracałam na niego uwagi, rzuciłam się do maszyny, żeby sprawdzić, co to za typ. Głupio byłoby szukać przecinka, nawiasu, i wykrzyknika po całej klawiaturze, którą podobno posługuję się na co dzień. Z najwyższą ulgą ujrzałam starą Olivetti, a zatem to co przypadkiem znałam najlepiej.

Mąż wylał spod fotela, z dużym trudem wsunął szufladkę na miejsce, po czym, chodząc po pokoju, drapiąc się po głowie i poprawiając okulary, podyktował mi trzy listy treści niejako urzędowej. Zdziwiło mnie trochę, że we wszystkich przesunął terminy z marca na kwiecień i odmawiał przyjęcia zamówień, nie dostrzegłam w warsztacie atmosfery pośpiechu, ale nie zaprzętałam sobie tym głowy, zajęta obmyśleniem chytrego podstępu, dzięki któremu mogłabym poznać miejsce ukrycia tej cholernej maszyny' do pisania. Zaadresowałam koperty, założyłam przykrywą, wyszłam do kuchni, zapaliłam światło, po czym na palcach wróciłam do holu i ukryłam się za klatką schodową. W razie czego mogłam uciec do piwnicy. Przeraźliwie skrzypiące drzwi były otwarte i miałam doskonały widok.

Mąż pozbiierał swoje listy, podniósł maszynę i wepchnął ją głęboko pod sekretarzyk. Mogłam przestać podglądać, ale zaintrygowały mnie jego dalsze poczynania. Rozejrzał się dookoła jakoś dziwnie podejrzliwie i niepewnie, odłożył papiery na fotel i zaczął z uwagą badać pozostałe szufladki sekretarzyka. Ostrożnie otwierał każdą po kolei, zaglądał do środka i zamykał. Jedna, na samym dole, nie dała się otworzyć, najwidoczniej zamknięta była na klucz. Poszarpał chwilę za uchwyt, po czym zastygł nad nią w zadumie.

Przyglądałam mu się coraz bardziej zdumiona. Cóż to miało znaczyć? Umysł mu się pomieszał od tych matrymonialnych wstrząsów. Nawet jeśli to nie on ją zamknął, tylko ta upiorna

Basieńka, nie dziś chyba dokonał tego odkrycia? Powinien wiedzieć, co ma w domu otwarte, a co zamknięte!

Przyszło mi na myśl, że może Basieńka zamknęła ją w ostatniej chwili, przede mną, schowawszy tam coś, co mogłabym jej ukraść. Zwariowała chyba, zostawiła mi złoty zegarek, pierścioneł z brylantem, męża, futra, samochód wart pół miliona i kilkadziesiąt tysięcy złotych, a zamknęła parszywą, małą szufladkę. Cóż ona tam trzyma, Koh-i-noora?...

Mąż zachowywał się zagadkowo. Oglądał sekretarzyk ze wszystkich stron, zajrzał pod pulpit, zajrzał pod spód, podniósł się, spojrział wokół bezradnie i podrapał się po głowie. Podrapał się jedną ręką, potem dwiema i orał pazurami po włosach, jakby miał co najmniej łupież. Twarz mu się nagle ożywiła, szybkim krokiem podszedł do mebla w kącie i otworzył wielką, wypukłą pokrywę. Od początku wiedziałam, że jest to stara, przedwojenna, singerowska maszyna do szycia, którą rozpoznałam dzięki temu że niegdyś taka sama stała w domu u mojej babki. Przedwojenna maszyna do szycia w apartamencie, gdzie obok wymyślnych mebli modernę znajdowały się nieprawdopodobne antyki, mogła oczywiście budzić zdziwienie, ale przecież nie u swojego właściciela!

Otworzywszy maszynę mąż spojrział na nią zachłannie i najwyraźniej zbaraniał. Co u licha, nie wiedział, że ma w domu maszynę do szycia? Pierwszy raz w ogóle znalazł się w tym pokoju?... Przyglądał się jej przez chwilę w jakimś osłupiałym przygnębieniu, następnie gwałtownie zatrzasnął i znów się rozejrzał. Okulary mu dziko błyskały, włos miał po tym drapaniu zmierzwiony, ruchy nerwowe i razem wzięwszy robił dość niepokojące wrażenie. Wariat, nic innego. Chryste Panie, podstępem zamknęli mnie w tym domu z wariatem...!

Wariat wyraźnie czegoś szukał. Otwierał drzwiczki owej kobyły na całą ścianę, trzaskał szufladami, coś przesuwiał, wreszcie ucichł poza moim polem widzenia. Albo znalazł, albo zrezygnował z szukania. Wylazłam zza schodów i zajrzałam do pokoju. Szalencieł stał w kącie, ręce założył do tyłu i kiwał się na stopach w przód i w tył. Na obliczu malowała mu się tępa

rozpacz. Cóż mu zginęło takiego, na litość boską, co ta zołza przed nim schowała?!...

Kończyłam jeść kolację, kiedy pojawił się w drzwiach kuchni. Od razu tknęło mnie złe przeczucie.

- Chciałbym dostać igłę z nitką - powiedział posepnie i nieżyczliwie.

Kolacja utknęła mi w gardle. Zrozumiałam, czego szukał, igła z nitką, kretyńskie wymaganie! Ciekawe, skąd mu wezmę, diabli wiedzą, gdzie je Basieńka umieściła, pewnie w pralce... Żadne przybory do szycia, poza maszyną, nie wpadły mi w oko, nie zacznę ich przecież teraz szukać przy nim w niewłaściwym miejscu.

- Z jaką nitką? - spytałam, żeby zyskać na czasie.

- Czarną i białą - odparł po krótkim, ponurym namyśle. - I agrafkę. Dwie agrafki.

- To weź je sobie. Czy ja ci zabraniam?

- Nie będę grzebał w twoich rzeczach - powiedział z urazą. - Niech stoi na wierzchu, to będę sobie brał sam. Chowasz nie wiadomo gdzie. Proszę o igłę z nitką.

Omiał nie wyrwało mi się, że to nie ja, tylko Basieńka. Rzeczywiście, chowała nie wiadomo gdzie...

- Jutro - warknęłam wrogo. - Od szycia po nocy oczy się psują.

- Może być jutro, ale rano.

Bez mała pół nocy spędziłam na szukaniu. Zgodnie z moimi przewidywaniami szufladki maszyny do szycia zawierały wszystko, tylko nie to, co powinny. W jednej znajdowało się mnóstwo korków od butelek i, o dziwo, pasujący do nich korkociąg, w drugiej kredki, ołówki, długopisy i piórka do tuszu. W służbówce gosposi odkryłam krawiecki centymetr i spinki pościelowe. Po przyborach do szycia nie było nigdzie śladu ni popiołu. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko dokonać nazajutrz stosownych zakupów w pasmanterii i suma pięćdziesięciu tysięcy złotych za te wszystkie udreki przestała mi się wydawać wygórowana.

O poranku zimnym głosem powiadomiłam męża, że czarne i białe nici wyszły, zostały tylko różowe, a skoro nie ma nici, to

igły mu na nic. Kupię nieco później i dostanie po południu. Przyjął informację bez protestu, ale z bardzo ponurym wyrazem twarzy.

Kupując przy okazji kosmetyki, zastanawiałam się, czy w miejsce mydła nie powinnam nabyć na przykład ługu i otrębów. Przy tej ilości dziwactw Basieńki moje stosunkowo normalne postępowanie może mu się wydać podejrzanе. Niewątpliwie Basieńka czuła się swobodniej, niemniej jednak jakiś głupi wybryk będąc musiała wykombinować.

Otrzymałszy upragnione igły i nici w nowym pudełku z Cepelii, mąż nie okazał żadnego zdziwienia. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Ulga, jakiej doznałam po kolejnych wstrząsach, osłabiła mi władze umysłowe i nawet nie zastanawiałam się nad tym, że coś za łatwo to wszystko idzie...

Z kamiennym spokojem przyjął obecność rudego debila, siedzącego w kucki za oknem. Zaglądał do środka, patrzył mi na ręce, kiedy kontynuowałam kółka i półksiężycy i rytmicznie ruszał rozlazłą gębą. Albo żuł gumę, albo miał tik nerwowy. Zaczęło mnie to żucie w końcu trochę denerwować i z przyjemnością zażądałabym usunięcia go sprzed okna, ale nie byłam pewna, czy nie należy do inwentarza, i czy jego obecność nie jest czymś zwykłym i normalnym, a może nawet zgoła pożądanym. Pan Palanowski z Basieńką przeoczyli tyle rzeczy, że mogli przeoczyć i rudego debila.

Późnym popołudniem przekazałam mężowi skończony rysunek. Nie robił z nim ceregieli, zwinął w rulon, fachowo sprawdził, czy wzór pasuje ze wszystkich stron, owinął go sznurkiem i wezwał mnie gestem.

- Jedziemy - mruknął rozkazująco.

Właśnie w tym momencie dochodziłam do pocieszającego wniosku, że skoro nie rozszyfrował obłąkanego szachrajstwa do tej pory, nie rozszyfruje go nigdy i mogę się przestać przejmować. W odpowiedzi na rozkazujące mruknięcie jęknęło mi w środku. Dokąd, na litość boską, mamy jechać?! Co za zwierzę, dostał igły i nici, dostał rysunek, dostał nawet agrafki, czego się jeszcze czepia? Pan Palanowski o wozajach nie wspominał!

- No, jedziemy! - powtórzył mąż, bo siedziałam nadal przy stole, tępo wpatrzona w zlatujące mu okulary. - Na co czekasz?

- Dokąd? - spytałam tonem najgłębszego w świecie protestu i oburzenia.

- Jak to dokąd? Do Ziemiańskiego! Kto to jest Ziemiański, Chryste Panie...?!

- Nie chcę - powiedziałam stanowczo. - Jedź sobie sam.

Mąż już był w drzwiach. Zatrzymał się gwałtownie i odwrócił.

- Zwariowałaś? Uważasz, że będę z tym latał po mieście i szukał taksówki? I co, z szablonem potem też mam latać? Cóż to za nowe fochy?

Ze zdenerwowania trochę straciłam głowę i podniosłam się z krzesła. Mąż ruszył po schodach na górę. Powoli zaczęłam iść za nim, nie mając pojęcia, co zrobić, bo przypomniałam sobie, że pan Palanowski coś tam jednak na ten temat mówił. W stadle państwa Maciejaków na gruncie prywatnym szaleje wojna, na gruncie urzędowym natomiast trwa pokój. Kultywowana między nimi wspólnota interesów zmusza mnie teraz do współpracy, powinnam go zawieźć do tego Ziemiańskiego, który najwidoczniej produkuje szablony z wzorów, jak mogę jednakże go zawieźć, skoro nie mam pojęcia, gdzie to jest! Gdybym chociaż wiedziała, w którą stronę należy ruszyć sprzed domu...! Mąż stał już na ostatnim stopniu schodów.

- Pospiesz się - powiedział niecierpliwie. - Trzeba zdążyć przed szóstą.

Oparłam się o poręcz na dole.

- To będzie za długo trwało - oświadczyłam trochę niepewnie. - Ja teraz nie mam czasu.

- Co to znaczy, nie masz czasu, wiedziałaś, że trzeba będzie zawieźć, nie po to go kończyłaś, żeby leżał!...

- Ochoty też nie mam...

Męża na chwilę zamurowało. Patrzył na mnie bezradnie, na twarzy ukazał mu się wyraz przerażenia, zleciały mu okulary, poprawił je, po czym nagle wpadł w furję.

- Nie będziesz mi tu wywracała wszystkiego do góry nogami! - wrzasnął. - Wiedziałem, że się wygłupiasz, ale nic z tego! Wsiadasz do samochodu i jedziemy natychmiast, pół godziny ci to zajmie, Czerniakowska nie leży na końcu świata! Wszystko zniosę, ale tego nie!!!

Machnął rękami, zaczął rulonem o poręcz i o mało nie zleciał ze schodów. Zaniepokoiłam się, że zleci na mnie. Ryczał coś dalej, ale już nie słuchałam, bo dowiedziałam się najważniejszego. Wiem, dokąd mam jechać, ponadto wszystko się zgadza, prywatnie wojna a służbowo pokój, muszę go zawieźć posłusznie, po drodze ewentualnie plując jadem i nienawiścią. Możliwe, że Ziemiański ma jakiś szyld...

Nagle przypomniałam sobie, że przecież powinnam wiedzieć, gdzie to jest, bo już kiedyś tam byłam. W czasach kiedy robiłam podobne wzory, parę lat temu, zostałam jeden raz dowieziona do faceta, produkującego szablony z matryc, żeby coś tam u niego poprawić na rysunku. Oczywiście, że było to na Czerniakowie. Obok znajdował się warsztat wulkanizacyjny i w oczach został mi na zawsze widok jakiegoś elegancko ubranego osobnika, który usiłował podnieść koło, zamiast je toczyć. Udało mu się w końcu i niósł to koło w objęciach, okropnie stękając. Czegoś takiego się nie zapomina.

- Zamknij się - powiedziałam, przechodząc obok męża. - Przecież jadę.

Nim dojechałam na Czerniaków, pojęłam przyczyny, dla których samochodu używa Basieńka. Gdzieś w połowie Chełmskiej siedzący dotychczas spokojnie mąż nagle złapał się kurczowo za tablicę rozdzielczą i dziwnie zasyczał. Zdziwiłam się, bo na jezdni nic się nie działo, nie robiłam nic niezwykłego, jechałam normalnie bez żadnych przeszkód. Mąż dziko wytrzeszczył oczy, co dało się dostrzec nawet przez okulary.

- Wolniej! - zazgrzytał chrypliwie. - Po co ty tak pędzisz, wolniej!

Spojrzałam na szybkościomierz w obawie, że mam jakieś omamy i tracę poczucie rzeczywistości; co w istniejącej sytuacji byłoby ze wszech miar możliwe, albo może samochód oszalał i sam jedzie. Na szybkościomierzu było 65, spojrzałam zatem



znów na męża, niepewna, o co mu chodzi. Zwolniłam do sześćdziesięciu, ale nie pomogło, nadal siedział trzymając się kurczowo i posykując. Przy zakręcie w prawo z szybkością 15 kilometrów na godzinę zamknął oczy i jęknął co najmniej tak, jakbym brała ten zakręt poślizgiem tuż nad skrajem przepaści. Jasne się stało, że cierpi na jakąś samochodofobię i każda szybkość wydaje mu się szaleńcza. Zdumiewające było tylko to, że wpadł w panikę na Chełmskiej, gdzie jechałam równo, niezbyt szybko i bez przeszkód, a nie wpadł w nią na Belwederskiej, gdzie docisnęłam nieco, wyprzedziłam dwa autobusy, volkswagena i fiata, przed skrzyżowaniem weszłam na dziewięćdziesiąt, przyhamowałam w ostatniej chwili i skręciłam w lewo tuż przed nosem lecącego z Wilanowa mercedesa. Na Chełmskiej zwolniłam, ponieważ przypomniałam sobie, że się boję Służby Ruchu.

Jechałam powoli, z natężeniem wypatrując z daleka szyldu wulkanizacji. Za mną jechała taksówka marki warszawa, którą usiłowałam przepuścić, żeby nie plątać się jej przed nosem, bez skutku jednak, taksówka wiozła bowiem jakiegoś pijanego faceta. Co jakiś czas zatrzymywała się i wyraźnie było widoczne, jak kierowca stara się wydobyć z pasażera informacje o celu podróży. Wyglądało na to, że pijak mieszka albo w kilku miejscach równocześnie, albo nigdzie. Byłam w podobnej sytuacji, to znaczy również nie wiedziałam, dokąd jadę, i w końcu musiałam podjąć nowe szykany.

- Którędy życzysz sobie jechać? - spytałam jadowicie. Mąż nagle jakby oprzytomniał i przestał się bać.

- Wszystko jedno. Którędy chcesz.

- Ja w ogóle nie chcę. To ty chcesz. Proszę, którą drogą?

Popatrzył na mnie dziwnie, popukał się palcem w czoło westchnął i uczynił gest brodą.

- W lewo. I na prawo. Nie wiem, jak tu można znaleźć inną drogę, jest tylko jedna...

Warsztat wulkanizacyjny pojawił się przede mną, Ziemiański powinien być obok. Mignęło mi w głowie nagłe odkrycie, nareszcie zrozumiałam, skąd bierze się niepojęte powodzenie idiotycznej imprezy i ślepotą męża, który nie

poznaje własnej żony. Ta Basienka rzeczywiście przyzwyczała go do wszelkich bredni i wygłupów i zastępować ją można w dowolny sposób, byle tylko zachować zewnętrzne podobieństwo. Rzeczywiście, nic go z mojej strony nie zdziwi...

Zatrzymałam się, mąż sięgnął do tyłu po rulon i wysiadł, każąc mi zaczekać. Wszedł na podwórze, przed którym akurat stałam, co wskazywało, że podjechałam dokładnie pod Ziemiańskiego, sama o tym nie wiedząc. Taksówka z pijakiem w środku wyprzedziła mnie wreszcie i zatrzymała się o kilkadziesiąt metrów dalej. Pijak zaczął wysiadać. Zatoczył się, zwałił na maskę, z wyraźnym wysiłkiem odwrócił i oparty tyłem o samochód rozejrzał się dookoła, czyniąc jakieś zamaszyste gesty. Następnie, nie odrywając się od karoserii, przeturlał się z powrotem ku drzwiom i zaczął wsiadać do środka. Widać było, jak kierowca usiłuje go do tego zniechęcić.

Przyglądałam się scenie z zainteresowaniem, rozważając równocześnie, czy nie należałoby zostawić tu męża i uciec, jeśli bowiem jedno polecenie spełniłam posłusznie i dokładnie, drugiemu zapewne powinnam się przeciwstawić. Zanim zdążyłam podjąć decyzję, mąż wrócił.

- Podrzuc mnie teraz do domu - mruknął.

Pijak wsiadł do taksówki, omal nie wyrwywając drzwiczek z zawiasów. Kierowca robił wrażenie zrezygnowanego. Zawrócił wcześniej niż ja, ale wyprzedziłam go zaraz za pierwszym skrzyżowaniem, po czym volvo pokazało, co potrafi. Byłam zdania, że niechęc do męża muszę jakoś zaprezentować. Ku mojemu zdumieniu siedział spokojnie, przyjmując szaleńcze wybryki samochodu z najdoskonalszą obojętnością i dopiero na Belwederskiej uświadomił sobie widocznie, co się dzieje, bo z nagłą wpadł w panikę zgoła niebotyczną. Do domu dojechał ze ściśle zamkniętymi oczami.

Po trzech dniach uspokoiłam się ostatecznie i zaczęłam oddychać lżej. Wszystko szło zgodnie z przewidywaniami. W szufladzie stołu w warsztacie znalazłam mnóstwo rysunków i szkiców Basienki, wśród nich zaś trzy spięte razem i zakreślone ołówkiem, niewątpliwie owe wybrane. Przypięłam do deski nowy arkusz astralonu i zaczęłam nowy wzór, któremu

zachłannie przyglądał się debil za oknem. Mąż nie przysparzał kłopotów, zachowywał się normalnie, jak mąż, unikał mnie równie starannie jak ja jego i prawie go nie widywałam. Wróciłam do równowagi i odzyskałam nieco trzeźwości intelektu.

Po czym zaczęłam się dziwić.

Ogłupiony najpierw oryginalnym romanssem pana Palanowskiego, potem zaś paniką i zdenerwowaniem umysł wznowił wreszcie działalność. Coś mi tu zaczęło nie pasować.

Udawanie Basieńki przychodziło z podejrzaną łatwością. Gdyby mąż widywał mnie tylko od czasu do czasu na ulicy, w kieckach, które zna i wie, że do mnie należą, nawet gdyby widywał mnie z bliska, pomyłka byłaby zrozumiała. Wyglądałam absolutnie jak Basieńka, codziennie przed wyjściem z pokoju porównywałam twarz w lustrze z twarzą na jej fotografii, trzymając się ściśle wskazówek charakteryzatora. Ale w końcu twarz to nie wszystko, człowiek posiada rozmaite indywidualne cechy...

Dziwiąc się, jakim sposobem on nie rozpoznaje kantu, równocześnie miałam wrażenie, że to wcale nie jest to, czemu powinnam się dziwić, i w ogóle nie o to chodzi. O coś innego. Coś tu jest takiego, czego nie umiem rozszyfrować, a co sprawia, że wszystko razem wydaje się nienormalne i nie w porządku...

Zmywałam po sobie w kuchni, starannie omijając naczynia użyte przez męża, kiedy nagle wetknął głowę w drzwi.

- Gdzie żelazko? - spytał obojętnie.

Nóż i widelec wyleciały mi z ręki. Znów to samo...! Nie miałam najbledszego pojęcia, gdzie może być żelazko, tak samo, jak do tej pory nie odkryłam miejsca ukrycia przyborów krawieckich. Poczułam, że na nowo ogarnia mnie popłoch. W żywe kamienie przeklełam Basieńkę za idiotyczny pomysł pochowania wszystkiego i przed nim, i przede mną.

- Tam, gdzie powinno być - powiedziałam z irytacją. - A jak nie, to gdzie indziej. Masz oczy i możesz sobie sam poszukać.

Mąż spojrział ponuro, zawahał się, chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Wzruszył ramionami i wycofał głowę.

Dokończyłam zmywania i przystąpiłam do szukania żelazka. Co, u diabła, Basieńka mogła z nim zrobić? Może również wyrzuciła je za okno, tak jak talerze, i teraz leży gdzieś tam w ogródku, rdzewiejąc...? Cokolwiek z nim uczyniła, powinnam to wiedzieć, ponieważ Basieńka to ja.

Mąż zaniechał zadawania mi głupich pytań i szukał również, usiłując te poszukiwania ukryć przede mną. Z równą starannością usiłowałam swoje ukryć przed nim. Obydwoje poświęciliśmy się jednakowym wysiłkom, aż pod wieczór żelazko przybrało monstrualne rozmiary i wypełniło świat.

Badając po raz dwudziesty zakamarki kuchni usłyszałam, jak mąż wszedł do przedpokoju i zaczął grzebać w szafce pod klatką schodową. Postanowiłam go przeczekać. Rumor rozlegał się dosyć długo, wreszcie ucichł, odczekałam chwilę ciszy, po czym, przekonana, że mąż się oddalił, wyjrzałam do holu.

Stał nad odkurzaczem, ścierkami i szczotkami wywleczonymi z szafki, niczym obraz nędzy i rozpaczy i drapał się po głowie, trzymając w ręku okulary. Na mój widok zmieszał się okropnie, w oczach mignęła mu panika, pospiesznie włożył okulary i zaczął wpychać wszystko na powrót do szafki.

- Oczywiście! - powiedział zgryźliwie. - Nie ma także tego... No... W ogóle nic nie ma!

Wiadomo było, że nie nic nie ma, tylko żelazka. Stałam jak słup soli, śmiertelnie zdumiona, ponieważ przyszło mi nagle na myśl, że on się mnie boi. Najwyraźniej w świetle boi się mnie równie panicznie, jak ja jego, boimy się siebie nawzajem, gdzie w tym sens, gdzie logika? Zrozumiałe, że ja, ale dlaczego on...?!

Usiłowałam zastanowić się nad tym, ale żelazko zbijało mnie z tematu. Żeby oni pękli oboje, i Basieńka, i pan Palanowski! Niezdolna oderwać się od przeklętego przedmiotu, z rozpaczy postanowiłam je znaleźć drogą dedukcji, chociaż wątpiłam, czy tej idiotce dedukcja da radę. Mąż uciekł z holu. Stałam nadal i myślałam.

Żelazko powinno znajdować się tam, gdzie się prasuje, razem z deską do prasowania. Deski do prasowania także nigdzie nie widziałam, a nie ma co mówić, od żelazka jest

większa i nie wszędzie się zmieści. W tym domu na ogół jest gosposia, gosposia prasuje, jeśli nie w kuchni, to gdzie? Przecież nie w piwnicy i nie w łazience! Gdzie może prasować gosposia...? Oczywiście w służbówce!

Odzyskałam zdolność ruchu. Deska do prasowania stała jak byk w służbówce za szafką, ustawiona pionowo, żelazko znajdowało się obok, na półeczce. Omal nie poleciałam do męża podzielić się z nim radosnym odkryciem, na szczęście przyhamowała mnie następna trzeźwa myśl.

Żelazko istotnie znajdowało się tam, gdzie powinno się znajdować, a zatem dlaczego on nie mógł go znaleźć? Nie wie, że ma w domu gosposię czy co?... Załóżmy, że nigdy niczego sam nie prasował, nawet portek, załóżmy, że o poczynaniach gosposi nie ma pojęcia i w ogóle się nimi nie interesuje, załóżmy, że to żelazko było mu potrzebne pierwszy raz... W porządku, możliwe, że nie wiedział, gdzie stoi. Szukał, też w porządku, mógł szukać, ale dlaczego w takim strachu przede mną?!

Umysł mi się zmacił, w żaden sposób nie udawało mi się tego zrozumieć. Przyszło mi do głowy, że może on robi coś nielegalnego, popełnia jakieś machlojki, kanty, nadużycia, diabli wiedzą, co jeszcze, i boi się, że Basieńka to wykryje. Ten telefon od Wiktorczaka, z którym nie chciał rozmawiać w mojej obecności... Albo może wie, że Basieńka to wcale nie ja, to znaczy ja to wcale nie Basieńka, tylko ja, nie boi się Basieńki prawdziwej, ale boi się fałszywej, a swoje domysły z niezbadanych pobudek ukrywa, udając, że bierze mnie za swoją prawdziwą żonę i boi się, żebym nie wykryła, że udaje...

Poczułam, że od nadmiaru tego bania się i jego przyczyn sama lada chwila oszaleję. Zagmatwałam się w rozważaniach. Coś w tym wszystkim było przeraźliwie dziwnego...

Wychodząc na spacer natknęłam się u stóp schodów na tego nieszczęsnego, wystraszonego, denerwującego półgłówka i drgnął we mnie cień litości.

- Oczywiście, żelazka nie znalazłeś? - powiedziałam ze wzgardą. - Przecież mówiłam, że jest na swoim miejscu. W służbówce. Nie wiem, gdzie masz oczy i rozum.

- Nie widziałem - mruknął półgłówek, spojrzął na mnie ponuro i ukrył się w kuchni.

Ze spaceru wróciłam dość późno, bez żadnych złych przeczuć, całkowicie zaprzątnięta jednym tematem, mianowicie rozmyślaniami o żonie blondyna z autobusu. Spotkałam go na skwerku już trzeci raz i wyległo się we mnie przekonanie, że włóczy się tam wieczorami, ponieważ jest z nią pokłócony. Innych powodów przechadzki nie umiałam znaleźć.

Otworzyłam drzwi, weszłam do holu i w progu pokoju ujrzałam męża, ponuro nadętego i patrzącego na mnie okropnym wzrokiem. Założył ręce po napoleońsku i wydawał z siebie jakiś dziwny, bulgoczący pomruk. Mimo woli zatrzymałam się, cokolwiek zaniepokojona, nie wiedząc, co to ma znaczyć. Mąż wykonał gwałtowny wypad jedną nogą do holu.

- Ladacznico!!! - ryknął zniecierpliwionym basem.

Zdrętwiałam. Różnych rzeczy mogłam się spodziewać, ale przecież nie czegoś takiego! Cóż go napadło?! W bezgranicznym osłupieniu wytrzeszczyłam na niego oczy, w ogóle nie pojmując tej osobliwej inwokacji.

Mąż cofnął nogę, wykonał wypad drugą, wyglądało to zupełnie jak ćwiczenia gimnastyczne, machnął rękami, przez moment robił takie wrażenie, jakby sobie usiłował coś przypomnieć, wreszcie pogroził mi pięścią.

- Lafiryndo!!! - zawył, dla odmiany dyszkantem. - Ja wiem wszystko!!! Nie będziesz szargać mojego nazwiska po rynsztokach!!!

Zbaraniałam do reszty. Jakich znowu rynsztokach, na litość boską?! O co mu chodzi, o tę wilgoć na skwerku? Błoto jest, istotnie, ale szargam w nim nie żadne nazwisko, tylko obuwie Basieńki... Urznął się czy co...? Patrzyłam na niego niebotycznie zdumiona, nie mogąc tych cyrków do niczego dopasować, co gorsza, niepewna, co z tym fantem zrobić. Wziąć udział w awanturze, zawrócić i uciec, obrazić się...? Żadnych instrukcji w tej kwestii nie dostałam...

- Mam dość twoich gachów, nie zniosę tego dłużej!!! - szalał mąż, nie ruszając się z progu pokoju. - Jesteś moją żoną!!! Zabiję bydlaka!!! Zabiję!!!...

Bydlakiem w niebezpieczeństwie mógł być tylko pan Palanowski. Jako Basienka powinnam chyba zaniepokoić się o całość amanta i ułagodzić męża... Prawowity władca ryczał nadal niczym ranny bawół, rozpraszając mnie i przeszkadzając zebrać myśli.

- Zamknij się!!! - wrzasnęłam znienacka jeszcze przeraźliwiej niż on. - Ludzie usłyszą!!!

Mąż urwał nagle w pół słowa i znieruchomiał z pięścią uniesioną do góry. Spadły mu okulary, złapał je i poprawił na nosie. Z niesmakiem popukałam się palcem w czoło i ruszyłam w kierunku schodów.

- W ogóle nie zamierzam rozmawiać z tobą takim tonem - oświadczyłam godnie i z urazą. - Po żadnych rysztołach nie chodzę, przestań się wygłupiać. Dziwne jakieś maniery...

Zaczęłam wchodzić na górę, w połowie schodów odwróciłam się.

- Jeżeli ci się coś nie podoba, możesz się ze mną rozwieść - dodałam zachęcająco. - A wulgarne awantury stanowczo sobie wypraszam.

Mąż odzyskał zdolność ruchu i nawet jakby się ucieszył.

- Rozwód sobie wybij z głowy - powiedział normalnym głosem z wyraźną satysfakcją. - A tych wielbicieli to ja ukróczę. Dobrze wiem, co robisz.

Nie raczyłam mu odpowiedzieć, bo wszystko razem było bezdennie idiotyczne i pozbawione jakiejkolwiek logiki. Jeżeli wie, co robię, nie powinien się czepiać, bo nie ma o co. Być może nasyłane na mnie typy, których zresztą dotychczas nie widziałam na oczy, z nudów sobie coś uroiły, on zaś im uwierzył. Dojdzie do tego, że nie daj Boże blondyn na skwerku odezwie się do mnie i dostanie po pysku...

Przez dwa dni nie odzywaliśmy się do siebie wcale. Trzeciego dnia mąż przerwał ciszę.

- Jadę zaraz do Łodzi - oświadczył bez wstępów, zajrzawszy do mojej części warsztatu. - Bądź uprzejma zawieźć mnie na dworzec.

Nie protestowałam, powiedział to bowiem takim tonem, jakby wożenie go na dworzec należało do równie niewzruszonych zwyczajów jak podróże z rysunkami do Ziemiańskiego. Dworzec, chwała Bogu, wiedziałam, gdzie jest. Poza tym kilka godzin świętego spokoju bez napięcia, bez pilnowania twarzy, bez peruki na głowie wydało mi się wytchnieniem zgoła niebiańskim. Jeśli go nie zawiozę, gotów nie pojechać.

- Kiedy wracasz? - spytałam po drodze z nadzieją, że może dopiero za tydzień.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Jak zwykle, jutro. Bardzo rano, o świcie.

To mnie nie ciekawiło, o świcie nie działałam. Jechałam bardzo wolno, żeby go nie zdenerwować, żeby broń Boże nie zrezygnował z podróży.

- Pospiesz się, jeszcze muszę kupić bilet - powiedział ze zniecierpliwieniem i nagle jakby się zreflektował. - To znaczy, jedź powoli! Nie pędź tak, nikt cię nie goni!

Nie zamierzałam akurat teraz przekonywać go, że niechybnie zwariował i sam nie wie, czego chce. Spełniłam pierwsze życzenie, co sprawiło, że aż do dworca Centralnego trzymał się z całej siły tablicy rozdzielczej na zmianę zamykał i wytrzeszczał oczy, pojękiwał i syczał.

- Powinieneś jeździć na tylnym siedzeniu - zauważyłam z niechęcią, zatrzymując się przed dworcem.

- Po co? - zdziwił się, nagle wyzbyty lęku, najwidoczniej zaprzątnięty już czymś innym. - A...! Nie, na tylnym jest gorzej. Do jutra.

\*

Nazajutrz rano obudził mnie dźwięk dzwonka. Wyrwana ze snu, półprzytomna, spojrzałam na zegarek. Było wpół do szóstej. Szlag mnie trafił, ale sięgnęłam po szlafrok, żeby zejść



na dół odebrać ten kretyński telefon. Kiedy byłam na schodach, dzwonek znów zadzwonił i okazało się, że dźwięczy u drzwi. Z wściekłością pomyślałam, że ten idiota zapomniał widocznie kluczy, budzi mnie o obłąkanej porze i czego jak czego, ale tego mu już chyba nie daruję. Wciąż jeszcze byłam półprzytomna i nawet mi w głowie nie zaświtało, że mam własną twarz, bez maquillage'u a la Basieńka, wobec czego nie wolno mi się nikomu pokazywać. Ziewając okropnie, otworzyłam.

Za drzwiami stał obcy człowiek wyglądający dość gburowato.

- Są tu kury? - spytał niegrzecznym tonem. Szaleństwo zakotłowało się we mnie. Co za bydlę jakieś, budzi mnie o wpół do szóstej rano, żeby pytać o kury!!!

- Nie - warknęłam, usiłując zamknąć drzwi. Facet je przytrzymał.

- A co? - spytał niecierpliwie.

- Krokodyle - odparłam bez namysłu, bliska uduszenia go gołymi rękami.

Antypatyczny gbur jakby się zawahał.

- Angorskie? - spytał nieufnie.

Tego było dla mnie doprawdy za wiele. O wpół do szóstej rano angorskie krokodyle...!!!

- Angorskie - przyświadczyłam z furją. - Wyją do księżycy.

- Marchew jedzą?

- Nie, nie jedzą. Trą na tarce! O co, u diabła, panu chodzi?!

Facet wydawał się niewzruszony.

- Miały być angorskie króle - oświadczył z niezadowolaniem. - Proszę. To dla kacyka. Trzeba mu odnieść jak najprędzej. Maciejak tu mieszka?

Z wysiłkiem powstrzymałam się od poinformowania go, że nie Maciejak, tylko król August Adolf.

- Maciejak. Tu.

- No to zgadza się. Mówię, to dla kacyka, zaraz odnieść.

Wbrew mojemu oporowi wepchnął mi w ręce dużą paczkę, kształtu walizki, ciężką potwornie, omal nie upuszczając mi jej na nogi.

- Dla kacyka - powtórzył z naciskiem i oddalił się, zanim zdążyłam zaprotestować.

Zostałam za drzwiami kompletnie ogłupiała i szaleńczo wściekła, przytłoczona ciężarem paczki, która musiała ważyć chyba ze sto kilo i która, jak zrozumiałam, zawierała marchew dla angorskich krokodyli. Po głowie błąkało mi się przeświadczenie, że załatwiono właśnie ze mną jeden z interesów męża. Cóż to za bezdenne kretyn, co za matoł, bydlę, idiota, umawia się o wschodzie słońca, a potem wyjeżdża, specjalnie po to, żeby mnie budzili! Z takim cepem nie wytrzymam ani chwili dłużej, mowy nie ma, rozwodzę się!

Myśl o marchwi była tak silna, że nie zastanawiając się nad jej całkowitym brakiem sensu, zawlokłam paczkę do kuchni, z dużym trudem ulokowałam na stole, po czym wróciłam do łóżka.

Mąż objawił się dopiero późnym popołudniem. Do tego czasu zdążyłam oczywiście obudzić się, oprzytomnieć i zastanowić. Ów gbur bez wychowania, który pytał o krokodyle, nie, przepraszam, o kury, przybył jednakże raczej niespodziewanie, nie będąc umówiony, inaczej bowiem mąż coś by o tym wspomniał. Nawet jeśli mnie wcześniej nie uprzedził, że spodziewa się wizyty, spytałby o nią po powrocie. Nie spytał. Wydało mi się to dziwne, szczególnie że okoliczności towarzyszące były dość oryginalne. W samym fakcie dostarczenia paczki dla jakiegoś kacyka nie widziałam nic niezwykłego, w ostateczności nawet z porą dnia można się było pogodzić, ale przeprowadzona przy tej okazji konwersacja stanowiła szczyt idiotyzmu. Jakże kury, dlaczego angorskie...?! Przypuszczałabym pomyłkę, gdyby nie to, że gbur wymienił nazwisko...

Wracając na górę z warsztatu zajrzałam do kuchni. Mąż przyrządził sobie posiłek. Leżąca na kuchennym stole paczka wyraźnie mu przeszkadzała, usłyszał mnie, obejrzał się i wskazał ją palcem.

- Co to jest? To musi tu leżeć?

Stłumiłam w sobie najgłębsze przeświadczenie, że pakunek zawiera marchew, a miejsce dla marchwi jest w kuchni.

- Nie wiem - odparłam. - Masz to zaraz odnieść do kacyka.

- Co...?!

- Odnieść do kacyka. Jak najprędzej. Jakiś żłób to przyniósł dziś rano.

Mąż wyglądał przez chwilę jak rażony gromem. Stał nieruchomo i przyglądał mi się w tępych oszołomieniu, aż zaniepokoiłam się, czy przypadkiem cała ta sprawa nie należy do mnie, to znaczy do Basieńki, czy nie powinnam znać tego kacyka i odnieść mu sama, ewentualnie może nawet w tajemnicy przed mężem. Nie przyszło mi to wcześniej do głowy, nie przemyślałam kwestii i teraz nie pozostawało mi nic innego, jak tylko brnąć dalej. W ostateczności niech sądzi, że oszalałam.

Mąż z dużym trudem otrząsnął się z osłupienia.

- A...! - powiedział niepewnie, pomyślał chwilę i dodał: - Mówił coś?...

- Kto?

- Ten żłób.

Zawahałam się. Do krokodyli zdecydowana byłam się nie przyznać. Moje stany w godzinach porannych są dość specyficzne, Basieńka może miewać inne.

- Nic takiego. Upewniał się, czy tu mieszka Maciejak. Kazał zaraz odnieść do kacyka. Był tu chyba pierwszy raz.

- Kto?

- Ten żłób. Nie znam go.

- A...!

Odniosłam wrażenie, że mąż go także nie zna. Wyglądał na ogłuszonego gruntownie, co zdziwiło mnie średnio, bo wciąż brałam pod uwagę, że jest to interes nie jego, lecz Basieńki. Wolałam nie wdawać się w zbyt szczegółowe roztrząsanie problemu, zostawiłam go razem z paczką i oddaliłam się z kuchni. Kiedy weszłam do niej ponownie późnym wieczorem, paczki na stole już nie było.

Ujrzałam ją nazajutrz. Szukając grubszego pędzelka po męzowskiej stronie warsztatu odsunęłam przeszkadzający mi szablon i natknęłam się na własność kacyka, opartą o ścianę.

Co mi do głowy strzeliło, żeby się wtrącać, nie mam pojęcia, musiałam chyba doznać przyływu zaćmienia umysłu.

- Co to ma znaczyć? - spytałam z naganą. - Czy ja niewyraźnie mówiłam? To miało być odniesione do kacyka natychmiast.

Stojący tyłem do mnie mąż przykręcał uchwyty do blatu. Wzdrygnął się gwałtownie, na moment znieruchomiał, następnie odwrócił się i spojrział.

- Co? A...! Tego... Nie miałem czasu. Teraz też nie mam czasu. Bądź taka uprzejma i odnieś sama, zaniosę ci zaraz do samochodu i od razu odwieziesz.

Wzdrygnęłam się znacznie gwałtowniej.

- Wykluczone, nie będę uprzejma. Sam odnoś. Jestem zajęta.

- Nic pilnego nie robisz. Jak natychmiast, to natychmiast. Do mnie to mówił czy do ciebie? Najlepiej jedź zaraz.

W środku zaczęło mnie coś ugniatać. Co to może być, ten kacyk, do wszystkich diabłów?! Wygląda na to, że gbura-poślańca nie zna ani mąż, ani Basieńka, obydwójce natomiast powinni znać kacyka. Z jakichś tajemniczych przyczyn on usiłuje to zwalić na mnie, ciekawe, jakim cudem uda mi się z tego wygrzebać... Mąż ułożył paczkę pieczołowicie na tylnym siedzeniu, trzasnął drzwiczkami i wykonał gest popędzania. Nie widząc innego wyjścia, ubrałam się i odjechałam.

Odwiedziłam rozmaite miejsca. Kacyk mógł się znajdować równie dobrze na sąsiedniej ulicy, jak i w Łomiankach. Musiałam upozorować wizytę u niego, na wszelki wypadek wolałam zatem nie wracać zbyt szybko. Wybrałam sobie najdłuższy ogon w Delikatesch, zrobiłam zakupy na zapas, objechałam pół miasta, posiedziałam jakiś czas w samochodzie na parkingu przed Supersamem i w końcu musiałam wrócić, nie wymyśliwszy nic sensownego.

W trakcie jazdy robiłam się coraz bardziej zdenerwowana, bo w rozważanie sytuacji, pogmatwanej nagle kacykiem, wplątały mi się różne inne niejasności, niepokojące i podejrzane. Nie roztrząsałam ich stopniowo, zaniedbywałam je, lekceważyłam z niepojętą lekkomyślnością i teraz zwały się

na mnie wszystkie razem. Skutek był taki, że paczka dla kacyka wyleciała mi z głowy, zapomniałam, że ciągle leży na tylnym siedzeniu, całość dokonanych zakupów przekraczała moje możliwości transportowe i nie zastanawiając się nad tym, co czynię, zażądałam od męża pomocy.

- Jak to? - wykrzyknął z oburzeniem, zajrzawszy do samochodu. - Nie odwiozłaś?

Omiał mnie nie zatchnęło. Mało brakowało, a przyznałabym się do wszystkiego.

- Tam nikogo nie było - powiedziałam w końcu z determinacją. - Trzeba odnieść wieczorem. Zabierz ją do domu, bo jeszcze kto ukradnie.

Na myśl, że miałabym ją wozić w samochodzie, ogarnęło mnie przerażenie, automatycznie nakładałoby to bowiem na mnie obowiązek dostarczenia jej przekłętemu kacykowi. Nie mogłam do tego dopuścić za nic w świecie!

- I w ogóle daj mi z tym spokój - dodałam stanowczo. - To jest dla mnie za ciężkie. Przez twoje interesy nie zamierzam dostać raptury. Dziwaczny pomysł, żeby ze mnie robić tragarza...

Mąż spojrział ponuro, wzruszył ramionami, wywłók pakunek z samochodu i zaniósł do domu. Odetchnęłam nieco lżej, ale niepokój we mnie pozostał.

Nazajutrz od rana padał deszcz i nie zanosilo się na to, żeby przed wieczorem miał przestać. Według instrukcji powinnam była udać się na spacer pod parasolką. Jedyna parasolka, jaka znajdowała się w pokoju Basieńki, była letnia, plażowa, płaska, w wielkie, pstrokate kwiaty. Nie nadawała się zdecydowanie. Gdzieś musiała być inna i tę inną znów należało znaleźć.

W szaleństwie Basieńki istniała jednak pewna metoda, postanowiłam więc od razu posłużyć się drogą dedukcji, nie przeszukując bezmyślnie całego domu. Uznałam, że parasolki, gumki, płaszcze i inne rzeczy od deszczu powinny znajdować się w miejscu, gdzie mogą spokojnie ociekać wodą niczemu nie szkodząc. A zatem tam, gdzie jest stosowna posadzka, A zatem w kuchni, w łazience, w piwnicy.... Jasne też było, że muszę

szukać w tajemnicy przed mężem, bo już i tak ostatnie wydarzenia nieco mi nabruździły.

Łazienkę, kuchnię i moją część warsztatu przeszukałam bez pożądanых skutków. Wieszak i szafę w holu bez mała obwąchałam. W trakcie moich działań na górze mąż kilkakrotnie wychodził z warsztatu, przyglądając mi się dziwnie podejrzliwie i nieufnie, zupełnie jakby mnie pilnował. Denerwowało mnie to okropnie.

I wreszcie trafiłam. Z zaciekłością zastanawiając się, gdzie tu jeszcze jest kawałek posadzki odpornej na wodę, terakota, tworzywo sztuczne czy chociażby beton, dotarłam do wejścia do piwnicy. Za drzwiami był podest i coś w rodzaju szafki ściiennej, na którą dotychczas nie zwróciłam uwagi, a którą teraz otworzyłam zachłannie, bo posadzka pod nią była betonowa.

W środku znajdowały się trzy damskie parasolki, jeden męski parasol, dwie pary gumiaków, dwa płaszcze od deszczu, kalosze i paczka dla kacyka.

Wyraźnie poczułam, jak moim wnętrzem coś szarpnęło. Co się dzieje, do diabła, z tym upiornym pakunkiem?! Nie odniósł go wczoraj, nie odniósł go dzisiaj, czort go bierz, niech nie odnosi do sądnego dnia, ale dlaczego ukrywa go po zakamarkach...?!

Mąż pojawił się na schodach jak uparte widmo. Zdążyłam właśnie poprzysiąc sobie, że słowa więcej na temat kacyka nie powiem, nawet gdybym musiała na tej paczce sypiać. Sięgnęłam po najbliższą parasolkę. Mąż odkaslnął kilka razy.

- A właśnie - odezwał się nieco zachrypniętym głosem, przy czym wyglądał, jakby się trochę dusił. - Ta paczka... Wczoraj go... To znaczy wczoraj tego... nie zdążyłem. Może byś dzisiaj odwiozła?

Straciłam równowagę.

- Mam tego twojego kacyka już po dziurki w nosie! - wrzasnęłam, odwracając się ku niemu. - Uszami mi wychodzi! Daj mi wreszcie święty spokój! Odczep się!

Mąż najwyraźniej w świecie przeraził się śmiertelnie. Możliwe, że uczyniłam jakiś niepokojący gest parasolką, bo

cofnął się tak gwałtownie, że zleciał z ostatnich dwóch stopni na dole. Zamierzałam oddalić się równie gwałtownie, potknęłam się o stopień na górze, przytrzymałam drzwiczek i gwizdnęłam się w ucho rączką od parasolki. Furia zaćmiła mi umysł.

- Możesz jej w ogóle nie odnosić! - wysyczałam dziko. - Sam będziesz za to odpowiadał! Ja nie będę! Mnie to wszystko nie obchodzi! J

- Wcale nie wiem, czy to naprawdę takie pilne - mamrotał mąż na czworakach tonem głębokiego protestu. - Jakby było pilne, toby mówił...

- To też mówił! Że pilne!

- Do mnie nie mówił...

- Ale do mnie mówił!

- Jak do ciebie mówił, to ty odnoś...

Poczułam, że za chwilę zwariuję. Pomyliło mi się, kim jestem, sama już nie wiedziałam, czy awanturuję się z nim jako ja, czy jako Basieńka. Opór przeciwko odniesieniu paczki był z jego strony niepojęty. Coś mnie nagle tknęło, spojrzałam na niego bystrzej, ujrzałam na jego twarzy wyraz beznadziejnego przygnębienia i absolutnej paniki. Coś tu było z tą paczką przerażająco nie w porządku...

Mąż znienacka jakby się ocknął. Opanował wyraz twarzy, podnosi się, pomamrotał coś pod nosem i znikł w warsztacie. Oprzytomniałam nieco i ochłonęłam. Pomyślałam, że koniecznie muszę się wreszcie zastanowić, bo coś mi tu strasznie nie gra...

Wbrew spodziewaniom wieczorem deszcz przestał padać. Siedziałam na ławce w ciemnym miejscu skwerku i paliłam papierosa, pograżona w posępnych rozważaniach. Na alejkę przede mną padało światło latarni.

Niewątpliwie znacznie szybciej moje rozmyślenia dałyby jakieś rezultaty i już tego wieczoru dokonałabym swoich wstrząsających odkryć, gdyby nie scena, jaka rozegrała się przed moimi oczami w owym oświetlonym miejscu. Właściwie to coś, co ujrzałam, trudno nawet nazwać sceną, tak było krótkie i nieznaczne. A równocześnie tak brzemienne w skutki!

Nadchodzącego blondyna z autobusu dostrzegłam już z daleka. Pojawiał się na tym skwerku równie regularnie jak ja, co wydawał mi się nie do pojęcia. Gdyby to był jakiś las, park, bodaj Łazienki, rzecz można by jeszcze jako tako zrozumieć, spaceruje, bo lubi, dziwne, bo dziwne, ale możliwe. Gdyby tylko przechodził szybkim krokiem, też uznałabym to za normalne, przechodzi, bo tędy prowadzi jego droga do domu. Ale nie, czasem wprawdzie przechodził, częściej jednak błąkał się powoli, najwyraźniej w świecie spacerując. Któż normalny, na Boga, spaceruje po takim parszywym, małym skwerku, złożonym z jednej kałuży w środku i paru alejek na krzyż?

Przyglądałam mu się za każdym razem, budził we mnie bowiem coraz większe zainteresowanie. Miałam wrażenie, że odróżnia mnie od drzew i krzewów. Już trzeciego dnia spojrzął na mnie nie jak na powietrze, ale jak na jakąś jednostkę ludzką, chociaż przysięgłabym, że nie zauważył, czy byłam ośmioletnią dziewczynką, czy stuletnim staruszkiem. Zastanawiałam się, jaki ma powód do tego latania wieczorami akurat tutaj, i wyszło mi, że nic innego, tylko ta jego piękna żona stwarza mu w domu niemiłą atmosferę. Nabrałam do niej antypatii.

Równocześnie czułam się nadzwyczajnie zadowolona i pełna satysfakcji na myśl, że już dawno, raz na zawsze, pozbyłam się głupich złudzeń. Parę lat temu taki ideał blondyna wstrząsnąłby mną do głębi, teraz, chwała Bogu, już nic z tego. Dość miałam przeżyć z blondynami, wciąż wydawało mi się, że trafiam na właściwego, po czym następowały wydarzenia straszliwe, krew w żyłach mrozące i całkowicie sprzeczne z nadziejami. Więcej się naciąć nie dam, ten tutaj mógł mnie interesować czysto teoretycznie.

Teoretycznie przyglądałam się, jak nadchodzi, usuwając chwilowo rozważania na ubocze. Z przeciwnej strony zbliżał się niepozornie wyglądający facet. Minęli się obaj akurat przede mną, w owym jasno oświetlonym miejscu.

Gdyby powitali się zwyczajnym uprzejmym ukłonem, w ogóle nie zwróciłabym na to uwagi i nic by mi do głowy nie przyszło. Oni jednakże wykonali coś, co wręcz trudno sprecyzować słowami. Nie był to ukłon, nie było to nawet



pozdrowienie, było to coś, jakby mgnienie życzliwego porozumienia, niewidoczne dla ludzkiego oka. Dostrzegłam je wyłącznie dzięki wytężonej uwadze, z jaką obserwowałam blondyna, nie odrywając od niego wzroku ani na chwilę. I też nie miałoby to żadnego znaczenia, gdybym przypadkiem nie wiedziała, kim był niepozornie wyglądający facet i jakie zwyczaje panowały między takimi ludźmi jak on.

Idiotyczne, irracjonalne wzruszenie rozlało mi się gorącem po całym wnętrzu i omal mnie nie zadławiło. Interesował mnie...! Pewnie, że mnie interesował! To nie oko kazało mi na niego zwrócić uwagę, to węch! Wygląd wyglądem, uroda urodą, a w głębi duszy musiałam mieć przecucie, że coś w nim jest! Dobry Boże, poznać go, rozmawiać z .nim, nawiązać z nim znajomość, za wszelką cenę!...

W tym właśnie momencie stało państwa Maciejaków mąż, paczka i kacyk razem wylecieli mi z głowy. Został blondyn ze skwerku, intrygujący do szaleństwa, upragniony, bezcenny i beznadziejnie niedostępny. Gdyby inaczej wyglądał, bez wahania przystąpiłabym do zawierania z nim znajomości, uczepiłabym się jak pijawka, powiedziałabym wprost, czego sobie życzę. W obliczu jego przesadnej urody nie mogłam zrobić nic. Musiał być podrywany na prawo i na lewo, musiało mu to podrywanie już uszami wychodzić i żadna siła na świecie nie byłaby w stanie przekonać go, że mnie nie o podrywanie idzie. Istna rozpacz!

Popadłam w niejaki rozgoryczenie i nabrałam obaw, że w rezultacie te spacerki wejdą mi w nałóg i po powrocie do własnej osoby zacznę się maniacko błąkać po skwerku, sama przed sobą ukrywając nadzieję, że go spotkam, żeby nie roztaczać dookoła niewłaściwej atmosfery. Czego nie uczyniłabym dla najbardziej atrakcyjnego mężczyzny świata, uczyniłabym bez namysłu dla zagadki, sensacji i tajemnicy...

Myśl zboczyła z właściwego kierunku i weszła na manowce. Resztki trzeźwości, jakie się jeszcze we mnie kołatały, kazały mi opanować niedorzeczne wzruszenia, wiadomo było bowiem, że ten blondyn to jest dla mnie marzenie ściętej głowy. Posiedziałam jeszcze trochę na ławce, zmarzłam, podniosłam

się, ruszyłam do domu, po kilku krokach zorientowałam się, że idę do własnego, zawróciłam czym prędzej i skierowałam się ku domowi Basieńki.

Przypomniałam sobie wreszcie, że miałam zastanowić się nad mężem i kacykiem i że coś tam na ten temat zaczęłam już odgadywać. Podjęłam przerwany przez blondyna wątek, nie zdając sobie sprawy, że podjęłam go w nieco innym miejscu i to, co myślałam przedtem, pozostaje w niejakej sprzeczności z tym, co myślę teraz.

Przedtem zaczęłam rozważać zagadkowe zachowanie męża w okolicznościach prostych, jasnych i nieskomplikowanych i nawet zaczęły się we mnie budzić podejrzenia, wprawdzie nieopisanie dziwne, ale przynajmniej uzasadnione. Teraz na pierwszy plan wysunęła się paczka dla kacyka...

Nie ulega wątpliwości, że był nią śmiertelnie przerażony. Wszelkimi siłami starał się wtrzyąć ją mnie, widząc zaś mój opór zaczął ją chować po kątach, zamiast odnieść kacykowi. Cóż to ma znaczyć? Co to w ogóle może być ten kacyk, człowiek, miejsce, instytucja...? I czego on się tak potwornie boi? Zależy mu na tym, żeby się pozbyć uciążliwego pakunku, nie odnosi go, gdzie trzeba, trzyma w domu i trzęsie się przed nim ze strachu. Co tam jest w takim razie zapakowane...?!

Włosy pod peruką uniosły mi się z lekka i coś mnie zaczęło dławić. Paczka dla kacyka nabrała nagle cech tajemniczości, powiało od niej nimbem zgrozy. Wyobraźnia w mgnieniu oka ukazała mi jej zawartość, w miejsce nadgniłej marchwi ujrzałam podziabane na kawałki ludzkie ręce i nogi, względnie inne fragmenty kadłuba. Wszystko mi się doskonale zgadzało, mąż o tym wie i słusznie jest przerażony, bo owe szczątki lada chwila mu się zaśmierdną.

Trzeba ją było powąchać, być może już wydziela trupią woń...

Przyczyn, dla których pan Roman Maciejak miałby trzymać w domu ludzkie zwłoki w kawałkach, w paroksyzmach strachu czekając, aż jego żona je wywęszy, nie rozstrzygałam. Trzeźwości umysłu starczyło mi tylko na rezygnację z blondyna. Oczyma duszy widziałam wyłącznie wyraz twarzy

męża, popadłam w niegorszą panikę niż on i zaczęłam się zastanawiać, czy mam wracać do tego upiornego domu, czy też może raczej od razu uciec gdziekolwiek, plując na parszywe pięćdziesiąt tysięcy pana Palanowskiego...

\*

Atmosfera była przygnębiająca. Mąż najwyraźniej w świecie bał się mnie, ja zaś bałam się męża. Myśl o paczce kacyka nie opuszczała mnie ani na chwilę, chociaż nie było o niej mowy. W zmaconym umyśle coraz bardziej ugruntowywało mi się przekonanie, że ten półgłówek popełnia jakieś przestępcze czyny, które wpędzają go w rozstrój nerwowy i pozbawiają równowagi. Równocześnie męczyło mnie uczucie dziwnego niedosytu, miałam wrażenie, że tu koło nosa przechodzi mi jakaś potężna tajemnica, którą mogłam odkryć i nie odkryłam. Istniał moment, kiedy stałam na jej progu i cofnęłam się. Polizałam ją i nie nadgryzłam. Tajemnica była ściśle związana z mężem, kacykiem i paczką, miały w niej swój udział także i inne elementy, dopasować tego do siebie jednakże nie byłam w stanie. Blondyn wybił mnie z tematu.

Schodząc na dół, do warsztatu, gdzie słychać było pracujących męża i pomocnika, uświadomiłam sobie nagle, że idę na palcach, wstrzymując oddech. Zaniepokoiłam się, że już popadłam w manię prześladowczą, niemniej jednak nie zaczęłam iść głośniej. Nie czyniąc żadnego hałasu usiadłam przy stole i sięgnęłam po tusz. Drzwi do sąsiedniego pomieszczenia były uchylone, słyszałam szelest rozwijanej tafty, głucho uderzenia beli materiału o stół i głosy.

- Czy pan naprawdę nie ma nic innego? - spytał nagle z niezadowolaniem pomocnik. - Przecież to niemożliwe tak liczyć, mnie się już myli, po trzydziści centymetrów... Powinien pan mieć zwyczajny metr.

- Powiniennem, ale nie wiem, gdzie jest - odparł mąż z ciężkim westchnieniem. - Gdzieś mi się zapodział. Trzeba będzie kupić nowy.

- To niech pan kupi, bo bez mierzenia się nie obejdzie. To, co oni piszą na tych metkach, to całkiem nie do rzeczy.

Wstałam z krzesła, na palcach podeszłam do szpary w drzwiach i zajrzałam. Pomocnik z mężem mierzyli bele materiału, posługując się ekierką z podziałką długości trzydziestu centymetrów. Nic dziwnego, że pomocnik protestował. Przyglądałam im się przez długą chwilę w szczerym osłupieniu, bo miarka krawiecka, drewniana, z rączką, taka, jaką w sklepach mierzą ekspedientki, stała jak byk w kuchni, w kącie obok lodówki. Co prawda nie rzucała się w oczy, ale mąż powinien chyba o niej wiedzieć. Nawet jeśli nie on ją tam postawił, tylko Basiénka, powinien już dawno się o nią upomnieć, a przynajmniej poszukać. O żelazko potrafił się przyczepić. Wygląda na to, że co najmniej od jedenastu dni mierzy te szmaty ekierką, jak idiota, nie próbując posłużyć się przyrządem bardziej odpowiednim. Albo ten człowiek jest nienormalny, albo... Albo co?

Wróciłam do szablonu. Podejrzenia, które znienacka we mnie zakiełkowały, były tak przeraźliwie głupie i tak skomplikowane, że poczułam zamęt w głowie. Nie, no, nonsens. Bzdura. Otchłań kretyństwa. Coś takiego jest w ogóle niemożliwe...

Odruchowo sięgnęłam po miękki ołówek, leżący na stole przede mną, i zaczęłam nim mazać po kawałku papieru, jak zwykle przy myśleniu, nie zdając sobie z tego sprawy i nie wiedząc, co rysuję. Przede mną powstawały kropki, kwiatki i gzygzoły, we mnie zaś rosło osłupiałe przerażenie.

Co się dzieje z tym człowiekiem, na litość boską? Miewa zaniki pamięci...? Owszem, zaniki pamięci mogłyby coś niecoś wytłumaczyć. Zapomniał, nieszczęsny, że ma w domu maszynę do szycia i zgłupiał na jej widok, zapomniał, że ma gosposię, która w swojej służbówce używa żelazka, zapomniał, gdzie zostawił miarkę krawiecką, zapomniał adresu kacyka... Możliwe, wszystko zapomniał, nie chce się do tego przyznać i boi się, że jego niedołęstwo umysłowe wyjdzie na jaw... Może tak być, czemu nie? Jakim cudem jednakże miałby zapomnieć, że odczuwa tę fobię samochodową...?!

Wszystkie dziwactwa męża stały mi nagle przed oczami. Ta scena zazdrości, ni przypiął, ni wypiął... Też zapomniał, jaki ma interes do zdradzającej go żony? Te spadające bezustannie okulary, to ukrywanie się przede mną, ten popłoch wobec Wiktorczaka w telefonie... Wypisz wymaluj, robi to samo, co ja, ja też się przeraziłam Wiktorczaka, ale u mnie to naturalne, bo ja jestem fałszywa. A on...?

Wreszcie sprecyzowałam tę straszliwą myśl i mróz mi przeleciał po krzyżu. Na samo przypuszczenie, że mąż miałby być również fałszywy, poczułam się bliska obłędu. Oznaczałoby to, że zwariowali gremialnie wszyscy, i państwo Maciejakowie, i pan Palanowski, i ja. Ogólne pomieszenie zmysłów, mało że pozbawione sensu, to jeszcze nader kosztowne.

Myśl, aczkolwiek idiotyczna, wydawała się jednak zadziwiająco słuszna i raz na nią wpadłszy, nie mogłam się jej pozbyć. Sięgnęłam po papierosa, stwierdziłam, że paczka jest pusta, zgmiotłam ją, rozejrzałam się w poszukiwaniu drugiej, drugiej nie było, próbowałam myśleć dalej, ale brak papierosa denerwująco mi w tym przeszkadzał. Podniosłam się od stołu i ruszyłam na górę. Mąż chyba tylko na to czekał, bo wszedł do pomieszczenia, zaledwie je opuściłam. Zbliżył się do stołu, zapewne czegoś szukając. Przez sekundę panowała cisza.

- Barbaro!!! - usłyszałam nagle okropny, potężny ryk.

Stan, w jakim się właśnie znalazłam, sprawił, że o mało nie zleciałam ze schodów. Barbary wprawdzie nadal nie kojarzyłam ze sobą, ale ryk wstrząsnął mną niebotycznie. Przez głowę przeleciało mi, że jednak raczej wariat niż fałszywy, i zamarłam w bezruchu, kurczowo uczeptiona poręczy. Mąż wystawił głowę zza drzwi.

- Barbaro...!!! - ryknął ponownie i ujrawszy mnie tuż obok, przyciszył nieco głos, w którym dźwięczało pełne emocji ożywienie. - Słuchaj, to znakomite! Świetny wzór! Natychmiast zacznij to robić!

Udało mi się odzyskać dech i zdolność mowy.

- Zaraz - powiedziałam słabo na wszelki wypadek, nie mając pojęcia, o co mu chodzi. - Przyniosę sobie papierosy. Zaraz wrócę.

Kiedy, ciężko spłoszona, ostrożnie zajrzałam znów do warsztatu, mąż stał nad zamazanym kawałkiem papieru, wyraźnie zachwycony i pełen niezwykłej energii. Zdążył już zakreślić ołówkiem fragmenty moich malowideł.

- Rozrysuj to! - zażądał stanowczo. - Połącz to z tym i z tym, to trochę rzadziej. Rzuć to paskudztwo i rób ten wzór, doskonale ci wyszedł. Już ja potrafię na tym zarobić ładne parę groszy. Świetny wzór!

Stałam obok, w milczeniu, niezdolna do niczego. O tym, że najlepsze wzory wychodziły mi zawsze z bezmyślnego mazania, wiedziałam od wieków i jego euforia wcale mnie nie zaskoczyła. Co innego gruchnęło we mnie jak grom z jasnego nieba, w mgnieniu oka zmieniając niejasne podejrzenia w granitową pewność.

Mógł przeoczyć wszystko. Mógł sobie miewać zaniki pamięci i wszelkie inne przypadłości, mógł nie zauważyć różnic między mną a Basieńką, mógł nie znaleźć nici, żelazka i miarki, mógł nie znać kacyka. Ale w żaden żywy sposób nie mógł nie poznać, że mój wzór jest podobny do wzorów jego żony jak pięść do nosa!

Basieńka, jak każdy, miała swoją manierę rysowania, całkowicie odmienną od mojej, jej liczne szkice i próbki wzorów leżały w szufladzie pod stołem. Nastąpiło właśnie to, czego zdecydowana byłam za wszelką cenę unikać, wiedząc, że musi mnę zdekonspirować bezwzględnie. Zaprojektowałam wzór po swojemu. Rysunki różnią się od siebie tak samo jak charaktery pisma, fachowiec pozna rękę od pierwszego rzutu oka, a mąż w tej tekstylnej robocie był niewątpliwie fachowcem. Musiał mieć z tym do czynienia od lat, musiał widzieć setki i tysiące wzorów. Jeśli nie zauważył, że ten nie ma nic wspólnego z twórczością Basieńki, to to mogło oznaczać tylko jedno...

Ten człowiek nigdy w życiu nie oglądał owych leżących w szufladzie rysunków i nie miał żadnego materiału porównawczego. Ten człowiek w ogóle nie znał prawdziwej Basieńki. Był z niego taki sam mąż jak i ze mnie żona...!!!

Trwałam w stanie oniemiałej zgrozy. Po dość długiej chwili udało mi się zapalić papierosa i kiwnąć głową. Przypadkowo stworzony wzór był trudny, skomplikowany i pracochłonny, ale w tym momencie gotowa byłam zgodzić się na malowanie fresków sykstyńskich na suficie, byle tylko odczepił się wreszcie, dał mi spokój i pozwolił odzyskać równowagę. Straszliwe odkrycie rzucało nowe światło na całą sytuację.

Cóż to za jakiś beznadziejnie kretyński pomysł, żebym miała grać rolę Basieńki wobec faceta, który gra rolę jej męża? Co to ma wspólnego z wielką miłością pana Palanowskiego? Co się stało z jej prawdziwym mężem i gdzie on się podziewa...? Mignęło mi w głowie, że może w paczce dla kacyka, ale nawet jeśli, to cały by się nie zmieścił, gdzież zatem reszta...?

I w ogóle po co to wszystko?! Po jakiego diabła mam się tak starannie upodabniać do Basieńki, skoro ten tutaj prawdopodobnie nigdy jej na oczy nie widział, i co panu Palanowskiemu do łba strzeliło, żeby płacić za to ciężkie pieniądze?! Co ma do tego romans, nie, odwrotnie, co ma ten facet do romansu, co go obchodzą moje gachy, skoro nie jest mężem?! Nie moje, tylko Basieńki... Wszystko jedno. Do czego może służyć taki dziwaczny, niepojęty kant? Czy ja się przypadkiem nie wrębałam w jakiś straszliwy szwindel, którego sedna nie potrafię dojrzeć, a który grozi mi potężnym, nieuchronnym niebezpieczeństwem...?

Za co właściwie pan Palanowski zapłacił mi pięćdziesiąt tysięcy złotych...?

\*

Późną nocą zakończyłam przeszukiwanie szuflad, półek i szaf, nie osiągnąwszy zamierzonego celu. Celem były zdjęcia. Jakiegokolwiek zdjęcia, amatorskie albo urzędowe, takie, które każdy robi sobie co najmniej parę razy w życiu. Niemożliwe, żeby pan tego domu nie posiadał ani jednej fotografii!

Sytuacja wydawała mi się do tego stopnia nedorzeczna, że bez dowodów rzeczowych nie mogłam w nią uwierzyć. Zbyt trudno było mi wyobrazić sobie, że pan Palanowski istotnie

zwariował i oprócz mnie opłacił także fałszywego męża, prezentując mu romansowe perypetie. Powątpiewając w fałszywość męża, postanowiłam znaleźć prawdziwą podobiznę pana Romana Maciejaka i porównać ją z pętającym się po mieszkaniu osobnikiem.

Znaleźć, owszem, znalazłam, nawet cały album, tyle, że z niewłaściwego okresu. Pieczołowicie poprzylepiane i zaopatrzone w podpisy w rodzaju: "Romuś, Pabianice 1938" zdjęcia prezentowały jedno i to samo niemowlę, już to ryczące nad monstrualną piłką, już to pełzające po dywanie w towarzystwie nadnaturalnych rozmiarów zajęczka. Udało mi się z tego wywnioskować tylko to, że rodzice pana Romana z niewiadomych przyczyn usiłowali zaszcześcić w potomku gigantomanię.

Ze szpargałów, zalegających w większym czy mniejszym stopniu każdy dom, znalazłam właściwie wszystko. Rozmaite dokumenty, rachunki, polisy PZU, pokwitowania i zaświadczenia. Brakowało tylko zdjęć. Wniosek był prosty, zdjęcia schowano specjalnie. Schowano je przede mną, a zatem to nie jest prawdziwy mąż. A skoro to nie jest prawdziwy mąż, zdjęcia Basieńki schowano z kolei przed nim, żeby nie poznał, że ja nie jestem prawdziwa żona. A zatem jeden obłąkany melanż.

Rozszalały umysł, raz rozpędzony, nie ustawał w działaniach, podsuwając mi coraz bardziej niepokojące przypuszczenia. Położyłam się spać, zgasiłam nawet światło, ale ze zdenerwowania nie mogłam zasnąć. Leżałam i myślałam, opracowując ryzykowny i desperacki sposób zdekonspirowania fałszywego męża, aż wreszcie z emocji i od papierosów zaschło mi w gardle. Postanowiłam napić się herbaty. Zapaliłam lampkę przy tapczanie, włożyłam szlafrok i ranne pantofle i cicho otworzyłam drzwi.

Wówczas usłyszałam na dole jakiś dźwięk.

Zamarłam z ręką na klamce i od razu zabrakło mi tchu. Jeszcze tylko tego było potrzeba, akurat stosowna chwila na dźwięki!... Mąż, nie wiadomo, fałszywy czy prawdziwy, spał w swoim pokoju martwym bykiem, chrapiąc jak trąba



jerychońska. Dziw, że mu szyby nie brzęczały, bo przez drzwi rozlegało się zgoła ogłuszająco. Skoro chrapał tu, nie mógł być tam. Na dole owe dźwięki wydawał ktoś obcy.

Niewiele brakowało, a udusiłabym się na śmierć. Stałam nieruchomo, nasłuchując z zapartym tchem tak długo, aż mi całkowicie zabrakło powietrza. Wówczas odetchnęłam, usiłując uczynić to bezgłośnie, puściłam klamkę, przytrzymałam się poręczy i ostrożnie, na palcach, skradając się, zeszłam kilka stopni w dół.

W pokoju na dole ktoś był i coś robił. Zza drzwi padał nikły odbłask światła, prawdopodobnie latarki. Nie zastanawiając się nad tym, od razu wiedziałam, że nie zamknął tych drzwi ze względu na przeraźliwe skrzywienie. W przerwach między chrapliwymi rykami męża słyszałam jakieś nikłe dźwięki, trudne do sprecyzowania i bardzo ciche. Słuch miałam w tym momencie wyostrzony jak brzytwa.

Otępiające przerażenie zakotłowało się we mnie nagle z siłą, która mnie samą zdziwiła. Nie jestem przesadnie lękliwa i we własnym domu, w zwykłych warunkach, zachowałabym się zapewne jakoś inaczej i być może nieco rozsądniej, tu jednakże spadło na mnie za dużo na raz. Poczułam, że mam dość. W takiej kretyńskiej sytuacji jeszcze i włamywacz, z którym już w ogóle nie wiadomo co zrobić... W ułamku sekundy pomyślałam wszystko równocześnie: że jakiś oprych okradnie państwa Maciejaków, a potem będzie na mnie, że na dole nie ma nic cennego, przyjdzie szukać na górę, wystraszy się i utłucze mnie ze strachu, że nie wiadomo, ilu ich tam jest, może czterdziestu, że nie mam pod ręką żadnego odpowiedniego narzędzia, że ten kretyn śpi, a ja się tu boję za siebie i za niego... Ta ostatnia myśl sprawiła, że nagle wstąpił we mnie duch Wojewody. Protest przeciwko osamotnieniu eksplodował z siłą trąby powietrznej i zagłuszył niemrawą działalność wyczerpanego umysłu. Jednym skokiem znalazłam się na górze, szarpnęłam klamkę pokoju męża, pokój okazał się zamknięty, mignęło mi w głowie, że on może mieć sen jak drwal i że należy unikać hałasu, żeby nie spłoszyć złoczyńców, po czym z rozmachem łupnęłam pięściami w drzwi.

- Tyyy...!!! - ryknęłam, okropnie w zdenerwowaniu zapomniawszy, jak mu na imię. - Ty, wstawaj!!! Obudź się!!! Jezus Mario, wstawaj!!! Bandyci!!!

Jakie wrażenie uczyniły te ryki i łomoty na włamywaczach na dole, nie mam pojęcia, mąż w każdym razie zareagował prawidłowo. Usłyszałam w jego pokoju jakiś okrzyk, hałas, łoskot, jakby co najmniej zleciał z łóżka, zaszczekał klucz i drzwi otwały się gwałtownie. Wypadł z nich w piżamie, półprzytomny, rozczochrany, z przerażeniem na twarzy, bez okularów i boso. Ledwo zdążyłam się cofnąć, byłby mnie zepchnął ze schodów.

- Co się sta...?! - zaczął niewyraźnie. Szarpnęłam go za rękaw od piżamy, nie wiadomo po co, zapewne tkwiła we mnie myśl, że szarpaniem szybciej go rozbudzę.

- Na dole są złodzieje! - wysyczałam straszliwym szeptem. - Cicho! Zrób coś!!! Włamywacze, nie wiem, kto...! Słyszać ich!

- Telefon też jest na dole!... - zamamrotał mąż półprzytomnie i wychylił się przez poręcz.

W tym momencie włamywacze dali się słyszeć wyraźniej. Ów ktoś na dole, słysząc to, co robiłam na górze, zapewne w pierwszej chwili zdrętwiał, szybko jednak mu przeszło. W pokoju coś trzasnęło, smuga światła znikła, jakaś postać wypadła z holu i runęła po schodach do piwnicy, nie troszcząc się już o zachowanie ciszy. Mąż cofnął się gwałtownie, zawahał króciutką chwilę, po czym również runął na dół. Bez namysłu popędziłam za nim.

Łupiąc głucho bosymi piętami wpadł na piwniczne schody, potknął się w ciemnościach, zleciał z kilku stopni, zaklął i poderwał się do góry. Nie mogąc znaleźć kontaktu w holu, macając nerwowo ręką po ścianie, sięgnęłam za futrynę i zapaliłam światło w pokoju.

- Zgaś!!! - wrzasnął mąż.

Zgasiałam czym prędzej z uczuciem, że ktoś zacznie do nas strzelać z zewnątrz. Mąż rzucił się do kuchni i dopadł okna. Za oknem była kompletnie ciemna skarpa. Potykając się w ciemnościach i wpadając na mnie, popędził do pokoju i znów runął do okna. Bezrozumnie miotałam się za nim, również

dopałłam okna, mąż szarpał je, usiłując otworzyć, nie wiadomo po co, bo było zakratowane. Na ulicy panowała pustka absolutna.

- Goń go!!! - wycharczał zduszonym głosem. - Samochodem...!!!

Szarpnął zasłonę, szarpnął okno, coś spadło z trzaskiem na podłogę, na nogi posypały mi się jakieś drobne przedmioty. Zgłupiałam z tego do reszty, rzuciłam się do drzwi, żeby spełnić jego rozkaz, pomyślałam o kluczyczkach, rzuciłam się na schody, bo kluczyki miałam w torebce, potknęłam się i stłukłam sobie kolano. To mnie nieco otrzeźwiło. Gdzie gonić, kogo gonić, jakim samochodem, zanim wystartuję, on będzie już daleko i w ogóle w którą stronę?! Idiotyzm!

- Milicję...!!! - wyrwało mi się mimo woli.

I natychmiast okropnie ugryzłam się w język. Jaką milicję, zwariowałam chyba! Jeśli on ich wezwie... Dno, mogiła, dokumenty Basieński, pięć lat bez zawieszenia...!

Mąż na szczęście nie kwapił się do wzywania milicji. Oderwał się od okna, przestał wyglądać przez kraty jak małpa z klatki i odwrócił się ku mnie.

- Zapal światło - powiedział ponuro. - Jeżeli coś rąbnął, to jesteś świadkiem, że ja spałem. To jest... Tego...

Zapaliłam światło. Urwał i patrzył na mnie wzrokiem, pełnym tępej zgrozy. Gdybym nie odgadła tego wcześniej, niechybnie odgadłabym teraz. Miał dokładnie tę samą myśl, co ja, jeśli coś ukradną, to będzie na niego! Nie ma siły, taki sam z niego mąż, jak i ze mnie żona!

Mąż poruszył się i coś kopnął. Obydwoje równocześnie spojrzeliśmy na podłogę. Pod ścianą leżało otwarte duże, cepeliowskie pudełko, po całym pokoju zaś rozsypały się igły, nici, agrafki, nożyczki i guziki. Zaginione, przeklęte przybory do szycia! Stały na parapecie okna, za zasłoną...

Przez dość długą chwilę przyglądaliśmy się temu śmietnikowi, po czym spojrzeliśmy na siebie. Na twarzy męża malowało się bezmyślne przygnębienie.

- Nie ma sensu wzywać milicji - powiedział niespokojnie. - Nie widzę, żeby co ukradł, zresztą, tu nic nie ma. Po co zaraz robić zamieszanie, może nic nie ukradł, spłoszyliśmy go...

Moment wydał mi się najstosowniejszy ze wszystkich możliwych, wręcz wymarzony, specjalnie stworzony po to, żeby rozwikłać za jednym zamachem wszystkie komplikacje.

- Pojutrze przyjeżdża ciotka Rozmaryna - powiedziałam przyglądając mu się z zainteresowaniem. - Dzwoniła i pytała, czy już odebrałeś z pralni jej futro.

Mąż patrzył na mnie ciągle z tym wyrazem tępej, narastającej zgrozy.

- Skąd dzwoniła? - spytał po chwili zdławionym głosem.

- Z Płocka. Odebrałeś?

- Co?

- Futro.

Widać było, jak czyni jakiś nadludzki wysiłek.

- Nie. Znaczy tego... jeszcze nie... Gdzieś mi zginął ten... kwit...

Musiałam go przygwoździć w obawie, że inaczej się nie przyzna. Wyprze się tak samo, jak i ja bym się wyparła.

- To co będzie?

- Z czym?

- Z ciotką. Szlag ją może trafić. Ile ona ma lat?

Mąż miał śmierć w oczach i wydawał się bliski obłędu.

- Nie wiem, ile ona ma lat, skąd mam wiedzieć, ile ona ma lat! Ty nie wiesz?

- To jest twoja ciotka, nie moja - oświadczyłam z urazą, sama zaczynając niemal wierzyć w istnienie ciotki Rozmaryny. - Mówiłeś, że jest bardzo stara. Może dostać apopleksji.

Mąż spojrział na mnie ponuro, przykucnął nagle i zaczął zbierać szpulki, igły i guziki, nie udzielając odpowiedzi. Przyglądałam mu się, niepewna, czy już ma dosyć, czy też może dołożyć mu jeszcze wujka z Radomia.

- Słuchaj no, kim ty właściwie jesteś? - spytałam z nienacka z ostrożnym zainteresowaniem.

Mąż poderwał się, jakby go coś ugryzło, ukłął się igłą w palec, syknął i nic nie mówiąc, patrzył na mnie ze zgrozą niebotyczną.

- Naprawdę masz ciotkę, która ma na imię Rozmaryna?...

- Najpewniej zwariowałaś ze strachu - zawyrokowałam posępnie i podejrzliwie po bardzo długiej chwili milczenia. - Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Za późno - odparłam stanowczo, nagle czując się dziwnie pewnie. - Trzeba było spytać, czy nie zwariowałam, na pierwsze słowo o ciotce. Teraz przepadło. Głupi jesteś. Ani razu nie przyszło ci do głowy, że ze mną jest coś nie tak jak trzeba? Ani razu się nie zdziwiłeś? Do kiedy ci kazali udawać tego Maciejaka?

Mąż poniechał zbierania guzików, pozbył się igieł, obejrzał i posłał ukłuty palec, przyjrzał mi się nieufnie, po czym podniósł się i zamknął okno.

- A ty co? - spytał ostrożnie.

- A ja mniej więcej to samo. Wcale nie jestem twoją żoną. Wcale nie jesteś moim mężem. Mogę ci zaraz udowodnić, że ty to nie ty, tylko on. To znaczy, nie on, tylko ty. Nie wiem, co tu robisz w tej imprezie, i nic ci więcej nie powiem, dopóki się nie przyznasz, bo mi się to całkiem przestało podobać.

Mówiąc to, równocześnie myślałam, że jeśli ten cały kant z zagadkowych przyczyn jest skierowany przeciwko mnie i on w nim świadomie uczestniczy, to właśnie z dużym zapalem kręcę sobie powróż na własną szyję. Pocieszyło mnie, że ostatecznie mogę przecież uciec.

Mąż odwrócił się od okna.

- Zimno mi w nogi - powiedział stanowczo. - Idiotyczny pomysł, żeby się kłócić w środku nocy. Chcę włożyć pantofle.

Kłapiąc bosymi nogami godnie ruszył na górę. Po namyśle ruszyłam za nim, po papierosy, Razem wróciliśmy na dół.

- Pozbieraj to - rozkazałam. - Zrobię herbaty.

- Wolę kawy.

- Dobrze, zrobię kawy, tylko pozbieraj ten śmietnik.

Przystał chętnie, widząc w tym zapewne czas do namysłu. Kiedy wróciłam z tacą do pokoju, siedział na fotelu przy stole, posepnie wpatrzony w pudełko z niemi.

- Czy ty w ogóle jesteś pewna tego, co mówisz? - spytał z rezygnacją. - Znaczy, że ja to nie ja?

Postawiłam tacę na stole między nami i również usiadłam.

- Na litość boską, chyba sam wiesz najlepiej, kim jesteś? Poza tym popatrz na mnie! Nie zauważyłeś różnicy? Poza tym gdzie masz okulary?

- Cholera. Wiedziałem, że jeśli wpadnę, to przez te parszywe okulary. Nie jestem przyzwyczajony...

- Czy ty w ogóle kiedykolwiek miałeś żonę?

- Nie. Bo co?

- No właśnie. Bobyś wiedział, że nie ma nieodpowiedniej pory na kłótnie z żoną. Środek dnia jest równie dobry jak środek nocy. Co to wszystko właściwie ma znaczyć?

Mąż machnął ręką, westchnął ciężko i nalał kawy mnie i sobie.

- Prawdę mówiąc, ja bym się chciał tego od ciebie dowiedzieć. Czy ty w końcu jesteś tą moją żoną, czy nie?

- Akurat tak samo, jak ty jesteś moim mężem. Odnoszę wrażenie, że wystawiono nas rufą do wiatru, i pojęcia nie mam, dlaczego. Uważam, że musimy się jakoś porozumieć.

Mąż trwał chwilę w zadumie, mieszając kawę.

- Ryzyk fizyk - zdecydował się nagle. - Tak mi się czasem wydawało, że coś tu zgrzyta, ale myślałem, że mam przywidzenia. Uprzedzali mnie, że ta żona jest szmyrgnięta i może mieć rozmaite wysoki... Boję się ciebie jak cholera - dodał, spoglądając na mnie niepewnie.

Podobieństwo naszej sytuacji było uderzające. Identycznie to samo z nim, co i ze mną. Nagle wszystko stało się jasne.

- W razie czego co tracisz? - zaciekałam się życzliwie.

- Mieszkanie spółdzielcze M3 w plombie, jeśli rozumiesz, co to znaczy.

Rozumiałam. Kiwnęłam głową, nie kryjąc współczucia. Plomba oznacza w budowlanym języku budynek wstawiony między dwa inne, istniejące i przeważnie stare. Z różnych

przyczyn trudno jest w czymś takim trzymać się ściśle normatywów i mieszkania bywają tu zazwyczaj większe i atrakcyjniejsze od innych. M3 w plombie może być luksusowym apartamentem, trafić na coś takiego to jest wyjątkowa okazja.

- Mogłem odkupić czyjś udział - wyjaśnił mąż. - Ale płatne natychmiast i gotówką. Miałem własne dwadzieścia tysięcy, brakowało mi pięćdziesięciu i ten Maciejak spadł mi jak z nieba. A tobie co dali?

- To samo co tobie plus pięćdziesiąt dolarów. Możesz się przestać bać.

- No dobra. Napijmy się jeszcze tej kawy i przestaśmy się bać. To co teraz?

Sięgnęłam po cukier, zapaliłam papierosa i usiadłam wygodniej. Sama nie wiedziałam, co teraz. Rozwikłanie podstawowej zagadki sprawiło mi wprawdzie dużą ulgę, na jej miejscu jednakże ukazała się bliżej nie sprecyzowana ilość następnych, kto wie, czy nie bardziej niepokojących. Należało wyjaśnić przede wszystkim rzeczy proste. Mąż jakby nabrał życia i zaczął wyglądać znacznie sympatyczniej niż dotychczas. Porozumienie między nami pojawiło się nie wiadomo skąd i wydawało się zupełnie naturalne.

- Zacznijmy od początku - zaproponowałam. - Kto cię zaangażował i dlaczego? Rozwodzisz się ze mną?

- Mowy nie ma. Cholernie mi na tobie zależy, głównie dlatego, że robisz mi wzory i masz forszę w interesie. Maciejak mnie zaczepił, ten prawdziwy.

- Podobny do ciebie?

- Średnio. Ściśle biorąc, ja jestem blondyn, musiałem się ufarbować na czarno i zapuścić brodę. Brwi dorobili mi tą metodą, co to zasadzają włosy na łysej pale, jak będę chciał, to je mogę wyrwać. Chyba nie będę chciał. Ale nadałem mu się, bo figurę mam taką samą i znam się na flokowaniu. To znaczy, on jest cokolwiek chudszy, w związku z czym cholera mnie brała, bo mi się ciągle guziki urywały i koszule mnie cisnęły pod szyją, a kawałka igły z nitką nigdzie nie mogłem znaleźć. Po jakiego diabła tak to chowałeś?

- To nie ja, to Basieńka. Czekajże, a o co mu chodziło?

- Skomplikowane dosyć. Rozwieść się z tobą nie chcę, ale ty chcesz. Nie żyjesz ze mną i wykorzystasz pierwszą okazję, więc muszę być czysty jak lza. A on sobie poderwał panienkę i chciał wyjechać na wczasy. Tak zwyczajnie nie mógł, bo ty go śledzisz na każdym kroku i tylko czatujesz na cokolwiek. Wywieszysz panienkę i już lecisz do sądu. No więc miałem go zastąpić przy twoim boku na ten okres, kiedy on będzie zażywał szczęścia z podrywką. Zamożny jest, stać go na to i opłaca mu się. A żebyś się nie połapała, mam się ciebie czepiać i robić ci sceny zazdrości. Ciągłe o tym zapominałem.

- A!... To dlatego tak wyskoczyłeś jak Filip z konopi z tą, jak jej tam, ladacznicą...?

- Aha. Bałem się, że ci podpadłem przez to żelazko, bo faktycznie stało na miejscu, i chciałem się umocnić na stanowisku. A co, źle wyszło?

- Nie najlepiej. Tak trochę ni przypiął, ni wypiął. Myślałam, że zwyczajnie zwariowałaś.

Mąż westchnął rozziewając.

- Cały czas się bałem, że mi trochę źle wychodzi... A z tobą jak jest właściwie?

Wyjaśniłam mu swoją rolę i opowiedziałam o panu Palanowskim. Słuchał z szalonym zainteresowaniem. W zasadzie wszystko się zgadzało. Niepojętym i zdumiewającym zbiegiem okoliczności Basieńka i jej mąż, w tym samym czasie, pchnięci tą samą namiętnością, wpadli na ten sam pomysł. Dwa odrębne nurty, niezależnie od siebie, spłynęły do tego samego punktu. Wręcz cud!

- Ty wierzysz w to, że im się rzeczywiście tak zbiegło? - spytał mąż sceptycznie. - Jedna osoba to jeszcze rozumiem, ale dwie naraz? Mnie to się wydaje niewyraźne.

Mnie również wydawało się niewyraźne. Trochę niepewnie i chaotycznie porozważaliśmy przez chwile prawdopodobieństwo osobliwego zjawiska i wyszło nam, że na tym świecie właściwie wszystko jest możliwe. Pora doby i dotychczasowe przeżycia mąciły nam nieco jasność umysłu.



- Najgorsze było to, że na samym wstępie wlażaś przez okno - oświadczył mąż z niezadowoleniem. - Może bym i oprzytomniał jakoś wcześniej, gdyby nie to, że się doskonale zgadzało. Miała być nie zrównoważona wariatka bez piątej klepki, no i była nie zrównoważona wariatka bez piątej klepki. Nawet mu się dziwiłem, co on w tobie widzi i jak on to wytrzymuje...

- A propos, po jakiego diabła zamknąłeś drzwi na łańcuch? - przerwałam z irytacją. - Tego nie było w programie!

- No nie było - przyznał mąż. - Uczciwie mówiąc, ze zdenerwowania. Zdawało mi się, że coś tam się dzieje koło drzwi, bałam się, że mnie zaskoczysz, chciałem obejrzeć chałupę... No a potem zwyczajnie zapomniałem otworzyć. A propos, może mi powiesz przy okazji, gdzie w tym domu jest sól?

Okazało się, że soli w wazie do zupy nie znalazł. Potajemnie kupił sobie na mieście solniczkę i nosił ją w kieszeni. Ze szczerą ulgą wyjaśnialiśmy kolejne zagadki, przy czym wyraźnie czułam, że sól kojarzy mi się z jakimś ważnym odkryciem, którego chwilowo nie byłam w stanie sprecyzować.

- Za dziewięć dni kończy nam się ta zlecona praca - zauważyłam, widząc w nim już bez żadnych wątpliwości solidarnego współnika. - Musimy się zdecydować. Co robimy do tego czasu i co robimy potem?

- W jakim sensie?

- Udajemy nadal Basieńkę i... zaraz, jak ci na imię? A, Roman. I Romana. Tak jak byśmy nic nie wiedzieli czy nie? A potem przyznajemy się do odkrycia czy nie? Jak uważasz?

- Moim zdaniem powinniśmy być konsekwentni. Nasze prywatne spostrzeżenia nie mają tu nic do rzeczy. Zaangażowali nas, zapłacili i trzeba odwalić robotę. A potem należy się zastanowić.

Mąż zadumał się głęboko. Zapalił papierosa i podkurczył nogi, usiłując zmieścić je w fotelu. Rzuciłam mu poduszkę z kanapy, żeby je przykrył i nie kichał mi po całym domu.

- Jako obca osoba jesteś znacznie sympatyczniejsza niż jako żona - przyznał z westchnieniem.

- Ty też. Jako mąż. Znaczy, jako nie mąż. Słuchaj, co mówię, bo musimy coś postanowić!

- No przecież już postanowiliśmy. Dobrze mówisz i ja się z tobą zgadzam. Udajemy do końca, szczególnie, że teraz będzie łatwiej. Ja w każdym razie uniknę rozstroju nerwowego.

- A, właśnie! - przypomniałam sobie. - Coś ty wyprawiał w tym samochodzie? Masz fijoła, czy też te sztuki należały do programu?

- A, cholera - powiedział mąż z zakłopotaniem i zmierzwił sobie włosy na głowie, co wskazywało, że ów gest był jego osobistą własnością, nie zaś naśladownictwem pana Romana. - Specjalnie mi to przykazywał, a ja ciągle zapominałem. On cierpi na jakąś samochodofobię czy coś takiego i miałem robić z siebie konkursowego idiotę przy każdej okazji. Duży nacisk kładł na to. Nic takiego nigdy nie odczuwałem i prawdę mówiąc, pojęcia nie mam, jak to wygląda. Staralem się, jak mogłem.

- Wychodziło ci owszem, nieźle - przyznałam pobłaźliwie. - Zachowywałeś się jak absolutny półgłówek, tyle że dziwnie niekonsekwentny. A propos, miarka krawiecka stoi w kuchni, koło lodówki. Przestań już mierzyć ekierką.

- Skąd wiesz? Słyszałaś...?

- No pewnie! Wracając do tematu...

- Ale ten twój wzór to ja rzeczywiście wykorzystam - przerwał mi z nagłym ożywieniem. - Z zawodu jestem chemik, tak jak i ten Maciejak i mam kumpla, który robi flokowanie. Czasem z nim jeszcze współpracuję, pójdę z nim teraz na procent od zysku, szczególnie że ulepszyłem klej. Czekaaj, nie przerywaj, tobie się też coś należy. To jest robota ekstra, a nie w ramach przedstawienia. Miałam niejaki wątpliwości.

- Nie wiem, czy to nie będzie świństwo. Jak jesteś umówiony w kwestii roboty?

- Nijak. Mógłbym nawet nic nie robić, ale to by się wydawało podejrzanym, więc miałem robić byle co. Wszystkie zamówienia przesuwam na dalsze terminy. Już i tak zrobiłem ze dwa razy więcej, niż było w umowie, i to nie ma nic do rzeczy.

Ty też nie powinnaś była projektować nic swojego, nawet się przyznać nie możesz. Ile chcesz za ten?

- Najbardziej bym nic nie chciała i w ogóle tego nie robiła. Wyjątkowo parszywy wzór.

- Frajerka. Zobaczysz, jaka forsa za to poleci! Też dostaniesz procent od zysku. Zgadzasz się?

Pomyślałam, że mam jeszcze dziewięć dni, nadmiar czasu, a nikt inny im tego nie zrobi... Dałam się przekonać. W obliczu normalnych, życiowych interesów amory państwa Maciejaków wyleciały nam z głowy.

Po dalszej naradzie i zastanowieniu uzgodniliśmy, że po wieki wieków należy trzymać język za zębami i nic nikomu nie mówić. Sumienie mamy czyste. Basieńka upragniony cel osiągnęła i podrywki męża nie są jej potrzebne do szczęścia, pan Maciejak zaś o eskapadzie żony dowie się i bez nas. Najrozsądniej będzie zatem spełnić obowiązki w ramach umowy i do reszty się nie wtrącać.

- Chwała Bogu! - odetchnął mąż z ulgą. - Głupio mi było jak cholera, teraz mi znacznie lepiej. A tak między nami, to o co ci właściwie chodziło z tą ciotką? Jak jej tam, Rozamunda...? Faktycznie ma futro?

- Rozmaryna. Coś ty, jakie futro!? Wymyśliłam ją na poczekaniu, żeby się ostatecznie upewnić co do ciebie. Prawdziwy mąż wiedziałby, czy ma ciotkę.

- O rany boskie, ogłuszyłaś mnie jak cepem! On tyle rzeczy przeoczył, że mogła w tym być i ciotka.

- O tym rudym debilku ci mówił?

- O jakim rudym debilku?

- Tym, co siedzi pod oknem co jakiś czas i patrzy mi na rękę. Ostatnio go nie było. Wiesz coś o nim?

- Pierwsze słyszę. Nic nie wiem o żadnym debilku. Owszem, zdaje się, że widziałem tu jakiegoś lachmytę, ale nie zwracałem uwagi. Bo co?

Gwałtownie usiłowałam się zastanowić, czując, że chyba coś tu umknęło naszej uwadze.

- Słuchaj no - powiedziałam z niepokojem. - Tu się dzisiaj ktoś włamał, z tego wszystkiego wyszło nam to z pamięci, ale

fakt jest faktem. Debil się pętał dookoła, może podpatrywał? Może to był jakiś taki, co najpierw przeprowadza rozeznanie terenu, a potem okrada mieszkania?

- Możliwe. I co?

- O debilii trzeba im będzie powiedzieć.

- O włamaniu też, ale to każde z nas oddzielnie - zauważył mąż zadziwiająco przytomnie. - Nie możemy im zaprezentować żadnego porozumienia. O tym cholernym kacyku też.

- A właśnie! Na litość boską, co z tym kacykiem?! Mąż zaniepokoił się na nowo.

- Pojęcia nie mam. Ty o tym nic nie wiesz?

- Nic kompletnie. I ten Maciejak nic ci o tym nie mówił?

- Ani słowa! A ten, co przyniósł paczkę, też nic nie mówił?

- A nie, ten mówił, owszem. Z dużym naciskiem. Żeby natychmiast odnieść kacykowi.

- W ogóle tego nie rozumiem i nic nie będę odnosił! - denerwował się mąż. - Możliwe, że to pilne, ale ja o tym nic nie wiem. Cholera wie, co to takiego jest ten kacyk! Ja nie jestem cudotwórcą i do jasnowidzeń tu się nie godziłem! Jak mu zależało, to trzeba było powiedzieć!

- Trzeba sprawdzić, co z drzwiami na dole - powiedziałam mechanicznie. - Ten złodziej tamtędy wyszedł.

- Z jakimi drzwiami?! Tam nie ma drzwi! Uświadomiłam sobie nagle, że istotnie do warsztatu nie

ma innego wejścia jak tylko przez dom i schody do piwnicy. Wrota garażu są zamknięte na mur i zastawione szafą. My tu gędzimy, a uwięziony włamywacz, być może, czai się gdzieś tam na dole...

Zgodnie zerwaliśmy się na równe nogi. Mąż wpadł do kuchni i chwycił z kąta miarkę krawiecką, mnie napatoczył się pod rękę żelazny świecznik z przedpokoju. Zaopatrzeni w broń popędziliśmy do piwnicy, nie siląc się na żadne skradania i podstępny.

Włamywacza nie było i od razu stało się jasne, którądy wszedł i wyszedł. Okno nad moim stołem było otwarte, stół posłużył mu jako stopień. Musiał być szczupły i zręczny, bo

okno miało wysokości nie więcej niż pół metra, a umieszczone było pod samym sufitem.

- Milicja by się nadzwyczajnie ucieszyła - zauważyłam melancholijnie, wskazując wyraźny ślad zelówki na białym brystolu. - Uważam, że na wszelki wypadek trzeba to zabezpieczyć.

- Milicja będzie to miała głęboko w nosie - odparł mąż z przekonaniem. - Co innego, gdyby nas zamordował, ale on, zdaje się, nawet nic nie ukradł. Co ty robisz?

Wyciągnęłam kawałek celofanu, przykryłam nim ślad zelówki i właśnie miałam to ładnie wyciąć, kiedy zainteresował mnie odbity na brystolu wzór. Szczególnym trafem idealnie pasował do zaprojektowanych wcześniej zygzołów.

- Ty, popatrz - powiedziałam do męża. - Dać to tak kawałkami w tych miejscach pomiędzy... Co? Wyjdzie prawie korona...

- O, niech skonam, aż się prosi! Wiesz, że ty masz rację... Genialna myśl! Genialna!...

Prozaiczne życie brutalnie wdarło się w romantyczną aferę państwa Maciejaków, usuwając w cień tajemnice i niezwykłości. Znow zapomnieliśmy o intrygujących zagadkach, bez reszty zajęci praktycznym wykorzystaniem pozostawionego nam na pamiątkę śladu. W ten sposób wielokrotnie powielona zelówka przestępcy pozostała na wieki nie tylko na kilometrach bieżących ozdobnych tkanin, ale także i w mojej pamięci...

- No dobra, dosyć tego na razie - zawyrokował w końcu mąż, bardzo zadowolony z efektów naszej pracy. - Zimno mi jak cholera i zaczynam być śpiący, a jutro też jest dzień...

\*

Dzień wydawał się zwyczajny, podobny do innych, wiosenny, wyjątkowo ciepły i nawet mi do głowy nie przyszło, że stanie się dla mnie jedną z przełomowych chwil życia. Żadnych przeczuć nie miałam, starannie opracowywałam nowy wzór i usiłowałam zastanawiać się nad problemami, które od wczoraj poodwracały mi się do góry nogami. Mąż, radykalnie

przeobrażony, pełen energii, pogwizdywał obok, w swojej części warsztatu.

Zgodnie z postanowieniem, trzymaliśmy się dotychczasowych obyczajów i do kontynuowania rozważań przystąpiliśmy dopiero po południu.

- Słuchaj no, mnie tu właściwie jedna rzecz trochę dziwi - powiedział w zamyśleniu, wchodząc do pokoju, gdzie układałam ikebanę z patyków w alabastrowym wazonie Basieński. - Ty miałaś kiedy męża?

- Miałam. Dość dawno, ale miałam.

- I co? Jakby ci podstawili podobnego faceta, tobyś go nie odróżniła?

Odstawiłam wazon, zgarnęłam na kupkę zbywające szczątki patyków i ulokowałam się na kanapie za stołem.

- Po pierwsze nie ma na świecie człowieka podobnego do mojego męża - odparłam z namysłem. - Miał cechy unikatowe. A po drugie nigdy nie prowadziłam z nim takiej idiotycznej wojny. Gdybym w ogóle na niego nie patrzyła, nie rozmawiała z nim, możliwe, że w pierwszej chwili nie zwróciłabym uwagi, że to nie on. Jest rzeczą tak naturalną, że facet, który własnym kluczem otwiera drzwi mojego mieszkania, to mój mąż... Wątpię jednak, czy ta pomyłka trwałaby dłużej niż dwa dni.

Mąż kiwnął głową energicznie, położył okulary na stole i z impetem usiadł w fotelu.

- Tak mi się właśnie wydawało. Niech mnie gęś kopnie, ja tego nie rozumiem. Uważasz, z jednej strony jemu cholernie zależało na tym oszustwie, a z drugiej za dużo sobie zlekceważył. Jak by ci to wytłumaczyć... Rozumiesz, jakby mu wystarczyło, że będę do niego podobny z daleka, tak pi razy oko. A co z bliska, to on kicha i pluje.

Słuchałam z uwagą, czując, jak mi się krystalizuje gnębiąca mnie od początku, mglista myśl.

- Mów dalej - zażądałam. - To są bardzo ciekawe rzeczy. Ale najpierw powiedz, co wiesz o nasyłanych na mnie bandziorach.

- Jakich bandziorach? - zainteresował się mąż.

- Nie wiem, jakichkolwiek. Podobno wynajmujesz rozmaite męty społeczne, żeby mnie śledziły.

Mąż zamachał niecierpliwie ręką.

- Nonsens. Nie gmatwaj sytuacji. W nocy byłem śpiący i jakiś taki ogłuszony, ale teraz rozjaśniło mi się pod sufitem. Jeżeli oni to załatwili niezależnie od siebie, ona mogła się spodziewać, że ktoś ją będzie śledził. Chociaż on twierdził, że to ona wynajmuje rozmaitych. Wiesz coś o tym?

- Przeciwnie, wiem, że to on. Czekał, wszystko się komplikuje. Stańmy na czymś rozsądnym, bo tu można zwariować. Założmy, że on... albo ona, albo obydwójce... przed wyjazdem załatwili sobie tę śledczą usługę. Każde wyjechało spokojnie, że za czas nieobecności dostanie dokładny raport, i każde spodziewało się, że sobowtór będzie na oku. A zatem każde kazało się wystrzegać i zadbało o podobieństwo na odległość.

Mąż kiwnął głową tak rytmicznie, jakby działał w nim jakiś mechanizm.

- Owszem, to ma jakiś sens. Logiczne. Mało prawdopodobne, ale możliwe. Teraz drugie, co z tym podobieństwem z bliska? Według moich wiadomości taką naśladowaną osobę trzeba dokładnie znać, trzeba się takiemu pacanowi przypatrzeć, nauczyć się, jak dłubie w nosie, przeciwyczyć obgryzanie paznokci i inne takie. Dopiero teraz widzę, że tego szkolenia całkiem brakowało. Przedtem tak mnie ogłupił, tyle miałem urwania głowy z tym mieszkaniem, że nawet nie zdążyłem się połapać, co robię. Według instrukcji miałem cię prawie nie widywać na oczy, nie spotykać, nie gadać, w razie czego od razu wyskakiwać z pyskiem o tych gachów. Nie wolno mi było tylko jechać do Ziemiańskiego inaczej, jak z tobą, samochodem...

- Dlaczego?

- Nie wiem. Wiadomo było...

- Czekał. Skąd wiedziałeś, gdzie ten Ziemiański?

- Kumpel też u niego robi szablon. Wiadomo było, że złośliwie będziesz robić grymasy, bo zatruwasz mu życie na każdym kroku. To się nawet nieźle zgadzało, zatruwałaś jak cykuta, ale poza tym jedna mogiła. Te okulary wiecznie

gubiłem i w ogóle pojąć nie mogłem, jakim sposobem tak się dajesz robić w konia!

- Nawzajem. Cały czas byłem zdania, że musisz być albo ślepy, albo niedorozwinięty. U mnie kropka w kropkę to samo.

- No proszę. I co to ma znaczyć? Wniosek nieodparcie nasuwał się sam.

- Wygląda na to, że obydwójce wiedzieli, że w domu będzie osoba, która się nie pozna na wymianie. Każde z nas może robić, co mu tylko do łba strzeli, a to drugie będzie myślało, że tak trzeba. Tylko w takim wypadku mogli się nie patyczkować ze szczegółami.

- Znaczy, uważasz, że działali w porozumieniu? Kiwnęłam głową. Niejasne podejrzenia układały mi się stopniowo w logiczny ciąg. Współdziałanie obojga małżonków było jedynym sensownym wytłumaczeniem przedziwnego lekceważenia, jakie okazywali i Basieńka, i pan Palanowski w kwestii dokładnego upodobnienia nas do zastępowanych osób. Zarówno prawdziwy mąż, jak i prawdziwa żona rozszyfrowaliby szalbierstwo w mgnieniu oka i trzeba było zgłupieć beznadziejnie, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy.

- No dobrze - powiedział mąż w zadumie. - Ale po jaką ciężką cholerę było im potrzebne to całe przedstawienie?

- Nie wiem - odparłam z ciężkim westchnieniem. - Wparł we mnie ten swój wielki romans do tego stopnia, że nie mogę się od niego oderwać. Wychodzą mi z tego dwa wielkie romanse. Nic nie rozumiem.

Skomplikowane amory państwa Maciejaków w zestawieniu ze stworzoną przez nich samych sytuacją wydawały się tak idiotyczne, że mąciło się od nich w głowie. Nie sposób było przecież wyobrazić sobie, że obydwójce wiedzieli wcześniej o swoich planach podróźniczych i zaangażowaniu sobowtórów, przy czym to drugie musiałyby mieć na celu wyłącznie zatrudnienie wynajętej obstawy. Do niczego innego się nie nadawało.

- Zaczynam w tym widzieć jakiś cień sensu tylko w wypadku, jeśli działali mało że w porozumieniu, ale także w



zgodzie - oświadczyłam. - A skoro w zgodzie, to rozumiem jeszcze mniej. Są w wojnie czy nie są w wojnie?

- Nie są - zawyrokował mąż stanowczo. - Takie idiotyczne małżeństwo nie może istnieć na świecie. W żadne romanse nie wierze. Spróbujmy skonfrontować szczegóły.

Okazało się, że charakteryzator opracowywał nas ten sam, niepozorny, chudy, łysy facecik. Dzień i godzina zmiany zgadzały się również. Z mężem pertraktacje rozpoczęto wcześniej niż ze mną, przy czym pana Palanowskiego mąż nie widział na oczy. Tknięta przecuciem zażądałam fotografii prawdziwego pana Romana, która musiała się znajdować w jego dokumentach. Przecucie mnie nie zawiodło, była to ta sama gęba, którą Basieńka zaprezentowała mi jako swego szwagra.

Przedziwny kant objawił się w całej okazałości.

- Twoje zdjęcie znajdowało się w domu u czulego amanta - poinformowałam męża. - Już to jedno powinno nam wystarczyć. Oni wszyscy razem stanowią jedną spółkę i z niepojętych przyczyn władowali tu nas zamiast siebie. Zaczyna mi się to wydawać coraz bardziej podejrzane.

- Mnie też. Szczególnie, że myśmy mieli o tym nic nie wiedzieć...

- A, właśnie! Dopiero teraz rozumiem, skąd ten idiotyczny bałagan w domu. Była mowa, że Basieńka uprawia dziwactwa na złość mężowi i ja też mogę sobie pozwalać. Tyle w tym prawdy, co brudu za paznokciem, chodzi to po mnie od wczoraj, przez tę sól, bo żadnego sensu w tym nie ma...

- Czekaj, powiedz to jeszcze raz. Nie bardzo wiem, co masz na myśli.

- Kamuflaż - wyjaśniłam w przybliżeniu bystrość umysłu. - Każde z nas dziwiłoby się, dlaczego ta drugi ofiara nie rozpoznaje dublera, bo w końcu nikt nie jest tak zupełnie identyczny. Zabezpieczyli się w ten sposób, że ni by znana od lat osoba nagle się odmienia i robi co innego niż zazwyczaj. Wmówili we mnie, że Basieńka miewa wy skoki, wobec czego wszystko, co wykombinuje, mąż będzie uważał za wyskoki i nie połapie się w szalbierstwie. Z kole ja bym się zdziwiła, gdyby

nigdzie nie było śladu jej wy skoków, musieli jakoś je upozorować, czasu mieli niewiele a ona jest systematyczna i mało pomysłowa. W pośpiechu zrobiła byle co, poprzesta wiała, co popadło, pochował byle gdzie i po krzyku. Wyszedł z tego taki melanz, że zgola można było uwierzyć w jej obłąd.

- Myślisz, że normalnie ona nie takiego - nie rób i w ogóle jest normalna?

- No peanie! Wszędzie tam, gdzie nie zdążyła mieszać panuje pedantyczny porządek. Widocznie do ostatnie chwili pędzili życie unormowane, a potem możliwe, że za brali się do produkowania wybryków wspólnie. W ten sposób i ciebie mogli zmącić, i mnie.

- Zgadza się - przyznał mąż po namyśle. - Zmącili Zaczyna to być logiczne i trzyma się kupy.

- Ale za to robi się jeszcze bardziej podejrzane...

- Ja w tym węszę jakiś szwindel - przerwał mi stanowczo. - Nikt nie wyrzuca oknem stu patyków dla same przyjemności popatrzenia, jak lecą. Musimy to wyjaśnić nie życzę sobie być wplątany w kodeks karny. Tak się składa, że mi zależy na czystej hipotece, chemik jestem, staram się o półroczne stypendium do Szwajcarii, sama rozumiesz I w ogóle mam różne plany... Nie będę sobie marnował życia przez głupie pomysły jakiegoś Maciejaka! Nie po to haruję od lat za te marne grosze, żeby teraz jednym kopem sobie wszystko zawalić!

- Ty na ogół gdzieś pracujesz?

- Owszem. Na Politechnice.

- To jakim sposobem udało ci się urwać te trzy tygodnie?

- Wziąłem zaległy urlop za zeszły rok. I tydzień z tego. Nieważne. Ty się lepiej zastanów, co to wszystko ma znaczyć.

W pokoju nadymilo się nam jak na dworcu kolejowym. Kolejno zrobiliśmy sobie kawy i herbaty. Resztkami patyków z ikebany zaśmieciłmy całą podłogę. Niemożność rozwikłania cudacznej zagadki doprowadzała nas do rozpacz, a przeczuwane na jej dnie tajemnicze niebezpieczeństwo wydawało się coraz bliższe i coraz bardziej denerwujące.

- Zaczniemy jeszcze raz od początku - powiedziałam w przygnębieniu. - Romanse w tej sytuacji odpadają. W jakim innym celu mogło im być potrzebne to podwójne zastępstwo? I to w dodatku na pokaz.

Mąż chodził po pokoju, szarpiąc włosy na głowie obiema rękami.

- Na pokaz, na pokaz... - pomrukiwał. - Co? Na pokaz...? Czekał, dlaczego na pokaz?

- Coraz bardziej mi się wydaje, że to nie dla ciebie i dla mnie ta maskarada, tylko dla kogoś innego. Na co on ci kładł nacisk? Żeby jeździć razem do Ziemiańskiego i żebyś się wygłupiał w samochodzie. Coś robił w Łodzi?

- Nic, złożyłem zamówienie na taftę. Mogłem wysłać pocztą, ale kazał mi jechać i pooglądać...

- No widzisz. A mnie kazali latać na spacer. I robić zakupy. Ktoś musiał nas widzieć...

- Zaglądał ci kto w zęby na tych spacerach?

- Nie wiem. Ale debil mi patrzył na ręce... A za każdym razem, jak jechaliśmy do Ziemiańskiego, ktoś tam się pętał. Raz taksówka z pijakiem, raz facet na motorze...

Mąż zatrzymał się przy stole, wypił resztkę kawy, popatrzył na mnie roztargnionym wzrokiem i znów zaczął chodzić.

- Owszem, w tym coś jest - przyznał. - Na pokaz, możliwe, żeby wszyscy myśleli, że jesteśmy w domu. Ale to nie to, to jeszcze nie to... Tyś przedtem powiedziała coś ważnego i tak mi jakoś zaświtało... Nie pamiętasz, co powiedziałaś?

- Rozmaite rzeczy. Najbardziej mnie niepokoi to, że ukryli wzajemne powiązania...

- Czekał, czekał... właśnie, że stanowią jedną spółkę... Nie, nie to. Ulokowali tu nas zamiast siebie... O, właśnie! Władowali tu nas zamiast siebie, podstępnie i pod fałszywymi pozorami! Po jaką cholerę? Ten dom ma wylecieć w powietrze, czy jak?

Nagła jasność eksplodowała mi w umyśle. Zrobiło mi się zimno w środku i coś mnie zaczęło dławić.

- Gdzie jest paczka dla kacyka? - spytałam gwałtownie.

Mąż zatrzymał się jak wryty, spojrział na mnie i znieruchomiał z pazurami we włosach.

- Leży w moim pokoju. Bo co...?

- Oni przecież wiedzieli, że jej nigdzie nie zaniesiemy, prawda? Zostawimy w domu. A jeżeli w tej paczce jest coś... Nie mówię zaraz bomba, ale coś szkodliwego... O rany boskie, czy ja wiem, wydziela coś, promieniuje...

W powietrzu powiało przeraźliwą zgrozą. Mąż wyraźnie zbladł.

- Rad...? - wyszeptał ochryple. Podniosło mnie z fotela.

- Nie wiem. Może wybuchnie i zmiecie z powierzchni ziemi całą tę chałupę albo co... Robi się takie rzeczy, chłopci podpalają całe wsie, odszkodowanie, tu jest polisa PZU, może im chodzi o fikcyjną śmierć...

Mąż odzyskał zdolność ruchu. Nie słuchając dalej moich apokaliptycznych przypuszczeń, runął na schody, omal nie wrywając drzwi z zawiasów. Rzuciłam się za nim. Wpadliśmy do jego pokoju i zastygliśmy oparci o biurko, patrząc na leżącą na nim paczkę jak na straszliwego, jadowitego gada, chwilowo pogrążonego w lekkiej drzemce.

Po krótkiej chwili hipnotycznego transu, tknięci nagle tą samą myślą, równocześnie pochyliliśmy się nad biurkiem, nasłuchując w napięciu. Nic nie było słychać, paczka leżała niejako w milczeniu, nie wydając z siebie żadnych dźwięków.

- Bomba powinna cykać... - wyszeptałam niepewnie.

- Ciężkie to jak cholera... - odmruknął mąż.

Czas jakiś trwaliśmy w bezruchu, bez słowa, być może myśląc, chociaż nie było to takie pewne. Słuszniej byłoby mniemać, iż proces myślenia również uległ w nas zahamowaniu.

- Co robimy? - spytałam wreszcie dramatycznym szeptem.

- Trzeba się zastanowić - odszepnął niespokojnie mąż. - Chyba musimy to obejrzeć...

- Rozpakować...?

Kiwnął głową, tępo wpatrzony w upiorny przedmiot, i dalej trwał w bezruchu.

- Z zachowaniem wszelkich środków ostrożności...? - szepnęłam znów, zdenerwowana i przejęta. - Jakie one są, te ostrożności...?

Mąż nagle jakby się ocknął.

- Czego, u diabła, szepczemy? - spytał z irytacją normalnym głosem. - Nie dajmy się zwariować! Cokolwiek tam jest, jasne, że trzeba to obejrzeć, wmówiłaś we mnie kataklizm i spać bym nie mógł inaczej! To jeszcze może być to coś, po co przyłaził ten włamywacz, a niezależnie od tego, co to jest, włamanie jest przestępstwem, więc jeśli to ma coś wspólnego z przestępstwem, to ja nie mogę ryzykować, bo niech się wykryje, to co ja udowodnię, zaraz, zdaje się, że się zaplątałem...

- Nie szkodzi, ja rozumiem. Masz na myśli, że w razie istnienia przestępstwa i wykrycia tego przestępstwa nie udowodnisz, że nie brałeś udziału. Trzeba stwierdzić, czy istnieje przestępstwo. Zwracam ci uwagę, że jestem w tej samej sytuacji.

- A nawzajem swoim świadectwem możemy się wypchać. I wytapatować. Trudno, kacyk nie kacyk, otwieramy!

Zgodziłam się z nim bez namysłu. Mnie również przekłeta paczka wpędziłaby w bezsenność.

- Otwórzmy w kuchni - zaproponowałam. - W razie czego będziemy mieli pod ręką dużo różnych narzędzi.

Mąż zaaprobował propozycję, ostrożnie wziął paczkę w objęcia i zaniósł na stół kuchenny. Powstrzymałam go, kiedy chwycił nóż.

- Czekać! Będzie głupio, jeśli okaże się, że tam jest coś niewinnego. Będziemy musieli przyznać się do wszystkiego niepotrzebnie. Zostawmy sobie furtkę, rozpakujmy ją tak, żeby w razie potrzeby identycznie zapakować z powrotem.

Mąż przyznał mi słusność. Przystąpiliśmy do okropnej pracy. Paczka była owinięta grubym papierem i kilkakrotnie okręcona sznurkiem, powiązanym w dziesiątki supłów i węzłów, których rozplatanie wyczerpało resztki naszej siły ducha. Oszczędzając paznokcie, posługiwałam się widelcem, korkociągiem i szydełkiem, mąż, klnąc i sapiąc, używał śrubokręta i obcęgow. Wreszcie sznurek udało nam się zdjąć.

Powstrzymał mnie z kolei, kiedy chciałam odwinąć papier.

- Czekać! Ostrożnie, nie wiadomo, co tam jest.

Cofnęłam rękę tak, jakby paczka warknęła. Mąż zmarszczył brwi i przez chwilę myślał.

- Na wszelki wypadek włóż maskę i rękawiczki - powiedział stanowczo. - Przed promieniowaniem to nie uchroni, ale przed promieniowaniem już nic nas nie uchroni, poza tym w promieniowanie nie wierzę. Ale może tam być coś żrące, trujące, cholera wie, mogą się tam połączyć jakieś substancje, wytworzyć gazy czy opary. Pojęcia nie mam, przypuszczać mogę wszystko.

Trzeźwa myśl, że to, co robimy, nie ma żadnego sensu, nie miała do mnie dostępu. Gbur, który dostarczył paczkę, nie zalecał szczególnych ostrożności i sam obchodził się z nią dość brutalnie. Przy wszystkim, co robiliśmy z nią do tej pory, gdyby miało się w niej coś połączyć czy przeistoczyć, połączyłoby się i przeistoczyło już dawno. Niezdolna zastanowić się nad tym, pospiesznie wyciągnęłam z apteczki gazę i watę i po chwili obydwójce wyglądaliśmy jak ofiary katastrofy. Zza potężnych, białych poduch wyglądały nam tylko oczy, włosy sterczały nad białymi zwojami, a głos dobywał się jak z beczki.

Odwinęliśmy papier i ujrzeliśmy pod nim wielkie, tekturowe pudło, całe obwiązane sznurkiem jeszcze dokładniej niż paczka z wierzchu. Zanosilo się na to, że resztę życia spędzimy na odplątywaniu.

- Nosem mi wyłazi to stadło państwa Maciejaków! - wybuczałam z irytacją przez tłumik.

- Wyjątkowo denerwujący ludzie - przyświadczył mąż niewyraźnie. - Jeżeli pod tym będzie jeszcze jeden sznurek, zostawiam wszystko i uciekam z tego domu. Uważaj teraz, weź z tamtej strony!

Ostrożnie unieśliśmy przykrywą pudła, starając się uczynić to równocześnie. Z przejścia zrobiło mi się gorąco. W środku ukazała się deska.

Spojrzeliliśmy zachłannie na nią, potem na siebie, a potem znów na nią. Deska była zwyczajna, z heblowanego drewna, zajmowała prawie całe pudło i po brzegach była utkana zgniecionym papierem toaletowym. Delikatnie, końcami

palców, wyjęliśmy papier, po czym mąż ujął deskę jak śmierdzące jajko i powoli uniósł do góry.

Omów nie dostałam rozbieżnego zęza, usiłując patrzeć równocześnie na drugą jej stronę i do wnętrza pudła. Mąż trzymał deskę niczym obraz święty, kierując ją ku mnie.

- Co tam jest? - wymamrotał niecierpliwie.

Przez długą chwilę nie byłam w stanie udzielić mu odpowiedzi. Zabrakło mi tchu.

- Nie wiem - odparłam wreszcie, zapomniawszy o pudle, wyraźnie czując, że nie potrafię oderwać oczu od tego, co ujrzałam. - Sądzę, że arcydzieło dekoracyjne. Jedyne niebezpieczeństwo, jakie w tym widzę, to to, że może się przyśnić.

Zaintrygowany informacją mąż wyjrzał zza deski, bezskutecznie usiłując obejrzeć ową drugą stronę. Nie udawało mu się to, wobec czego ostrożnie oparł ją o stół, odwrócił i położył. Po czym znieruchomiał, wpatrzony w nią w bezgranicznym osłupieniu.

Dziwić się było czemu, owszem. Drugą stronę deski stanowiło coś, co można było uznać za obraz w imponujących ramach, tłumaczących ciężar pakunku. Niewiarygodny bohomas przedstawiał rycerza na koniu na tle burzowej chmury, przeciętej błyskawicą, dokładnie taką, jak ostrzegawczy znak "wysokie napięcie, nie dotykać". Rycerz miał łeb jak bania karmelicka, tępą mordę i zęza, koń zaś pysk nie wiadomo czemu podobny do rybiego i dziwnie rachityczne nóżki. Obok wyciągała w górę dłoń dziewoja w białym giele, wyeksponowana dla odmiany głównie w odwłoku, przy czym jej wzniesiona ręka wyrastała z popiersia. Z punktu widzenia anatomii i zoologii całość stanowiła

osobliwość zupełnie unikatową. Wrażenia potęgowały ramy, solidne niczym wał obronny, wykonane z kamienia. Ściśle biorąc z kawałków marmuru, poprzątanego gdzieś tam brukowcem. Nigdy w życiu nie widziałam nic podobnego.

- Jak rany Boga, niech skonać, co to jest...?! - wycharczał mąż ze zgrozą.

- Dowód wyrafinowanych gustów kacyka - odparłam bez przekonania, usiłując ochłonać. - Musi to być jakiś świeżo wzbogacony kolekcjoner, który pragnie otaczać się dziełami sztuki. Nie patrz na to tak zachłannie, bo ci zaszkodzi.

Mąż wydał z siebie nieartykułowany jęk i dość gwałtownie odwrócił arcydzieło plecami do góry. Niespokojnie zajrzał do pudła.

- Czy tam jest tego więcej...?

- Nie wiem, na pierwszy rzut oka widać papier...

Pod romantyczno-elektryfikacyjnym malowidłem spoczywały jakieś przedmioty, zapakowane w papier i poobtykane nim dookoła. Wyjęliśmy je ostrożnie, zaskoczeni ciężarem, zdumiewającym jak na ich rozmiary. Naszym oczom ukazały się cztery bardzo dziwne świeczniki, dwa żelazne i dwa ceramiczne, bułowate, nieforemne, zapchane mnóstwem odpustowych ozdób, jakichś kwiatków, serduszek, kokardek i diabli wiedzą, czego jeszcze. Nawet nieźle pasowały do rycerza z wodogłowie. Pod nimi znajdowała się jeszcze jedna warstwa pogniecionego papieru.

- No - powiedział mąż z powątpiewaniem. - Chyba już nic gorszego...

Podniósł papier i urwał. Wobec arcydzieła, które poraziło nasz wzrok, rycerz i świeczniki przestały się liczyć. Dopiero to się powinno przyśnić!

Ramy były takie same, z marmuru przemieszanego z brukowcem. Treść obrazu dotarła do nas dopiero po chwili. Stanowiła ją niewieścia postać w czerni, łamiąca ręce nad otwartym grobem, w którym dawała się dostrzec trumna, zawieszona, zapewne siłą nadprzyrodzoną, w powietrzu. Oba dzieła musiał stworzyć ten sam artysta, który najwidoczniej zaczynał od głowy, po czym na resztę nie starczało mu już miejsca i siły. Niewieścia postać jak obuchem uderzała obliczem. Łeb miała jeszcze większy niż rycerz, rozdziawione usta, wystające zęby, bielmo na oczach i czarne oczodoły.

Mąż konwulsyjnym ruchem zdarł gazę z twarzy i głęboko odetchnął.



- Ja tu widzę tylko jedno wytłumaczenie - oświadczył zgryźliwie. - Kacyk miał to dostać, obejrzyć, następnie przylecieć tu i dać po mordzie temu, kogo zastanie. Stąd podstęp Maciejaka.

- Dosyć drogo mu to wypadło - zauważyłam, również zdejmując ochronną maseczkę. - Przestańmy na to patrzeć, bo myśl się mąci. Nie wiem jak ty, ale ja się nie czuję usatysfakcjonowana.

- Jak to, jeszcze ci mało...?!!!

- Zależy czego. Wrażeń artystycznych mam dosyć na długo, natomiast co do wyjaśnień, czuję niedosyt. Jeśli to jest możliwe, rozumiem jeszcze mniej niż dotychczas. Po jaką cholere ktoś przesyła komuś takie obłądne bohomazy? Na deskach półtora cala...! I te ramy...! Do czego niby to ma służyć, do spadania ze ściany na głowę?

Mąż obejrzał się na świeczniki.

- Poniekąd masz rację - przyznał. - Potwornie to wszystko ciężkie. Do walenia po łbie nawet niezłe i przynajmniej nie szkoda, jak się rozleci... Te żelazne rupiecie jeszcze rozumiem, ale te ceramiczne? Bo to przecież glina, nie?

Wzięliśmy do każdej ręki po jednym świeczniku, dzieląc się sprawiedliwie i usiłując porównać ciężar. Ręce mi opadły jednakowo.

- Na oko wydaje się to samo - powiedziałam z powątpiewaniem. - Czekaj, pozwól mi się zastanowić. Żelazo ma ciężar właściwy, o ile pamiętam, około siedem tysięcy na kilo... Chciałam powiedzieć, siedem ton na metr sześcienny. Glina, niechby nawet ubita, zaraz...

- Ubita jest na pewno - wtrącił mąż, macając świecznik.

- Chyba od tysiąc osiemset do dwóch tysięcy. Niechby nawet dwa dwieście. Te żelazne powinny być trzy razy cięższe!

Mąż ważył przez chwilę świeczniki w rękach.

- Nie są - zawyrokował stanowczo.

W milczeniu popatrzyliśmy na siebie i na niezwykle dzieła sztuki. W kuchni państwa Maciejaków najwyraźniej w świecie zagnieździła się nieodgadniona tajemnica. Mąż ostrożnie odstawił świeczniki na stół.

- Albo jestem niedorozwinięty, albo musi w tym coś być. Coraz mniej rozumiem. Romanse odpadają, wybuchnąć to to nie wybuchnie, trujące mi się nie wydaje, poza tym, kto by to lizał...!

- I nie śmierdzi - dodałam, obwąchując artystyczne wyroby.

- No więc za co właściwie, do ciężkiej cholery, ci ludzie zapłacili sto tysięcy złotych?!!!

Poczułam się wyjałowiona umysłowo. Paczka dla kacyka niezłomnie strzegła zagadkowego sekretu, zwiększając tylko zamęt w rozważaniach. Przyszło mi na myśl, że na szczegółach dekoracyjnych może coś być napisane czy wyryte, jakiś szyfr albo kabalistyczne znaki, które pomieszają nam w głowie do reszty, ale których ewentualne istnienie należy stwierdzić. Równocześnie przypomnienie pobranego honorarium skojarzyło mi się z przyjętymi na siebie obowiązkami. Co najmniej od pół godziny powinnam już być na skwerku.

- Zostawmy to na razie - powiedziałam pośpiesznie. - Musimy to porządnie zbadać, a ja teraz nie mam czasu. Poczekaj na mnie z nowymi odkryciami, odwalę pańszczyznę i zaraz wracam...

Wlokąc się już bez pośpiechu błotnistą alejką, patrzyła: głównie pod nogi i przedmiot moich prywatnych wzruszeń zobaczyłam przed sobą znienacka. Musiał mi się widocznie gwałtownie zmienić wyraz twarzy, bo blondyn spojrzał wyraźnie mnie rozpoznał i wykonał lekki ukłon. Po tym ukłonie odkryłam, co to za rodzaj faceta.

Jest taki specjalny gatunek ludzi, przeraźliwie dobrze wychowanych, gatunek zresztą nieliczny i na wymarciu. Z najstarszą i najgrubszą przekupką na bazarze rozmawiają tak, jakby to była najpiękniejsza kobieta świata. Trzeb ich znać, żeby wiedzieć, co znaczą ich rewerencje, na osobie niedoświadczonej bowiem każdy ich gest czyni wrażeń: daleko idących awansów. Stwierdziłam przynależność blondyna do rzadkiego gatunku i zrobiło mi się przyjemnie, co było pozbawione sensu. Z uwagi na tę jego piękną, antypatyczną żonę powinnam woleć, żeby był brutalem bez ogłady.

Myśl, jak zwykle na jego widok, wzięła ostry zakręt. Szłam dalej, pozostawiając nagle na uboczu państwa Maciejaków i kacyka i zgryźliwie, szyderczo i z żalem rozpatrując całkowitą beznadziejność zwykłych, podrywczych metod, których, oczywiście, za żadne skarby świata wobec niego nie zastosuję. Cholera. Taki blondyn, parę lat temu. Opatrzność musi mnie okropnie nie lubić, skoro zrobiła nam taki dowcip. Wykonała coś jakby specjalnie na mo. zamówienie i pokazała mi to za późno...

Wypadając z domu na ten spóźniony spacer w nerwowym pośpiechu, ubrałam się za ciepło. Włożyłam ten sam zimowy kostium co wczoraj, nie mogąc zaś znaleźć apaszki, zabrałam szalik, który mi wpadł pod rękę. Pod spodem miałam ciepłą bluzkę i sweter i razem okazało się to stanowczo za dużo. Idąc powoli, na nowo zamyślona, acz teraz już na nieco inny temat, odpięłam żakiet i rozluźniłam szalik.

Kroków za sobą nie usłyszałam, głos rozległ się tak nagle, że aż mi wszystko w środku podskoczyło.

- Przepraszam bardzo, wydaje mi się, że pani to zgubiła...

Obejrzałam się. Za mną blondyn wszechczasów trzymał w rękę jakąś szmatę. W żaden absolutnie sposób nie mogłam tak od razu wyplątać się z tego, co właśnie myślałam.

- Wykluczone - powiedziałam stanowczo. - Z żadnym gubieniem nie będę się wygłupiać. Mowy nie ma.

Blondyn wydawał się z lekka zaskoczony.

- Przepraszam, nie rozumiem. Na własne oczy widziałem, jak pani to upadło...

Stał przede mną z wyrazem subtelного, nieopisanie uprzejmego zainteresowania. Oprzytomniałam, rozpoznając w szmacie apaszkę Basieńki, tę samą, której nie mogłam znaleźć w domu. Widocznie była w rękawie, zaczepiona samym końcem i teraz śliski jedwab zsunął mi się po plecach pod rozpiętym żakiem. Gdyby należała do mnie, zapewne wyparłabym się jej, nie mogłam jednakże rozsiewać po ugorach własności Basieńki.

- Rzeczywiście, to moje - przyznałam z niejakim oporem i nie mogąc opanować rozpędu, dodałam: - Ale nie gubiłam tego specjalnie!

Blondyn robił wrażenie nieco zdezorientowanego. Spojrzał na trzymaną w rękę szmatę, a potem znów na mnie.

- Bardzo mi przykro, nadal nic nie rozumiem. Dlaczego, na litość boską, miałyby pani gubić specjalnie to czy cokolwiek innego?

Sytuacja zrobiła się beznadziejna i nie do rozwikłania. Mogłam, oczywiście, wydrzeć mu tę apaszkę z ręki, krzyknąć: "dziękuję bardzo" i uciec, ale jakoś nie wydawało mi się to najwłaściwszym wyjściem. Mogłam wyjaśnić, co miałam na myśli, ale to było wyjście jeszcze gorsze. Poczułam się tak rozpaczliwie bezsilna, jak chyba jeszcze nigdy w życiu.

- No tak - powiedziałam, całkowicie wbrew chęciom i zamiarom. - Gdyby nie to, że i tak nie było nic do stracenia, poszłabym się teraz utopić. Jakie to szczęście, swe drogą, że nie spotkałam pana dziesięć lat temu!

- Zapewne ma pani rację, ale czy można spytać, dlaczego pani tak uważa?

- Byłam wtedy młoda, głupia i pełna subtelnych uczuć jako ten pączek na przymrozku. Czy może kielek, wszystko jedno. Wyrwanie się z czymś takim zmroziłoby mi duszę nieodwracalnie.

- Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że mówi pani rzeczy wymagające wyjaśnienia?

- Niedokładnie. Widzi pan, rzecz w tym, że była śmiertelnie zamyślona, między innymi właśnie na temat gubienia różnych rzeczy. Chyba mi się coś pomieszało.

- No dobrze, a co ma do tego ta zamrożona dusza?

Z rezygnacją pomyślałam, że nie wybrnę z tego. Zadawał pytania w sposób bezwzględnie wymagający odpowiedzi, mnie zaś wychodziło zupełnie co innego, niż sobie życzyłam. Podałam się.

- Niech pan odda tę szmatę - powiedziałam, wyjmując mu z ręki apaszkę Basieńki. - Żeby potem nie było, że trzymały pana jakieś czynniki materialne. Gdybym chciała wytłumaczyć panu,

o co mi chodzi, w sposób zrozumiały i w miarę możliwości dyplomatycznie, musiałabym głądzić godzinę. A przysięgnę, że pan nie ma czasu!

- A gdyby pani spróbowała niedyplomatycznie...?

Niepojętym dla mnie sposobem ruszyliśmy dalej na tę przechadzkę razem.

- Dziwię się, że chce pan wyjaśnić te wszystkie brednie, które mi się wyrwały - powiedziałam z niesmakiem. - Nie wszystko panu jedno?

- Nie. Jeżeli ktoś mówi do mnie zaskakujące brednie... Przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny, ale pani sama tak to określiła... to muszę poznać ich przyczyny i cel. Lubię zrozumieć zachodzące wokół mnie zjawiska.

- Bardzo uciążliwe upodobanie. Ma pan za dużo czasu.

- Przeciwnie, mam za mało czasu.

- To co pan, w takim razie, robi na tym skwerku?

- Usiłuję wydrzeć z pani wytłumaczenie rzadko spotykanej reakcji na odzyskanie zgubionego przedmiotu.

Zdenerwował mnie ten upór.

- To nie była reakcja na przedmiot, tylko reakcja na pana - powiedziałam z irytacją. - Co pan sobie wyobraża, że ja sobie wyobrażam, że pan nie wie, jak pan wygląda?!...

Jak było do przewidzenia, zgłupiałam do reszty i wygłosiłam wszystko to, od czego z największą starannością usiłowałam się powstrzymać. Ciężkiej pretensji, nie wiadomo, do niego czy do losu, nie starałam się nawet ukrywać.

- No dobrze - zgodził się. - Założmy, że ma pani rację, chociaż moim zdaniem bardzo pani przesadza. Ale nie rozumiem, w czym pani przeszkadza mój wygląd.

- W czepianiu się pana - wyjaśniłam. - Nie mogę się czepiać człowieka, któremu nosem wychodzą czepiające się go kobiety. Dla mnie jest pan nieopisanie atrakcyjny w zupełnie innym sensie.

Od tego innego sensu skołowaciałam całkowicie, bo uświadomiłam sobie, że nie mogę mu zdradzić ani swoich spostrzeżeń, ani przyczyn, dla których taki facet jak on jest dla mnie bezcenny. Moja namiętność do sensacji, zagadek i

tajemnic musiała pozostać nieuzasadniona, bo jakże miałam mu powiedzieć, że ja to wszystko piszę, ja nic nie piszę, ja jestem Basieńka, użeram się z mężem i robię wzory na tkaniny! Niesłuchanie trudno było go zbić z tematu, na domiar złego podobał mi się coraz bardziej, odnosiłam wrażenie, że ja mu się podobam coraz mniej, sobie podobałam się również coraz mniej i ogólnie biorąc zapadłam się w jakieś grzęzawisko umysłowe, z którego wydobyć mnie już nie mogła żadna ludzka siła.

- Z tego, co pani mówi, wynika, że lubi pani tajemnicze wydarzenia - powiedział tonem, w którym dawał się wyczuć jakby odcień nagany. Zdziwiło mnie to, a jeszcze bardziej mnie zdziwiło, że z tego, co mówię, w ogóle dla niego coś wynika.

- Lubię - przyświadczyłam. - A pan nie?

- Nie. Nie widzę w nich nic przyjemnego. Zazwyczaj bywają bardzo męczące.

- Możliwe, ale męczyć się też lubię. To się nawet szczęśliwie składa, bo przez całe życie spotykają mnie rozmaite sensacyjne idiotyzmy, nieznośne dla normalnych ludzi. Jest to tak nagminne, że zbyt długi spokój zawsze mi się wydaje podejrzany.

- I jeszcze pani mało? Jeszcze ma pani nadzieję na więcej?

- Oczywiście! Rozrywek nigdy za wiele, a spokojne życie odbiera mi inwencję i dobry humor.

- Wygląda pani na osobę, której nigdy nie brakuje inwencji i dobrego humoru...

- Skąd pan wie, jak wyglądam, skoro widuje mnie pan tutaj po ciemku?

- A skąd pani wie, jak ja wyglądam? Poza tym wystarczy zamienić z panią kilka słów, żeby rozpoznać pewne pani cechy nawet w egipskich ciemnościach. Rzadko się spotyka osoby tak pełne życia jak pani.

- Mówi pan to w taki sposób, jakby uważał pan to za gigantyczną wadę - zauważyłam krytycznie. - Aktywność charakteru zawsze wydawała mi się zaletą.

- Mnie również. Możliwe, że dostrzegła pani w moim tonie pewną dezaprobatę, bo mówiąc to, myślałem równocześnie o

sposobach wydatkowania takiej energii i aktywności. Sposobach, które prowadzą niekiedy do dość ponurych rezultatów...

Miałam wrażenie, że w kotłujący się we mnie chaos wdarło się nagle jakieś ostrzegawcze światło. Na litość boską, co on mówi?! Co on ma na myśli?! Wie o aferze państwa Maciejaków czy co...?!

Znienacka załęgło się w mojej duszy kretyńskie przeświadczenie, że on wie, że nie jestem Basieńką, zna tajemnicę całego przedsięwzięcia i daje mi to do zrozumienia. Ma z tym coś wspólnego, nie wiadomo co, chociaż wiadomo przecież, czym jest, to znaczy, nie wiadomo, czym jest, to znaczy, nie wiadomo, co w tym robi, to znaczy wiadomo, oczywiście, co w tym robi...

Zaplątałam się gruntownie we własnych przeświadczeniach i w tym, co wiadomo i czego nie wiadomo. Kim on, do diabła, w ogóle jest i czym, czymś przecież musi być...

- Kim pan właściwie jest? - spytałam, zanim zdążyłam się powstrzymać. - Przypadkiem nie dziennikarzem?

- Owszem - odparł bardzo spokojnie. - Jestem dziennikarzem.

Sztuka myślenia była mi chwilowo całkowicie niedostępna. Coś mnie pchało takiego, co wiedziałam, że powinnam opanować, ale nie byłam w stanie.

- I czym jeszcze? Milczał przez chwilę.

- Czym jeszcze? Na przykład rybakiem.

- Czym, proszę...?

- Rybakiem.

Gdzieś, w jakichś zakamarkach świadomości, mignęło mi, że każdy normalny człowiek spytałby, dlaczego, u diabła, miałby być czymś jeszcze. On odpowiada tak, jakby to było naturalne...

- Jakim rybakiem? - spytałam nieufnie. - Takim, co stoi nad Wisłą i moczy w wodzie patyk?

- To jest wędkarz. Zwyczajnym rybakiem, takim, co wpływa na połów i łowi ryby w morzu.

- Ma pan dość rozbieżne zawody... Jest pan może czymś jeszcze?

- Możliwe. Mam bardzo rozległe zainteresowania. Szczególnie mocno interesują mnie konsekwencje nieprzemyślanych i nieobliczalnych czynów, wynikających z nadmiaru nie uporządkowanej energii.

- I stara się pan im przeciwdziałać?

- Staram się, jak mogę.

- To ma pan dosyć dużo roboty...

- A owszem, nie można narzekać. Straszliwe coś pchało mnie dalej.

- I siłą rzeczy musi się pan wplątywać w rozmaite głupie wydarzenia - ciągnęłam ostrożnie. - Zapewne sensacyjne i tajemnicze? I ma pan już tego po dziurki w nosie i wołałby pan święty spokój?

- Zupełnie nieźle pani to określiła. Może w pewnym uproszczeniu, ale dość trafnie.

- Stanowi pan zatem przeciwieństwo mnie. Ja mam nie dosyć i nie wolę świętego spokoju...

- I dlatego wdaje się pani we wszystko, co tylko pani wpadnie pod rękę?

Wrosłam w alejkę. Staliśmy pod latarnią naprzeciwko siebie. Patrzył na mnie wzrokiem pełnym uprzejmego zainteresowania, z twarzą kamiennie spokojną. Zamiast wysilić umysł, rozgryźć, zrozumieć, odgadnąć, co znaczy to, co słyszę, zrozumiałam i odczułam tylko jedno: że on patrzy nie na mnie, a na twarz Basieńki. Na tę kretyńską grzywkę, na idiotyczny pieprzyk, na agresywne brwi i usta przeciwko światu...

Pierwsze, co mi się udało wreszcie pomyśleć, to to, że moje zidiocenie jest absolutnie bez granic i nie ma na nie siły. Następnie sprecyzował mi się pogląd, że zawsze przyjemniej jest mieć przeciwnika w takim, jak ten, niż w jakiejś niewydarzonej pokrace. Następnie nabrałam wątpliwości, czy on istotnie jest moim przeciwnikiem. Następnie zdecydowałam się kontynuować rolę i ukryć prawdę, której przez moment omal nie wyjawiałam.

- Skąd pan wie, w co ja się wdaję? - spytałam z urazą.



- Znikąd nie wiem. Domyślam się na podstawie tego, co słyszę od pani...

W oczach mignął mu nagle błysk rozbawienia i w jakiś przedziwny sposób atmosfera uległa radykalnej odmianie. Gniotący mnie ciężar gdzieś się ulotnił bezpowrotnie, chociaż dopiero teraz uprzytomniłam sobie, że przez cały wieczór w ogóle nie panuję nad sytuacją. Wszystko dzieje się niezależnie ode mnie. Jedyne, czego dokonałam własnym wysiłkiem, to odstrzał nie tyle może byka, ile cielątka, polegający na tym, że gruntownie wyszłam z roli Basieńki i już nie sposób teraz do niej wrócić. Małe co prawda to cielątko, ale nie wiadomo, czy nie urośnie, bo zostawiłam z niej tylko twarz...

Dość mgliście wydawało mi się, że czas leci,, w nogach czułam jakieś potworne, niezliczone kilometry, tematy rozmowy leżały się same i mnożyły jak króliki na wiosnę i miałam wrażenie, że znam tego człowieka od nieskończonych lat. Przestałam się mieć na baczości, przytomności umysłu starczyło mi tylko na protest przeciwko odprowadzaniu mnie dalej niż do skraju skwerku i wreszcie, na zakończenie czarownego wieczoru, strzeliłam przodownika stada.

Mianowicie odruchowo wyciągnęłam rękę na pożegnanie. I, oczywiście, on mi się przedstawił.

- Rajewski - powiedział wyraźnie i uprzejmie.

- Chchchch... - powiedziałam, usiłując w panice przetworzyć te pierwsze litery na cokolwiek, chrypkę, kaszel, charkot, dławienie się, wszystko, byle nie Chmielewska!!!

Maciejakowa nie przeszła mi przez gardło. Pełna odrazy do samej siebie, zdecydowana zwrócić panu Palanowskiemu jego parszywe pięćdziesiąt tysięcy, poprzestałam na niewyraźnym mamrotaniu...

\*

Mąż czekał w salonie, zdenerwowany do szaleństwa.

- O jak rany, myślałam, że wpadłaś pod samochód! - wrzasnęła z irytacją na mój widok. - Marsze jesienne odbywasz czy co?! Czekam tu na ciebie jak na rozpalonym ruszcie, za

cholere nie wiem, co robić, draka jak stąd do Ameryki, wiem już wszystko!!!

Przestawienie na inne tory nadwyreżonych nieco i rozanielonych władz umysłowych wymagało ode mnie bardzo długiej chwili i herkulesowego wysiłku. O paczce dla kacyka zapomniałam na śmierć i w pierwszym momencie w ogóle nie rozumiałam, co on mówi i o co mu chodzi.

- Co ci się... - zaczęłam z lekkim przestraczem.

- Chodź!!! - przerwał mi i złapał mnie za rękę, powlókł do kuchni. - Zobacz sama! Odkryłem niezemiński kant! Ja jestem chemik!

Nie pojmowałam, co to ma do rzeczy, że on jest chemik, aż ujrzałam rezultaty jego działalności. Własność kacyka spoczywała na kuchennym stole w pożałowania godnym stanie. Kamienne ramy obrazów były częściowo obłupane, z rycerza na desce sterczały drzazgi, a pozbawione odpustowych ozdób świeczniki robiły wrażenie nadgryzionych.

- Spójrz! - zawołał mąż gorączkowo. - Poszłaś, nie miałem co robić, obejrzałem to dokładniej. To jest takie żelazo i taka glina jak ja jestem chińska róża! Marmur, co to jest marmur, to jest, chodzi mi o ten sztuczny marmur, jak to się nazywa, słupy, ściany ze sztucznego murmuru...?

- Stiuki - odparłam odruchowo.

- Stiuki, ile to waży? Tyle co marmur?

- Coś ty, marmur to kamień, a stiuki to gips. Ze dwie tony różnicy...

- No właśnie, tymi stiukami nadrobili, chała nie marmur! Świeczniki dmuchane!

Przeraziłam się, że od czegoś zwariował.

- Uspokój się, mów po kolei! - zażądałam, wydzierając mu rękę. - Może ci zrobić zimny kompres na głowę, może napij się wody... Nic nie rozumiem, jakie dmuchane, jakie stiuki?!

- No przyjrzyj się, nie oślepląś chyba na tym spacerze? Przyjrzałam się sponiewieranym szczątkom, wciąż nie

wiedząc, co powinnam zobaczyć, i nie mogąc się pozbyć wrażenia, że mój współnik wpadł w obłąd i w ataku szaleństwa obgryzał świeczniki. Wspólnik stał nade mną jak kat i ziajał z

przejęcia. Ujrzałam odpiłowany kawałek żelaza, ujrzałam rozdłubane odrobiny pseudomarmuru, ostrożnie wzięłam do ręki nadgryzioną skorupę i zajrzałam do wyskrobanej dziury. Wydało mi się, że coś w niej błyska.

- Tam coś jest? - spytałam nieufnie.

Mąż kiwnął głową tak, że o mało mu nie odpadła.

- Złoto. Autentyczne złoto, jak w pysk strzełił. We wszystkich.

Oślupiałam na nowo. Obejrzałam pozostałe świeczniki, obejrzałam uszkodzoną ramę rycerza, zajrzałam pod drzazgi deski. Nie była to prawdziwa, pełna deska, drewno stanowiło cienką warstwę, w środku również coś się znajdowało. Odchyliłam rycerza bardziej, mąż poświecił latarką, pod bohomazem błysnęły szlachetne kruszce i kamienie.

- Niech pękne, wygląda jak ikona! - stwierdziłam ze zdumieniem. - Upchana drogimi kamieniami i chyba stara!

- Ikona, jak byk! - przyświadczył mąż z zapalem. - Złoto i dzieła sztuki w ordynarnym opakowaniu. Rozumiesz co z tego?

Rycerz uszczypnął mnie w palec, dzięki czemu zyskałam pewność, że mi się to nie śni. Obejrzałam osobliwości jeszcze raz i usiadłam na krześle, wyraźnie czując, że od tego powinnam była zacząć.

- Zapal gaz - zażądałam. - To jest poważna sprawa i ja się muszę napić herbaty. Trzeba się zastanowić.

- Śmierdzi szwindlem - zawyrokował mąż, posłusznie dolewając wody do czajnika. - Nie wiem, co to jest ten kacyk, ale podejrzewam aferę i wychodzi mi, że my tu mamy robić za ofiary. Podrzucili nam to, całkiem pewni, że nic nie zrobimy i będzie leżało. Lada chwila przyleci milicja, weźmie nas za kuper...

- Głupiś, to byłoby za proste. Milicja nie ma tu nic do roboty, każdemu wolno opakować sobie precjoza nawet w suszone łajno. Poza tym od razu by się wykryło, że my to my, a nie oni. Chyba że... Czekać...

Mąż odwrócił się ku mnie z zainteresowaniem.

- No? -

- Czekaj, chodzi mi coś po głowie. Chyba że... Moja obłądna wyobraźnia wystartowała nagle pełnym galopem.

- Chyba że ich zamordowano i podejrzenie ma paść na nas. Możliwe, że to jest tak urządzone, że mają znaleźć ich zwłoki, przylecieć tutaj, zobaczyć nas, udających ich, na podstępnie zrabowanym mieniu i cześć pracy, sprawcy zbrodni gotowi. Wyjaśnienia, które złożymy, będą siłą rzeczy tak idiotyczne, że nam nikt nie uwierzy, a jeśli nawet uwierzy, zamkną nas za podszywanie się pod kogo innego. Nie ma wyjścia, jesteśmy wkopani w zbrodnię!

Mąż stał przy kuchni z rękami zastygniętymi w zmierzwionych włosach i patrzył na mnie z tępą zgrozą.

- Poważnie mówisz? - wyszeptał ochryple. - Jesteś pewna...?

Zreflektowałam się. Z pewnym wysiłkiem opanowałam wybryki rozszalałej imaginacji, bo oczyma duszy już zaczęłam widzieć zwłoki Basieńki, wyciągane z jakiegoś bagienka w nieznanej mi okolicy. Byłoby dość dziwne, gdyby państwo Maciejakowie wypluli sto patyków za zamordowanie siebie samych. Sytuacja wydawała się poważna, nie należało poddawać się panice i dzikim fanaberiom wyobraźni. Z niejakim trudem podniosłam się z krzesła, zdjęłam żakiet i odwiesiłam na oparcie.

- No więc dobrze, możliwe, że nie chodzi o morderstwo, tylko o coś innego. Może to nie my mieliśmy zostać wrobieni, tylko ten kacyk? Nie, to nielogiczne. Poza tym jak wrobieni? Nic mi nie przychodzi do głowy.

Mąż nagle oprzytomniał, wyjął ręce z włosów i przykręcił gaz pod zaczynającą się kotłować wodą.

- Nic bym nie mówił, gdyby to nie było tak cudacznie zamaskowane. Z tymi zbrodniami chyba przesadzasz, ale szwindel musi być. Rozumiem złoto, rozumiem antyki, ale po cholere robić z tym takie sztuki? Dla kacyka...! I to nasze podobieństwo na pokaz! Śledził cię kto na tym spacerze?

Wszystko mi się w środku odwróciło do góry nogami. Śledził...! Nie, doprawdy, śledzeniem nie można tego nazwać... Przez chwilę nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć, rzeczywistość pomieszała mi się z wyimaginowaną fikcją, fakty

z przypuszczeniami, sama nie umiałam rozstrzygnąć, co tu należy do sprawy, a co wręcz przeciwnie. Nędzne szczątki trzeźwości umysłu ostrzegły mnie przed mieszaniem do tego blondyna...

- Z jednej strony ta głupawa maskarada, a z drugiej faszerowane arcydzieła - mówił mąż ponuro. - Każde z tego oddzielnie to jeszcze nic, ale razem to dla mnie za dużo.

- Dla mnie też.

- Pięćdziesiąt patyków już władowałem w mieszkanie Za cholerę nie wiem, co robić...

- Zaparzyć herbaty - zdecydowałam. - Mam na dzieję, że potrafisz?

Zastanawiałam się jeszcze przez chwilę i dodałam stanowczo: - Ja osobiście dojrzewam właśnie do pójścia na milicję.

Mężowi wyleciała z ręki puszka z herbatą.

- Oszalałaś czy co...?!

- A co, wolisz, żeby milicja przysłała do nas? Zanim rozgryziemy, o co tu chodzi, może już być za późno. Należy wreszcie tej wody!... Uważam, że na wszelki wypadek warto by się z nimi porozumieć.

- Już widzę, jak uwierzę w to całe głędzenie o romansach! Czy ty wiesz, co grozi za posługiwanie się cudzymi dokumentami?

- Pokazywałeś komu dokumenty Maciejaka?

Mąż znieruchomiał z czajnikiem w rękę, intensywni myśląc. Uczynił ruch, jakby się chciał podrapać po głowie ale czajnik mu w tym przeszkodził. Omal nie oblał się wrzątkiem.

- Nie - powiedział po chwili z nadzwyczajną ulgą. - A ty?

- Ja też nie. Zarzut posługiwania się cudzymi dokumentami odpada. Zauważ, że o naszych umowach nikt nie wie. Gdybyśmy tak na przykład zamieszkali tu na czas ich urlopu w celu pilnowania domu i warsztatu...

- Co? A wiesz, że to jest myśl... Niezła myśl! Słuchaj to jest genialna myśl!

Odsunęliśmy na skraj stołu podejrzone bogactwa i przystąpiliśmy przy herbacie do dalszych rozważań. Wszystko

razem było nader skomplikowane, niezrozumiałe, podejrzone i niepokojące i konieczność wejścia w porozumienie z milicją powoli zaczynała nam się coraz bardziej podobać. W każdym razie stanowiła jedyne jako tako bezpieczne rozwiązanie. Pierwszy wstrząs udało nam się opanować i zaczęliśmy myśleć prawie zupełnie rozsądnie.

- To nie jest żadna genialna myśl, tylko następny idiotyzm, którego nie wolno nam popełnić - powiedziała bezlitośnie. - Pierwsze, co musimy zdradzić, to istotę stosunków, łączących nas z tymi Maciejakami, bez tego reszta nie ma sensu. Jeśli tylko spróbujemy zełgać cokolwiek, natychmiast zapłaczymy się w manowce bez wyjścia i podejrzani zaczniemy być my, a nie afera. Trzeba mówić prawdę, bez tego się nie obejdzie. To jeszcze nic, ja tu widzę gorsze zmartwienie.

- Jakie mianowicie?

- Takie, że zadbano o nasze podobieństwo na pokaz. Nie możemy tego lekceważyć, to musiało mieć jakiś cel. Podejrzewam, że ktoś nam się przygląda. Ktoś nas obserwuje. Możliwe, że ktoś nas bez przerwy śledzi...

Mąż obejrzał się nerwowo do tyłu, na kuchnię gazową.

- ...pilnuje, co robimy - ciągnęłam złowieszczo. - Jak to sobie wyobrażasz, zobaczą, że lecimy na milicję i co?

- Kto zobaczy?

- Ci, co nas pilnują.

- I uważasz, że kto to jest?

- A co ja jestem, duch święty? Diabli wiedzą. Skoro państwo Maciejakowie postarali się, żebyśmy byli z daleka podobni do nich, to państwo Maciejakowie mogli postarać się, żeby ktoś sprawdzał, czy nie nawalamy w obowiązkach. Ewentualnie jakiś przeciwnik państwa Maciejaków. Musi w to być wmieszane więcej osób, bo sami do siebie nie wysłaliby paczki ani nie wdzieraliby się przez okno od piwnicy. Nasze wizyty w MO z całą pewnością nie leżały w programie.

Mąż patrzył na mnie wyraźnie zde gustowany.

- No i co? Uważasz, że zastrzelą nas na progu czy będą łapać na łąso?

- Głupiś, nie zostaniemy przecież w tej milicji do skończenia świata, nie? Wyjdziemy, potem będzie noc, potem będzie następny dzień, potem może nas spotkać nieszczęśliwy wypadek...

W wyrazie twarzy męża pojawiła się otchłań niesmaku.

- Już sobie postanowiłem, że ci się nie dam ogłupić. Od tych twoich wizji można zwariować, co i raz to wymyślasz coś takiego, że w końcu sam nie wiem, w jakim świecie żyję. Pilnowanie wydaje mi się prawdopodobne, ale ta cała hekatomba to już chyba przesada. Dziwaczne to jest, nie przeczę, kantem śmierdzi, ale może to nic takiego nadzwyczajnego? Może nie żadne zbrodnie, tylko jakiś tam prosty szwindel?

- Nie znam takiego szwindla, którego twórcy lubią się zwierzać milicji. Poza tym może to być nawet szlachetny uczynek, niemowlęce niewinny, mogą to być relikwie i świętości, specjalnie zasłonięte, żeby ich ludzkie oko nie profanowało. Ganc pomada. Tym bardziej jawne udawanie się na milicję jest niedopuszczalne. Myśl logicznie. Jedno z dwojga, albo mamy do czynienia z przestępstwem i wtedy przestępca trzasną nas w ciemność, albo mamy obsesję i wtedy wychodzimy na rozhisteryzowane świny. Mało że musimy dopaść tych glin nieznacznie, to jeszcze musimy zapewnić sobie dyskrecję w razie, gdyby się okazało, że to są czysto prywatne sprawy Basieńki i Romana. Zapłacili i jako uczciwi ludzie mają prawo wymagać...

Po dość długim czasie mąż dał się przekonać, wysuwając jednakże pewne zastrzeżenia.

- Niby jak ty to sobie wyobrażasz? Panie władzo, jest afera, ale niech pan o tym nikomu nie mówi... Przecież każą to sobie dać na piśmie, zrobią śledztwo...

Pomachałam na niego uspokajająco łyżeczką od herbaty.

- Żadne takie. Wiem, do kogo pójde. Do jednego takiego pułkownika, on mnie zna, trochę, nie bardzo, ale zna. To jest człowiek inteligentny, nie takie rzeczy w życiu widział i potrafi zrozumieć.

- Razem pójdziemy, czy ty sama?

- Sama. Prywatnie. Umówię się z nim przez telefon.

- Jako ty czy jako Maciejakowa?

- Zwariowałaś, oczywiście, że jako ja! W tym cała rzecz. Będziesz musiał mi pomóc, bo trzeba będzie gdzieś po drodze dokonać przemiany jej na mnie. Wychodzę z domu jako Basieńka, a do milicji wchodzę jako ja, we własnej osobie. Należy coś wykombinować.

Mąż przestał wreszcie protestować i nawet zapalił się do pomysłu. Prywatne porozumienie ze znajomym pułkownikiem wydało mu się najznakomitszym rozwiązaniem, szczególnie kiedy uwydatniłam mocniej zalety pułkownika. Do późnej nocy rozważaliśmy techniczne strony przedsięwzięcia i w końcu udało nam się zaplanować je z najdrobniejszymi szczegółami...

\*

Do pułkownika zadzwoniłam nazajutrz i umówiłam się na dzień następny, w samo południe. Następnie, zgodnie z planem, załatwiłam sobie transport. Zadzwoniłam mianowicie do jednego z przyjaciół, posiadacza trabanta. Od lat przyzwyczajony był do moich rozmaitych pomysłów.

- Jerzy - powiedziałaś tajemniczo - czy możesz równiutko za piętnaście dwunasta, jutro, czekać na mnie na ulicy Chmielnej, przed wejściem do kina Atlantic po to, żeby mnie zawieźć na Mokotów? Tylko zawieźć, nic więcej. Możliwie szybko.

- Jutro?

- Jutro. Za piętnaście dwunasta. W południe.

- Służę szanownej pani. Zapewne są pojazdy, które zawiozłyby cię szybciej, na przykład straż pożarna, ale mniemam, że z jakichś przyczyn nie reflektujesz na ich usługi. Za piętnaście dwunasta na Chmielnej przed wejściem do kina. Ja i mój samochód jesteśmy na rozkazy szanownej pani...

Więcej do załatwienia chwilowo nie było. Emocje miały nastąpić nazajutrz. Problemy zagadkowej egzystencji państwa Maciejaków stały się niejako w martwym punkcie, pozwalając na złapanie oddechu.



Szłam na skwerek pełna łagodnego, melancholijnego zaciekawienia. Kontakt z blondynem wydawał się jakiś nietypowy, z jednej strony dziwnie ścisły, a z drugiej, nietrwały i nie obowiązujący. Absolutnie nie byłam w stanie przewidzieć, co z tego wyniknie i czy w ogóle wyniknie cokolwiek. Wyobraźnia, wbrew swoim zwyczajom, nie podsuwała mi nic, umysł zaś, wyczerpany widocznie kacykiem, stanowczo odmawiał współpracy. Zdecydowana byłam tylko na jedno, a mianowicie, nie kompromitować się głupio wykazywaniem jakiegokolwiek inicjatywy.

Ujrzałam go nagle, idącego z góry na dół, wcześniej niż zwykle. Zetknęłam się z nim akurat na skrzyżowaniu alejek, uczciwie nie czyniąc w tym kierunku żadnych starań. Tyle że nie zawróciłam i nie uciekłam biegiem, ale do tego już nie czułam się zobowiązana.

Zatrzymał się, kłaniając, i jakoś tak wyszło, że przywitanie stało się niezbędne i naturalne.

- Nie spodziewałam się pana o tej porze - powiedziałam, nic nie myśląc. - Zazwyczaj pojawia się pan później.

- Miałem wyjątkowo trudny dzień, dopiero teraz wracam do domu - odparł żywo. - Usiłowałem złagodzić jakoś skutki tego, co pani tak lubi. Nadmiaru niewyładowanej energii.

Od razu zirytował mnie tym wypominaniem.

- Ktoś zepchnął z szyn lokomotywę? - spytałam z jadowitą uprzejmością, ruszając wolno alejką w dół.

- Niezupełnie. Ale zdemolował stojąc na parkingu samochód i pójdzie siedzieć. Młody facet, którego mi szkoda, bo zrobił to z głupoty, po pijanemu. A upił się z rozpacz, przez dziewczynę.

- Żartuje pan! W dzisiejszych czasach takie uczucia wśród młodzieży?!

- Zdarza się częściej, niż nam się wydaje. A chłopaka mi żal, bo w gruncie rzeczy wartościowy i mogłoby z niego coś być, gdyby nie ta dziewczyna.

- Czy pan nie jest przypadkiem antyfeministą?

- Nie sądzę. Chociaż czasami zastanawiam się, czy nie powinienem być. Kobiety bywają okropne.

- Mężczyźni również - powiedziałam z przekonaniem i zatrzymałam się. - Nie chce przesadzać, ale czy nie moglibyśmy usiąść? Rozmowa w pozycji pionowej przyprawia mnie o katusze, a wstać stąd można w każdej chwili.

Przypomniałam sobie, że miałam nie wykazywać żadnej inicjatywy.

- Chyba że pan się spieszy? - dodałam czym prędzej.

- Przeciwnie, z przyjemnością sobie tutaj odpocznę...

Wybrał ławkę, oczyścił ją, posadził mnie z referencjami i troskliwością, zgoła jak paralytyczkę. Wyglądał przy tym cackaniu się ze mną, jakby glansował do połysku najrzadszą perłę świata. Świadoma znaczenia tych uprzejmości, dość ponuro pokiwałam sobie w duchu głową.

- Raczy pan wrócić do tematu - zażądałam. - Na jakiej bazie interesuje się pan chłopakiem, demoralizowanym przez złą dziewczynę? Milicja, sądy dla nieletnich?

- Ani jedno, ani drugie albo raczej i jedno, i drugie. Przypadkiem znam chłopaka. Dziewczynę podstawiono mu specjalnie, żeby go wciągnąć na tak zwaną złą drogę. Nasz element przestępczy działa niekiedy na wielką skalę i stosuje rozmaite pomysłowe metody.

- I pan w tym siedzi? Pan się tym zajmuje?

- Częściowo. Interesuję się tym. Nie lubię zorganizowanych mafii, których poczynania odbijają się na całym społeczeństwie. Przeciwdziałam, jeśli mogę.

- Nie do wiary! - wyrwało mi się. - Mafie, podstępny, tajemnice... Ależ mnie to jest niezbędne!

- Po co?

Ugryzłam się w język. Rola Basieńki zaczynała mi ciążyć niczym kula u nogi. Po jakiego diabła zgodziłam się w ogóle rozmawiać z panem Palanowskim...?! A, prawda, bez pana Pałanowskiego nie chodziłabym tu przecież na spacer...

- Charakter mam taki - powiedziałam ponuro. - Lubi się karmić sensacjami i ssie mnie bez tego. Wie pan, jak soliter.

- Soliter woli raczej mięso. Odnoszę wrażenie, że aktualnie nie powinna pani chyba narzekać na brak zagadek i tajemnic?

- Skąd pan wie?

- Sama mi pani daje do zrozumienia...

- Pan mi daje do zrozumienia rzeczy, od których włos się jeży na głowie. Wydaje mi się, że to, co pan robi... zapewne także robił pan w przeszłości... to są sprawy, które mnie zawsze szalenie pociągały. Czy ja bym się nie mogła jakoś w to wplątać?

- Nie - odparł spokojnie, nie usiłując nawet zaprzeczać moim insynuacjom. - Nie mogłaby pani. Do tego trzeba mieć odpowiednie przygotowanie i rozmaite cechy, których pani brakuje. Na przykład cierpliwość...

W żaden sposób nie mogłam go zrozumieć. Jeśli był czymś takim, o czym się jasno nie mówi, powinien się stanowczo wyprzeć, i wówczas wiedziałabym na pewno, że jest. Nie wypierał się wcale, wobec czego tym bardziej nie wiedziałam. Prezentował okropną szczerłość, z której absolutnie nic nie wynikało.

Z cech charakteru wylęła nam się różnica płci. Z różnicy płci naturalną rzeczą kolejną wynikało małżeństwo. O małżeństwie, jako takim, zawsze miałam swoje, niezbyt pochlebne zdanie. Z jego wypowiedzi zaczęło mi się wyłaniać coś, co mnie zdziwiło i co zdecydowałam się wyjaśnić, nie bacząc na skutki, które łatwo było przewidzieć. Wyglądało na to, że odstrzał byków prowadzę pełną parą.

- Nie wiem, czy to nie będzie nietakt, ale czy pan ma żonę?

- Nie mam. Ale miałem. A pani? Mam na myśli, oczywiście, męża?

Zastopowało mnie jak nożem uciął. Co mu niby mogłam odpowiedzieć? Zełgać źle, wyznać prawdę jeszcze gorzej. Musiałam się zdecydować, kim tu jestem, Basieńką czy sobą...

- Nie mam żadnego męża - powiedziałam z determinacją, czując, że przyznanie się do pana Romana Maciejaka jest ponad moje siły. - Miałam, ale nie mam. Nie wytrzymał ze mną. Natomiast co do tej pańskiej żony, to dziwię się, że pan nie ma, bo powinien pan mieć i nawet wiem, jak powinna wyglądać.

Słusznie przypuszczałam, że jego żona usunie z pola widzenia mojego męża. Nie ukrywał zaciekawienia,

zadowolona z efektu bez oporu opisałam mu wymyśloną połowicę. Słuchał opisu trochę rozbawiony, a trochę zdegustowany.

- Wcale nie wiem, czyby mi się podobała - stwierdził. - Wygląd jeszcze ujdzie, ale charakter...

- Toteż dlatego uznałam pańskie małżeństwo za niezbyt szczęśliwe. Oprócz żony powinien pan jeszcze mieć własny gabinet z przedwojennym biurkiem - ciągnęłam bez opamiętania, wszelkimi siłami starając się zniweczyć wszelką myśl o moim mężu. - W trzypokojowym mieszkaniu...

- Mieszkam w kawalerce - przerwał. - Biurka nie mam w ogóle, piszę na małym stoliku. Na litość boską, skąd pani przyszły do głowy takie rzeczy?

- Wygląda pan na to. Przyglądałam się panu na tym skwerku, bo nie miałam co robić, i dorabiałam panu entourage. Wygląda pan jak wykwit cywilizacji.

- Jak co?!

- Jak wykwit cywilizacji. Taki, który się nie nadaje do lasu, bo go tam wszystko gryzie, tu mu mokro, tu brudno, a tam kapie za kołnierz. I który siada na mrowisku.

Dostał takiego ataku śmiechu, że poczułam się zaskoczona. Wcale nie zamierzałam go aż tak rozweselić.

- A wie pani, że to jest najpiękniejszy komplement, jaki mogłam usłyszeć - powiedział, nie przestając się śmiać. - Nie ma pani pojęcia, ile miałem obaw i ile wysiłku zużyłem, żeby się upodobnić do ludzi cywilizowanych i nie wyglądać na leśnego dzikusa. Bardzo długo żyłem wyłącznie w lesie. Las był moim naturalnym środowiskiem, do dziś dnia czuję się w nim znacznie lepiej niż w mieście. Naprawdę tego nie widać?

- Lustra pan nie ma czy co? - spytałam zgryźliwie.

- Nie mam - wyznał, ciągle rozweselony. - Mam takie małe, do golenia. Widać w nim odrastającą brodę, która nie robi zbyt cywilizowanego wrażenia. A pani lubi las?

- No pewnie. I nawet nieźle się w nim czuję, nie zaziębiam się i nie dostaję kataru...

Z czystym sumieniem mogłam przysiąc, że nie trzymałam go siłą na tej ławce. W każdej chwili mógł sobie wstać i iść do

domu. Z nie zbadanych pobudek nie wstawał i nie szedł. Dziwne jakieś to było...

Kiedy wkroczyłam do salonu państwa Maciejaków, okazało się, że jest północ. Mąż czekał w piżamie, nieopisanie rozczochrany.

- Ty mnie do grobu wpędzisz - oświadczył z przekonaniem. - Co cię napadło, jak rany, akurat teraz giniesz na całe noce! Przedtem wracałaś wcześniej!

Uciążliwa afera, przeszkadzająca mi przez cały wieczór, wdarła się dysonansem w mój błogi nastrój i wydała mi się nieznośne obrzydliwa. Na chwilę zapomniałam, że lubię sensacyjne wydarzenia.

- Kto ci każe na mnie czekać? - spytałam z irytacją. - Nie czekałeś jako mąż, a teraz ci nagle szajba odbiła!

Stało się co?

- No pewnie! Odłupałem kawałek tego glinianego świecznika i słuchaj, tam jest jakaś rzeźba.

- Jaka rzeźba?

- No rzeźba. Ze złota.

- Pewno też dzieło sztuki. To jest jakaś odwrotność tego, co robią handlarze. Podrabiają szkiełka na brylanty z carskiej korony, a tu dzieła sztuki podrobili na bohomazy. Żebyś mnie zabił, nie zgadnę, po co im to było!

- Ja nie wiem, musimy się chyba jeszcze zastanowić, może nam co przyjdzie do głowy przed tą twoją rozmową z pułkownikiem. Czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, jakie to wszystko razem jest idiotyczne?

- Będzie jeszcze bardziej idiotyczne, jeśli się okaże, że musimy oddać kacykowi jego własność w nienaruszonym stanie - zauważyłam z niepokojem na widok spustoszeń, jakich dokonał w precjozach. - Mam nadzieję, że jednak to jest jakieś przestępstwo...

Mąż poszedł za mną do kuchni, upierając się przy konieczności kontynuowania rozważań. Uczynił przypuszczenie, że spodziewano się wizyty włamywacza i starano się zniechęcić go do kradzieży najcenniejszych przedmiotów, ukrywając je w ten szczególnie wyrafinowany

sposób. Odstępując, mógł działać także ciężar. Dałam się w końcu wciągnąć w temat, trzymając się jednakże raczej wersji wykroczeń i obaw przed milicją, bo na samą myśl, że poszarpaliśmy na sztuki własność uczciwych ludzi i będę teraz musiała własnoręcznie rekonstruować mordę płaczki, robiło mi się niedobrze. Dodatkowo mąciło mi tok myślenia wspomnienie pana Palanowskiego, którego ognista czułość nie pozwalała całkowicie wykluczyć amatorów z Basieńką. Nie sposób przecież przypuścić, że przedmiotem czułości miałyby być rycerz z łbem jak dynia...

Nazajutrz o wpół do dwunastej rozpoczęliśmy sensacyjną akcję. Zaparkowałam volvo Basieńki przed domami towarowymi Centrum i obydwójce z mężem weszliśmy do Sawy. Miałam na sobie jaskrawy kapelusz i jesionkę w kratę, mąż niósł bardzo wypchaną teczkę. Starannie symulując chęć dokonywania zakupów obeszlśmy parter, udaliśmy się na piętro, po czym weszliśmy na klatkę schodową od tyłu. Klatka schodowa była akurat kompletnie pusta. Zdarłam z głowy kapelusz, zdarłam z siebie płaszcz, mąż wyszarpnął z te czki jasny żakiet od spódnicy, którą miałam na sobie pod płaszczem, wepchnęłam mu w rękę torebkę od płaszcza, wydarłam torebkę od kostiumu, przejechałam grzebieniem po włosach, przygotowanym mleczkiem kosmetycznym zmasażam usta, brwi i kropkę z twarzy. Trwało to równo półtorej minuty. Włożyłam ciemne okulary, zostawiłam go, upychającego w teczkę kraciasty płaszcz i zgruchmiony kapelusz i przez drugie piętro wyszłam na zewnątrz od strony Chmielnej.

Mój niezawodny przyjaciel czekał w trabancie w okropnym kłębówisku samochodów.

- Rób, co chcesz - powiedziałam, wsiadając pospiesznie. - Ale nie dopuść, żeby nas ktoś dogonił. Zorientuj się, czy nikt za nami nie jedzie i jeśli jedzie, ucieknij mu. Nie mogę jechać na Mokotów jawnie.

- Zadziwiasz mnie - powiedział Jerzy, ruszając z niezmaconym spokojem. - Zdawało mi się, że mieszkasz na Mokotowie, co jest powszechnie znane. Poza tym, jeśli

goniącym pojazdem będzie milicja, od razu cię uprzedzam, że uciekać nie będę.

- Milicja mi nie przeszkadza, boję się osób prywatnych.

- Widzę, że nasza smutna, szara egzystencja na nowo nabiera barw! Co tym razem?

- Nie mam pojęcia, ale opowiem ci za dwa tygodnie. Do tego czasu powinno się wyklarować. O rany, jedź...!!!

Jerzy zrezygnował z praworządności i przejechał skrzyżowanie przy żółtym świetle, dzięki czemu byliśmy ostatnim samochodem na jezdni. Nikt nie jechał za nami. Uspokoiliam się.

Do pułkownika zostałam wpuszczona natychmiast, chociaż przyszłam parę minut za wcześnie. Popatrzyliśmy na siebie z wzajemnym zainteresowaniem, nie pozbawionym obaw. Jego niepokoiło zapewne, jakie też nowe kretyństwo zdołałam wymyślić, ja zaś zastanawiałam się, jak długo jeszcze on ze mną cierpliwie wytrzyma. Pocięszalo mnie nieco, że z facetami, którzy mi się podobają, zawsze jest jakoś łatwiej rozmawiać, nawet jeśli są to rozmowy czysto urzędowe.

Pułkownik podobał mi się od pierwszego wejrzenia, co było o tyle naturalne, że istotnie był bardzo przystojny, i o tyle dziwne, że nosił brodę. Nie lubię bród, ale musiałam przyznać, że jest mu z nią wyjątkowo do twarzy, i kto wie, czy bez brody nie wyglądałby gorzej. Do wszelkich konwersacji z nim odnosiłam się z sympatią, żywiąc cichą nadzieję, że sympatia okaże się zaraźliwa.

- Mam zmartwienie - powiedziałam. - Przyszłam prywatnie zrobić donos na siebie. Popęlniłam przestępstwo, nie wiem, co teraz, i bardzo proszę nie zamykać mnie od razu.

- Niech pani powie, o co chodzi, słucham. Jeżeli nie o morderstwo, możliwe, że zostanie pani na wolności.

- Pozwoli pan, że zacznę od końca. Mam wrażenie, że natrafiłam na kant, który polega na fałszowaniu dzieł sztuki. Moim zdaniem, powinien pan o tym coś wiedzieć.

Pułkownik popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem.

- Nie wiem, czy pani się orientuje, że my raczej rzadko fałszujemy dzieła sztuki - zauważył uprzejmie.

- Ale wykrywacie kanty w tej dziedzinie na pewno częściej niż ja. Otóż znalazłam paczkę... To znaczy, przyniesiono ją nam... Nie, jednak w tę stronę nie pójdzie.

Pułkownik przyglądał mi się z wyrazem cierpliwego obrzydzenia. Zrezygnowałam z zaczynania od końca.

- Trudno, widzę, że trzeba od początku. Otóż jeden facet namówił mnie, żebym przez trzy tygodnie udawała jedną panią, która wyjeżdża. Miałam zamieszkać w jej domu i kłócić się z mężem. Jako ona. Podobna jestem do niej z twarzy, szczególnie w jej peruce i w jej kieckach. Zamieszkałam.

- Po co? - przerwał pułkownik.

- No, jak to po co, żeby udawać tę panią...

- Po co ją udawać?

- Ówże facet, który mnie namówił, twierdził, że w celach romansowych. Żeby ona mogła wyjechać z nim, w tajemnicy przed mężem. Taka wielka miłość, nielegalna i z przeszkodami... Niech pan zaczeka, bo tu jest właśnie pies pogrzebany. Zamieszkałam i po pewnym czasie wykryło się, że ten jej mąż wcale nie jest jej mężem, tylko podstawionym falsyfikatem...

- Czy pani nie mogłaby tego mówić jakoś bardziej zrozumiale?

- Staram się, jak mogę. Wystąpiłam jako ta pani w jej domu i w tym domu był mąż, który, jak się okazało, znalazł się w tej samej sytuacji co ja, mianowicie jeden facet namówił go, żeby udawał męża, to jest tego faceta. Żeby zamieszkał w jego domu i kłócił się z jego żoną. Zamieszkał i był przekonany, że ta żona to ja...

- Odnoszę wrażenie, że pisze pani aktualnie jakąś niesłychanie skomplikowaną powieść. Co mają do tego fałszerstwa dzieł sztuki?

- Szkoda, że nie przyniosłam panu tej płaczki nad grobem, od razu by pan uwierzył, że to wszystko realia - powiedziałam ponuro, myśląc równocześnie, że istotnie moja relacja brzmi jakoś niejasno. - Ale cholernie ciężkie, a poza tym nie chciałam pana narażać na wstrząsy. Zamiast być mi wdzięczny pan się naigrawa.



- Nie wiem, kto z kogo, zdaje się, że pani ze mnie.

- Ja bym się nie ośmieliła. Niech pan uprzejmie słucha dalej. Krótko mówiąc, wykryło się, że w tym domu mieszkają dwie osoby, które, obie, w tajemnicy przed sobą nawzajem, mają udawać kogo innego. Przyczyny, dla których nas do tego namówiono, wydały nam się niejasne i podejrzane i do tej pory nie udało nam się ich rozszyfrować. To jeszcze nic takiego, nie leciałabym z tym do pana, ale podejrzana wydała nam się także paczka, którą przyniósł parę dni temu jakiś chłop. Po pierwsze głupio ze mną rozmawiał...

- Jak? - przerwał znów pułkownik i nagle uświadomiłam sobie, że wbrew prezentowanemu pobłażliwemu niedowierzaniu słucha zadziwiająco uważnie i bezbłędnie wyłapuje z tego chaosu najważniejsze elementy. A twierdzi, że nic nie rozumie...! Poczulałam coś w rodzaju podziwu.

- Kompletnie bez sensu. Spytał mnie o kury, zgodził się na krokodyle i oświadczył, że przyniósł dla nich marchew...

- Czy mogłaby pani zacytować tę rozmowę dokładniej? Marchew dla krokodyli budzi we mnie pewne opory.

- We mnie też. Mogłabym, oczywiście. Chce pan zaraz?

- Nie, za chwilę. I co dalej?

- Wręczył mi paczkę dla kacyka.

- Dla kogo? - spytał pułkownik dość ostro.

- Dla kacyka. Bardzo pana przepraszam, ja tego nie wymyśliłam...

Pułkownik przerwał mi gestem. Przez chwilę patrzył na mnie z namysłem, w którym zdawało mi się, że dostrzegłam odrobinę zgrozy, po czym podniósł się, wyjrzał do sekretariatu i zażądał natychmiastowego przysłania kapitana Ryniaka. Zaczął mnie ogarniać lekki niepokój.

- Niech pani zaczeka z tymi rewelacjami - powiedział, wróciwszy na fotel. - Zaraz tu przyjdzie mój współpracownik, którego zapewne zainteresują. Czy to, co pani mówi, to jest sama prawda, czy też dołożyła pani coś od siebie?

- Przecenia mnie pan. Do takiej prawdy nie sposób nic dołożyć...

Kapitana Ryniaka znałam z widzenia z dawnych lat. On prawdopodobnie pamiętał mnie również, i to lepiej niż ja jego, bo na mój widok jakby się z lekka zachłysnął. Pomyślałam sobie, że chyba jednak Kocham milicję bez wzajemności.

- Pani Chmielewska opowiada interesującą historię - rzekł pułkownik odrobinę zjadliwie. - Może was to zaciekawi. Zetknęła się z jakąś paczką, przeznaczoną dla kacyka.

Kapitan spojrział na mnie jak na upiora.

- Pani?! Kiwnęłam głową.

- Pani, pani - powiedział niecierpliwie pułkownik. - Wręczono jej tę paczkę, ponieważ od kilku tygodni odgrywa rolę zupełnie innej osoby. Namówiono ją do tego. Jak ona się nazywa, ta żona?

- Maciejak. Barbara Maciejak.

Kapitan wyglądał przez chwilę jak człowiek rażony gromem. Uczynił ruch zrywania się z fotela i zastygł w połowie, wpatrzony we mnie wzrokiem pełnym osłupienia i zgrozy. Zaczęło mi się robić gorąco i okropnie nieżyczliwie pomyślałam o panu Palanowskim. Pułkownik miał kamienny wyraz twarzy.

- A mąż?

- Roman. Też Maciejak, oczywiście.

- I sądząc z tego, co pani mówi, od pewnego czasu w zastępstwie Barbary i Romana Maciejaków zamieszkują ich dom dwie zupełnie inne osoby.

Kapitan opadł na fotel, po czym zerwał się i wybiegł bez słowa. Zaczęło mi się robić tak więcej tropikalnie. Uczyniłam nieśmiałą próbę uzyskania wyjaśnień, o co tu właściwie chodzi, którą pułkownik zdławił w zarodku. Po kilku dość przerażających chwilach kapitan wrócił z kartką w rękę.

- Wyszła z domu ubrana w fioletowy kapelusz, płaszcz w kratę, fioletowe, czarne, czerwone. Czarna torebka, czarne pantofle - odczytał z kartki. - Weszła do Sawy...

Urwał i obaj, jak na komendę, spojrzeli na mój jasny kostium i beżową torebkę, po czym zgodnie przenieśli wzrok na nogi.

- Zgadza się - przyznałam niepewnie. - Buty mam te same, nie pasują do tego kostiumu, ale miałam nadzieję, że nikt nie

zwróci uwagi. Całą resztę ma w teczce fałszywy mąż, który czeka na schodach w DT Centrum.

Pułkownik i kapitan popatrzyli na siebie. Kapitan usiadł na fotelu jak człowiek, pod którym ugięły się nogi. Zapanowało złowrogie milczenie.

- Mam mówić dalej? - spytałam ostrożnie, ciężko już teraz wystraszona. - Zdaje się, że panom nabruździłam...?

- Owszem, troszeczkę - odparł pułkownik. - Czy pani musi wdawać się ustawicznie w jakieś takie rzeczy...? Niech pani zacznie jeszcze raz od początku, tym razem ze szczegółami. I niech pani zacytuje tę rozmowę.

Trzymałam się chronologii wydarzeń, wszelkimi siłami starając się wyeksponować wielką miłość pana Palanowskiego, która stanowiła dla mnie jedyną okoliczność łagodzącą. Kapitan słuchał z uwagą, wyraz osłupienia zamieniwszy na wyraz posępnej rozpacz i patrząc na mnie z nie skrywanym wyrzutem. Znow dojechałam do paczki dla kacyka.

- Dlaczego pani z tym przychodzi dopiero teraz?! - wykrzyknął z irytacją i oburzeniem.

- Przedtem nie miałam powodu, w zdradach małżeńskich nie widzę nic podejrzanego...

- Czym pani tu przyjechała? - spytał pułkownik, jakby tknięty jakąś myślą.

Wyjaśniłam okoliczności towarzyszące wizycie. Obaj znów spojrzeli na siebie. Kapitan zaczął się nieco rozjaśniać.

- Jeszcze może da się coś uratować - mruknął z nadzieją.

- To się może nawet przydać - odparł pułkownik. - Tego męża...

- Ależ niech pan zaczeka, to jeszcze nie wszystko, będą weselsze rzeczy - wtrąciłam się zniecierpliwiona, że stopuję mnie ustawicznie na kacyku, nie pozwalając wyjawić reszty. - Clou imprezy to jest zawartość tej paczki! Dlatego właśnie przyszłam.

- Jak to, otworzyła ją pani?

- Oczywiście. Do spółki z mężem. Tym fałszywym.

- I co tam było?

- Widzi pan, tu właśnie dochodzimy do fałszerstw dzieł sztuki. Określenie jest nieściśle i niewłaściwe, należałoby to raczej uznać za kamuflaż dzieł sztuki. Dwie straszliwe mazepy, bohomyzy tysiąclecia, pod nimi zaś stare ikony, oprócz tego cztery złote rzeźby, przeobrażone w świeczniki, jakich świat nie widział. Nie wiem, jakie rzeźby, dokopaliśmy się tylko kawałka. To wszystko razem wydało nam się dziwne.

- I gdzie to teraz jest?

- Leży w kuchni na stole, przykryte papierem. Pułkownik znów popatrzył na kapitana. Kapitan potarł brodę i rozmyślał nad czymś, patrząc na mnie w skupieniu. Miałam wrażenie, że obaj wiodą ze sobą dyskusję, porozumiewając się telepatycznie. Afera państwa Maciejaków była im znana, co do tego nie miałam już najmniejszych wątpliwości, co gorsza, musiała to być potężna chryja, skoro wywarła takie wrażenie. Pułkownik nie należał do osób ujawniających wstrząsy w łonie MO jednostkom spoza łona.

- Pani co...? - spytał nagle kapitan, spoglądając na pułkownika.

- Pomoże - odparł pułkownik bez wahania. - Nie ma innego wyjścia.

Doznałam niejakiej ulgi. Kapitan kiwnął głową.

- W porządku - rzekł szorstko. - Jutro przyjdą do pani hydraulicy. Prawdopodobnie trzech. Proszę ich wpuścić.

Zgodziłam się, przypominając, że to ciągle jeszcze nie wszystko. Opowiedziałam o włamywaczu. Przyjęli to zdumiewająco pogodnie, po czym wzięli mnie w krzyżowy ogień pytań. Moje rozrywki towarzyskie na skwerku potraktowali marginesowo, na kwestię honorarium prawie nie zwrócili uwagi. Wreszcie wydali mi się usatysfakcjonowani.

- Trzeba teraz dopaść jakoś tego pani fałszywego męża - powiedział kapitan energicznie. - Gdzie on czeka?

- Na tylnych schodach w Sawie. Niech pan go ostre żnie dopada, bo jest zdenerwowany.

- Ja tu z panią załatwię - powiedział pułkownik. - Wróćcie potem tu do mnie.

Uczynili do siebie nawzajem jakieś niezrozumiałe gesty za pomocą spojrzeń osiągnęli pełne porozumienie i kapitan wyszedł. Pułkownik zwrócił się do mnie.

- Co pani do głowy strzeliło, żeby się zgodzić na tę idiotyczną maskaradę? - spytał z irytacją, naganą i niejakim wstrętem. - Po jakiego diabła wystąpiła pani w charakterze tej żony? Nie przyszło pani do głowy, że w tym je: coś nielegalnego?

- Występować w cudzym charakterze jest zawsze nielegalnie - zgodziłam się ze skrucą. - Ale Bóg mi świadkiem, że w pierwszej chwili uwierzyłam w te dzikie namiętności! Popieram romanse, wzruszyli mnie... Niech pan okaże jakiś cień ludzkich uczuć, niech pan powie, o co chodzi!

- Pewnie, że pani powiem, bo inaczej nie wiadomo, co pani może wykombinować. O zachowaniu tajemnicy ni muszę pani przypominać, sama się pani zorientuje, czym grozi rozgłaszanie. Rzecz polega na tym...

Zamilkł na chwilę. Wstrzymałam oddech i zaniechałam myślenia.

- Chodzi o przemyt. Od półtora roku grzebiemy się z wyjątkowo obrzydliwą sprawą. Po jednym niemieckim baronie został tak zwany skarb, zgromadzony przez niego na drodze rabunku, w czasie wojny, wie pani, jak to było. Zbiór dzieł sztuki wielkiej wartości, nasze, radzieckie, bułgarskie, nawet greckie i włoskie. Nie wiadomo, gdzie on to ukrył, ale ktoś to znalazł i teraz przemyca, a oprócz tego przemyca wszelkie ocalałe po wojnie resztki, jakie się jeszcze u nas uchowały. Pani wie, że ja jestem na to uczulony i jak pomyślę, że pani w tym wzięła udział, że pani to ułatwiła... Gdybym pani nie znał...

- Ale mnie pan zna i niech pan lepiej nie mówi, co by było, gdyby mnie pan nie znał - przerwałam pospiesznie, głęboko wzburzona, bo na ten gatunek przemytu byłam uczulona nie gorzej niż pułkownik. - I w ogóle niech pan zaczeka, bo mnie apopleksja zadusi. Przymyślenie dzieł sztuki...!

Powstrzymałam cisnące mi się na usta komentarze, ale twarz musiała je widocznie wyrazić, bo pułkownik uczynił uspokajający gest.

- Tylko spokojnie - powiedział ostrzegawczo. - Niech mi tu pani z niczym nie wyskakuje!

- Spokojnie...!!! Szlag mnie trafi! Romans wszechczasów, psiakrew, wymyśli! Niech sobie wywożą dolary, wódkę i kielbasę, ale nie dzieła sztuki! I mnie w to wrębać...!!!

Nagle przypomniałam sobie umeblowanie państwa Maciejaków.

- Tam jest tego więcej - powiedziałam mściwie, wściekła do nieprzytomności. - Tam stoi rokoko, meble, na ścianie wisi Watteau, srebrne świeczniki, alabastrowa waza z osiemnastego wieku! Niech pan sobie robi, co pan chce, ale niech pan z tym natychmiast skończy!!!

- Kiedy to nie ja wywożę, proszę pani...

- Wszystko jedno! Niech pan to ukróci! Dostyc tego, może pan być spokojny, że zrobię wszystko...!

- Niech mi pani, na litość boską, nie wydrapie oczu. Zwracam pani uwagę, że to nie ja jestem tą fałszywą żoną, tylko pani...

Z wolna odzyskałam odrobinę równowagi. Głupi dowcip przemienił się w ponure świństwo. Ironia losu polegała na tym, że moje uczucia patriotyczne najbujniejszym kwieciem rozkwitały na widok zabytków w innych krajach, w Danii, we Francji, we Włoszech... Świadomość naszego ogołocenia w tej dziedzinie gryzła mnie w serce i budziła zbrodnicze myśli. Miałam okropną ochotę tam ukraść i przywieźć tutaj...

Odrażający podstęp pana Palanowskiego przeistoczył mnie w Erynię, płonąca żądzą zemsty. Pułkownik dołał oliwy do ognia, bezlitośnie prezentując mi, jak wpadam w oczach prawa. Gdyby mnie nie znał osobiście...

- Zaagitował mnie pan najzupełniej dostatecznie - powiedziałam ze złością. - Co mam robić?

- Tylko jedno. Udawać dalej panią Maciejakową z największą starannością.

- Jak to...?! Udawać Basieńkę i nic więcej?

- A co pani jeszcze chciała? Strzelać do przechodniów? Udawać tę całą Basieńkę i to tak, żeby nikt się nie domyślił, że pani coś wie. Uprzedzam panią, że ta zabawa może być

niebezpieczna. W grę wchodzi olbrzymie pieniądze, ci ludzie mogą się zdecydować na jakieś drastyczne posunięcia. Nikt absolutnie nie ma prawa zorientować się w tej mistyfikacji i w naszym porozumieniu. Kontaktować się pani będzie wyłącznie z kapitanem Ryniakiem, on pani da swoje numery telefonów. Niech pani teraz wraca do tego domu...

- Nie mogę, nieodpowiednio wyglądam! Upodobniłam się z powrotem do siebie, nie okręcę sobie przecież głowy gazetą! Mąż ma w teczce płaszcz i kapelusz...!

- Nie szkodzi, niech się pani wreszcie uspokoi. Przerobi się pani w domu. Niechże pani myśli logicznie!

- A...! - powiedziałam, przytomniejąc nagle i milknąc. Stało się dla mnie jasne, że państwa Maciejaków obserwowała milicja, a nie żadne tajemnicze bandziory. Stąd to nasze podobieństwo na odległość!...

Wróciłam do domu okrężną nieco drogą, poprzez DT Centrum, skąd musiałam zabrać samochód, starając się ochłonąć i ułożyć jakoś uzyskane wiadomości. Wszystko mi się nawet nieźle zgadzało. Państwo Maciejakowie, węsząc opiekę, postarali się zniknąć i w spokoju pozalać interesy, opiece rzucając na żer dwie niewinne ofiary. Pomysł był godzien uznania, tak głupi, że nikt by na niego nie wpadł, a równocześnie nadspodziewanie skuteczny...

Mąż wrócił późnym popołudniem, pólżywy ze zdenerwowania. Zażądałam sprawozdania z wydarzeń.

- Powiedziałem im wszystko! - oświadczył dramatycznie. - Jakiś facet mnie dopadł, podobno kapitan, podobno rozmawiał z tobą, nie rozumiem, co to znaczy, zdegradowali pułkownika...? Miał być pułkownik!

- Ty głupi jesteś, pułkownik akurat nie ma co robić, tylko latać po klatkach schodowych i łapać ciebie. Przydzielił nam tego kapitana i niech ci to wystarczy.

- A!... Może być. Zamieszanie tam było, jakaś dziewczyna zleciała ze schodów, ekspedientka, musiałem ją doprowadzić do dyżurki, bo kulała, i on tam już czekał. Nie wiem, skąd wiedział, że ona zleci i ja przyjdę. Przytomny gość, spodobał mi

się, chociaż nic z tego nie rozumiem, słuchaj, on mi kazał dalej udawać tego Maciejaka! Tobie co...?

- Mnie też. Mów dalej!

- Myślałem, że mi nie będzie wierzył, sam bym nie wierzył, ale nie, jakoś tak wyglądał, jakby mu się wszystko zgadzało. Oni o tym coś wiedzą. Nie wiem, jak ty, ale ja się trzymam milicji, to był bardzo dobry pomysł. Będę robił za Maciejaka nawet przez rok! Obiecał mi, że to się nie rozgłosi pod warunkiem, że pomożemy. Logiczne, jak nie pomożemy, to znaczy, że coś w tym mamy. Jutro podobno mają przyjść jacyś hydraulicy, a o kacyku dalej nic nie wiem. Rany Boga, zdaje się, że wyszedł z tego epokowy melanz, a z tobą jak?

Relacja wydała mi się jasna, zrozumiała i zgodna z moimi przypuszczeniami.

- Ze mną tak samo. Nadal jestem Basieńka, żeby to piorun trafił. Pułkownik mnie nie podejrzewa o przestępczą działalność, ale za to uważa mnie za idiotkę, jakiej świat dotychczas nie widział. Nie rozumie, jak można było tak się nabrać na to romansowe gadanie. Mąż pokiwał głową.

- Trzeba mu było posłuchać, jak ta łajza boża skamlała - powiedział z rozgoryczeniem. - Sam się dziwiłem, co on taki uczuciowy, małego rozumu dostał na tle tej swojej podrywki, a kantowanie żony uzasadnił naukowo. Ostatecznie zdarza się, dziwne, bo dziwne, ale możliwe. Skowyczał i jójczał i prawie płakał, każdy by się dał skołować. A ja w dodatku mam litosierne serce. Dopiero jak oprzytomniałem, zaczęło mi się wydawać, że coś tu nie gra. Słuchaj, a tak między nami, o co tu właściwie chodzi? Powiedział mi, że wrabiali nas w przestępstwo, ale nie powiedział, w jakie. Ty wiesz?

- Wiem. Przemyt dzieł sztuki.

Mąż patrzył na mnie tępo.

- Przemyt do nas czy od nas? - spytał niepewnie po chwili.

- Idiota! Przemyt do nas bardzo by mnie ucieszył.

- Jak to? Te nędzne, ocalałe resztki...?!

- Oświadczam ci - powiedziałam z gniewem, na nowo poruszona - że osobiście uważam to za zwyczajne świństwo! Oglądałam rozmaite zabytki w paru krajach i coś mi się w



środku robiło. Najchętniej odkradłabym sama wszystko to, co zostało od nas wywiezione od przedwojennych czasów, niezależnie od tego, w czyje ręce wpadło!

- I co? - zainteresował się mąż nagle. - Próbowalaś?

- Nie było warunków - wyznałam z żalem. - Ale gdyby były, to jak Bóg na niebie, coś bym chyba rąbnęła! I przywiozła. A ci tutaj, co nam zrobili...?

Do męża wreszcie dotarło i zdenerwował się nie mniej niż ja. W ocenie działalności państwa Maciejaków i pana Palanowskiego wykazaliśmy się absolutną zgodnością poglądów. Na dość długą chwilę pograżyliśmy się w rozpatrywaniu ich poziomu moralnego i szkodliwości społecznej czynu, w który wplątano nas podstępem.

- Tu nikt nie jest święty - powiedział mąż ze śmiertelną urazą. - Mnie tam aureola nad głową nie świeci, ale rozumiesz, dla mnie to jest tak. Można niby rąbnąć poduszkę takiemu, co ma ich dwadzieścia, szczególnie jak się samemu nie ma, ale rąbnąć takiemu, co ma tylko jedną, po to, żeby sobie pod tyłek podłożyć, a on niech trzyma łeb na gołych deskach, to jest zwyczajne zbydlęcenie. Nie będę w tym brał udziału za żadne pieniądze! Argumentacja nadzwyczajnie przypadła mi do gustu, rozpogodziłam się nieco i w, dowód aprobaty usmażyłam mu kotlet schabowy. Szczątki kacyka narzucały się same jako temat do rozważań. Konfrontacja wydarzeń z uzyskanymi wiadomościami pozwalała nam odkrywać coraz to nowe tajemnice, w żaden sposób jednakże nie mogliśmy znaleźć sensu w opakowaniu skarbów. Należało mniemać, że zostały przystosowane do nielegalnego przewiezienia przez granicę. Prawdziwe dzieła sztuki ukryto we wnętrzościach skarbów sztuki ludowej. Jakim cudem mogłyby w tej postaci nie obudzić żywego zainteresowania kontroli celnej, nie sposób było odgadnąć. Zamysły organizatorów przemytu wydawały nam się niepojęte.

- Pojęcia nie masz, jak ja tego nie lubię - oświadczyłam z niesmakiem. - Dedukować i dedukować! Dobrze pułkownikowi mówić, że już dosyć wiem i resztę potrafię sobie dośpiewać! Figę potrafię! Ja lubię wiedzieć na pewno, a nie tylko się

domyślać. Co mi z tego, że się nawet dobrze domyślam, skoro zawsze mam wątpliwości!

- Gdzie masz teraz, na przykład? - zaciekawił się mąż.

- Jak to gdzie, wszędzie! Nie jestem pewna, czy oni wiedzieli, że gliny za nimi chodzą, czy tylko bali się na wszelki wypadek. Nie mogę zrozumieć, skąd ta sprzeczność w kwestii paczki, chłop nalega na pośpiech, a oni o tym nic nie powiedzieli! Przecież gdyby nas uprzedzili, że przyjdzie paczka i ma poleżeć, do głowy by nam nie przyszło zaglądać do niej! Domyślam się, że pan Palanowski w ogóle nie był podejrzewany, kryształowy człowiek, utrzymujący luźną znajomość z Basieńką, do której czuje prywatną miłość i nic więcej. Dopiero ja go wkopałam. Domyślam się, że milicja chce wyłapać ich kontakty i powiązania i zamknąć wszystkich razem, tak się zawsze robi. I że ta paczka dla kacyka może naprowadzić na cenny ślad. Ale tego się tylko domyślam, a diabli wiedzą, może ja się źle domyślam?

- Moim zdaniem dobrze się domyślasz i dziwię ci się, że nie masz większych zmartwień. Ja dopiero teraz widzę na co my się narażamy. Złoto w domu, cholera, i drogie kamienie! Ja nie wiem, chyba w ogóle nie pójdę spać, tylko będę przy tym stróżował. Nie daj Boże, co zginie i będzie na nas!

- Nie zginęło do tej pory, to nie zginie i dalej. Mai nadzieję, że hydraulicy to jutro zabezpieczą.

- Jutro! - prychnął mąż z irytacją. - Do jutra Bóg wie co może się zdarzyć!

- Żebyś w złą godzinę nie wymówił. W razie gdyby nie wróciła ze spaceru, dzwoni na milicję i niech zawiadami pułkownika, on już znajdzie moje zwłoki. A niezależnie od tego trzeba porządnie pozamykać okna...

Z serdeczną niechęcią domalowałam sobie szczegóły dekoracyjne na twarzy i włożyłam perukę z grzywką. Możliwe, że wielkiej różnicy w urodzie mi to nie robiło, z dwojga złego jednakże wolałam się nie podobać blondynowi jako ja niż jako Basieńka. Przechadzka wyglądała podobnie jak wczoraj, nic go tam siłą nie trzymało, siedział do późnej nocy i rozmawiał ze mną najzupełniej dobrowolnie...

\*

Wbrew ponurym przewidywaniom męża do jutra nic się nie zdarzyło. Moje zwłoki wróciły same i nie trzeba ich było szukać, precjoza dla kacyka, nie tknięte, spoczywały pod stołem w kuchni, nikt nie złożył nam podejrzanej wizyty. Cisza była i spokój.

Trzech hydraulików przyszło w samo południe, przy czym wzruszył mnie widok kapitana we własnej osobie, dźwigającego pod pachą kolanko od rury kanalizacyjnej. Wykorzystałam okazję, żeby rozwikłać pewne niejasności. Między innymi dziwiło mnie, skąd w tej całej aferze wziął się pułkownik, którego stanowisko służbowe wykluczało, według moich wiadomości, jego bezpośrednie zaangażowanie w jakiegokolwiek sprawy. Kapitan nie robił z tej kwestii tajemnicy.

- Pułkownik interesuje się tym, można powiedzieć, prywatnie - wyjaśnił na moje pytanie. - Ma szczególną, osobistą awersję do przemytu dzieł sztuki i życzy sobie być informowany na bieżąco. Zdaje się, że najchętniej prowadziłby to sam, bo jest wyjątkowo na nich cięty, ale brakuje mu czasu.

Co do wydarzenia z paczką, szczerze wyznał, że sam tego nie rozumie. Obleciał dom, obsypał proszkiem na odciski palców wszystkie zabytki z komodą włącznie, kazał mi to posprzątać, otworzył zamkniętą szufladę sekretarzyka, wspólnie stwierdziliśmy, że jest pusta, po czym przystąpił do załatwiania interesów.

- Jak państwo uzgodnili z nimi kwestię ich powrotu? - spytał. - Jest jakaś umowa? Termin, telefon, spotkanie?

Pytanie zaskoczyło nas niebotycznie. Obydwoje z mężem zgodnie wytrzeszczyliśmy na niego oczy, potem zaś spojrzeliśmy na siebie.

- O rany Boga, nie wiem - powiedział mąż, spłoszony. - Przeoczyłem to. Ty jak?

- Identycznie - powiedziałam niepewnie. - W ogół nie było o tym mowy. Miałam wrażenie, że się jakoś zgłoszą... Nie, uczciwie mówiąc, nie miałam żadnego wróżenia...

Kapitan patrzył na nas wzrokiem pełnym niedowierzenia. Uczynił gest, jakby chciał popukać się palcem w czoło i powstrzymał się, zapewne przez uprzejmość. Zimno mi się zrobiło na myśl, że przez to idiotyczne niedopatrzenie mogę być skazana na pozostawanie w skórze Basieńki do końca życia.

- Wiecie, państwo - powiedział tonem, pełnym nagany - gdybym do tej pory miał jeszcze jakieś wątpliwości czy przypadkiem nie bierzecie w tym udziału, teraz bym się ich pozbył ostatecznie... Ile jeszcze?

- Co, ile jeszcze...

- Tej zabawy w Maciejaków. Czasu, ile jeszcze. Pięć dni, tak?

- No pięć. Chyba pięć?... Potem się jakoś przecież zgłoszą...

- A jak nie, to co?

- Musiałem chyba do reszty zgłupieć - powiedział mąż z ponurym obrzydzeniem. - Trzy tygodnie i trzy tygodnie, a jak to potem odkręcić, ani słowa! Zaćmienie umysłu...

- Na litość boską, oni chyba jeszcze nie uciekli? - spytałam z przerażeniem. - Muszą wrócić, inaczej po diabła by im to było...

Kapitan kręcił głową w zadumie.

- Nie, uciec to oni jeszcze nie uciekli - zawyrokował. - Za te pięć dni prawdopodobnie nagle się znajdą. Ale w tej sytuacji nie możemy nic uzgodnić i będziecie mnie informować o każdym wydarzeniu. Cokolwiek się przytrafi, proszę dzwonić, ale tak, żeby was nie było widać przez okno. Telefon postawić niżej...

Pozostali dwaj hydraulicy ograniczyli swoją działalność do terenu kuchni i własności kacyka. Nie kryli swego niezadowolenia, okazało się bowiem, że większość odcisków palców na arcydziełach udało nam się bardzo porządnie zamazać. Rekonstrukcja rozdłubanych fragmentów była niezbędna, na miejscu niemożliwa, oświadczyli zatem, że zabierają całość aż do jutra i jutro rano odniosą z powrotem. Oznaczało to, że roboty wodociągowo-kanalizacyjne w domu państwa Maciejaków nieco się przeciągną i trzeba będzie uzgodnić zeznania, jakie im później złożymy w tej mierze.

Nazajutrz ekipa hydrauliczna, złożona z osób już tylko dwóch, przyniosła w skrzynce z narzędziami kacykowe precjoza naprawione tak pięknie, że mi oko zbieleło. Nie było na nich

ani śladu naszej niszczycielskiej działalności. Pełen zachwytu mąż pogawędził z nimi chwilę za pomocą wzorów chemicznych, po czym zostaliśmy przypilnowani, żeby zapakować paczkę dokładnie tak, jak było. Mąż otrząsnął się z euforii i nieco zaniepokoił.

- Panowie zostawili to złoto tam w środku? - spytał nieufnie, ważąc jeden świecznik w rękę. - I te rzeczy w obrazach? A jak to zginie, to co?

- Może się pan nie martwić, nie pańska głowa - odparł jeden z rzemieślników uspokajająco. - Co tam jest, to tam jest, już my tego pilnujemy.

- Ty głupi jesteś, pewnie włożyli fałszywe - powiedziałam po ich wyjściu. - Według moich wiadomości prawdziwe muszą być warte co najmniej z dziesięć tysięcy dolarów. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie tyle ryzykował. Co za szczęście, że tak ostrożnie to odwijaliśmy...!

Paczka dla kacyka wróciła do własnej postaci i czekała swego losu w kuchni pod stołem. Nie wiadomo, dlaczego akurat to miejsce wydawało nam się najbezpieczniejsze. Głównym powodem do niepokoju stała się teraz niepewność co do naszego powrotu do własnej postaci i byliśmy bliscy tego, żeby zazdrościć paczce. Obawy, że państwo Maciejakowie wytrzymają nas tak jeszcze przez następni trzy tygodnie, a kto wie, czy nie trzy lata, wydawały się realne i doprowadzały nas do desperacji. Wiadomo było że milicja nie zwolni nas z posterunku aż do końca afery Mąż zgłupiał ze zdenerwowania do tego stopnia, że zanieczył podstawowe obowiązki.

- Co tak siedzisz? - spytałam z gniewem podczas ostatniej, przewidzianej umową podróży do Ziemiańskiego - Ja się będę za ciebie bała?

Przestraszył się natychmiast, co najmniej tak, jakby cierpiał na wszystkie fobie świata, po czym energicznie popukał się palcem w czoło.

- Chyba ci się pomieszało w głowie - powiedział z niesmakiem. - Przecież mieliśmy się wygłupiać na pokaz dla milicji! Skoro milicja i tak wie, o co chodzi, to po diabła mam robić przedstawienie? Sobie a muzom?

- A skąd wiesz, czy ci się kacyk w tej chwili nie przygląda? Skąd wiesz, czy Ziemiański nie spyta Maciejaka, od kiedy mu minęło? Lepiej nie ryzykuj, bo stracisz rozeznanie, co masz robić, a czego nie. Ja na spacer chodzę uczciwie!

Mąż westchnął ciężko i zaprezentował wybuch paniki, co przyszło mu o tyle łatwo, że zajęta strofowaniem go, o mało się nie władowałam pod ciężarówkę. W razie czego byłaby wina ciężarówki, a nie moja, katastrof jednakże nie mieliśmy w programie.

Na spacer istotnie chodziłam uczciwie, jeśli pominąć wplątane weń moje prywatne sprawy. Prywatne sprawy zaczynały mnie niepokoić. Blondyn wydawał mi się stanowczo za mądry, zgoła wszechwiedzący, ponadto postępowanie jego było niepojęte. Od początku podkreślał swój brak czasu, a równocześnie godziny całe spędzał ze mną na tym skwerku bez żadnego racjonalnego uzasadnienia.

Zacząłam się wreszcie zastanawiać, że coś w tym musi być.

Pogoda się zepsuła, zrobiło się zimno, wiał przenikliwy wiatr. Siedziałam na ławce, zamyślona tak głęboko, że straciłam z oczu świat. Blondyn mieszał mi się z kacykiem, rodziny przemyt z marzeniami o kradzieży dzieł sztuki w krajach zachodnich, wątpliwy romans Basieńki z moją własną biografią. Myśl, że on mnie tu pilnuje z ramienia pana Palanowskiego, nasuwała się coraz natrętniej i razem wzięwszy miałam w głowie absolutny młyn. Ocknęłam się chyba po godzinie, prawdopodobnie specjalnie po to, żeby ujrzeć, jak nadchodzi.

Zbliżył się do mojej ławki, uklonił się i zwolnił. Nie wyglądał na złoczyńcę. Mój zapraszający gest wykonał się sam, całkowicie bez udziału świadomej woli. Na szafocie gotowa byłabym przysiąc, że nie uczyniłam z premedytacją nic w kierunku zacieśnienia więzów!

- Taka pani jest zamyślona, że zauważyła mnie pani dopiero, kiedy kłaniałem się trzeci raz - powiedział z zainteresowaniem. - Czy coś się stało? Może mógłbym pani być do czegoś przydatny?

Z niewiadomych przyczyn w jego towarzystwie ciągle mówiłam nie to, co chciałam powiedzieć. Mój odstrzał byków najwidoczniej trwał.

- Nie wiem - odparłam bez zastanowienia. - To znaczy wiem, że z pewnością, ale zależy do czego. Chwilowo tonę w problemach, z którymi muszę poradzić sobie sama. Nie będę ukrywać, że wchodzi pan w zakres zagadek do rozgryzienia, i czuję, że już mnie zęby bołą.

- Przynajmniej w tym jednym mógłbym chyba wziąć udział? To znaczy, nie w bólu zębów! Nie wiem, co zagadkowego widzi pani we mnie, ale chętnie to rozjaśnię. Czy pani nie zimno?

Zimno mi było przeraźliwie. Po przeszło godzinnym siedzeniu bez ruchu wilgotny wieczór przemknął mnie na wylot, zaczynałam właśnie dźwięcznie poszczekiwać zębami. Wszelkie grypy i anginy nie wchodziły w rachubę w najmniejszym stopniu, ale niepokoila mnie myśl o trupim kolorycie, jakiego moje oblicze musiało niewątpliwi nabrać. Niechże już wyglądam jak Basieńka, skoro jest to niezbędne, nie muszę być jednakże przy tym sinozielona

Zdradliwy podstęp pana Palanowskiego zdejmował z mnie niejako obowiązek ścisłego trzymania się umowy, bez wahania wyraziłam zatem zgodę na wypicie kawy w pałacyku Szustra. Wprowadzanie rewolucji w obyczaje Basieńki w zaistniałej sytuacji nie było może posunięciem najrozsądniejszym, ale w wieku siedemnastu lat poprzysięgam sobie, że nigdy w życiu nie będę rozsądna i przysięgi te udawało mi się dotrzymać.

Usiadłam przy stoliku i przyjrzałam mu się wreszcie z bliska w pełnym świetle. Nie nosił baków i nie zaczął od proponowania mi alkoholu. Nawet, gdyby nie było innych przyczyn, już samo to wystarczało, żeby się nim interesować.

Patrzyłam na niego i patrzyłam, i nagle zaczęłam sobie uświadamiać, że coś tu jest nieopisanie dziwnego i nie w porządku. Coś tu nie tyle nie gra, ile gra za dobrze. Jakaś część mojej otumanionej duszy ocknęła się z letargu

- Do kompletu powinien pan jeszcze mieć na imię Marek - powiedziałam z lekkim roztargnieniem, bardziej o siebie niż do niego.

Spojrzał na mnie z nagłym zastanowieniem.

- Tak się składa, że mam na imię Marek - powiedział powoli po chwili. - Skąd pani to wie?

Zamurowało mnie. Znałam go pięć dni. Pięć dni, które wstrząsnęły światem... No nie, niezupełnie tak, światem może i nie wstrząsnęły, mną na pewno... Nie do wiary...!

Nierealność sytuacji oszołomiła mnie całkowicie. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, co się dzieje, nie pojmując, jak mogło to nie dotrzeć do mnie od początku. To wszystko było nieprawdopodobne i niemożliwe, takie rzeczy się w życiu nie zdarzają. Ten człowiek nie istniał. Nie mógł istnieć. Nie miał prawa istnieć w rzeczywistości, ponieważ ja go wymyśliłam...!!!

Na blondynów zaczęłam się przedstawiać od czasu, kiedy atramentowa czerń mojego pierwszego, w dzieciństwie wymarzonego, romansu uległa niejakiemu rozjaśnieniu. Miałam z nimi ciężki krzyż pański i rozmaite przypadłości, nigdy takie, jakich sobie życzyłam.

Określony typ ustabilizował mi się dawno temu, na przyjęciu sylwestrowym u mnie w domu, kiedy jeden z przyjaciół we wczesnych godzinach porannych przyprowadził mi znienacka dodatkowego gościa, obcego faceta, blondyna wstrząsającej urody. W smokingu. Doprowadzony wydał mi się tak szalenie piękny i tak absolutnie w moim typie, że niemal zabrakło mi tchu. Przyjęłam jakieś tam uprzejme wyrazy, przetańczyłam z nim kilka upojnych tang, pożegnałam go i do dziś dnia nie mam pojęcia, kto to był.

Ów przyjaciel, który go przyprowadził, był tak pijany, że nic nie pamiętał. Nagabywany później kilkakrotnie przeze mnie, snuł różne przypuszczenia, ale jakoś nigdy nie sprawdził ich słuszności. Blondyna prawdopodobnie w ogóle bym nie poznała, nie utkwily mi bowiem w pamięci rysy jego twarzy, tylko ów ogólny typ, który latami błąkał mi się po życiorysie w charakterze nie zrealizowanego marzenia.

Zwykła złośliwość losu sprawiła, że wszyscy, na których natrafiałam, mieli czarne włosy albo ciemne oczy, albo coś tam innego w twarzy, w nosie, w zębach... wszystko jedno, coś, o



czym inne kobiety, być może, marzą w bezsenne noce, a co dla mnie ciągle nie było TYM. Ja chciałam mojego blondyna.

Straciwszy w końcu na niego wszelką nadzieję, pozwoliłam rozbestwić się wyobraźni. Z doświadczenia wiedziałam, że jeśli sobie coś wyobrazę dokładnie i ze szczegółami, jeśli nastawię się na to, nigdy mnie to nie spotka. Przytrafi się coś innego, będzie zupełnie inaczej, a jeśli nawet tak samo, to wypaczone, skarykaturyzowane złośliwością losu. Gdybym zatem nie straciła nadziei, za nic w świecie nie wygłupiłabym się tak, żeby sobie cokolwiek precyzyjnie imaginować.

Nieosiągalnego blondyna wymyśliłam bardzo dawno temu i od razu stało się jasne, że coś takiego po prostu nie może istnieć na świecie. Gdyby nawet istniało, to ja tego nie spotkam, a jeśli spotkam, to bez żadnych skutków dla siebie. Zwyczajnie, nie zwróci na mnie uwagi i cześć.

Mogłam sobie zatem pozwalać. Latami uzupełniałam i upiększałam piastowany w duszy obraz, latami zmieniałam mu cechy, dodawałam zalet, tworzyłam osobowość, aż wreszcie nabrał jakiejś ostatecznej formy, takiej, której już nic dodać, nic ująć.

W skrócie rzecz biorąc, miał być następujący: wzrostu powyżej metr osiemdziesiąt, postury proporcjonalnej, broń Boże nie gruby, ale i nie chudły, z niebieskimi oczami i twarzą o rysach w tym pamiętnym dla mnie typie. Żadnych cofniętych bród, niedorozwiniętych szczęk, ani nic w tym rodzaju! Sprawny fizycznie w stopniu nieosiągalnym dla normalnych ludzi, bo skoro moje wymagania miały się nie spełnić, mogłam sobie nie żałować. Miał pływać, jeździć na nartach, wiosłować, strzelać, prowadzić samochód i odrzutowiec, lać w morde, rzucać nożem, nosić mnie na rękach i diabli wiedzą, co jeszcze. Ogólnie biorąc, wszystko. Miał posiadać wykształcenie nie do zdobycia w okresie przeciętnego życia ludzkiego, zarazem techniczne i humanistyczne, a przy tym jakąś obłądną ilość wiadomości w niezliczonych dziedzinach. Także znajomość języków obcych. Miał być nieprzeciętnie inteligentny i mieć szalenie poczucie humoru. Miał posiadać nieco chyba wypaczony gust, cenić sobie nade wszystko co osobliwsze cechy

mojego charakteru, moje wady uważać za zalety, wielbić zalety i energicznie na mnie lecieć. Stan cywilny ustaliłam łatwo, miał być rozwiedziony, ewentualne posiadane przez niego dzieci były mi obojętne, z zawodem miałam straszne kłopoty. W zasadzie powinien być dziennikarzem, ale tego mi było za mało. Powinien też być współpracownikiem, broń Boże nie etatowym, raczej dorywczym, rozmaitych instytucji, milicji, MSW, kontrwywiadu i jeszcze czegoś, co zapewne w ogóle nie istnieje. Na domiar złego miał być równocześnie młody i starszy ode mnie. Jakim cudem to wszystko razem mogłoby się zebrać do kupy, nie mam i nigdy nie miałam pojęcia.

No i diabli nadali, po latach namysłu i wahań zdecydowałam, że na imię powinien mieć Marek...

Siedziałam przy stoliku i patrzyłam na nie istniejący płód mojej obłąkanej imaginacji, a w środku miałam wyłącznie granitową, niezłomną niewiarę w rzeczywistość. Coś tu musiało być nie tak, takie rzeczy są naprawdę niemożliwe, powinien chyba rozwiać się zaraz w powietrzu, okazać duchem, ewentualnie może mnie zamordować...

- Umie pan pływać, oczywiście? - spytałam zniecka, czując budzącą się we mnie pretensję, nie wiadomo, do niego czy do losu.

- Umiem - odparł z łagodnym rozbawieniem, nie okazując zaskoczenia. - Jeśli chodzi o wodę, umiem chyba wszystko. Można powiedzieć, że jest to mój ulubiony żywioł.

- Umie pan jeździć na nartach?

- Bardzo dawno nie jeździłem, kilka lat...

- Umie pan zapewne także strzelać? To znaczy, trafia pan w to, w co pan chce trafić?

- No, raczej tak...

- Prawo jazdy pan ma?

- Mam, ale...

- Pilotować te takie różne w powietrzu pan umie?

- Niektóre. Natomiast ze wszystkich umiem skakać z spadochronem.

Pretensja we mnie rosła w dość dużym tempie.

- Fechtować się pewno też pan potrafi? - powiedziałam beznadziejnie. - Mam na myśli te różne szpady, szable i inne bagnety?

- Owszem, kiedyś mi to nawet dość niezłe wychodziło. Czy można wiedzieć, po co pani ten egzamin? Należy do sposobów rozgryzania?

Patrzyłam na niego przez chwilę niedowierzająco, pełna oburzenia, niepewna, co właściwie mam z tym fantem zrobić.

- A zatem pana nie ma - powiedziałam stanowczo. - Nie wiem, czy pan sobie zdaje z tego sprawę, że nie może pan istnieć naprawdę.

- Na Boga, dlaczego?

- Ponieważ ja pana wymyśliłam. Bardzo dokładnie wymyśliłam akurat coś takiego jak pan. Zdaje się, że z wyjątkiem jednej jedynej cechy, posiada pan wszystkie inne i ja osobiście uważam to za jakiś głupi i niezrozumiały dowcip. O tyle zresztą przerasta pan moje wyobrażenia, że miał pan być nieco mniej piękny, w naturze pan trochę przesadził. Czy został pan może sztucznie zrobiony?

- Nie wydaje mi się. Raczej mam wrażenie, że zostałem zrobiony w sposób zupełnie naturalny. Ciekaw jestem bardzo, jakiej to cechy mi brakuje?

Przyglądał mi się z zaciekawieniem, trochę rozbawiony, a trochę jakby zdegustowany. Nie miałam najmniejszego zamiaru wyjawiać mu, że ową cechą, której nie posiada, jest niewłaściwy stosunek do mnie. Nie leci na mnie energicznie...

- Sytuację mogłoby teraz uratować tylko jedno - oświadczyłam, pomijając jego pytanie. - Powinien pan okazać się bandytą, przestępcą, zgoła zbrodniarzem i zadźgać mnie pod jakimś krzewem któregoś ciemniejszego wieczoru. Wówczas uznałabym, że wszystko idzie właściwą rzeczy koleją, świat stoi na swoim miejscu, a rzeczywistość nie popęła dzikich wybryków.

- Naprawdę bardzo mi przykro, że nie mogę zadowolić pani w tej mierze. Nie jestem przestępcą, ani tym bardziej zbrodniarzem, i do zadźgania pani odczuwam żywą niechęć. Czy nie dałoby się jakoś bez tego obejść?

- Nie wiem. Może to się czymś zastąpi... Właściwie nawet dość łatwo było domyślić się, czym.

Zajmował się tu mną nie bez powodu i nie miało już najmniejszego znaczenia, w czyim imieniu to czynił, pana Palanowskiego czy pułkownika. Obaj jednakowo byłiby zdegustowani moimi odstępstwami od roli Basieńki, która to rola stała mi się już do reszty kamieniem młyńskim u szyi. Gdybym nie wrębała się w tę całą romansowo-przemysłową mierzwę, mogłabym teraz swobodnie, we własnej postaci, na gruncie całkowicie prywatnym, badać szczegóły żywego tworu mojej wyobraźni. Mogłabym w sposób dowolny dociekać tajemnic jego egzystencji, bez obaw, że zaszkodzę tym nie tylko sobie, ale także państwowej instytucji, która nie omieszka pobłogosławić mnie za dociekliwość. No i wyglądałabym jednak nieco inaczej...

Przyglądał mi się tak, jakbym wyglądała zupełnie inaczej.

- Potrafię także doić kozy - poinformował mnie uprzejmie. - Jeśli interesuje panią pełny wachlarz, moich umiejętności...

- A krowy? - spytałam mimo woli.

- Krowy łatwiej.

- Nawet gdyby umiał pan doić hipopotamy, to mi nie tłumaczy, dlaczego pan właściwie spaceruje po tym parszywym skwerku. Żadnej rogacizny tu nie ma....

- Hipopotamy to nie rogacizna.

- Matko Boska! No więc nosorożce, wszystko jedno! Też ich tu nie ma. Dawno się już zastanawiam, co pan tu robi. Mieszka pan w pobliżu?

- Owszem, parę ulic dalej.

- Długo?

- Zaraz, niech się zastanowię... jakieś trzynaście lat. Myśl, że sama tu mieszkam piętnaście i niepojęte jest, jakim cudem mogłam go do tej pory ani razu nie spotkać, sprawiła, że na moment straciłam wątek. Z wysiłkiem wróciłam do tematu, zdecydowana narazić się na najgorsze, byle tylko rozstrzygnąć chociaż część wątpliwości.

- I bywa pan tu systematycznie? Ciekawa jestem, czy nie zauważył mnie pan wcześniej, na przykład ze dwa miesiące

temu, albo może w zeszłym roku. To nie znaczy, żebym uważała, że koniecznie muszę się rzucić w oczy, ale przypadkiem...?

Milczał tak długą chwilę, że aż mnie zaczęło coś dławić.

- Spaceruję tu od niedawna - powiedział wreszcie. - Lubię myśleć chodząc, a ten skwerek mam po drodze... Zauważyłem panią, owszem, kilkakrotnie...

Znów zamilkł. Dławienie zintensyfikowało. Zaraz mi rąbnie, że to wcale nie byłam ja...

- Odniosłem dziwne wrażenie - powiedział z namysłem. - Jakby się w pani coś zmieniło. Dwa miesiące temu wyglądała pani jakoś inaczej, przy czym nie umiem sobie wyjaśnić, na czym polega różnica. Szczerze mówiąc, cały czas mam ochotę panią o to zapytać, ale nie wiem, czy to nie będzie z mojej strony natręctwo?

Brzmiało to szczerze. Tak szczerze i tak niewinnie, że zamilkłam. Pchało mnie do wyjawienia prawdy z siłą cyklonu. Powstrzymałam się ostatkiem sił, czując równocześnie, że łągarstwo mi przez usta nie przejdzie. Zapomniałam, że nie on o mnie miał się dowiadywać, tylko ja o nim.

- Czy pan musi być taki spostrzegawczy? - spytałam z wyrzutem. - Moim zdaniem wówczas byłam lepsza, a ostatnio wzrosła mi bystrość umysłu. Widocznie odbija się to na całej reszcie.

- Właśnie tak mi się wydawało, ale nie ośmieliłem się tego powiedzieć. Czy ta wzmożona bystrość umysłu odbija się na całym pani zachowaniu i postępowaniu, czy też ogranicza się do spaceru i terenu skwerka?

- Nigdy w życiu nie prowadziłam równie niewygodnej rozmowy! - wyrwało mi się z całego serca, zanim zdążyłam się pohamować.

- Sama ją pani zaczęła.

- No dobrze, ale zaczęłam ją, żeby się dowiedzieć czegoś o panu! Pan mi tu wykręca kota ogonem i dowiaduje się o mnie!

Znienacka wypadł w szampański humor.

- Czy pani przypadkiem nie chodzi o to, żeby się dowiedzieć nie czegoś o mnie, tylko tego, co ja wiem o pani? Właśnie nic nie wiem i też się chcę dowiedzieć.

- Teraz pan łyże, aż ziemia jęczy - powiedziałam z niesmakiem. - Jak pan to godzi z tym wstrętem do zakłamania, który prezentował pan przedwczoraj...

- A pani? - odparł natychmiast i zamurował mnie do reszty.

Zamknęli kawiarnię, wyszliśmy, odblokowało mnie, oczywiście już wcześniej, rozmawialiśmy dalej i melanz w moich uczuciach doszedł do zenitu. Blondyn, i to taki blondyn, Chryste Panie, co za koszmar mnie czeka tym razem...?!

Z otumanienia wyrwał mnie dopiero dziki ryk Polskiego Radia. Mąż jeszcze nie spał, siedział w salonie, przyszywał sobie guziki do koszuli i słuchał programu trzeciego. Szyby drżały.

- Czego tak ryczysz, rany boskie? - spytałam z irytacją. - Głuchy jesteś czy co? Słuchasz tych pudeł, jakbyś rozwał mury Jeryha. Musisz tak?

- No pewnie, że musze, a coś ty myślała? - odparł z urazą. - Maciejak mi kazał. Sam tego nie znoszę, uszy puchną, ale on tak lubi. Kazał mi ryczeć codziennie, a najmarniej co drugi wieczór...

Mówił coś jeszcze, ale nie słuchałam i uciekłam na górę. Musiałam się w końcu zdecydować, czy państwo Maciejakowie wydają mi się najobrzydliwszymi ludźmi świata, ponieważ wrąbali mnie w bagno moralne, które zatrzuwa mi życie, czy też przeciwnie, robią wrażenie istot niebiańskich, ponieważ zmusili mnie do spacerów po skwerku...

Nie wiadomo, dlaczego jakoś łatwiej mi było godzić się na to drugie...

\*

Dość późnym popołudniem zadzwonił telefon. Był to dźwięk, który w tym domu rozlegał się dostatecznie rzadko, żeby budzić eksplozję paniki. Obydwoje z mężem, jak dziad i baba, nakłanialiśmy się wzajemnie do podniesienia słuchawki,

snując równocześnie pośpieszne spłoszone przypuszczenia, co to może być. Moja skłonność do ryzykanckich czynów sprawiła, że załamałam się pierwsza.

- To ty, Basieńko? - usłyszałam czuły, konspiracyjny głos. - Tu Stefan Palanowski...

Słuchawka nie wypadła mi z ręki tylko dlatego, że zdrętwiałam, ściskając ją kurczowo. Głos był dość charakterystyczny, poznałam go i w pierwszej chwili pomyślałam, że pan Palanowski zwariował. Zapomniał o wymianie i bierze mnie za Basieńkę. Następnie przeleciało mi przez głowę straszne podejrzenie, że mistyfikacja została już zakończona, o czym ja nic nie wiem, a wracając do domu Basieńkę gdzieś po drodze zamordowano, o czym z kolei pan Palanowski nic nie wie. Ewentualnie przyskrzypił ją kapitan, o czym nikt nic nie wie. Następnie zakwitła we mnie nadzieja na koniec udręk, dzięki czemu odzyskałam zdolność mowy.

- Tak, to ja - powiedziałam ostrożnie i z lekkim wahaniem. - Słucham...

- Co słyhać, kochanie? Dzwonię z Bydgoszczy, niedługo wracam, czy jesteś sama? Twojego męża tam nie ma, możesz rozmawiać?

- Mogę, oczywiście, nie ma go - odparłam, patrząc na męża, który gestami usiłował dowiedzieć się, czego dotyczy telefon, wciąż niepewna, czy pan Palanowski pozostaje przy zdrowych zmysłach i za kogo mnie uważa.

- Co słyhać, mój skarbie? Taki masz smutny głosik, czyżby jakieś kłopoty? Przytrafiło ci się może coś nieprzyjemnego?

Nacisk, dźwięczący w niewinnym pytaniu, nasunął mi myśl, że pan Palanowski za pomocą czułego szczebiotu usiłuje dowiedzieć się, czy wszystko w porządku. Obawy przed ewentualnym podsłuchem telefonicznym każą mu uciekać się do podstępów, utwierdzających przy okazji ów podsłuch w przekonaniu, że Basieńka to ja.

- Nie, nic - odparłam. - Wszystko w porządku. On się zachowuje zupełnie przyzwoicie, nie ma żadnych zadrążeń.

- To chwała Bogu! A jak te twoje krany, kochaniatko? Te, co przeciekały? Wzywałaś hydraulików? Naprawili ci?

W mgnieniu oka wyrwało mnie ze stanu niezdecydowanego osłupienia. Więc jednak mają nas na oku, widzieli hydraulików, pan Palanowski nabrał podejrzeń!... Za wszelką cenę trzeba go ich pozbawić, trzeba go zawiadomić dyplomatycznie o wydarzeniach, umówić się z nim, wejść w rolę osoby, która nic nie wie i bezmyślnie czeka, aż prawdziwa pani domu wróci na swoje miejsce, a przede wszystkim trzeba się zmobilizować i skupić...

Natchnienie zabłysło we mnie nagle, jak zorza polarna.

- Z kranami były straszne rzeczy - powiedziałam z urazą. - To wcale nie krany, w kuchni zaczęło przeciekać i okazało się, że pękła rura pod spodem. Musieli wymienić.

- A czy to ty ich wzywałaś, skarbie mój, czy może przyszli z własnej inicjatywy?

- Jeszcze jak żyję nie widziałam hydraulików, którzy by przyszli z własnej inicjatywy - powiedziałam z mimowolnym rozgoryczeniem. - Oczywiście, że ich wzywałam i to nawet dwa razy. Ciekło okropnie!

Mąż patrzył na mnie zdumionym wzrokiem. Pośpiesznie usiłowałam wyobrazić sobie, co bym mówiła, gdybym pozostawała w stanie pierwotnej nieświadomości. Pan Palanowski, uspokojony w kwestii hydraulików, kłaskał czule w telefon.

- Zaraz - przerwałam. - Mam tu inny kłopot. On mi chyba robi na złość. Przynieśli paczkę, którą miał szybko dostarczyć i do tej pory tego nie zrobił. Zwała na mnie, a ja się nie chcę wtrącać do jego interesów.

Pana Palanowskiego jakby zatchnęło.

- Dla kogo ta paczka, kochanie? Gdzie ją dostarczyć?

- Jakiemuś kacykowi. Płacze mi się pod nogami. Nie wiem, co mam z nią zrobić.

Ten sposób zasygnalizowania nieprzewidzianych wydarzeń wydawał mi się najbezpieczniejszy. Istniała możliwość, że dostanę jakieś instrukcje, które wyjaśnią coś więcej i zgubią przestępczą szajkę, poza tym moje milczenie na ten temat byłoby podejrzane, miałam bowiem prawo do pretensji. Popołniono niedopatrzenie, nie uprzedzono mnie...



Pan Palanowski złapał drugi oddech.

- Nic nie rób, skarbie mój, nic nie rób. Nie ulegaj jego życzeniom. Jeśli to pilne i jeśli ta jakaś osoba na to czeka, to się zapewne sama zgłosi. W razie czego on będzie odpowiadał, nie ty.

Ze złośliwą uciechą wykrzywiłam się do słuchającego męża, ha miגי pokazując mu, że dostanie po pysku. Pan Palanowski, zaskoczony widocznie przesyłką dla kacyka zakończył rozmowę tak pospiesznie, że nie zdążyłam poinformować go o włamywaczu. Nie zdążyłam też uzgodnić szczegółów zakończenia imprezy, ale odniosłam wrażenie, że bardzo rychło zgłosi się ponownie.

- Co to było? Kto dzwonił? - dopytywał się mąż niecierpliwie.

- Wielbiciel Basieńki. Zapowiedział, że ci strzela kopa za paczuszkę. Dał mi do zrozumienia, że powinieneś ją dostarczyć bez mojego udziału.

- Zgłupiał czy co? - zdenerwował się mąż. - Niech oni się lepiej ode mnie odwalą! A w ogóle jak się to wszystko skończy, niech skonam, dam temu Maciejakowi po mordzie! Temu twojemu gachowi też mogę dać, czego on jeszcze chciał?

- Zaraz, muszę zawiadomić władze. Możesz słuchać, to się dowiesz przy okazji.

Kapitan bardzo się ucieszył, kazał sobie powtórzyć konwersację z amantem dwa razy, zgodził się z moimi przypuszczeniami, że ktoś się zgłosi po przekłętą paczkę, i nakazał ją wydać bez oporu. Niespokojnym głosem jeszcze raz ostrzegł, że przestępcy mogą nam zrobić coś złego i że musimy się liczyć z gwałtownym rozwojem wydarzeń. Sama już nie wiedziałam, czy bardziej mnie zaciekawil, czy przestraszył.

- Ciekawe, swoją drogą, ile tego jest - powiedział mąż w zadumie. - My znamy trzy sztuki...

- Czego ile jest?

- Tych przestępców. Czy to jest jakaś kameralna impreza, czy całe przedsiębiorstwo? Osobiście znamy tych troje, ale jest jeszcze kacyk. Nie wiadomo, z ilu osób się składa. I ten artysta, który tak pięknie zamaskował drogocенności...

- Według mojego rozeznania, razem wzięwszy, musi ich być dość dużo. Co cię to obchodzi? Nie ty ich będziesz łapał.

- Ale w razie czego na mnie będą polować. Nie wiem, kogo mam się wystrzegać, jednego złapią, a drugi da mi w globus na ciemnej ulicy. Dlaczego uważasz, że musi ich być dużo?

- Bo jeżeli odnaleźli i przemycają to coś, co ukrył baron von Dupersztangiel... '

- Baron von co...?!

- Dupersztangiel. Och, wszystko jedno, jakoś tam się przecież nazywał. Ten szkop, który zbierał dzieła sztuki po zwyciężonych krajach, mówiłam ci przecież!

- A...! To co?

- To musi być do tego niezły łańcuszek. Ktoś to znalazł, wątpię, czy Basienka, ktoś pośredniczy, ktoś oblepia gliną, przewozi, kontaktuje się z ludźmi, nie wiem, co tam jeszcze, bo nie mam w tej dziedzinie doświadczenia. Ale oczyma duszy widzę tego cały tabun.

Mąż szarpał włosy na głowie, intensywnie myśląc.

- A nie uważasz, że ten kacyk to może być właśnie ten baron von Dupersztangiel? - powiedział tajemniczo. - Mnie on pasuje.

- Musiałby mieć najmarniej osiemdziesiąt pięć lat. Ale nawet jeśli, to co?

- To po pierwsze, to jest bezwzględny zbrodniarz, który naszego zdrowia oszczędzać nie będzie, i ja się boję. A po drugie może powinniśmy go sami złapać, żeby się zrehabilitować? Ciągle mam wątpliwości, czy nas nie podejrzewają o współudział.

- Już się rozpędziłam, żeby gołymi rękami łapać bezwzględnego zbrodniarza. Wyjątkowo wolę to zostawić milicji.

- Ja nie wiem, czy od tej milicji nie wymaga się za dużo...

Przyjrzałam mu się z zaciekawieniem, bo mówił takim głosem, jakby opętało go z nagłą prorocze natchnienie. Zainteresowało mnie, co też może mieć na myśli.

- Każdy chciałby, żeby milicja załatwiła wszystko - ciągnął z posepnym zapalem. - Byle co się przytrafi i już drą się "Milicjaaaa...!" w dzień czy w nocy. A niech się radiowóz spóźni

albo bandzior ucieknie, jakie krzyki! A jak pomóc, to nie ma komu.

Zdziwiłam się, bo sama bardzo chętnie służyłabym milicji wszelką pomocą.

- Sprzecyzuj przystępniej, o co ci chodzi - zaproponowałam. - Co znaczy pomóc i jak to nie ma komu?

- Tak zwyczajnie. Bo, rozumiesz, ja sam się głupio czuję, a niesłusznie. Donosiciel, czy ja jestem donosiciel? A niech tak kto spróbuje z własnej inicjatywy zawiadomić, że jego znajomy... albo i nieznajomy, wszystko jedno, kradnie, przemyca, kantuje czy ja wiem, co tam robi, cokolwiek szkodliwego, od razu co się mówi? Donos! Zrobił donos, ostatnia świnią i koniec. Ja nie wiem, te świnię trzeba chyba jakoś rozgraniczyć, bo co ta milicja jest Duch Święty? Skąd mają coś wiedzieć, jeśli im nikt nic nie powie? No co, dobrze mówię?

Przyznałam, że dobrze, bo też mnie niekiedy męczył ten problem, ale nie zdążyłam wdać się w szczegółowsze rozważania. Mąż był w rozpędzie.

- Albo uprzejmość! Ile jest pyskowania, że milicja jest nieuprzejma, że gburowata, że jak się odnosi! A milicjant to co, nie człowiek? I nerwy ma, i pomylić się może!...

Tu mogłam zaprotestować bez chwili namysłu.

- Nic podobnego - przerwałam stanowczo. - Pyskują ci, którzy sami są gburowaci albo mają kolizje ze Służbą Ruchu. Czepiałam się milicji w najdziwniejszych okolicznościach i wymagałam najdziwniejszych przysług i jeszcze nigdy mnie nie zawiedli. Nieuprzejmego milicjanta spotkałam jeden raz w życiu. Co prawda akurat w momencie, kiedy właśnie należała mi się największa uprzejmość ale to już tak jest. Od mojej mamusi też dostałam lanie tylko raz w życiu, akurat wtedy, kiedy byłam doskonale niewinna. Smyczą od psa.

- Co? - zainteresował się mąż mimo woli. - Smyczą od psa?

- Smyczą od psa. Zawinił mój ojciec, przez roztargnienie, ale lanie dostałam ja. Wsio normalne.

- A dlaczego smyczą od psa?

- Bo leżała pod ręką.

- Jakiego?

- Co jakiego?

- Psa.

- Owczarka podhalańskiego. O rany boskie, odczep się już od psa, mówiliśmy o świniach!

Mąż przez chwilę wyglądał tak, jakby usiłował wyobrazić sobie smycz od świni.

- A...! No właśnie, więc to trzeba rozgraniczyć. Kiedy to jest donos, a kiedy zwyczajna, przyzwoita pomoc. Bo ja jestem przeciwny donosom, ale pomoc popieram. I co teraz?

Problem wydał nam się poważny. Zajęliśmy się rozgraniczeniem nierogaczyny tak dokładnie - że sprawy bliżej nas dotyczące wyleciały nam z głowy. Pan Palanowski przypomniał o sobie dopiero nazajutrz kolejnym telefonem, znów mnie zaskakując, bo w zapale twórczej dyskusji z pomniałam o konieczności uzgodnienia z mężem zeznań.

- Kochaniatko moje, ta paczka ci pewnie przeszkadza? - spytał z troską tkliwy wielbiciel.

Przyświadczyłam, niepewna, czy dobrze robię.

- Po cóż pozwalasz trzymać ją w mieszkaniu? Wynieś ją do warsztatu, szczególnie, jeśli twój mąż złośliwie ci ją podrzuca. A propos, czy ta apretura ciągle tak okropnie cuchnie? - Nie zrozumiałam, co powiedział.

- Jaka apretura?...

- Ta, o której mówiłaś - rzekł pan Palanowski z niezwykłym naciskiem. - Cuchnie i gryzie w oczy. Ciągle to samo?

Pojęcia nie miałam, o co mu może chodzić. Nic nigdzie nie śmierdziało ani nie gryzło.

- Nie wiem - powiedziałam ostrożnie na wszelki wypadek. - Ostatnio jakoś nic nie czuję.

- Przyzwyczaiłaś się, kochanie, to niedobrze. Nie czujesz, ale może ci zaszkodzić. Proszę cię, zrób to dla mnie, nie siedź tam przy zamkniętym oknie. Pamiętaj o wietrzeniu! Najlepiej zostaw okno otwarte na stałe.

Wreszcie pojęłam sens tej czulej troski. Mogłam mu pootwierać na oścież wszystkie drzwi i okna, ale nie miałam ochoty ponosić za to konsekwencji.

- Dobrze, ale ja się boję. Już raz był tu jakiś złodziej czy włamywacz...

- Co takiego...?!

- Złodziej. Włamywacz. Wszystko jedno, jakiś typ. Zakradł się w nocy.

- Jak to, nic mi o tym nie mówiłaś?!

- Nie było okazji. Teraz mówię...

Pan Palanowski zdenerwował się do szaleństwa. Wywnioskowałam z tego, że włamywacz działał we własnym zakresie, bez porozumienia z przestępczą organizacją. Musiałam złożyć szczegółowe sprawozdanie ze straszliwej nocy, po kilkakroć solennie zapewniając, że nie doznałam żadnego uszczerbku na zdrowiu i nie wezwałam milicji Cierpliwie wysłuchałam pocieszających czułości. Pan Palanowski zdecydował w końcu, że mam trzymać okno otwarte przez cały dzień do późnego wieczora, a zamyka je dopiero na noc, przed samym pójściem spać, nie zważa jąc na ewentualne protesty męża. Wyraziłam zgodę, po czym natychmiast zadzwoniłam do kapitana.

- Paczkę dla kacyka chcą rąbnąć z warsztatu o niesprecyzowanej porze dnia - powiadomiłam go. - Amant polecił zanieść ją tam i zostawić otwarte okno. Co pan na to

- Nic. Niech pani zanieś.

- Lada chwila przyleci posłaniec. Co mam robić? Go nić go z krzykiem?

- Ma pani być ślepa, głucha, niema i niedorozwinieta - powiedział kapitan energicznie. - Ten pani mąż też w razie czego dzwonić, ale tak, żeby nikt nie widział. Niech pani lepiej postawi ten telefon gdzieś niżej, bo widać przez okno, jak pani rozmawia.

Wystraszyłam się nieco, postawiłam telefon na podłodze i udzieliłam mężowi stosownych instrukcji. Rozwój sytuacji następował w imponującym tempie, wyglądało na to, że la da chwila coś się zacznie dziać. Ciekawiło mnie to nadzwyczajnie i niewątpliwie zaniedbałabym obowiązki, gdyby nie dodatkowe atrakcje spaceru. Coraz bardziej utwierdzałam się w mniemaniu, że zdumiewający twór mojej wyobraźni musi być

jakoś z tym wszystkim związany i coś mnie przez niego spotka. Najpewniej jakaś wstrząsająca okropność, bo cóż by innego...

Twór wyobraźni przechadzał się po skwerku.

- Uprzejmie proszę, niech mnie pan stąd wypędzi nie później niż za godzinę - powiedziałam na powitanie. - Nie wiem, czy sama wykażę się dostateczną siłą woli, a koniecznie muszę wrócić nie za późno.

- Czy nie za wiele pani ode mnie wymaga? Ma pani do załatwienia coś niemilego, a ja mam panią do tego nakłaniać?

- Przeciwnie, mam do załatwienia coś szalenie atrakcyjnego, co wchodzi w zakres moich aktualnych obowiązków. Prawdę mówiąc, w ogóle nie powinnam tu dziś przychodzić.

- To dlaczego pani przyszła?

- Przez pana. Cały czas oczekuje od pana jakichś niezwykłości, których nie umiem sobie wyobrazić i ciekawość mnie pcha.

- Boje się, że zawiodę pani oczekiwania, żadnych niezwykłości nie mam w planach. Poza tym mówi pani takim tonem, jakby pani aktualne obowiązki różniły się czymś od zwykłych. Wnioskuje z tego, że jest to jakieś wyjątkowe zajęcie, które wkrótce się skończy?

Przyjrzałam mu się potępiająco i z niesmakiem. W końcu, ogłuszona czy nie, zdawałam sobie jeszcze mniej więcej sprawę z tego, co mówię. Aż tyle nie powiedziałam! Wymyślił to sam i doprawdy niemożliwe, żeby tak trafiał ślepym przypadkiem...!

- Na oko budzi pan zaufanie - powiedziałam z ponurym rozgoryczeniem. - A na ucho napełnia mnie pan niepokojem. Jeśli okaże się, że pan mnie oszukuje, dybie pan na moje życie i zdrowie, działa pan na moją szkodę...

- Dlaczego miałbym dybać na pani życie albo działać na pani szkodę? - spytał spokojnie po chwili, nie mogąc się doczekać ode mnie dalszego ciągu. - Czy jest coś, co nasuwa takie przypuszczenia?

- No pewnie, że jest! Robi pan niekiedy takie uwagi, jakby wiedział pan o mnie absolutnie wszystko, a poza tym...

- Możliwe, że wiem.

- Jak to...?

- Zaczęła pani coś mówić dalej, przepraszam, że przerwałem.

Na moment straciłam wątek.

- A poza tym - ciągnęłam, z wysiłkiem przypominając sobie, co chciałam wyjaśnić - te pańskie spacerunki tutaj są podejrzane. To nie jest najpiękniejsze miejsce świata. Po jakiego diabła marnuje pan tu ten swój bezcenny czas Mogę sobie wyobrazić, że pan mnie pilnuje, chce pan wydrzeć ze mnie moje tajemnice, czy ja wiem, co jeszcze...

Odczekał chwilę, ale żadne więcej przypuszczenie nie przyszło mi do głowy.

- Mógłbym na przykład czuwać nad pani bezpieczeństwem - odpowiedział uprzejmie i jakby zachęcająco.

- Nie widzę powodu. Po pierwsze nic mi nie grozi...

- Skoro obawia się pani z mojej strony fałszu i podstępów, to widocznie coś pani grozi.

- Mogę cierpieć na manię prześladowczą. A poza tym... Do mojego skolowanego umysłu dopiero teraz dotarło to, co mówił.

- Co? - spytałam, zaskoczona. - Wszystko pan o mnie wie i czuwa pan nad moim bezpieczeństwem? Cóż to ma znaczyć?

- Uczyniłem przypuszczenie. Zaprezentowałem pani jedną z przyczyn, dla których mógłbym tu przebywać w pani towarzystwie. Rozmowa z panią sprawia mi przyjemność, miałem nadzieję, że wzajemną. Nie widzę w tym nic podejrzanego.

- Widzę w tym wszystko podejrzane. Mówi pan do mnie zagadkami. Moje wyjątkowe zajęcie istotnie skończy się zapewne za dwa dni, ale pan wygląda tak, jakby pan wiedział, na czym ono polega!

- Możliwe, że wiem.

- W takim razie jest pan albo sojusznikiem, albo wrogiem. Jeżeli jest pan sojusznikiem, powinien pan mówić jasno, bez wykręcania kota ogonem...

- Mogę jeszcze być neutralny...

- Nie wiem, jakim sposobem: Tym bardziej kołowanie mnie jest nieprzyzwoite. Wie pan w końcu wszystko czy nie?

- Przypuśćmy, że wiem...

Otworzyłam usta, siłą powstrzymałam wypychające się z nich słowa i przyjrzałam mu się uważnie. Wyglądał, jakby się świetnie bawił. Niemożliwe, żeby taką przednią rozrywkę stanowiła wizja mojego kadłuba z ukreconym łbem!

Milczałam bardzo długą chwilę, z niejakim trudem zbierając rozproszone myśli.

- I przez cały czas nie zaciekawilo pana, jak mi na imię? - spytałam z naganą, niespodziewanie dla siebie samej.

- Mówiła pani przecież, że nie lubi pani kłamać. Poczekam cierpliwie na tę informację jeszcze jakieś trzy dni...

To już naprawdę brzmiało jednoznacznie! Wszelkimi siłami starałam się logicznie zastanowić. Przez głowę przeleciało mi tak ze trzy miliony rozmaitych przypuszczeń, z których wyłowiłam kilka średnio sensownych. Gdyby należał do grona przestępców, pułkownik wiedziałby o nim i ostrzegłby mnie. Gdyby współpracował z MO, moja wizyta u nich nie byłaby żadną rewelacją, już wcześniej przecież domyślał się, że nie jestem Basieńką. Jedno i drugie odpada, a zatem co? Kim on jest, oprócz tego, że jest produktem mojej wyobraźni? Może jednak rzeczywiście nie istnieje...?

Na tym arcyrozsądnym wniosku poprzestałam. Jakiś chłopczyk, biegnący przez skwer, spytał nas o godzinę, dzięki czemu przypomniałam sobie o konieczności powrotu do domu. Zakończenia afery państwa Maciejaków byłam spragniona niczym kania dżdżu!

Mąż powitał mnie w domu dużym zdenerwowaniem i dziwną informacją.

- Słuchaj, był tu jakiś - powiedział niespokojnie. - Przyszedł z walizką i chyba się wygłupiłem, bo spytałem, czy pan po paczkę, zdziwił się, jaką paczkę, i spytał, czy mamy psa. Podobno ktoś doniósł, że mamy ratlerka i nie płacimy podatku. Słuchaj, czy ci Maciejakowie mają ratlerka?

W drodze powrotnej ze skwerku usiłowałam się przestawić i przygotować na różne rzeczy, ale, na litość boską, przecież nie na ratlerka...!



- Nawet jeśli mają, to ja nic o tym nie wiem. Nie zaskakuj mnie tak. Czekaj. Z jaką walizką?

- Dostyc duża, akurat kacyk by się zmieścił. Dlatego myślałem, że po paczkę. Zaraz, to jeszcze nie koniec. Wyjrzałem za nim oknem, jak już wyszedł, i wiesz, co zrobił? Zaczął się uginać!

Nie zrozumiałam, co to znaczy, głównie dlatego, że w głosie męża brzmiała szczerza zgroza.

- Jak to uginać? Elastyczny się zrobił?

- Pod ciężarem walizki. Tu nią wymachiwał, jakby była pusta i nic nie ważyła, a po wyjściu nagle zaczęła mu cholernie ciążyć. Do warsztatu nie wchodził, paczka leży, co to ma znaczyć? Nic do niej nie wkładał!

Olśnienie spłynęło na mnie w mgnieniu oka.

- Dzwoniłeś do kapitana? - spytałam pospiesznie.

- Jak miałem dzwonić, skoro zabrałaś numery telefonów! - zdenerwował się mąż. - Też uważam, że trzeba go zawiadomić, siedzę i czekam jak ten pień, a ty się szlajasz! Jest wpół do dziesiątej!

- Wyglądaj oknem, czy jeszcze ktoś nie idzie - poleciłam i rzuciłam się na kolana przed telefonem.

Kapitan żywo zainteresował się wydarzeniem i potwierdził pośrednio moje przypuszczenia. Kazał powstrzymać się z wydawaniem paczki i nie tracić jej z oczu, dopóki nie zadzwoni i nie odwoła polecenia. Bez wielkiego trudu odgadłam, co to znaczy.

- Idź, pilnuj paczki - powiedziałam do męża. - Najlepiej usiądź na niej. Zwariować można z tym kacykiem, co za potwornie kłopotliwy człowiek. No leć, na co czekasz?

- Idzie tu jakiś następny - zaraportował mąż przy oknie. - Wygląda na przedwojennego handlarza starzyzną.

- Wynoś się, pilnuj skarbów, ja go załatwię! Przygotowana na najgorsze otworzyłam drzwi jakiemuś

bardzo brudnemu obszarpańcowi. Na razie jeszcze nie miałam pojęcia, w jaki sposób będę protestować przeciwko wydaniu mu arcydzieł.

- Makulaturę kupuję - powiadomił mnie ponuro obszarpaniec. - Stare gazety. Ma pani?

Tak byłam nastawiona na podstępna walkę o paczkę dla kacyka, że przez chwilę nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Obszarpaniec był doskonale autentyczny, nie było w nim nic z przebrania. Zwątpiłam w jego związek ze sprawą.

- Nie mam - odparłam stanowczo, zdecydowana w żadnych okolicznościach nie handlować mieniem cudzego domu.

- Butelki, stare ubrania?

- Nic nie mam.

- E tam. Coś pani ma na pewno. Nie ma takiego domu, żeby w nim nic nie było. Pani sprzedaje byle co. Może być stłuczka szklana. Śmieci.

Obszarpaniec robił wrażenie gotowego na wszystko, jeśli nie uda mu się dokonać jakiegokolwiek zakupu. Uznałam, że lepiej stracić śmieci niż życie. Poza tym za wszelką cenę chciałam się go czym prędzej pozbyć, kapitan mógł zadzwonić w każdej chwili.

- Śmieci, proszę bardzo. Śmieci mogę panu sprzedać. W co pan je weźmie?

Obszarpaniec wyciągnął zza pazuchy papier pakowy i sznurek. Z mocnym postanowieniem niedziwienia się niczemu przyniosłam mu wiaderko, dwie popielniczki pełne niedopalków, pudełko po proszku do prania i zwiędnięty koperek w musztardówce. Pochwalił mnie, z wyraźnym zadowoleniem wysypał wszystko na papier, przykrył drugim, z nadzwyczajną zręcznością zrobił z tego paczkę przypominającą kształtem i wielkością paczkę kacyka, owinął sznurkiem, wręczył mi dwa złote i wyszedł.

Powiadomiwszy kapitana o następnej wizycie zesłam na dół do męża, zbadać sytuację. Siedział na dziełach sztuki, opierając się łokciami o stół i mierzwiąc sobie włosy na głowie, z zaciętym wyrazem twarzy.

- Możesz iść - powiedział ponuro. - Mnie to odbiorą razem z życiem. Wcale nie wiem, czy oni tu co sfalszowali, ciężkie takie, jak było. Pewne jest, że jak co zginie, to nie z mojej winy. Ja się nie znam na przemytniczych szajkach, nie jestem

przyzwyczajony, nic kompletnie nie rozumiem i mam już tego całkiem dosyć. Ja już nic więcej nie chcę, tylko raz wreszcie pozbyć się tego plugawego świństwa!

Zostawiłam go zatem i wróciłam na górę. Mniej więcej po dziesięciu minutach kapitan zadzwonił i polecił zostawić plugawe świństwo odłogiem. Wywlokłam męża z piwnicy, w chwilę potem telefon znów zadzwonił, rzuciliśmy się w zdenerwowaniu, on na schody, a ja do aparatu, i okazało się, że tym razem to nie kapitan, tylko pan Palanowski. Współpraca z milicją wydała mi się nagle nad wyraz uciążliwa.

- Skarbie mój - rzekł czuły amant spiżowym głosem. - Co to za jakiś osobnik, z którym się spotykasz na spacerze? Ty wiesz, że ja jestem zazdrosny!

Opanowanie wszystkich naraz emocji kosztowało mnie nieco wysiłku.

- Nie ma o co - odparłam z najgłębszym przekonaniem, na jakie udało mi się zdobyć. - Spaceruje tu czasami, zna mnie z widzenia, porozmawialiśmy sobie trochę i nic więcej.

- Czyś mu za dużo o sobie nie mówiła? Czy nie będzie natrętny?

- Cóż znowu! Nawet nie wie, jak się nazywam.

- Czy jesteś tego pewna, kochanie? Nie będzie nachodził cię w domu? Nie interesuje się tobą jakoś... przesadnie?

- Ależ skąd! Facet jak facet, spokojny, taktowny... Wcale się mną nie interesuje. Ja nim też nie.

Równocześnie pomyślałam, że gdyby niebiosy reagowały na każde łgarstwo, gromy z pogodnego firmamentu musiałyby walić raz koło razu i przelotnie zaciekało mnie to zjawisko meteorologiczne. Pan Palanowski dalej upierał się przy swoim.

- Nie nalegał na odprowadzanie cię do domu? Nie szedł za tobą? Kochanie, ja jestem niespokojny!...

W to ostatnie można było wierzyć bez zastrzeżeń. Jako Basieńka stanowiłam fundament bezpieczeństwa całej przestępczej szajki i w głosie pana Palanowskiego brzmiała nieklamana szczerłość. Dość długo trwało, zanim wreszcie dał się przekonać, że blondyn niczym mu nie zagraża.

- Do ciebie to ten łobuz dzwoni jak wściekły - powiedział mąż z pretensją. - A do mnie Maciejak ani razu. Wody do pyska nabrał!

- Maciejak nie jest twoim amantem, nie wymagaj za wiele. Jak sobie to wyobrazasz? Oficjalnie Maciejak to ty, sam do siebie dzwonicz, czy jak? Przecież oni cały czas liczą się z podsłuchem telefonicznym.

- Cholernie to wszystko pokręcone... Chyba słusznie się liczą, nie?

- Jasne, że teraz już słusznie. Kapitan musi mieć niezły ubaw.

- Czekaj, jak się zastanowię, to zaczynam rozumieć. I dlatego mogą się porozumiewać tylko z tobą, a nie ze mną? Do ciebie może dzwonić stęskniony gach, a do mnie nie ma kto?

- No widzisz, jaki inteligentny powoli się robisz! Jeszcze trochę, a sam będziesz mógł zorganizować takie wesołe przedsięwzięcie...

- Już się rozpędziłem, właśnie lecę. To nie na moje nerwy, takie rzeczy. A tak między nami mówiąc, co tu się właściwie dzieje? Ty rozumiesz ten kontredans dookoła paczki?

- Wól by zrozumiał. W oczy bije, że kacyk to jest człowiek ostrożny i przewidujący, dopuszcza możliwość, że MO czatuje tu na jego arcydzieła i to nie w jednej osobie, a w dwóch. I sam widzisz, jaki numer robi. Zakłada, że jeden z czatujących poleci za jednym wysłańcem, drugi za drugim, po czym atmosfera będzie czysta i za trzecim wysłańcem nie poleci już nikt. Kapitan połapał się w tym od razu i dlatego kazał nam pilnować tego baracha, aż nadeśle jeszcze paru. Prawdopodobnie już nadesłał...

- Powiedział ci to?

- Zwariowałaś? Ja znów się tylko domyślam! Możesz być spokojny, że nawet jak się spytam, to mi nie odpowiedzą. Ani nie zaprzeczą, ani nie potwierdzą i bij, człowieku, łbem w ścianę. Oni zawsze tak robią i kiedyś mnie wykończą psychicznie.

- Znaczy, teraz powinien przyjść ten jakiś trzeci, prawdziwy? Po cholere kazali nam ją zanieść do piwnicy?

- Nie wiem, możliwe, że na wszelki wypadek... Zgodnie z instrukcjami kapitana siedzieliśmy w kuchni, zgasiwszy poza tym światło w całym domu. Trzeci oczekiwany wysłaniec denerwująco opóźniał swoje przybycie. Dochodziło wpół do jedenastej, napięcie wzrastało, snuliśmy rozmaite przypuszczenia, nad słuchując odgłosów z piwnicy, istniała bowiem możliwość, że w sprawę wda się konkurencja, której forpocztą był włamywacz. Mogła wywiązać się walka... Akurat zdążyłam nalać sobie świeżej herbaty, kiedy pod dom podjechał jakiś samochód. Równocześnie zerwaliśmy się z miejsc i rzuciliśmy do okna w ciemnym pokoju.

Z czarnego fiata wysiadł jakiś facet.

- Idzie tu - zaszeptał mąż konspiracyjnie, nie wiadomo po co, bo sama też doskonale widziałam. - Zabierze wreszcie to parszywe łajno czy nie...?

Facet skierował się powoli ku drzwiom, rozejrzał się dookoła, postać chwilę na ścieżce i wreszcie zadzwonił. Podskoczyliśmy tak, jakby wysadził drzwi petardą. Mąż nerwowym truchtem popędził otworzyć. Zapaliłam światło w holu i zatrzymałam się w kuchennych drzwiach.

Niewiarygodnie staroświecki osobnik w wielkich, przyciemnionych okularach skłonił się nam z wersalską rewerencją. Wyglądał jak żywcem wyjęty z przedwojennych czasopism. Miał autentyczny melonik, wciętą salopę, parasol i, jak Bóg na niebie, prawdziwe, białe getry!!!

- Najmocniej przepraszam za późne odwiedziny - rzekł dziwnie zdartym, skrzekliwym dyszkantem. - Państwo pozwolą, że się przedstawię, nie znamy się osobiście. Moje nazwisko Kacyk. Państwo posiadają, odnoszę takie wrażenie, przesyłkę dla mnie...

Mniej by nas chyba zaskoczył, gdyby oświadczył, że nazywa się baron von Dupersztangiel. Mąż najwyraźniej w świecie zgłupiał i zaniemiał, musiałam zatem zabrać głos.

- Bardzo słuszne wrażenie pan odnosi, posiadamy przesyłkę - odparłam z niejakim wysiłkiem. - Cieszy nas, że pan się zgłosił, bo nie wiedzieliśmy, gdzie odesłać, a to podobno pilne.

- Nie tak bardzo, nie tak bardzo - powiedział osobnik pobłażliwie, kłaniając się i machając parasolem. - Oddawca przesadził...

Mąż odzyskał nagle utracone na chwilę władze.

- Zaraz panu przyniosę - zawołał pospiesznie i skierował się ku schodom do piwnicy.

Facet powstrzymał go takim gestem, jakby zamierzał złapać go za nogę rączką od parasola.

- Jedną chwileczkę! Przede wszystkim pragnę najgoręcej przeprosić za ten kłopot i podziękować państwu za niezwykłą uprzejmość. Jakaż to rzadka rozkosz spotkać tak miłe, tak uczynne, tak niekonwencjonalne osoby! Doprawdy, czuję się zażenowany, wykorzystałem uprzejmość państwa w stopniu niedopuszczalnym. Pozwoliłem sobie na zbyt wiele, na zbyt wiele! Czy mogę mieć nadzieję, że zechcą państwo nie mieć mi tego za złe?

Skrzekliwy dyszkant skrzypiał monotonna i natrętnie, nie sposób mu było przerwać. Oszołomieni nieco obydwój z mężem zgodnie zapewniliśmy go, że zechcemy. Oryginalny facet giął się w ukłonach jak wiotka brzoźka na huraganie, kiwał się, czynił jakieś zamaszyste gesty, nogami wykonywał takie ruchy, jakby tańczył gawota, a zdarty głos nabierał stopniowo gruchających tonów.

- Gorąco proszę o przebaczenie za przybycie tak późną porą, ale dziś dopiero wróciłem z podróży, nie chcąc zaś dłużej obciążać państwa przechowywaniem uciążliwego niewątpliwie bagażu, pospieszyłem natychmiast. Czasokres, przez jaki państwo raczyli służyć mi swoją uprzejmością, żenuje mnie tym bardziej...

Na obliczu męża osłupienie przemieszało się z podziwem i jakimś zachłannym zainteresowaniem. Zdumiewający osobnik, z całą pewnością jeden na dziesięć tysięcy, wdzięczny się i krygował ze wzrastającym zapałem, a z ust płynął 'mu nieprzerwany potok skrzypiącej słodyczy. Zaczęło mnie nagle ogarniać przerażające przekonanie, że już do końca życia skazani jesteśmy nie tylko na paczkę, która przynajmniej leżała cicho, ale też i na jej właściciela, który w żaden sposób nie da

się wyłączyć. Mąż zmienił wyraz twarzy, zainteresowanie przerodziło mu się w zgrozę i teraz już wyglądał tak, jakby koniecznie chciał iść po paczkę tylko po to, żeby nią gruchnąć w łeb ten rozszalały wulkan uprzejmości.

- Jeżeli zatem zechcą państwo być tak łaskawi, pozwolę sobie z prawdziwym wzruszeniem zdjąć z ramion państwa ten niewygodny ciężar. Czy nie przeszkadzała ona zbyt?

- Nie - warknął mąż. - Nie zbyt!

- Mam nadzieję, że paczuska nie pozostawała poza domem, pod wpływem opadów atmosferycznych? Nie śmiałybym, rzecz jasna, domagać się najmniejszych bodaj względów...

- Nie pozostawała!!!

- Gdyby bowiem pozostawała, w pewnym stopniu mogłoby to negatywnie wpłynąć na jej zawartość...

Przestałam słuchać, zajęta wyobrażaniem sobie rozmazanego na deszczu baniastego łba rycerza, co stanowiłoby niewątpliwie widok niezwykle atrakcyjny. Mąż błysnął nagle dziko okularami, wydał z siebie nieartykułowany charkot i runął po schodach w dół. Facet kłaniał się ku drzwiom do piwnicy z rozanielonym wyrazem twarzy.

Gest, jakim paczuska została mu wręczona, wykluczał odmowę jej przyjęcia. Gdyby nie chwycił jej w objęcia natychmiast, zleciałaby mu na nogi. Wśród dygów, przegieć i podziękowań, właściciel godnych go dzieł sztuki oddalił się w lansadach, błyskając białymi getrami. Przez długą jeszcze chwilę nie mogliśmy ochłonąć z wrażenia.

- Poszedł... - wyszeptał mąż w osłupiałym niedowierzaniu...

- A już myślałem, że do śmierci się tego ścierwa nie pozbedziemy... Rany boskie, więc to jest ten kacyk?! Skąd się wziął, z panopticum?!

Mój oszołomiony umysł pracował gorączkowo.

- Słuchaj no - powiedziałam, odciągając go od okna. - Jak tam wszedłeś, to nic nie było?

- Gdzie?

- W warsztacie.

Mąż oderwał się od kontemplacji ulicy, z której zniknął czarny fiat, i patrzył na mnie otepiałym wzrokiem.

- Wszystko było. To znaczy... Czekał no! Tyś tam nie wchodziła?

- Gdzie?

- Do warsztatu.

- Oszalałeś? Przecież cały czas siedzę z tobą w kuchni!

- Wcale bym się nie dziwił, gdybym z tego wszystkiego oszalał. Ale chyba jeszcze nie... Bo uważasz, ona inaczej leżała. Odwrotnie. Pamiętam, położyłem ją w poprzek krzesła, a teraz, jak ją brałem, leżała wzdłuż. Sama się obróciła?

Kilkakrotnie pokiwałam i pokręciłam głową, usiłując odpowiedzieć równocześnie jemu i sobie.

- Zamienili jedną na drugą. Ktoś się zakradł, podrzucił fałszywą, zabrał prawdziwą, a ten tutaj zabrał fałszywą. Nie bez powodu trzymał nas tyle czasu, chodziło mu o to, żeby tamten zdążył. Mam nadzieję, że kapitan dostał tu dwóch, a nie jednego.

Znów padłam na kolana przy telefonie, mętnie myśląc, że trzeba tu było podłożyć jakąś poduszkę. Składając kapitanowi sprawozdanie, zmieniałam poglądy i doszłam do wniosku, że zamiana paczki była pozorowana i kacyk zabrał jednak prawdziwą. Prawdopodobnie te rozważania wywarły negatywny wpływ na jasność moich wypowiedzi, bo kapitan zażądał konwersacji z mężem, który od drzwi do telefonu przeczłogał się na czworakach, nie bacząc na to, że w pokoju jest ciemno i nikt z zewnątrz zobaczyć nas nie może. Potwierdził moją wersję wypadków, po czym wydarłam mu słuchawkę z rąk.

- Panie kapitanie, co teraz? - spytałam niespokojnie. - Mamy tu dalej siedzieć? Kontynuować przedstawienie?

- Siedzieć! - zagrzmiął kapitan. - Aż zleceniodawcy was zwolnią! Uzgodnić, co im powiecie! Żadnych wyczynów na własną rękę! Wszystko jak było! Dobranoc!

Z westchnieniem odłożyłam słuchawkę, zmieniałam pozycje i oparłam się wygodnie o drzwiczki szafki, wyciągając nogi.



- Zanosi się na to, że resztę życia spędzimy jako stadło państwa Maciejaków - powiedziałam ponuro do męża, siedzącego również na podłodze, pod sekretarzykiem. - Złapią kacyka, złapią pana Palanowskiego w objęciach Basieńki, złapią prawdziwego pana Romana i nie wiem, kto nas tu przyjdzie złuzować. Umowa opiewa do jutra włącznie, a tu co? Jedna wielka chała.

- Grunt, że tę paczkę wreszcie diabli wzięli - odparł mąż stanowczo. - Bez kacyka na głowie od razu się lepiej czuję. Zastanowiłem się, te pięćdziesiąt patyków też im oddam, nie życzę sobie mieć z tym nic wspólnego. Zwrócę ratami, chociaż jeszcze nie wiem, skąd wezmę. Może się zgodzą strącać mi z pensji.

Kiwnęłam głową i przesunęłam się nieco, bo uchwyt drzwiczek ugniatał mnie w plecy.

- Nie mam pensji, ale za to nie wydałam jeszcze pieniędzy. Za remont samochodu muszę zapłacić, to już przepadło. Też im resztę zwrócę z najbliższych dochodów.

- To trzeba na piśmie. Słuchaj, musimy to napisać już teraz i oddać kapitanowi, czy tam komu trzeba. Dobrowolnie oddajemy dochód z przestępstwa, nie braliśmy udziału i niech się nas nikt nie czepia. Mnie zależy na tym, żeby zostać praworządny, a jak nie zrobimy tego zaraz, to potem nikt nie uwierzy w nasze dobre chęci. Jazda, piszemy!

Przyznałam mu rację. Rozwój afery ogłupił nas do tego stopnia, że dopiero po długiej chwili obijania się w ciemnościach o meble uświadomiliśmy sobie, że możemy zapalić światło. W blasku lampy udało nam się oprzytomnieć prawie do reszty. Uroczyście podpisane dokumenty postanowiliśmy wysłać pocztą nazajutrz.

- Niech ci się nie zdaje, że to tak łatwo przyjdzie koniec - powiedziałam złowieszczo, przykrywając maszynę. - Najgorsze jeszcze ciągle przed nami.

- Niby co takiego? - zaniepokoił się mąż. - Ja już nic gorszego nie umiem sobie wyobrazić.

- No to wyobraź sobie, że się spotykasz z Maciejakiem w celu kolejnej metamorfozy w odludnym miejscu i on cię pyta,

skąd taka komitywa z żoną i dlaczego nie ukryłeś przed nią, że nic nie wiesz o kacyku. I czy ona nie nabrała jakichś podejrzeń. I co?

Mąż spojrział na mnie jak na Gorgone, która do tej pory ukrywała się pod maską gołębiczy. Zbladł i obie ręce same mu skoczyły ku włosom.

- I jeszcze spyta, co wiesz o hydraulikach i gdzie to tak ciekło - dodałam nielitościwie. - Zwracam ci uwagę, że kapitan kazał nam się nad tym zastanowić. Nie ulega wątpliwości, że będą nam zadawali głupie pytania, żeby sprawdzić, czy się coś nie wykryło, bo ten kacyk nas obszczeka. Musimy uzgodnić zeznania.

Mąż przestał nagle szarpać się za głowę, przyjrzał mi się z niesmakiem i urazą i wrócił do sprzątanania papierów.

- Zrób no kawy - zażądał. - Nie wiem, co w tym jest, ale cholernie lubisz wyskakiwać z różnymi rewelacjami akurat w środku nocy. Chyba się jednak nigdy w życiu nie ożenię, chociaż miałem zamiar...

\*

Nazajutrz o poranku przybył kapitan we własnej osobie w przebraniu pracownika elektrowni. Nawet mu było do twarzy. Przyjeliśmy go w holu, pod otwartą szafką z bezpiecznikami, co było o tyle niewygodne, że siedzieć mogliśmy tylko na schodach. Prezentował znacznie lepszy humor niż wczoraj.

- Szanowni państwo - powiedział uroczyście - organa MO zwracają się do was... Ściśle biorąc, nie tyle organa, ile ja prywatnie, chociaż, oczywiście, w porozumieniu z organami... Z prośbą, czy może z propozycją, nie wiem, jak to nazwać. Otóż widzicie... Odsunęlibyśmy was od tej całej sprawy kategorycznie, bo milicja nie zatrudnia osób postronnych, ale tu zachodzi wyjątkowy wypadek. Zaraz to wyjaśnię szczegółowo, tylko najpierw powiem, w czym rzecz. Mianowicie istnieje możliwość, że ci Maciejakowie jeszcze raz zwrócą się do was o zastępstwo. Zgódźcie się.

- O rany boskie...!! - jęknął mąż rozdzierająco. Sama też się poczułam niemile zaskoczona. Kapitan przyjrzał nam się z mieszaniną zainteresowania i niesmaku.

- Tak panu źle z tą żoną? - zdziwił się karcąco.

- Nie, nie to... Jako żona to ona jest wprawdzie do niczego, ale tak sama w sobie specjalnie mi nie przeszkadza. Tylko ja już nie mogę, ja się nie nadaję na przestępcę, ja mam dosyć! Urlopu mi nie starczy!

- Masz jeszcze trzy tygodnie - zauważyłam.

- A jak oni się rozbestwili i będą chcieli miesiąc...? Kapitan uciszył nas gestem.

- Ja to państwu zaraz wytłumaczę. Rzecz w tym, że nam zależy, żeby oni się czuli bezpieczni. Będzie bez porównania łatwiej. Jasne, że wyłapiemy ich i bez tego, ale i trudności się zwiększą, i dłużej to będzie trwało, a wasza pomoc może być nadzwyczajnym ułatwieniem...

Mąż jęknął znowu, tym razem z rezygnacją.

- Mogę was zapewnić, że nikt się o tym nie dowie, nie będziecie występować oficjalnie, ani teraz, ani w ogóle nigdy. Możecie się oczywiście nie zgodzić i nawet namawiać was nie mam prawa, ale nie będę ukrywał, że bardzo nam zależy...

- Mnie pan me musi agitować - przerwałam dość ponuro. - Ja bym się zgodziła dla samej draki, to on protestuje, bo głupi. Nie zdaje sobie sprawy, że w świetle prawa wyglądamy niewyraźnie. Albo się zrehabilitujemy, albo będą nas włóczyć po sądach. Żaden sędzia nie uwierzy, że daliśmy się tak otumanić, i każdy będzie wietrzył to nasze idiotyczne ciągnięcie zysków z nierządu... Tego, chciałam powiedzieć, z przestępstwa...

- Przecież napisałem, że oddaję!

- Oddajesz, bo się wykryło. Sędzia ci powie, że jakby się nie wykryło, tobyś nie oddał, i możesz się wypchać swoją dobrą wolą!

Mąż w mgnieniu oka wykonał sobie koafiurę a la strach na wróble.

- Urlop... - zajęczał głucho.

Kapitan zamachał uspokajająco obiema rękami.

- Po pierwsze to będzie kwestia paru dni, dwóch, trzech. A po drugie ma pani rację tylko częściowo. Co wy sobie wyobrażacie, że my nie wiemy, kogo o co posądzać? Jeszcze raz podkreślam, że możecie się nie zgodzić!

- Zgadza się - powiedział mąż ponuro. - Trudno, niech to szlag trafi, zrobię z siebie idiotę jeszcze raz...

Zduśiłam w sobie prywatne problemy, poprzysięgliśmy wierność MO do grobowej deski, po czym omówiliśmy szczegóły. Kapitan dziwnie mało interesował się naszym honorarium, bez protestu przyjął list do siebie i jeszcze raz ostrzegł, że narażamy się na niebezpieczeństwo.

- I niech wam nie przyjdzie przypadkiem do głowy kontaktować się ze sobą - dodał. - Wy się w ogóle nie znacie jako wy!

- No, to chyba jasne - mruknął mąż, . - No pewnie - przyświadczyłam z urazą. - Za co nas pan ma, za półgłówków?

Kapitan popatrzył jakoś dziwnie, zdławił cisnącą mu się wyraźnie na usta odpowiedź i zakończył wizytę.

Zaczęłam odczuwać zdenerwowanie nieco odmienne od dotychczasowego. Pozbycie się osobowości Basieńki otwierało przede mną nowe perspektywy, w których dawały się dostrzec elementy miło emocjonujące i denerwowałabym się nawet z przyjemnością, gdyby nie ta ostatnia kłoda, zwalona na drodze ku czarownym przeżyciom. Na myśl, że czeka mnie pogawędka z pełnym podejrzeń panem Pałanowskim i, co gorsza, niewątpliwie wizyta u niego w domu, nie doznawałam przyjemności absolutnie żadnej.

Nie mieliśmy nic do roboty. Mąż, zgodnie z umową, zwolnił pomocnika, przyzdobiwszy do końca belę tafty. Prywatny wzór dla niego skończyłam, przez roztargnienie zaczęłam nawet następny, za Basieńkę, i nie chciało mi się go już kontynuować. Poświęciliśmy czas wysuwaniu rozmaitych przypuszczeń i rozważaniu sytuacji.

- Ciekawa jestem, jak zamierzasz to wynieść z tej zbójeckiej jaskini - zauważyłam krytycznie, pomagając mu zapakować gruby rulon. - Nie powiesz przecież Maciejakowi, że odwaliałam dla ciebie prywatną robotę i chyba mu tego nie zostawisz?

- Już to przemyślałem. Jak tylko zadzwoni i umówi się ze mną, od razu dzwonię do kumpla, że przyjdzie tam taki brodaty, czarny jełop i przyniesie rysunek. I podrzucę mu po drodze. Nie pozna mnie, nie ma obawy.

- Czarny jełop to ty? - upewniłam się.

- Jasne, że ja - przyświadczył mąż i nagle zdenerwował się. - Nie żaden ja, tylko Maciejak! Znaczy ja, ale jako on. Ja jestem blondyn!

Mignęło mi w głowie, że z tymi blondynami przyjdzie chyba w końcu zwariować i natychmiast uświadomiłam sobie jeszcze jedną zgrzyotę. Jeżeli przemieni się z powrotem w siebie, na spacer pójdzie dzisiaj prawdziwa Basieńka. Efekty mogą być katastrofalne i bezwzględnie należy im zapobiec...

- Słuchaj, musimy sobie ustalić jakieś hasło - powiedziałam posepnie, pełna złowieszczych przeczuć.

- Po co hasło? - zaniepokoił się mąż.

- W razie gdybyśmy musieli znów ich udawać. Może zaistnieć sytuacja, że zaangażują tylko jedno z nas. Możemy nie odróżnić nas od nich.

- No i co?

- Jak to co, niby jak ty to sobie wyobrażasz, przychodzisz, zamiast mnie siedzi prawdziwa Basieńka, odzywasz się do niej jak do mnie i co? Wszystko się wykrywa! Uważasz, że złożą nam powinszowania?

Mąż przeraził się śmiertelnie.

- O rany Boga, faktycznie! Utluką nas bez chwili namysłu! Co za cholerne bagno, co mi do łba strzeliło, żeby się w to wrąbać! Musimy się jakoś zabezpieczyć. Co proponujesz?

- No właśnie hasło. Coś naturalnego...

- Znaczy co? Wejdem i powiem: "W Grenadzie zaraza, odzew!" Tak?

- Głupis, przecież mówię, że coś naturalnego! Czekaj... Już wiem! Nic nie gadać, tylko bębnić palcami po szybie. Wchodzisz do pokoju, czy tam gdziekolwiek, wątpliwa ja tam siedzę, podchodzisz do okna i bębnisz sobie, wyglądając. O, tak!...

Zaprezentowałam czynność, mąż popukał w szybę obok.

- Może być - zgodził się. - A ty co? To samo?
- Nie. Nie bądźmy monotoni, Zdejmę pantofel i wytrząsnę sobie z niego kamyczek.
- Skąd weźmiesz kamyczek?
- Zidiociałeś do reszty czy co? Będę udawała, że wytrząsam kamyczek!...

Wszystko wskazywało na to, że dłuższe oczekiwanie doprowadzi nas do stanu całkowitego upadku umysłowego. Nie sposób było przewidzieć, co nastąpi i kiedy. Mąż wysunął okropne przypuszczenie, że nasi mocodawcy zmylili pogonię, uciekli już dokądkolwiek przez zieloną granicę, wystawili nas rufą do wiatru, nie zgłoszą się w ogóle i zostaniemy tak, przykuci do siebie na resztę życia. Osobiście byłam zdania, że raczej przygotowują dla nas jakąś pułapkę, z której wydostaną się już tylko nasze zwłoki w nie najlepszym stanie. Pewne zaś jest, że jeśli przyjdzie nam czekać do jutra, popadniemy w nieuleczalną histerię.

Makabryczne prognozy przerwał o wpół do piątej po południu pan Palanowski. Telefon oderwał mnie od smażenia jajecznicy, bo w końcu, pomimo zdenerwowania, jakiś posiłek trzeba było zjeść.

- Skarbie mój, już jestem - rzekł z ożywieniem. - Przyjdź do mnie natychmiast, nie bacząc na protesty tego zbira. Stęskniłem się za tobą.

Zakryłam ręką mikrofon i przenikliwym szeptem poleciłam zbirowi zdjąć patelnię z ognia. Ulga wróciła mi apetyt.

- Dobrze - powiedziałam posłusznie do telefonu. - Już jadę. Będę za pół godziny.

- Samochodem, oczywiście?

- Samochodem.

- Ubierz się... Bo jest chłodno!

Akurat było ciepło. Miało to niewątpliwie oznaczać, że powinnam wybrać strój, rzucający się w oczy. Pan Palanowski robił wrażenie, jakby nic nie podejrzewał.

Jajecznicę zjadłam jeszcze dość spokojnie, po czym stanęło mi przed oczami wszystko to, czego powinnam dokonać przed wieczorem, i spokój prysnął bezpowrotnie.

W obłądnym pośpiechu zadzwoniłam do kapitana, następnie zaś do warsztatu, w którym stał gotowy już od trzech dni mój samochód. Uzebrałam zgodę na odebranie go o siódmej, chociaż warsztat był czynny do piątej. Następnie ubrałam się zupełnie bez sensu, ale za to bardzo jaskrawo, pożegnałam spłoszonego do nieprzytomności męża i ruszyłam do stęsknionego amanta.

Przed drzwiami pana Palanowskiego zebrałam wszystkie siły duchowe.

Za progiem nikt mnie nie napadł, nie związał i nie zakneblował, nie było też goryla z pistoletem w dłoni, przez co jednakże nie poczułam się wcale mniej nieswojo. Kapelusz mojej ciotki leżał na biurku, Basieńka zaś siedziała na tapczanie w szlafroku wielbiiciela. Na moment zakwitło we mnie przekonanie, że przesiedziała tak całe trzy tygodnie.

Z pana Palanowskiego buchały istne gejzery wdzięczności, wśród których nie dawało się dostrzec miejsca na żadne podejrzenia.

- Pani rozumie, musiałem się zwracać do pani jak do Basieńki - usprawiedliwiał się ogniście. - Ten zbrodniczy typ jest zdolny do zorganizowania podsłuchu. Najmocniej panią przepraszam za tę konieczną poufałość... O moich uczuciach do Basieńki on doskonale wie i naigrywa się z nich. Czy pani jest pewna, że wszystko w porządku? Jak to było z tymi hydraulikami? Musi nam pani wszystko dokładnie opowiedzieć!

Przyjęłam filiżankę kawy, postanawiając raczej wylać ją sobie za gors, niż wypić kroplę, i przystąpiłam do relacjonowania wydarzeń. Wiadomo było, o co im chodzi. Pan Palanowski chciał sam ocenić sytuację i zorientować się, czy istnieją dla niego powody do obaw. Z mściwą satysfakcją czerpałam kojące wieści z bogatych skarbów mojej wyobraźni. Potoki wody, lejące się w kuchni państwa Maciejaków, i kompletne zidiocenie hydraulików, wziętych z jakiejś spółdzielni, której nazwa, oczywiście, umknęła z mojej pamięci, przedstawiłam nad wyraz obrazowo i przekonująco. Włamywacz przeszedł jak po maśle. Paczka dla kacyka sprawiła

mi pewne trudności, bo czuły amant z natrętnym uporem dopytywał się w kółko o reakcje męża i stopień mojego z nim porozumienia. Po pół godzinie zaczęłam odczuwać wyczerpanie psychiczne i opuszczenie tej jaskini rozbójników stało się dla mnie głównym celem życia.

- Ten pani mąż to kompletny kretyn - powiedziałam z niesmakiem do Basieńki, która wzruszeniem ramion wyraziła zgodę na moją opinię. - Okazuje się, że on tego kacyka w ogóle nie znał, i nie wiem, dlaczego ukrywał to przede mną. Złośliwie proponował mi przez cały czas, żebym ją sama odwiozła. Oczywiście protestowałam...

- I bardzo słusznie, bardzo słusznie - przyświadczał pospiesznie pan Palanowski. - Tu nastąpiło pewne nieporozumienie. On pana Kacyka istotnie nie znał i była to nie jego sprawa, lecz Basieńki. Basieńka miała zawiadomić o dostarczeniu przesyłki, ale siłą rzeczy pani nie mogła tego zrobić. Nie przewidzieliśmy tego po prostu, szczególnie, że pan Kacyk był nieobecny w Warszawie... On zaś w taki niedorzeczny sposób usiłował podstępnie wejrzeć w jej interesy i kontakty, udając, że jest w nich zorientowany...

Bardzo byłam ciekawa, jak też pan Palanowski wyjaśni głupie niedopatrzenie z paczką i patrzyłam w niego niczym sroka w gnat, kiedy plątał się w gąszczu matactw. Im bardziej patrzyłam, tym bardziej się plątał, aż w końcu zreflektowałam się na myśl, że jako osoba prostoduszna, łatwowierna i niezorientowana w istocie sprawy nie powinnam się tym zajmować. W ogóle nie powinno mnie to obchodzić. Zmieniłam temat dobrowolnie, sprawiając mu tym widoczną ulgę, i wyjaśniłam kwestię towarzysza spacerów.

- Może mu się pani kłaniać, ale nawet nie musi pani uprzejmie - poinstruowałam łaskawie Basieńkę. - Obcy człowiek, porozmawiałam z nim parę razy o byle czym. O pogodzie i o chuliganach. Nie będzie pani zaczepiał.

- A już się niepokoiłiśmy, że zawarła z nim pani bliższą znajomość - zaśmiał się nerwowo pan Palanowski. - Byłoby to kłopotliwe.



Omów nie powiedziałam, że nawet jeśli, to przecież nie jako Basieńka, tylko jako ja. Wyczerpanie psychiczne zaczęło się na mnie odbijać. Należało czym prędzej zakończyć tę niebezpieczną indagację i wyjść. Wyjść stąd wreszcie, żywa i we własnej osobie!

Pan Palanowski zauważył moje spojrzenie na zegarek.

- Pani się spieszy? Nie chciałbym być nietaktowny, ale wydaje mi się, że pani jest zdenerwowana? Czy może przytrafiło się coś jeszcze...?

- Coś jeszcze to się dopiero przytrafi, jak nadleci tu mąż - odparłam, nie kryjąc irytacji. - Dziwię się, że państwo się nie spieszą. Ja w każdym razie życzyłam sobie skończyć już tę maskadę. Udać się udało, ale ja od trzech tygodni żyję w stanie napięcia i zdenerwowania i oświadczam panu, że mam tego najzupełniej dosyć. Możemy sobie jeszcze porozmawiać kiedy indziej.

Pan Palanowski jakby się przecknął. Zerwał się, wstrząśnięty i pełen niepokoju, jął mnie przeproszać, okazał skruchę i pogonił Basieńkę, która wreszcie ruszyła się z tapczanu. Powrót do własnej postaci sprawił mi żywą przyjemność. Heroina fałszywego romansu przebierała się we własne purpury i fiolety, ja zaś zdierałam z siebie jej skórę. Precz z idiotycznym pieprzykiem, precz z martwym zębem, precz z grzywką, precz z maquillagem kontra świat! Pod peruką zrobił mi się uklepany kołtun, przemalować się nie miałam czym, ale nic nie było w stanie zmniejszyć we mnie niebotycznej ulgi. Doprowadzić się do ludzkiego wyglądu postanowiłam dopiero w domu.

Pół godziny, które odczekiwałam jeszcze po wyjściu Basieńki, należało niewątpliwie do najdłuższych w moim życiu. Pan Palanowski zabawiał mnie niemrawą konwersacją, myślami najwidoczniej błędząc gdzie indziej. Wreszcie zamilkł na chwilę, odkaszlnął kilkakrotnie z zakłopotaniem, po czym rzekł:

- Jeśli pani pozwoli, to jeszcze chciałbym... Bardzo proszę nie poczytywać tego za nadużywanie pani uprzejmości! Otóż, czy moglibyśmy mieć nadzieje... To na razie jeszcze nic

pewnego, ale po chwilach pełnego szczęścia tak trudno wrócić do brutalnej rzeczywistości! Więc w wypadku, gdyby to było możliwe, czy zgodziłaby się pani... Może za jakieś kilka dni... Czy zechciałaby pani zastąpić Basieńkę ponownie, tym razem już na krócej, nie więcej niż dziesięć dni, może tydzień... Oczywiście za osobnym wynagrodzeniem...

Nawet gdyby kapitan nie miał z tym nic wspólnego, zgodziłabym się bez żadnego namysłu. Zgodziłabym się dopłacić mu, zgodziłabym się na wszystko, byle tylko, wreszcie stąd wyjść. W pierwszej chwili nie wiedziałam, do czego zmierza, i oczekiwałam jakiejś krew w żyłach mrożącej propozycji w rodzaju pozostania u niego w domu, przejażdżki w odludną okolicę, wypicia tej wystygłej kawy lub też czegoś podobnego, przeciwko czemu zdecydowana byłam gwałtownie protestować.

W tej sytuacji do porozumienia doszliśmy w mgnieniu oka. Trafność przewidywań kapitana nappełniła mnie nadzieją na jego bliski sukces. Z doskonałą obojętnością zaakceptowałam sumę dziesięciu tysięcy złotych, równie dobrze pan Palanowski mógł mi zaoferować dziesięć milionów albo pięćdziesiąt groszy. Zgodziłam się, że dla mnie samej lepiej będzie zachować rzecz w tajemnicy, już chociażby z uwagi na te dokumenty. Wciąż niepewna, czy nie spotka mnie jeszcze coś złego na schodach, czy nie zleci mi na łeb ciężki przedmiot z jakiegoś okna, czy nie zainteresuje się mną w bramie gorylowaty bandzior, z ulgą absolutnie niebotyczną opuściłam apartament przestępcy.

Zarazem opuściła mnie wszelka zdolność do zachowania równowagi. Dochodziła siódma. Musiałam skoczyć po pieniądze, odebrać samochód, wrócić do własnego domu, uporządkować rozmazaną twarz, przebrać się i za wszelką cenę zdążyć na skwerek! Oczyma duszy widziałam nieopisane komplikacje. Nie zdążam, blondyn przychodzi, natyka się na tę przeklętą żołą, odzywa się do niej, ona mu odpowiada coś ni w pięć, ni w jedenaście, on usiłuje zbadać, co się stało, moje łgarstwo się wykrywa, przyjeżdżam tam jako ja, Basieńka widzi mnie z nim, moje łgarstwo wykrywa się tym bardziej, mordują nie tylko mnie, ale i jego, szalona ilość zwłok ponieważ się po

niewinnym skwerku. Względnie Basieńka mnie nie widzi, ale on widzi nas obie, ona - jest podobniejsza do mnie, to znaczy do siebie, nie wiadomo, która to jestem ja, robi się jeden melanż, wszystko się wykrywa znów przeze mnie, kapitan i pułkownik obdarzają mnie wyrazem wdzięczności w postaci długotrwałego odosobnienia. Względnie dzieje się jeszcze coś innego, czego nie potrafię przewidzieć, a skutki są też oplakane. Ogólny płacz i zgrzytanie zębów....

Złapałam taksówkę, wpadłam do domu po pieniądze, udało mi się uniknąć spojrzenia w lustro, wpadłam do warsztatu absolutnie w ostatniej chwili, zlekceważyłam całkowicie instrukcje w kwestii zmiany oleju, rzuciłam się do samochodu i wyprysnęłam na ulicę. Z wizgiem zahamowałam przed własną bramą i w galopie przebyłam schody. Ręce mi się trzęsły, kiedy sobie malowałam prawdziwą twarz, włożyłam bluzkę tyłem do przodu, upuściłam zegarek i złamałam grzebień na peruce.

Na ulicę przy skwerku podjechałam po ósmej. Upiorna Basieńka spacerowała złośliwie po najlepiej oświetlonych miejscach, widoczna z daleka niczym Statua Wolności. Objechałam skwerek dookoła, zaparkowałam na skraju, w cieniu, przeleciałam zielen na durch, wybierając dla odmiany miejsca najciemniejsze, po czym usiadłam na ławce pod drzewem, z dala od latarni, w kompletnej czerni, mając otwarty widok we wszystkie strony. Blondyna jeszcze nie było. Uspokoiliam się nieco, chociaż wszystkie przewidywane komplikacje groziły mi nadal.

Spróbowałam ułożyć sobie plan .działania. Powinnam go dopaść, zanim ujrzy Basieńkę, dyplomatycznie wytłumaczyć mu, że teraz tak wyglądam, kobieta zmienną jest, dyplomatycznie odciągnąć go z tego idiotycznego miejsca, i dyplomatycznie namówić na przejażdżkę samochodem dokądkolwiek. Tak dyplomatycznie, żeby to pozwoliło uniknąć szczegółowych wyjaśnień...

Pierwszy punkt programu wykonałam bezbłędnie. Dostrzegłam go, wchodzącego w alejkę w pobliżu zaparkowanego samochodu, zerwałam się z ławki i ruszyłam w jego kierunku ostrym kuregalopkiem. Basieńka, szczęśliwie,

przechadzała się w tej chwili tyłem do mnie. Potknęłam się o coś w ciemnościach i runęłam na niego, omal się nie przewracając.

- Niech pan stąd idzie! - zażądałam pospiesznie w myśl wszelkich reguł dyplomacji. - To znaczy, chodźmy stąd, to miejsce jest obrzydliwe! Są inne, znacznie ładniejsze, prześliczne, jedźmy tam samochodem!

Nie tylko nie protestował, ale nie okazał nawet najmniejszego zaskoczenia. Zawrócił, pozwolił się. dowlec do samochodu i wepchnąć do środka. Wystartowałam jak do pożaru, wykonałam rekord trasy i zatrzymałam się w jednym z tych reklamowanych, prześlicznych miejsc na Raławickiej koło ogródków działkowych, wpadłszy lewymi kołami w jakąś błotnistą dziurę. Cofnęłam się, wyjechałam z dziury i zgasiłam silnik, chwilowo niezdolna do dalszych, dyplomatycznych posunięć.

- Ślicznie pani dzisiaj wygląda - powiedział, przyglądając mi się z uśmiechem w słabym świetle odległej latarni, zupełnie tak, jakbyśmy nadal stali w alejce na skwerku, jakby nie było tej obłąkanej jazdy do prześlicznego miejsca ani żadnej przerwy w przywitaniu. - Mam wrażenie, że coś się w pani zmieniło. Uczesanie...? Chyba także kształt ust i oczy... Tak pani lepiej.

- Mnie w ogóle lepiej - odparłam z najgłębszym przekonaniem, usiłując ochłonać po przeżyciach. - Pod każdym względem. Zamierzam już trwale być taka więcej przepiękna, szczególnie w gorszym oświetleniu. Czy panu Bardzo zależy na spacerach akurat na tamtym skwerku?

- Gdyby mi bardzo zależało, nie pozwoliłbym się stamtąd zabrać. Widzę, że pani przestało się tam podobać?

- Noga moja tam więcej nie postanie... - zaczęłam gwałtownie, przypomniałam sobie umowę z panem Palanowskim, urwałam i dokończyłam dość ponuro: - ...co najmniej przez tydzień.

- Po tygodniu znów pani przewiduje zleconą pracę?

- Skąd pan to wszystko wie? - spytałam, przyjrzawszy mu się podejrzliwie. - Podobno jest pan osobą całkowicie prywatną?

- Oczywiście, że jestem osobą prywatną! Kimże miałbym być?

- Nie mam pojęcia. Zastanawiałam się nad tym, ale nic mi nie przychodzi do głowy. Jako osoba prywatna nie mógłby pan wiedzieć tego, co pan wie.

- Powiedzmy, że jestem osobą prywatną wyjątkowo ciekawą i dociekliwą. Posiadam zdolność dedukcji i z przesłanek wyciągam wnioski. Przesłanek dostarczyła pani sama w ilościach zdolnych zainspirować najlepszego tumana, a wnioski pani potwierdza. Nie powiedziała pani jeszcze tylko, jak pani na imię.

- Przysięgnę, że pan wie! - wykrzyknęłam z irytacją.

- Nawet jeśli wiem, wolę, żeby pani sama to powiedziała...

No i zrobiło się z tego coś takiego, co właściwie nie wiadomo, skąd się mogło wziąć. Rzeczywistość przekroczyła zakres działania imaginacji o tyle, że romansu z wymyślonym blondynem nigdy nie umiałam sobie wyobrazić. Dochodziłam do zawarcia z nim znajomości, wyklucia się wzajemnych upodobań i ani kroku dalej. Powinien był zatrzymać się w tym miejscu, pozostać w tej fazie, nie wiem, może skamienieć, może zdematerializować się, zniknąć mi z oczu, zaproponować platoniczną przyjaźń, udusić mnie ostatecznie dla świętego spokoju... Wszystko byłoby bardziej zrozumiałe! To, co mi tu rozwijało się i kwitło na skraju ogródków działkowych, budziło we mnie nabożne, niebotyczne zdumienie, wypychając z mojego jestestwa wszystko inne.

Pewne było tylko jedno, a mianowicie, że romans z takim blondynem musi stać się bezwzględnie prawdziwym romanssem wszechczasów!

\*

Pan Palanowski zadzwonił w osiem dni później zaskakując mnie propozycją wymiany Basieńki na mnie nazajutrz po południu. Nie miałam głowy do afer i mistyfikacji, bez mała zapomniałam o interesach państwa Maciejaków i wyrażenie zgody kosztowało mnie dosyć dużo wysiłku. W ostatniej chwili

ugryzłam się w język, żeby nie spytać go, czy mąż również zostanie wymieniony.

Kapitan, którego telefonicznie powiadomiłam o planach szajki, pocieszył mnie zapewnieniem, że teraz to już nie będzie trwało dłużej niż trzy dni. Z Markiem byłam umówiona na mieście wieczorem. Nie bardzo wiedziałam, w jaki sposób wyjaśnić mu sytuację, bo przez cały czas ani jednym słowem nie poruszyliśmy tematu moich tajemniczych poczynań na skwerku. Nawet mnie to nie dziwiło, miałam wrażenie, że on wszystko wie i po prostu uważa, że nie należy o tym mówić.

- Słuchaj no, mój drogi - powiedziałam z westchnieniem, kiedy tylko wsiadł do samochodu. - Mam dla ciebie nową, odkrywczą propozycję. Czy nie nabrałeś przypadkiem ochoty na wieczorne spacerować?

- Ślicznie wyglądasz - odparł na to, przeszkadzając mi prowadzić samochód. - Z dnia na dzień jesteś ładniejsza.

- Jutro zbrzydnę, nie ma obawy. Słuchaj, co mówię, bo to ważne. Będziesz się ze mną spotykał na skwerku czy nie?

Przestał prezentować ową cechę charakteru, o której niesłusznie sądziłam, że mu brakuje, i przyjrzał mi się z namysłem.

- Rozumiem, zbrzydniesz od spacerów... Na jak długo wcielasz się w tę tajemniczą osobę?

- Na trzy dni podobno - odparłam wzdygając się lekko. - Od jutra. Wieczorem już pójdę na spacer jako ona. Ty co?

- Też pójdę, ale nie jako ona. Raczej jako ja. Wolałbym, żeby twój udział w tej całej sprawie już się wreszcie skończył.

Wzdrygnęłam się mocniej, skręciłam w prawo, zjechałam na bok i zatrzymałam samochód.

- To jest nie do zniesienia - oświadczyłam stanowczo. - Dostyc tego. Oglupienie uczuciami do ciebie też ma jakieś granice. Porozmawiajmy poważnie. Co ty właściwie wiesz o tej całej aferze i skąd?

Milczał przez chwilę. Zawsze milczał przez chwilę, kiedy miał mi powiedzieć coś szalenie emocjonującego, ważnego, sensacyjnego, doprowadzając mnie na skraj uduszenia, bo czekałam jego wypowiedzi z zapartym tchem.

- W zasadzie wszystko - wyznał wreszcie. - Albo prawie wszystko. Najzupełniej dosyć, żeby się o ciebie niepokoić.

- Po pierwsze nie powiedziałaś, skąd wiesz, a po drugie dlaczego niepokoić? Nic mi się nie stało do tej pory, to i nic mi się nie stanie dalej.

- To nie będzie to samo. Nie wiem, czy sobie zdajesz sprawę, jak mało osób wiedziało, że ta pani z grzywką to ty. Wszystkim tym osobom zależało na utrzymaniu języka za zębami. Teraz nastąpią pewne radykalne posunięcia i całe oszustwo może wyjść na jaw.

- No to co? Przecież nie ja je wymyśliłam.

- Mam na myśli, że może wyjść na jaw twoje porozumienie... z niektórymi osobami...

- Aha, i wtedy inne osoby z lubością poderzną mi gardło?

- Coś w tym rodzaju.

- Ale inne osoby nie dowiedzą się o niczym, dopóki nie zostaną wyłapane. A wtedy będzie im dość trudno podrzynać cokolwiek.

- Miła moja, nie bądź naiwna. Nie można mieć pewności, że się wyłapie wszystkich. Są tacy, którzy mają na widoku zbyt wielkie korzyści, żeby się mieli przed czymś zawahać, a ty jesteś przerażająco lekkomyślna...

- Przesadzasz - przerwałam stanowczo. - Ja tylko myślę logicznie. To przecież nie są zbrodniarze, nikomu tu nie grozi kara śmierci, odsiedzą swoje i po krzyku. Nikt nie będzie mnie mordował, żeby się narazić na więcej. Jeśli zaś tkwi w tym ktoś bardziej zagrożony, to ja o nim nic nie wiem, a zatem nie jestem dla niego niebezpieczna. Zastanowiłam się nad tym i przestałam się bać.

Przyglądał mi się w zadumie, trochę jakby zniecierpliwiony i zdęgowany.

- Nie wiem, jak cię przekonać... Ten ktoś może nie wiedzieć, że ty nie wiesz...

- Przestań mnie straszyć. Zresztą dobrze, skoro uważasz, że to konieczne, będę się bała jak cholera. A teraz bądź uprzejmy wyjaśnić wreszcie, skąd to wszystko wiesz!

- Sama mi powiedziałaś. Od początku zorientowałem się, że jesteś podstawiona za kogoś innego i bez trudu przyszło mi sprawdzić za kogo. O tamtej pani już coś niecoś wiedziałem, przyglądałem się jej dość długo. Sam byłem ciekaw, kiedy i jak milicja dotrze do tego murzyńskiego władcy...

- Więc wiesz nawet o kacyku! - wykrzyknęłam, smętnie kiwając głową. - Jedno z dwojga, albo należysz do szajki przestępców, albo jesteś prywatnym przyjacielem pułkownika.

- Prywatnym przyjaciołom nie zdradza się tajemnic służbowych.

- No to jesteś jasnowidzem. Nie, przepraszam, przestępcą. Może mi w takim razie wyjaśnisz...

- Jedno mnie tylko zastanawia - przerwał, jakby sobie nagle coś przypomniał. - Jakim cudem to tak przeszło? Coś ty takiego robiła, że dali się nabrać?

- Kto się dał nabrać?

- Nasze władze.

- : A...! Nic takiego. Pracowałam.

- W jaki sposób?

- Zwyczajnie, kreśliłam przy desce Basieńki - mruknęłam, bo nagle poczułam się niezwykle inteligentna, i rozjaśniło mi się w głowie. - Umiem to robić znacznie lepiej niż ona, podjęłam jej pracę bez chwili wahania. A za oknem siedział rudy debil...

- Co siedziało?!

- Rudy debil, tępy, obszargany i rozlazły. Żuł gumę i patrzył mi na ręce od pierwszego dnia.

- A, rudy debil...!

- Pewnie się teraz okaże, że to jest jeden z najzdolniejszych wywiadowców milicji - powiedziałam z rozgoryczeniem, widząc jego wyraz twarzy. - Zawsze mnie skołują. Nie zdziwię się, jeśli któryś z nich przebierze się za strusia. Tobie było łatwo połapać się w tym szachrajstwie, wygłupiłam się do ciebie od pierwszego słowa, ale oni wiedzieli tylko, że Basieńka z kropką na twarzy twardo siedzi przy stole i ciągnie wzór. Mało jest osób, które mają w tym wprawę. Nie wiem, czy wiesz, że taki szablon musi być idealnie powtarzalny w każdą stronę...



- Wiem. To był dla nich wyjątkowo korzystny zbieg okoliczności. Niepokoi mnie trochę ta paczka dla kacyka. Musiało tu nastąpić jakieś nieporozumienie.

- Widzę, że nareszcie przestałeś mówić ogólnikami i przystępujemy do konkretów - zauważyłam jadownicę. - Śledziłeś wewnątrz tego domu przez peryskop czy co?

Zaczął się śmiać.

- Konkrety są tylko dla wtajemniczonych. Z chwilą kiedy zaczęłaś myśleć samodzielnie, mogę sobie trochę pozwalać.

- Wiedziałam, że mnie od ciebie spotka coś złego! Myśleć! Myślenie szkodzi. A propos paczki, to miałam nadzieję, że potrafisz mi to wyjaśnić, bo kompletnie tego nie rozumiem.

- Na razie nikt nie rozumie. Trochę się domyślałam, ale za wcześnie o tym mówić.

- To może wiesz, co teraz będzie?

- Wiem. Teraz milicja musi zatrzymać wszystkich równocześnie we właściwej chwili i najtrudniejsza rzecz to wybrać właściwą chwilę. A ty masz się do tego nie wtrącać, siedzieć spokojnie i zdobyć się na tyle ostrożności, ile tylko zdołasz. Niech ja się nie muszę bać o ciebie...

\*

Metamorfozie uległam tak samo jak poprzednio, w apartamencie pana Pałanowskiego, dokąd przybyłam tym razem ubrana normalnie i wielce niezadowolona. Charakteryzatora nie było, kropki, grzywki i zęby załatwiłyśmy z Basieńką we własnym zakresie. Pan Pałanowski z uporem bredził o głębi uczuć i tygodniu szczęścia, Basieńka zaś niejasno wspominała coś o gosposi i generalnych porządkach, które zrobiła w domu. Nie byłam pewna, czy mam to uważać za wyrzut pod moim adresem, czy za informację o zmianach, ale nie czepiałam się zbytnio, uspokojona zapewnieniem, że gosposi znów nie ma.

Do domu wkroczyłam ostrożnie, niepewna, czy nie zastawiono na mnie pułapki w postaci prawdziwego pana Maciejaka. W salonie siedział osobnik znany mi jako mąż,

wyglądający nieco mizerniej niż poprzednio. Na mój widok zerwał się z fotela bez słowa, dopadł okna i zaczął walić po szybie, omal jej nie tłukąc. Zdjęłam pantofel i pomachałam mu nim przed nosem.

- Uspokój się, bo zaraz będziesz leciał z futryną do szklarza - powiedziałam ze zniecierpliwieniem. - Co tak źle wyglądasz? Chory jesteś?

Mąż zaniechał prezentacji hasła i chwycił się za klatkę piersiową.

- O rany Boga, na serce umrę przez tych przemytników! Co ja tu przeżyłem, to ludzkie pojęcie przechodzi! To ty jesteś, czy nie ty?

Upewniłam go, że ja to ja, i zainteresowałam się wydarzeniami.

- Byłaś tu, jak przyszedłem - zakomunikował mi we wzburzeniu, z paniką w oczach. - Znaczący nie ty byłaś, tylko ta żona. Całkiem identyczna, ale to nie mogłaś być ty, musiała być ona, bo jak zacząłem bębnić, spojrzała na mnie jak na głupiego. Pantofla nawet nie ruszyła, żadnych kamyczków...! Połapałem się, że to nie ty, i o mało trupem nie padłem, całe szczęście, że zaraz wyszła. Ja tu jestem już dawno, prawie od rana. Zaniepokoiłam się.

- Powiedziałeś co do niej?

- Coś ty, mowę mi odjęło. W ogóle sparaliżowało mnie przy tym oknie!

- I od tego tak zmizerniałeś?

Mąż oddychał głęboko z wyraźną ulgą i stopniowo przychodził do siebie.

- Trzeci raz się narwać nie dam, choćby mnie cała milicja na kolanach błagała! Gdzie tam od tego, niewyspany jestem. Dzień i noc robimy te szmaty u kumpla, idzie jak woda. złoty interes! Mam dla ciebie na razie półtora kafla. Maciejak mówił, że angażuje mnie na tydzień, cały ten tydzień prześpię, czekam tylko, żeby sprawdzić, która tu będzie, ona czy ty, i zaraz walę się spać.

- Jaki tam tydzień, kapitan mówił, że tylko trzy dni. Śpij przedzej. Widzisz, jak to było rozsądnie wykombinować sobie hasło? Poza tym nic nowego?

- Nie wiem. Śpiący jestem. Mam wrażenie, że tu czegoś brakuje, ale nie wiem czego. Może ty zgadniesz?

Czym przedzej rozejrzałam się z zainteresowaniem. Brakowało alabastrowej wazy razem ze stoliczkiem, na którym stała. Przypomniało mi się gładzenie o generalnych porządkach i tknięta przecuciem popędziłam na górę, do pokoju Basieński.

- Panie kapitanie - powiedziałam tajemniczo do słuchawki w parę. minut później. - Zawiadamiam pana, że z tego domu zginęły następujące rzeczy. Nieduży obrazek Watteau, możliwe, że oryginał, dwa srebrne, rokokowe świeczniki i rokokowa komoda. Nie wiem, jakim sposobem chcą ją wywieźć. Oprócz tego alabastrowa, waza, chyba z osiemnastego wieku, i stolik z chińskiej laki. Srebrne łyżki, noże i widelce, zabytkowe. Były i nie ma. Oprócz tego jakiś obraz z pokoju męża, ale nie wiemy, jaki.

- Komoda była stara, co? - spytał kapitan dość obojętnie.

- Stara - przyświadczyłam zgryźliwie. - Miała tak ze dwieście pięćdziesiąt lat. Wszystko było niemłode.

Po stronie kapitana przez krótką chwilę panowało milczenie.

- Pozna pani tę komodę? - zapytał z jakimś nagłym ożywieniem w głosie.

- Poznam, jeżeli jej nie odnowili. Miała znaki szczególne. A co, trzyma pan ją tam u siebie?

W odpowiedzi kapitan znów pomilczał sobie jakiś czas, po czym wydał mi osobliwe polecenie. Mianowicie, już od jutra począwszy, w trakcie dokonywania zakupów w imieniu Basieński miałam wizytować wszystkich stolarzy, składy mebli i inne tym podobne instytucje, jakie mi się tylko napatoczą. Sam podał mi od razu kilka adresów. W razie gdybym ujrzała znajomą komodę, mam zachować powściągliwość, nie rzucać się na nią z krzykiem, nie zadawać nikomu żadnych głupich pytań, wrócić do domu i od razu udzielić mu wiadomości. W ogóle mam to robić taktownie, dyplomatycznie i nie nachalnie.

Świadoma swoich talentów dyplomatycznych wyraziłam zgodę raczej niepewnie, chociaż myśl oglądania starych mebli była mi nawet dość przyjemna.

Mąż, zgodnie z zapowiedzią, wczesnym wieczorem kropnął się spać. Nieco zaintrygowana komodą udałam się na skwerek i pierwsze, co uczyniłam, to poinformowałam Marka o zauważonych w domu państwa Maciejaków zmianach. Zainteresowało go to.

- Duża była ta komoda?

- Dość duża. Jak przedwojenne biurko.

- Ile mogła być warta ^

- Na pewno więcej niż sto patyków. Ile więcej, nie wiem, bo na te rzeczy nie ma stałej ceny. Głównie dlatego, że prawie nie ma takich rzeczy.

Wszelką myśl o poglądach pułkownika na moje niedyskrecje usunęłam z siebie bardzo starannie, z nadzieją, że komentarze ukochanego mężczyzny pozwolą mi dokonać jakiegoś odkrycia. Nadzieja całkowicie zawiodła, dowiedziałam się tylko, że ja prawdziwa podobam mu się znacznie bardziej niż ja jako Basieńka. Pociuszające to było i zgodne z moim zdaniem, ale w kwestii afery mało przydatne.

Nazajutrz wieczorem wrócił do tego tematu. Przez całą dobę nie zdarzyło się nic niezwykłego, mąż chrapał na górze tak, że słyhać go było na dole, poza tym panowała cisza i spokój. Stolarzy odwiedziłam bez pożądaných efektów. Na spacer polecałam wyjątkowo wcześniej, pomimo to Marek już czekał.

- - Z tego, co mówiłaś wczoraj, wnioskuje, że lubisz antyczne meble? - powiedział jakoś zachęcająco. - Może masz ochotę obejrzeć kilka?

O poleceniu kapitana nie mówiłam mu wprost, ale nie miałam wątpliwości, że je sobie wydedukował. Musiało w tym coś być...

- No? - powiedziałam z zainteresowaniem.

- Jest taki mały zakładzik stolarski przy Poznańskiej, w podwórzu. Zajmują się tam głównie renowacją antyków. Pewnie chętnie obejrzysz...

Byłam tak pewna, że komoda państwa Maciejaków stoi w owym zakładziku, że na jej widok nawet się nie zdziwiłam. Stała sobie istotnie pod ścianą, zasłonięta dwoma wolterowskimi fotelami w złym stanie, o których byłam zmuszona pogawędzić ze stolarzem, żeby nie wzbudzić niepożądanych podejrzeń. Powiadomiłam o niej kapitana, jęcząc w duchu i z góry rezygnując z uzyskania od Marka informacji, skąd, u diabła, o tym wszystkim wie. Najprawdopodobniej znów usłyszałabym, że dowiedział się ode mnie, co było o tyle nieprawdopodobne, że sama nic nie wiedziałam. Wbrew przewidywaniom następnego wieczoru usłyszałam coś więcej.

- Twoi chlebobawcy wyrzucili ją na śmietnik - oświadczył spokojnie, kiedy opowiedziałam mu o wizycie u stolarza.

Była to wiadomość niezwykle dziwna.

- A ty co, zwiedzasz codziennie śmietniki i patrzysz, co kto wyrzuca? - spytałam zgryźliwie. - Dlaczego w takim razie nie zachęcałeś mnie do szukania jej na śmietniku? I skąd się znalazła u stolarza? Sama poszła, bo jej się entourage nie podobał? I w ogóle kto wyrzuca na śmietnik przeszło sto tysięcy złotych?!

- Widocznie są tacy rozrzutni ludzie. O ile wiem, nie poszła sama, tylko została przewieziona...

- Na litość boską - powiedziałam z rozpaczą, po chwili zbyt długiej jak na moje możliwości - mów do mnie jednym ciągiem, nie rób tych przerw, ja nie mogę tyle czasu nie oddychać! Kto ją przywiózł, skoro oni ją wyrzucili?!!!

- Ktoś, kto przypadkowo znalazł się zaraz potem na wysypisku śmieci, ponieważ sam również wyrzucał jakieś rupiecie. Zobaczył ją, zabrał i oddał do stolarza.

Na myśl, jak łatwo jest znaleźć w śmieciach sto tysięcy złotych, zabrakło mi głosu. Poczulałam zamęt w głowie. Musiało w tym, oczywiście, coś być, nie miałam jednakże pojęcia co, nie wiedziałam, o co go teraz pytać, a na domiar złego w ogóle nie mogłam się zorientować, czy to ważne jako składnik afery, czy też tylko taka sobie ciekawostka, płacząca się po marginesie.

- Mówisz mi to po to, żebym zaraz pozbiierała w domu rupiecie i udała się z nimi na wysypisko, czy też po to, żeby mnie zmusić do myślenia? - spytałam ostrożnie.

- A jak ci się zdaje?

- Jestem pewna, że to drugie! Co za upór, tak się nade mną znęcać... Od razu ci powiem, że z pracą umysłową poczekam, aż będę miała więcej materiału. Owszem, przychodzi mi do głowy, że chcieli tę komodę sprzedać w tajemnicy, symulowali wyrzucenie na śmietnik i umówili się z kupcem, że przyjdzie tam po nią rzekomo przypadkowo, ale po jakiego diabła wymyślili takie sztuki, nie mam pojęcia. Do niczego mi to nie pasuje.

- No to pomyśl jeszcze trochę, może ci przyjdzie do głowy coś więcej.

- A nie możesz powiedzieć wprost?

- Nie mogę. Sam nic nie wiem Trudno, jak się lubi sensacje, to trzeba umieć sobie dedukować...

Wróciłam potwornie późno, rozwścieczona w najwyższym stopniu całkowitą niemożnością wykrycia, o co tu właściwie chodzi. Polka z komodą wyskoczyła tak ni przypiął, ni wypiął. Ciemno mi się w oczach robiło na myśl, że jeśli sama tego nie zgadnę, nie dowiem się nigdy w życiu, bo kapitan oczywiście farby nie puści, a Marek nadal będzie się nade mną pastwił w celach dydaktycznych. Udowodni mi w końcu, że jestem kretynką, która powinna potulnie zmywać garnki, nie wtrącając się do niezwykłych wydarzeń, i zupełnie nie weźmie pod uwagę tego, że to niezwykle wydarzenia wtrącają się do mnie.

Mąż spał i chrapał z podziwu godnym uporem. Udałam się do kuchni zaparzyć sobie herbaty i kiedy sypałam ją z puszek do czajnika, coś w niej błysnęło. Wyjęłam to coś, bo nie lubię obcych ciał w herbacie, i okazało się, że jest to maleńki kluczyk osobliwego kształtu. Przez chwilę przyglądałam mu się bezmyślnie, po czym nagle uznałam go za przedmiot do tego stopnia podejrzany, że telefon do kapitana, pomimo niestosownej pory, wydał mi się konieczny.

Skąd kluczyk w herbacie, którą sama kupiłam w sklepie i z paczek wysypałam do puszek?

Kapitana dopadłam pod jednym z podanych mi numerów po dość długich wysiłkach.

- Znalazłam w herbacie takie coś, co mi wygląda na kluczyk - powiadomiłam go konspiracyjnie. - Nie rozumiem, co to znaczy.

- W jakiej herbacie?

- Cejlońskiej.

- O rany boskie, gdzie go pani znalazła? W szklance? W czajniku?

- Nie, w puszcze. Wysypał się.

- Co za kluczyk?

- Mały - powiedziałam po namyśle. - Świecący. Nietypowy.

- I co pani z nim zrobiła?

- Nic. Leży tutaj.

- Po cholerę go pani wyjmowała? - wrzasnęła kapitan z nagłą irytacją. - Co pani myśli, że ja mam za mało kłopotów?! No nic, spokojnie...

- Przecież jestem spokojna - powiedziałam z furią. - Uważa pan, że co, miałam go sobie zaparzyć? I może jeszcze połknąć?

- Nie, nie połykać?.. Niech pani natychmiast zejdzcie do piwnicy...

Przez chwilę oczekiwałam, że powie: "...i pozostanie zamknięta tam aż do odwołania".

- ...i pozamyka porządnie wszystkie okna - dokończył posepnie. - Głowę daję, że tam któreś jest otwarte. Pani popełnia karygodne niedopatrzienia!

Wściekła i coraz bardziej zdezorientowana zeszłam na dół, jedno okno sprawdziłam, drugie domknęłam, po czym wróciłam na górę. Dla władz śledczych, być może, afery dobiegała końca, dla mnie melanz tylko się zwiększał. Parszywy kluczyk lśnił na środku stołu.

- Co to jest? - spytał nazajutrz nieufnie mąż wskazując go palcem.

- Nowa paczka dla kacyka - odparłam z rozgoryczeniem. - Nie radzę ci brać tego do ręki.

- Zwariowałaś, coś takiego miałbym brać do ręki! Z daleka wygląda podejrzenie, małe i świeci... Znów ktoś przyniósł?

- Nie wiem, tym razem chyba ja. Zdaje się, że to jest coś równie kłopotliwego, jak tamte faszerywane arcydzieła. Nie należy tego dotykać.

- Nie mam zamiaru. Słuchaj, rany boskie, nie strasz mnie. Czy to znaczy, że ta katorka będzie dłużej trwała? Szczyt moich wszystkich marzeń to jest wreszcie się od tego odczepić! Śniło mi się, że zostałem twoim mężem na zawsze i musiałem cię zameldować w tej mojej plombie!

- Koszmary senne miewa się od ciężkostrawnych kolacji... Spluń trzy razy przez lewe ramię, bo jeszcze w złą godzinę wymówisz. Pojęcia nie mam, co się dzieje, i mogę cię uroczyście zapewnić, że też mam tego dosyć.

- Tyle mojego, że się chociaż wyspałem... Błąkaliśmy się po apartamencie państwa Maciejaków w stanie ponurej rezygnacji, czując się trochę tak, jakbyśmy już umarli i na nieskończoną wieczność zostali skazani na czyściec. Wszystko wydawało nam się lepsze od tego czekania na Godota. Prawdopodobnie dostalibyśmy w końcu obłędu i wpadli w nieuleczalną melancholię, gdyby nie to, że przedstawienie zniecka uległo zakończeniu w sposób nagły i wstrząsający, w chwili kiedy nic nie wskazywało na pojawienie się jakichś zmian.

Okolo piątej po południu pod dom podjechał zwyczajny fiat i wysiadł z niego kapitan po cywilnemu, we własnej, niefałszowanej osobie. Spożywalimy właśnie posiłek, w związku z czym wzruszenie, połączone z kiełbaską, omal nas nie zadławiło. Wręcz trudno było uwierzyć własnym oczom!

- Koniec żartów - oświadczył. - Jesteście państwo w pewnym sensie wolni.

Nie zdążyłam go zapytać, w jakim sensie, bo od razu podszedł do stołu, wziął kluczyk, wetknął go do owej zamkniętej szufladki sekretarzyka, otworzył ją, pomanipulował przez chwilę i znalazł w głębi skrytkę. Otworzył ją również, czemu przyglądałam się z niewinnym zaciekawieniem, nie przeczuwając nic złego. Otwarta skrytka był pusta.



To, co nastąpiło potem, było do reszty niepojęte. Kapitan nie przybył sam, towarzyszyło mu dwóch osobników, z których jeden milczał jak głaz, drugi zaś wziął żywy udział w konwersacji. Bardzo długo trwało zanim wreszcie dotarło do mnie, że owo coś, co znajdowało się w skrytce kiedyś, zginęło, zostało rąbnięte, ktoś ukradł i że osobą tą, według wszelkich prawideł, powinnam być ja...!

Gdyby nie idiotyczny klucz, posądzenie mogłoby paść na tajemniczego włamywacza, klucz jednakże niewiadomym sposobem znalazł się w moim posiadaniu. Kapitana poinformowałam o nim przez telefon wyłącznie dla zmylenia przeciwnika.

- Gdybym wiedziała, co z tego wyniknie, damę panu słowo, że wrzuciłabym go do wychodka - powiedziałam w zdenerwowaniu. - Co w ogóle było, to coś, co ukradłam?! Przynajmniej to powinien mi pan powiedzieć!

- Pułkownik pani powie - mruknął kapitan. - Ja tam prywatnie uważam, że nie pani, ale oficjalnie nie mogę tego wykluczyć...

- No dobrze, a dlaczego nie ja? - wtrącił z urazą mąż, poczytując sobie widać za afront odsunięcie od niego podejrzeń.

- Pan odpada, nie miał pan szans. A w ogóle to zmywajcie się, państwo stąd. Bierzcie, co wasze, zostawcie, co nie wasze, i im prędzej was tu nie będzie, tym lepiej. Pani do pułkownika...

- Bardzo dobrze, pułkownik strasznie się ucieszy, jak przyjdę w halce i boso - oświadczyłam jadownicę. - Wszystkie moje rzeczy są u pana amanta.

- Własne mam gacie - powiedział równocześnie mąż z niepokojem. - To znaczy za przeproszeniem... Reszta została u tego łysego wypłoszą, znaczy u charakteryzatora...

Wyraz, z jakim kapitan popatrzył na nas, wart był zapamiętania do końca życia. Nigdy jeszcze milicja tak na mnie nie patrzyła. Świeżo ujawniona trudność wynikła z zamiany razem z nami także i odzież umknęła uwadze wszystkich zainteresowanych i teraz przewycięzanie nieprzewidzianych przeszkód spowodowało niejake zamieszanie.

W wyniku różnych energicznych działań znalazłam się jednak u pułkownika w kompletnym stroju.

- Cała odpowiedzialność za panią spoczywa na mnie - zakomunikował mi zimnym głosem. - Zostało zdecydowane, że wasz udział w tej sprawie nie zostanie oficjalnie ujawniony, między innymi także dla waszego bezpieczeństwa. Skutek jest taki, że wszystko wychodzi ode mnie, tak jak ja bym był tą żoną i ja za panią odpowiadam. Czy pani to rozumie?

Rozumiałam, owszem. Złożyłam mu wyrazy ubolewania i współczucia. On za mnie odpowiada, a ja tu kradnę ze skrytek rozmaite przedmioty...

Pułkownik nie bawił się w skomplikowane podstępny, zadawał pytania wprost i udało mi się z nich w końcu wydedukować, że cała szajka została wyłapana, państwo Maciejakowie i pan Palanowski w dzikiej panice przyznali się do wszystkiego, za ich przykładem przyznał się kacyk wraz ze swoimi współnikami, po czym wybuchła wielka bomba.

Wszystkie wymienione przez ciężko spłoszonych przestępców przedmioty odnaleziono, przepadło tylko to, co było w skrytce. Na domiar złego przepadło w jakiś dziwny sposób...

- Na litość boską, niechże pan powie, co to było! - zażądałam w ostatecznej desperacji. - Głupio będzie, jeśli stanę przed sądem, ciągle nie wiedząc, co właściwie rąbnęłam!

- To pani tego jeszcze nie wie? Dwadzieścia sześć sztuk brylantów, wartości prawdopodobnie blisko stu tysięcy dolarów. Trudno ocenić dokładnie, skoro ich nie ma.

Jeżeli chciał mną wstrząsnąć, udało mu się to w zupełności. Brylanty, znajdujące się w skrytce, w domu, który zamieszkiwałam przez trzy tygodnie... Przyznałam się do posiadania kluczyka od owej skrytki i na domiar złego łup był wart sto tysięcy dolarów! O coś podobnego jeszcze nigdy nie byłam posądzana.

- Zaraz - powiedziałam, niezłe oszołomiona. - Nie orientuje się pan, kiedy ja to ukradłam?

- Owszem. Mniej więcej. Zaraz po wizycie w sklepie Jablonexu. Tak między nami, co pani robiła w tym sklepie?

Na szczęście w ciągu ostatnich miesięcy w sklepie Jablonexu byłam tylko jeden jedyny raz i dość łatwo przyszło mi przypomnieć sobie, po co. Zobaczyłam na wystawie czarną broszkę, która od dawna mi była potrzebna, i weszłam, żeby ją kupić, zrezygnowałam jednakże z tego zamiaru, niepewna, czy w istniejącej sytuacji kupiłabym ją sobie czy też może Basieńce. Wyznałam to pułkownikowi.

- Nie rozumiem tylko, co to ma do rzeczy - dodałam. - W Jablonexie nie sprzedają przecież prawdziwych brylantów? Czy może ja rąbnęłam fałszywe?

- Przeciwnie. Ukradziono prawdziwe i zastąpiono je fałszywymi. Bardzo mi przykro, ale to też. panią obciąża...

W dalszym ciągu konwersacji udało mi się zrozumieć, na czym polegało clou imprezy. Państwo Maciejakowie cały swój prywatny tutejszy majątek po cichu lokowali w brylantach, których część pochodziła z czasów przedwojennych, odziedziczona została po przodkach, prababciach i pradziadkach, resztę zaś nabyto drogą rozmaitych machlojek w latach późniejszych. Basieńka trzymała je w małym, drewnianym pudełeczku, w skrytce sekretarzyka i zamieniając mnie na siebie zamierzała oczywiście stamtąd je zabrać. Nastąpiło jednak nieporozumienie z kluczykiem. Kluczyk istniał tylko jeden. Mąż opuścił dom pierwszy. Basieńka zorientowała się, że przez pomyłkę zabrał go ze sobą, nie zdołała się już z nim porozumieć, zamiast niego miał przybyć lada chwila zastępca, pan Palanowski razem ze mną czekał, straciła głowę i oddaliła się, z nadzieją, że mąż zabrał także i brylanty. Stąd jej zdenerwowaniu u amanta i większość zaniedbań, bo pan Palanowski zdenerwował się również, niepewny losu oszczędności. Pocieszali się przekonaniem, że nawet gdybyśmy włamali się do szufladki, skrytki nie znajdziemy, otwierał ją bowiem mechanizm, uruchamiany wyłącznie kluczykiem. Mogliśmy najwyżej zepsuć zamek. Poza tym zawartość skrytki powinna już bezpiecznie spoczywać w kieszeni męża.

Pociechę wkrótce szlag trafił, okazało się bowiem, że mąż nie tylko brylantów, ale nawet kluczyka wcale przy sobie nie

ma. Zostawił go w domu w innej szufladce sekretarzyka i myślał, że Basieńka o tym wie, bo wyraźnie jej mówił. Basieńka nie wiedziała, w zamieszaniu i pośpiechu przy hurtowej produkcji wybryków informacja umknęła jej uwadze. Trzęśli się o swoje brylanty aż do chwili, kiedy po powrocie znaleźli kluczik na miejscu i pudełeczko w, skrytce. Przeliczyli, było dwadzieścia sześć, uspokoili się, po czym jak grom z jasnego nieba trafiła ich opinia eksperta...

Oceniający precjoza milicyjny ekspert, zorientowany w rodzaju afery, sam był ciekaw, co znajdzie, i niecierpliwie oczekiwał na zdobycz. Od razu zajął się biżuterią Basieńki i zawartością pudełeczka i od razu stwierdził, że spoczywa w nim dwadzieścia sześć bardzo ładnie oszlifowanych szkiełek, prawdopodobnie z Jablonexu. Zarówno państwo Maciejakowie, jak i pan Palanowski w pierwszej chwili nie chcieli mu wierzyć i usiłowali rzucić na milicję podejrzenie o straszliwy kant, następnie także podejrzenie rzucili na mnie i na męża, następnie pokłócili się między sobą i popadli w rozpacz. Podejrzenie rzucone na mnie było o tyle uzasadnione, że jak się okazało, dysponowałam kluczikiem. Tego, że szlachetne kamienie uległy nieszlachetnej przemianie, nikt nie kwestionował, wstrząs państwa Maciejaków mówił bowiem sam za siebie.

- No dobrze, ale skąd, u diabła, ten kluczik w herbacie?! - spytałam, zdenerwowana. - Przecież był tylko jeden! Podrzucili go tam specjalnie, przez złośliwość?!

- Tego, proszę pani, nikt nie wie - odparł pułkownik melancholijnie. - Oni swój kluczik mieli przy sobie. Wychodzi na to, że jednak były dwa, ale skąd drugi, nie wiadomo. Pani mogła dorobić. Mogła je pani także wymienić, była pani w sklepie Jablonexu...

- I co, wydłubywałam je na miejscu z prezentowanych mi ozdób? O ile wiem, luzem tam tego nie sprzedają!

- Mogła pani jeszcze kupić w ślepo kilka naszyjników, czy czegoś w tym rodzaju, i wydłubać z nich w domu. I teoretycznie laka możliwość należy brać pod uwagę. Szczególnie, że nie ukradziono ich zwyczajnie, tylko właśnie zamieniono na

szkiełka, co bardzo przemawia za panią. Byłoby pani nie na rękę wykrycie kradzieży w chwili, kiedy opuszczała pani ten dom.

Zaczęło mi się robić na zmianę zimno i gorąco.

- Teoretycznie możliwe - przyznałam. - Ale przecież sam pan wie, że to idiotyczne!

- Idiotyczne - zgodził się pułkownik. - Tym bardziej idiotyczne, że oficjalnie pani w tym przedsięwzięciu w ogóle nie istnieje, w charakterze tej żony występuję ja i wychodzi na to, że to ja ukradłem owe brylanty. I uważa pani, że co ja mam teraz zrobić?

Zrobiło mi się równocześnie jeszcze zimniej i jeszcze goręcej.

- Włamywacz... - podpowiedziałam z rozdzierającym jękiem.

- A owszem, ten włamywacz osłabia nieco podejrzenia. Ale musiałyby to być ktoś z szajki, bo postronny złodziej nie zawracałby sobie głowy zamianami. Tylko ktoś, kto obawiał się, że po odkryciu kradzieży ona podniesie taki krzyk i zrobi takie zamieszanie, że natychmiast wszystkich zdekonspiruje. Albo też ktoś, kogo łatwo mogli wykryć. Ale szajka siedzi w całości, a brylantów przy nikim nie znaleziono. I teraz sama pani widzi, co wynika z tego, że pani realizuje bez zastanowienia każdy pomysł, który pani przyjdzie do głowy...

Usiłowałam wydobyć się jakoś spod tej lawiny potępienia.

- Po pierwsze nie każdy, po drugie ten ostatni dowcip nie ja wymyśliłam, a po trzecie jedno niewątpliwie pan osiągnął. Nawet jeśli istotnie je rąbnęłam, pod ciężarem podejrzeń do końca życia nie zrobię z nich użytku. Na litość boską, czy nie można by ich odnaleźć, już chociażby po to, żeby dowieść mojej niewinności?!

- Zapewniam panią, że gorąco tego pragniemy, nie tylko ze względu na pani niewinność. Niemniej jest pani podejrzana i niech się pani liczy z tym, że gdyby pani chciała gdzieś jechać, to nic z tego nie będzie.

- Do Sopotu też nie mogę? - spytałam ponuro po chwili.

- Co takiego?

- Do Sopotu...
- Sama?
- Nie, nie sama...

Pułkownik zamyślił się i nagle popatrzył na mnie z nadzwyczajnym zainteresowaniem.

- A owszem, do Sopotu może pani sobie jechać. Ale uprzędzam panią, nigdzie dalej!

- No przecież nie posądza mnie pan chyba, że będę w balii uciekać do Szwecji! - zdenerwowałam się. - A w ogóle to niech kapitan znajdzie ten kawałek brystolu ze śladem buta i niech szuka po butach, a nie po drogich kamieniach! Zakleiłam go celofanem, żeby się nie zniszczył...

- Bardzo jesteśmy pani za to wdzięczni - przerwał pułkownik jadownicę. - Jak również za cenne wskazówki. Nie omieszkamy skorzystać...

Odkrywczą myśl, że przy podejrzeniu o kradzież tej wysokości powinnam zostać od razu zamknięta, zakwitła we mnie dopiero wieczorem, kiedy jechałam na skwerek spotkać się z Markiem. Stosunek pułkownika do mnie wydawał się dziwny. Z jednej strony, upierał się, że podwędziłam podstępnie sto tysięcy dolarów, czyni mnie pierwszą podejrzaną, z drugiej zaś puszcza wolno w Polskę Ludową. Osobliwe. Obstawy mi nie dał, pies z kulawą nogą nie interesował się mną, nikt mnie nie śledził, więc cóż to ma znaczyć...?

- Najgorsze ze wszystkiego jest to, że ze zdenerwowania nawet nie próbowałam go pytać o niejasności i ciągle połowy nie rozumiem - powiedziała z niesmakiem, kiedy Marek już wsiadł i jechaliśmy powoli jakimiś ciemnymi ulicami dolnego Mokotowa. - Trochę mi się udało wydrzeć z kapitana po drodze, trochę zaczęłam się domyślać z tych pytań, które mi zadawali, ale potem brylanty przesłoniły świat i reszta, została odłogiem. Odniosłam jakieś takie wrażenie, jakby to wcale nie był koniec afery. O włamywaczu milicja nic nie wie, a w dodatku nie widzę tu szefa całego przedsięwzięcia. Myślałam przedtem, że może kacyk, ale nie, nie wygląda na to, i zaczynam podejrzewać, że szef nie został złapany. Połapałam

się, jak to było. Przemycali, co popadło, pod rozmaitymi postaciami, Degasy i Kossaki leciały w charakterze jeleni na rykowisku, ikony jechały jako żelazne dekoracje, kute w motywy patriotyczne, podobno jedna szpada po dworzaniu Zygmunta Augusta wybierała się w podróż w postaci ciupagi, w rękojeści miała rubin jak pięść. Ktoś to skupywał albo kradł, ktoś to potem przeinaczał, zdaje się, że właśnie kacyk miał pracownię tych wyrobów artystycznych, ale to mi się znów kłóci z wysyłaniem paczki do niego... Ktoś potem wyszukiwał osoby, udające się w wojaż. Przemieszane to było chyba, wszyscy robili wszystko, ale ktoś musiał organizować i czuwać nad całością. Kto? I po co kapitan lata za komodą? A najdziwniejsze jest jeszcze co innego...

Marek słuchał cierpliwie, niczym nie zdradzając swoich wrażeń.

- Co mianowicie? - spytał, kiedy urwałam, żeby mu się przyjrzeć podejrzliwie.

- Pozwolili mi się tego wszystkiego domyślać - mruknęłam po chwili. - Pułkownik nie jest ślepy, doskonale widział, że zgaduję, i w ogóle się tym nie przejmował. Nie zamknął mnie za brylanty. Pozwolił mi wykrywać we własnym zakresie rozmaite tajemnice służbowe. Co on w tym miał? To nie jest człowiek, który robi coś takiego bezmyślnie i w roztargnieniu, musiał mieć w tym jakiś cel, tylko jaki? Na razie widzę jeden...

- No? Jaki?

- Szef istnieje. Nie został złapany. I tym szefem jesteś ty. Wiedząc, że ci wszystko powiem, moim gadaniem usiłował cię zaniepokoić, z nadzieją, że popełnisz jakiś błąd. Tak się zawsze robi z wyjątkowo zatwardziałymi przestępcami, którym nie sposób nic udowodnić. Powinieneś popełnić ten błąd zaraz, mordując mnie, możliwe, że na to liczył. Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale miejsce wydaje mi się całkiem niezłe i zupełnie nie rozumiem, dlaczego się ciebie nie boję. Gdzie jesteśmy?

- Zdaje się, że na Sadybie. Tu jest brama ogródków działkowych. Nic nie jeździ, możemy się zatrzymać.

Wykręciłam tyłem do bramy, wjechałam w jakieś zielsko i zatrzymałam samochód. Do głowy przychodziło mi coraz

więcej. Marek słuchał moich rozważań z wyraźnym zainteresowaniem, prawdopodobnie widząc w nich upragniony symptom myślenia.

- Jednego wciąż nie pojmuję - ciągnęłam, mieszając nieco tematy. - Co z tą kontrolą celną, pijana miała być, czy co? W jaki sposób można było nie zwrócić uwagi na takie okropne pagaje?!

- To ci mogę wyjaśnić...

- Jak to?! Wiesz?

- Mniej więcej. Udało mi się tego domyślić. To nie, było przeznaczone do wysłania...

Jak zwykle przerwał na chwilę, po czym zaczął wyjaśniać. Rzecz okazała się nieopisanie skomplikowana.

Przedsiębiorstwo było nader rozgałęzione, a wszystkie zainteresowane osoby z żelazną konsekwencją stosowały zasady konspiracji, nie ujawniając jedna drugiej. Jeden z podrzędnych pomocników kacyka został spłoszony, ponieważ milicja zainteresowała się jego bratem, który rąbnął worek mąki z młyna państwowego. Pomocnikowi wbijano w łeb, że przy złocie trzeba przede wszystkim uzasadnić ciężar, chcąc się zatem czymprędzej pozbyć trefnego towaru, uzasadnił ów ciężar i nie najlepiej mu wyszło. Nie mając pojęcia o poczynaniach państwa Maciejaków, wypchnął paczkę normalną drogą, posługując się obcym chłopem jako posłańcem. Co do malowideł zaś nikt się ich jakością nie przejmował, bo nie takie bohomyzy wywożą i wysyłają uczciwi ludzie w najlepszych intencjach. W tym wypadku miała to być pamiątka rodzinna dla kogoś, kto wyemigrował ze wsi jeszcze przed pierwszą wojną światową, zapewne nieletnim dziećciem.

- No dobrze, ale ramy...? - spytałam w osłupieniu. - Kto widział takie ramy?!

- Oni mieli nawet list, w którym ów emigrant domagał się ram do obrazów z kamieni z pola jego przodków. .

- Marmur, z pola...?!

- To była wieś pod Chęcunami, w pobliżu kamieniołomów...



Dobrą chwilę trwało, zanim pozbyłam się oszołomienia. Polka z paczką dla kacyka od początku do końca przechodziła ludzkie pojęcie.

- Skąd, na litość boską, to wszystko wiesz?!

- Skądś tam wiem, domyślam się, to łatwo było wydedukować...

Przyjrzałam mu się, wielce zde gustowana i oburzona. Łatwo wydedukować, rzeczywiście...

- Pewnie, a najłatwiejszy do odgadnięcia był ten worek mąki. Kradzież mąki z młyna ma zawsze takie skutki, wsio normalne. Ty mnie chyba do grobu wpędzisz... Słuchaj, a po co oni właściwie wymienili się na nas? Do czego im to było tak naprawdę potrzebne?

- Jak to, nie domyślasz się sama? Omal mnie nie zatchnęło.

- Słuchaj no, skarbie jedyny - powiedziałam złym głosem. - Gdyby to tak każdy wszystkiego się sam domyślał, na świecie nie byłoby tajemnic i niespodzianek. Zbędna byłaby wszelka informacja, podupadłaby prasa i radio. Przestań mnie denerwować! Owszem, domyślam się, oni też się domyślali, że gliny ich mają na oku i postanowili zniknąć w sposób niezauważalny. Proszę bardzo, tyle wiem! Ale po co?!

- Co, po co?

- Zniknąć! Po co?! Co chcieli zrobić przez ten czas, kiedy ich nie było, coś przecież chcieli, nikt już we mnie nie wmówi, że zamknęli się w leśniczówce i romansowali we troje! Zniknąwszy uprzednio, żeby nie gorszyć co młodszych milicjantów...!!!

- No nie, istotnie, niezupełnie o to im. chodziło... Jak ci się zdaje, no pomyśl, jaki mogli mieć cel?

Ze złości doznałam przyływu natchnienia.

- Wykopywali w lesie ukryte skarby - oświadczyłam z irytacją. - Spotykali się z przemytnikami na byle której granicy. Własnoręcznie w ukryciu malowali bohomazy. Zamordowali kogoś. Włamali się do muzeum. Nie wiem, co jeszcze. Załatwiali interesy.

- Owszem, bardzo blisko jesteś. Właśnie załatwiali interesy. Zastanów się, jeżeli mieli na oku jakieś transakcje, chcieli coś

kupić, ewentualnie ukraść... Ewentualnie wymienić jakieś obrazy, oryginał na kopię, może w jakimś kościele albo coś w tym rodzaju...

- No tak, nie mogli tego zrobić, wiedząc, że są śledzeni. Dobrze, niech ci będzie, domyślam się, że dokonywali korzystnych zakupów, spokojnie i bez przeszkód. Rzeczywiście to było takie ważne i takie intratne, żeby aż wykombinować tę szopkę z zamianą?

- A jeżeli mieli napiętych kilka interesów? Jeżeli przez ostatnie miesiące ich działalność była utrudniona, jeżeli bali się milicji i nie mieli swobody i jeżeli nagromadziło im się tyle tego dobrego, że nie mogli znieść myśli o stracie...?

- Rozumiem, miliony leżą odłogiem i nie sposób ich dopaść. Jeżeli nawet coś kupią, nie przemycą tego, bo są pilnowani, nie zanoszą kacykowi, nic w ogóle nie robią. A nie mógł tych transakcji załatwiać kto inny? Musieli oni?

- Każdy liczył się z tym, że jest śledzony. Ktoś musiał mieć swobodę działania, no i właśnie oni ją zyskali. Dzięki temu mogli wreszcie, po miesiącach pertraktacji, zobaczyć się z różnymi osobami, odebrać od nich rozmaite cenne rzeczy, zwerbować nowych, nie podejrzanych ludzi, jadących za granicę...

- A...! Ktokolwiek się z nimi zobaczył, już był trefny i kontrolowany?

- Właśnie. A im zależało na tym, żeby przepchnąć hurtem całą resztę mienia, bo zamierzali zlikwidować przedsiębiorstwo. Pojęcia nie masz, jacy byli ruchliwi, objechali całą Polskę...

- Musieli unikać hoteli i samolotów, żeby nie podawać nazwiska - zauważyłam. - Pewnie nocowali prywatnie. W Krakowie nabyli obrazek, w Poznaniu namówili kogoś, żeby zabrał do Paryża paczuszkę...

- Mniej więcej tak było. Tylko pomnóż to jeszcze przez dziesięć. No i rzecz najważniejsza, musieli się spotkać z tym kimś, kto pilnował reszty skarbów barona i to spotkać tak, żeby on sam nie podpadł. A zatem w tajemnicy.

- No to rzeczywiście nawet nieźle zgadłam. Za drugim razem chcieli robić to samo?

- A jak ci się zdaje?

- Osobiście jestem zdania, że raczej chcieli prysnąć. Odpracować jeszcze trochę i już nie wracać do domu, tylko zmyć się w siną dal. Ciągłe pewni, że nikt się nimi nie zajmuje, a milicja siedzi w zaroślach i gapi się na fałszywego męża i fałszywą żonę. Tak było?

- No widzisz, jak to łatwo się domyślać, jak się człowiek przez chwilę zastanowi...

- Czekaj. Znów mi zaczyna nie pasować. Czy ja się dobrze domyślałam, że ich komoda ma jakiś związek z mitycznym szefem?

- Możliwe, że dobrze.

- A mityczny szef ma związek z zaginionymi brylantami?

- Nie wiem, też możliwe.

- W takim razie coś tu jest bez sensu. Co ja w tym robię? Chyba, że to chodzi o ciebie. Jeżeli nie jesteś szefem, być może załatwiłeś wymianę brylantów. Przerażony ciężącym na mnie podejrzeniem, czym prędzej polecisz i przyznasz się, żeby mnie oczyścić. W każdą stronę wychodzi mi, że jesteś w to wszystko jakoś zamieszany i nie wiem, co ja tu mam stanowić, pułapkę, przynętę czy wyrzut sumienia.

- Może jeszcze coś innego? Na przykład doping.

- Jak to? Dla kogo?

- Dla ciebie. Doping do myślenia. Nie masz ochoty być podejrzana, zaczniesz się zastanawiać...

- I akurat dużo wymyślę, tyle, co kot napłakał. Tego, co do tej pory wymyśliłam, on jakoś pod uwagę nie bierze. Po jakiego diabła miałabym sama sobie podrzucać kluczyk do herbaty?

- Wyjęłaś go przecież i nikt go w tej herbacie nie widział.

- A, to dlatego kapitan tak się rozwścieczył?

- Możliwe....

- No dobrze, a włamywacz? Stali tam w końcu ludzie pod tym domem czy nie? Skoro stali, musieli go widzieć! Nie dość na tym, ten kluczyk do herbaty też musiał ktoś podrzucić, i to w ostatniej chwili, bo puszka była cały czas używana. Nie bez

powodu kapitan zrobił mi awanturę za otwarte okno! Dlaczego nie było mowy o tym, czy ktoś przez to okno wlaź, czy nie? Przestali pilnować?

- Bardzo możliwe, że przestali. Nie o was przecież chodziło, tylko o prawdziwych Maciejaków.

- I to znaczy, że ja nie mam żadnego dowodu, że ktoś wlaź i podrzucił? I można mnie straszyć posądzeniami do upojenia?

- Owszem, można.

Zamilkłam na chwilę, starając się ochłonąć z wrażenia.

- No to ja się na to nie zgadzam - oświadczyłam stanowczo.

- Wypraszam sobie. Zrób coś!

Marek zaczął się śmiać..

- No i sama popatrz, jak pięknie spełniłaś życzenie pułkownika, cały czas nie wiedząc, o co mu chodzi..

Wracając do miasta, pełna podejrzeń i wątpliwości, pełna żywej niechęci do wszelkich brylantów świata, ciężko urażona ustawicznym robieniem mnie w konia, powiedziałam:

- Jedźmy do tego Sopotu. Najlepiej jedźmy już pojutrze. Skoro pułkownik z takim zapalem udzielił mi zezwolenia, możliwe, że tam się coś przytrafi.

Do wypowiedzania rozmaitych słów w złą godzinę zawsze byłam szczególnie utalentowana...

\*

Sama wybrałam pokój od strony ulicy z uwagi na widok na morze. Kiedy przypomniałam sobie o hałasie, jaki robią w nocy samochody podjeżdżające naprzeciwko pod Grand Hotel i usiłowałam zamienić go na pokój w oficynie, okazało się, że wszystko zajęte. Przepadło zatem, musieliśmy pogodzić się z hałasem.

Dziewczynę, która mieszkała obok, ujrzałam pierwszy raz czwartego dnia sielanki wszechczasów. Znalazłam się na korytarzu w chwili, kiedy zamykała swoje drzwi. Zamknęła, spojrzała na mnie i oddaliła się ku schodom. Przyjrzałam się jej oczywiście i doznałam wyraźnej ulgi na myśl, że tym razem mam do czynienia nie z żadnym dziwkarzem, tylko z

porządnym człowiekiem, dla którego sama uroda, to jeszcze nie wszystko.

Dziewczyna była bardzo piękna. Należałoby raczej określić ją mianem kobiety, bo mogła mieć nawet 35 lat, czego, rzecz jasna, nie było po niej widać i czego nie odgadłby żaden mężczyzna. Wyglądała na 25, miała kunsztowny maquillage i asymetryczne brwi, które dodawały jej wdzięku. Miała także piękne włosy i piękną figurę, była bardzo szczupła, giętka, jakaś szalenie zręczna i sprężysta. Doznałam wrażenia, że jest w niej coś znajomego, co mi nasuwa jakieś nieprzyjemne skojarzenia, chociaż z całą pewnością nie widziałam jej nigdy w życiu. Zostało mi jeszcze tyle oleju w głowie, żeby o niej nie mówić.

Ponownie zobaczyłam ją tego samego dnia wieczorem, kiedy schodziliśmy na kolację, jak zwykle nieco spóźnieni. Szła na górę i zetknęliśmy się z nią akurat na podeście klatki schodowej. Nie zhańbiłam się sprawdzaniem, jakie wrażenie zrobiła na Marku, wystarczyło mi wrażenie, jakie on zrobił na niej. Ten rzut oka na niego i od razu rzut oka na mnie... Nie ma na świecie kobiety, która by nie wiedziała, co to znaczy, i w środku zaległy mi się mieszane uczucia.

- Miała ciekawie zrobione oczy - powiedział, siadając przy stoliku. - Zauważyłaś? Czy to teraz jest taka moda?

Kiwnęłam głową, pełna błogiej satysfakcji. Gdyby nie powiedział, poczułabym niepokój, dziewczyna rzucała się w oczy, a on zauważał wszystko.

- Ma asymetryczne brwi i słusznie to podkreśla - odparłam.

- Dodaje sobie wyrazu twarzy. Oczy ma rzeczywiście dobrze zrobione i na razie nie mogę w niej znaleźć żadnej wady, którą bym ci mogła podetknąć pod nos. Chyba to, że jest znacznie starsza, niż na to wygląda.

- Skąd wiesz? Znasz ją?

- Nie, pierwszy raz ją widzę i w ogóle nie wiem, kto to jest. Mieszka obok nas. Przyjrzałam się jej po prostu.

- Wygląda na jakieś dwadzieścia osiem - zauważył krytycznie. - Ale moim zdaniem ma więcej, jakieś trzydzieści dwa...

- Trzydzieści pięć - poprawiłam bezlitośnie. - Może nawet sześć. Znam się na tym.

Więcej mowy o dziewczynie nie było, mieliśmy ciekawsze tematy. Nazajutrz utwierdziłam się jednakże w mniemaniu, że Marek wpadł jej w oko. Niezbicie wskazywały na to rozmaite subtelne objawy. Od początku wiedziałam, że on musi być podrywany, szczególnie przez jednostki agresywne i pewne siebie i byłam na to przygotowana, ale przez tę żołą zaczął mnie trafiać średni szlag. Coś w niej było takiego...

Po kolacji została dłużej. Kończyliśmy jeść jako ostatni, znów spóźnieni. Ktoś zaproponował jej brydza, przy jednym stoliku już grano, do drugiego szukano czwartego.

- Może państwo...? - powiedział do nas z nadzieją znany kompozytor.

Zamierzałam odmówić, ale Marek mnie ubiegł.

- Zagraj - powiedział zachęcająco. - Przecież lubisz, a dawno nie grałaś. Masz chyba ochotę?

Zawahałam się. Przez głowę przeleciały mi różne przewidywania. Ona też będzie grała, strzeżonego Pan Bóg strzeże, czy ja nie przesadzam z wywoływaniem wilka z lasu...?

- A ty co? - spytałam ostrożnie.

- Ja się z przyjemnością poprzyglądam. Wolę kibicować niż grać. Zagraj, zagraj...

Trochę mi się ta agitacja wydała podejrzana, ale kompozytor już nie popuścił. Wyciągnęłam kartę, dziewczyna przypadła mi jako partnerka, usiadłam po drugiej stronie stolika, panie przeciwko panom. Marek przystawił sobie krzesło obok mnie. Właściwie nie miałam jeszcze do niej żadnych pretensji, nie zrobiła mi na razie nic złego, tę urodę mogłam jej ostatecznie darować.

- Orzniemy panów, chce pani? - powiedziałam życzliwie.

- Bardzo chętnie - odparła, uśmiechając się wdzięcznie, jednym kącikiem ust, jakoś też asymetrycznie. Asymetria wydawała się głównym rysem jej pięknej twarzy.

Jasną jest rzeczą, że w karty patrzyłam tylko jednym okiem, drugim przyglądałam się partnerce. Grać umiała, to nie ulegało wątpliwości. Byłybyśmy rzeczywiście orznięły panów okropnie,

gdyby nie to, że w pewnym momencie przerzuciła się. Musiała zapewne popaść w zamyślenie, trzymała kartę w ręku, przeciwnik strasznie długo wahał się, czy robić impas pod damę, czy nie, impas był bez sensu i wszystko wskazywało na to, że nie powinien robić, sama na jej miejscu też trzymałabym tę blotkę przygotowaną, on jednakże nagle zdecydował się robić, położył waleta, ona zaś rzuciła tę blotkę, nie patrząc na co. Zorientowała się w chwili, kiedy karta dotykała stołu, ale nie zdążyła jej cofnąć.

- Och! - krzyknęła i wdzięcznym gestem przestrachu zakryła sobie twarz ręką. - No wie pan...! Nie powinien pan być impasować! Bardzo panią przepraszam...

- Nie szkodzi - odparłam, śmiejąc się razem z przeciwnikami. - Wiedziałam, że pani położy to, co pani trzyma w ręku, bo nie patrzyła pani na stół. Sama to robię nagminnie. Drobiazg, i tak ich ogramy.

- Te baby są bezczelne - zawyrokował kompozytor. Jej gest pozwolił mi wreszcie dostrzec w tej nieskalanej urodzie jakiś mankament. Miała zniekształcone dwa paznokcie u prawej ręki, na środkowym i serdecznym palcu. Staranny manicure sprawiał, że nie rzucało się to w oczy i dość zgryźliwie pomyślałam, że dwa paznokcie do obrzydzenia jej mogą mi nie starczyć.

W Marka od tego momentu jakby złe wstąpiło. Do tej pory siedział cicho, teraz się nagle ożywił i zaczął jej świadczyć. Zapalał papierosa, zamawiał kawę, podsuwał popielniczkę, bez mała był gotów siedzieć za nią, żeby jej odwłok nie zdrętwiał. Otaczał ją obłokiem rewerencji zgoła większym niż mnie, jak tę babę na bazarze, i widać było, że ona bierze to za wyraźne awanse. Wiedziałam, co o tym myśleć, i gdyby była odrażającą, starą grupą, nie miałabym nic przeciwko, kto wie, może nawet litość drgnęłaby mi w sercu, w obliczu jej urody jednakże załagł się we mnie gwałtowny protest. Jadowita żmija zaczęła mnie kąsać gdzieś tam.

Potężny, wspaniały, imponujący szlag trafił mnie nazajutrz przed obiadem. Malując się przed lustrem nad umywalnią, przez zamknięte drzwi usłyszałam, jak obsługuje ją na

korytarzu. Obrzydła dziwa wróciła widocznie z miasta, miała jakieś paczki, coś jej upadło, a wybrała sobie na to oczywiście chwilę, kiedy on wyszedł z pokoju. Słyszałam, jak wszedł za nią, pomagał jej zapewne odłożyć te paczki, być może także zdjął z niej płaszcz, zapewne odwiesił, kto wie, czy nie odpinał botków na parszywych nóżkach. Nie wyszłam w tym momencie, nawet gdyby mój pokój się palił, raczej zginęłabym w płomieniach. Znam życie i wiem, co ma sens, a co nie.

Nigdy jednakże nie miałam łagodnego, anielskiego charakteru i nigdy nie lubiłam robić za pożałowania godną ofiarę. Katusze moralne nigdy nie były dla mnie upragnionymi doznaniem. Nie wstrzymywałam się zbyt długo z wyjawieniem poglądów, rzuciłam się na niego z pazurami natychmiast po wyjściu na spacer, usiadłszy na obmurowaniu pierwszego kanału, jaki mi się napatoczył.

- Słuchaj no, skarbie - powiedziałam złowieszczo. - Przyzwyczaiłam się już do ciebie i uwierzyłam, że będziesz mnie kochał nad życie do skończenia świata. Co mają znaczyć te afronty?

- Jakie afronty? - zdziwił się szczerze, jak typowy mężczyzna. - Co masz na myśli? Nie rozumiem.

Tego było już dla mnie za wiele. Kolejne wydarzenia, będące moim udziałem, zdołałyby wykończyć słonia-flegmatyka. Najpierw przez parę tygodni przeżywam paniczne lęki w postaci obcej osoby, bojąc się nie tego, kogo trzeba, potem pada na mnie podejrzenie o kradzież i milicja wyraźnie mnie ostrzega, że jeśli nie oddam brylantów, to sprawa się źle skończy, potem wpada mi w ręce blondyn wszechczasów, nastawiam się na ekstraordynaryjny romans, sama popadam w głupie uczucia, a tu wchodzi mi w paradę odrażająca dziwa cud urody, blondyn wszechczasów zaś okazuje się typowym mężczyzną, którego krygi i mizdrzenia się miałabym spokojnie znosić! O nie, żadne takie!

Zdenerwowałam się. Do robienia awantur zawsze miałam talent. Wymarzone szczęście słuchało, najpierw zdumione, potem żywo zainteresowane, potem zaś zareagowało zupełnie nieoczekiwanie.



- Słuchaj, ty jesteś zazdrosna?! - ucieszył się, jakby było czego.

Też powód do uciechy... Pewnie, że jestem zazdrosna!

- A tyś myślał, że co? Uspołeczniiona?

W życiu nie rozbawiłam nikogo tak jak jego tym piekłem. W najwyższym stopniu zde gustowana przyglądałam się nietaktownym atakom wesołości, zastanawiając się, co u diabła, widzi takiego śmiesznego w moich protestach przeciwko obsłudze wstrętnej harpii. Uspokoić się nie mogłam. To już nie było typowe, na domiar złego, zamiast ułagodzić moje stany wewnętrzne, powiedział w końcu:

- Przecież sama miałaś nadzieję, że w tym Sopocie przytrafi się coś niezwykłego. Poczekaj cierpliwie, a zobaczysz.

Bóg mi świadkiem, że nie to miałam na myśli! W podrywaniu pięknej hetery doprawdy nie było nic niezwykłego, wręcz przeciwnie, niezwykle byłoby nie zwracać na nią uwagi. Jego słowa zabrzmiały jednakże jakoś dziwnie tajemniczo, tak tajemniczo, że zastopowały mnie radykalnie. Na dnie duszy zaległo mi się coś intrygującego, niesprecyzowanego, coś, co usuwało wprawdzie na ubocze kwestię amatorów z heterą, ale za to niepokoiło gdzie indziej. Przypomniałam sobie, że z takim blondynem wszystko powinno się poprzewracać do góry nogami, ale otumaniona sytuacją, nie poświęciłam prorocemu głosowi dostatecznej uwagi.

- Nie zajmuj się nią przynajmniej tak przeraźliwie aktywnie - powiedziałam z niesmakiem.

- Nie zajmuję się nią przeraźliwie aktywnie. Zachowuję się w stosunku do niej tak samo jak w stosunku do każdego.

Zirytował mnie na nowo.

- Ale nie rozdziwasz z płaszczem staruszka z końca korytarza! I staruszek nie łypie na ciebie uwodzicielskim oczkiem! Nie wdzięczy się porozumiewawczo, nie upuszcza ci paczuszek pod nogami, nie majta rączką pod nosem, nie czeka z obiadem i kolacyjką, aż ty zejdziesz! Ani razu nie widziałam, żebyś staruszkowi zapalał fajeczkę...!

- Dostałbym pewnie tą fajeczką po łbie...

- Ciekawe, którą z nas byś ratował, gdybyśmy razem wpadły do wody! Typowa okazja, żeby o to spytać! Pewnie ją, przez uprzejmość...

- Ona wygląda na to, że umie pływać...

- Ja za to umiem wiosłować! A gdyby nie umiała, to co?!

- Zdaje się, że jestem obiektem klasycznej sceny zazdrości?

- Jak to, dopiero teraz to zauważyłeś? Cóż za refleks!...

- Dobrze, nie będę się nią zajmował. Jeśli jej coś upadnie, celnym kopem usunę to pod przeciwległą ścianę, drwiąco przy tym rechocząc.

- Mam nadzieję, że będzie to surowe jajko - powiedziałam mściwie i wreszcie przestałam się wygłupiać. Myśl o kopaniu surowego jajka usatysfakcjonowała mnie dostatecznie.

Cała awantura okazała się niepotrzebna, bo nazajutrz dziewczyna zniknęła. Nie znaczy to, że ktoś ją porwał albo że przepadła jakoś tajemniczo, po prostu wyniosła się ze swojego pokoju, w którym zamieszkał ktoś inny. Doznałam ulgi przemieszanej z niezadowoleniem z siebie i postarałam się o niej zapomnieć.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że wylęgły się nowe problemy. Nocne życie na ulicy pod Grand Hotelem przybrało rozmiary nie do zniesienia i grzmiało tak, jakby się tam odbywał co najmniej start do rajdu Monte Kalwaria. Mnie to specjalnie nie przeszkadzało, bo sen mam, chwała Bogu, kamienny i jeśli już zasnę, trzeba trzęsienia ziemi, żeby mnie obudzić, ale Marek prawie całkowicie przestał sypiać. Zrobił się nieco rozdrażniony, opanowywał to rozdrażnienie, niemniej jednak dawało się zauważyć. Zanim zdążyłam się zastanowić, co z tym fantem zrobić, spadł na mnie następny kłopot, mianowicie dostałam pocztą korektę aktualnego maszynopisu. Przez aferę państwa Maciejaków skandalicznie zaniedbałam sprawy zawodowe, wyjeżdżając do Sopotu jednakże zdążyłam się umówić przez telefon, że ów maszynopis zostanie mi we właściwej chwili dosłany, możliwie szybko wprowadzę w nim pożądane zmiany i czym prędzej odeślę, w razie spóźnienia bowiem stanie mu się coś złego, wyleci z planu czy coś w tym

rodzaju. Pojawiła się przede mną perspektywa dwóch, może trzech dni wytężonej pracy i zgłupiałam z tego do reszty.

Sama wysunęłam propozycję, żeby Marek na te trzy dni przeniósł się może do Grand Hotelu, co przy okazji pozwoli mu się wyspać, pełna obaw, jak też on to przyjmie. Mężczyźni mają na ogół dziwną awersję do ustępstw na rzecz pracy zawodowej ukochanych kobiet. Ku mojej wielkiej uldze przyjął to w sposób naturalny, przyznając, że też o tym myślał i rozwiązanie uważa za jedyne rozsądne. Aż dziw bierze, jak dokładnie wyleciało mi z głowy, że nigdy w życiu żadne przejawy rozsądku nie wyszły mi na dobre.

Maszynopis wisiał nade mną jak wyrzut sumienia, chciałam tę korektę już zacząć i już skończyć, zostawiłam mu zatem załatwienie wszystkiego, nie wdając się w szczegóły i zadowolając informacją, że dostał pokój na drugim piętrze Grand Hotelu. Bóg ustrzegł, że nie obejrzałam nawet tego pokoju! Wyłącznie dzięki temu moja korekta odjechała do Warszawy w terminie, gdybym bowiem wcześniej stwierdziła to, co stwierdziłam później, wątpliwe jest, czy zrozumiałabym bodaj jedno słowo własnego tekstu.

\*

Przekopałam się przez najgorsze. Spędziłam na tym cały wieczór, pół nocy i poranek, z rozpędu popracowałam jeszcze trochę, w czasie obiadu wymyśliłam następne poprawki i późnym popołudniem straciłam wreszcie natchnienie. Postanowiłam zrobić przerwę, przyodziałam się w gumiaci i nadzwyczajnie zadowolona z życia porzuciłam warsztat pracy. Zostały mi już tylko drobiazgi, nie wymagające wielkiego wysiłku umysłowego.

Zamierałam przelecieć się z Markiem po plażę. Z tego, co mówił przy obiedzie, wynikało, że o tej porze powinnam go znaleźć w hotelu, być może śpiącego. Wkroczyłam do Grandu i zaraz za drzwiami zamieniłam się w znieruchomiąły ślup.

Przez hol przechodziła wstrętna, odrażająca, piękna dziwa we własnej osobie. Nie zwróciła na mnie uwagi, opuściła właśnie salę restauracyjną i zaczęła wchodzić po schodach,

Była bez płaszcza, w rękę trzymała klucz i nie można było wątpić, że tutaj mieszka.

W środku skamieniało mi wszystko. Nie wiadomo, dlaczego w tym właśnie momencie przypomniałam sobie, jak jej na imię, przeczytałam to w spisie gości, czekając na rozmowę telefoniczną z Warszawą. Manuela... Też imię! Chociaż, trzeba przyznać, w tych czarnych włosach, w tym gładkim uczesaniu z kokiem, w tej kremowej twarzy było coś południowego... Na sweterku miała zawiązaną zieloną, jedwabną apaszkę i nagle sprecyzowało się samo moje niemiłe, niejasne skojarzenie. Jak grom z jasnego nieba spadło na mnie przypomnienie własnych wyobrażeń! Ależ oczywiście, tak właśnie, dokładnie tak powinna była wyglądać ta jego piękna żona, którą oczyma duszy ujrzałam w autobusie komunikacji miejskiej!!!

W mgnieniu oka wymyśliłam całą epopeję. Ona rzeczywiście jest jego żoną, aktualną, względnie była, raczej aktualną, on mnie kantuje niebotycznie, obydwójce ukrywają swój związek z podejrzanym pobudek, celem kantu jest coś, co ma związek ze mną... Brylanty pułkownika! Pardon, nie pułkownika, tylko państwa Maciejaków... Dla stu tysięcy dolarów opłaca im się robić ze mnie balona...

Jaki sens mogłoby mieć takie skomplikowane szachrajstwo, nie wymyśliłam, przypomniałam sobie bowiem, że ja tych brylantów przecież nie ukradłam, nie dysponuję nimi i ze mnie się ich nie wydoi. Zreflektowałam się nieco. Tak czy inaczej, nie mogłam stać w drzwiach Grand Hotelu do skończenia świata, zamierzałam również wejść na górę i nie było powodu, dla którego miałabym zrezygnować z zamiaru. Ruszyłam za nią, kiedy zbliżała się już do pierwszego piętra, czując się całkowicie wytracona z równowagi i usiłując jakoś trzeźwo ustosunkować się do strasznego odkrycia. Ohydna harpia nie poszła wyżej, na pierwszym piętrze skręciła w korytarz na lewo, zajrzałam za nią, nie zauważyła mnie ani, dzięki gumiakom, nie usłyszała,

dostrzegłam jeszcze, że otwiera sobie drzwi pokoju na końcu, tuż obok damskiej toalety.

Marek mieszkał piętro wyżej, dokładnie nad nią. Moim otumanionym wnętrzem wstrząsnęło następne odkrycie, niemniej okropne. Wynajął sobie pokój nie od strony morza, gdzie miałby ciszę doskonałą, tylko od strony ulicy, gdzie rozlegał się ów budzący go warkot, z pięknym widokiem akurat na parking...

Osobowość mam na szczęście elastyczną i skłonną do podziału na części. Jedna część ufnie przyjąwszy objawy jego uczuć, dała im wiarę i pławiła się w błogim rozanieleniu, druga zaś kategorycznie postanowiła podstępnie wykryć, co tu się właściwie dzieje. Żadnych pytań wprost, żadnych więcej awantur, żadnej podejrzliwości, wysledzić, zbadać i sprawdzić we własnym zakresie, po cichu, metodami naukowymi...

Konieczność postarania się jeszcze i o część trzecią, która by koordynowała poczynanie tamtych dwóch, jakoś, niestety, przeoczyłam. Pierwsza zatem weszła w paradę drugiej i cokolwiek ją ogłupiała.

- Dlaczego nie wzięłeś sobie pokoju od tamtej strony? - spytałam wbrew pierwotnym postanowieniom. - Tam j jest ciszej.

- Nie było - odparł bez namysłu. - Wszystkie zajęte, z wyjątkiem apartamentów. Nie będę przecież mieszkał w salonach. Idziemy na ten spacer?

- Zaraz. Czekaj. Pod tobą mieszka ten cud natury. Ta... heroina romansu. Wiedziałeś o tym?

- A owszem, zauważyłem ją tu - odparł z najdoskonalszą obojętnością. - Pode mną? Na to nie zwróciłem uwagi. Jajko jej nie upadło, więc nie miałem co kopać...

- Nie kołuj mnie tu jajkiem, skarbie drogi. Sam widzisz, jak to wszystko wygląda. Tu pozory, tu zbiegi okoliczności, a razem dziwnie do siebie pasują. Bądź uprzejmy mnie uspokoić! Proszę bardzo, możesz na spacerze.

- Czy ty musisz być taka podejrzliwa? Może się uspokoisz, jeśli przysięgnę ci, że to wszystko razem to jest rzeczywiście jeden wielki, głupi zbieg okoliczności i nic więcej? Bo jest!

- Pewnie, że się uspokoję, jeśli przysięgniesz dostatecznie przekonywająco - odparłam już na korytarzu, bo ubrał się w mgnieniu oka i bez mała wywłókł mnie z pokoju. - Niczego bardziej nie pragnę niż zostać przekonana...

Sama już nie wiedziałam, co o tym myśleć. Niewierność mężczyzny się czuje. Dezorientowało mnie przeraźliwie to, że niejako widziałam ją na własne oczy, równocześnie nie czując. Jakiś okropny dziwoląg mi z tego wychodził i pojęcia nie miałam, co z takim głupim fantem zrobić.

Zbiegliśmy ze schodów, zwalniając przed osiągnięciem parteru, bo przed nami schodził jakiś facet, którego nie należało spychać z rozpędu. Marek oddał w recepcji klucz.

- Oglądałaś samochód? - przypomniał sobie nagle już w drzwiach. - Widziałem przez okno, że kręcił się tam jakiś chłopak. Nie wiem, czy czego nie zmalował.

Akurat miałam teraz w głowie samochód i dużo mnie obchodził chłopak! Stu chłopaków mogło mi w tej chwili dziurawić opony i zdrapywać lakier, wątpliwe jest, czy w ogóle bym to zauważyła. Spojrzałam w stronę parkingu z głęboką odrazą.

- Pewnie się teraz okaże, że masz pokój od tej strony specjalnie po to, żeby pilnować samochodu...

- Oczywiście, że po to! Popatrzę na wszelki wypadek, idź tędy, dogonię cię.

Schodząc powoli po schodach przy budynku, bliższych plaży, widziałam, jak zbiegł podjazdem na parking, wyprzedził schodzącego wolniej faceta, obejrzał samochód dookoła, zajrzał do środka i pomachał mi uspokajająco ręką. Dogonił mnie biegiem, przypadkiem zastawiłam mu drogę, po czym obydwójce wlecieliśmy do wielkiej kałuży, co mi odmieniło humor tak, jakby wpadanie w rzadkie błoto stanowiło najprzedniejszą rozrywkę i znakomity happy end romansowych perypetii. Wróciła mi pogoda usposobienia, a równocześnie owa przygłuszona druga część ocknęła się z letargu i w duszy odezwał mi się tajemniczy głos.

U normalnych ludzi coś takiego nosi nazwę intuicji, instynktu albo jasnowidzenia. U mnie stanowi luksusowy żer

dla wyobraźni. Ni z tego, ni z owego nabrałam absolutnej pewności, że ów facet, który schodził po schodach i szedł podjazdem, wyszedł właśnie od dziwy, że Marek o tym wiedział i śpieszył się, żeby go obejrzeć, używając samochodu jako pretekstu. Dziwa ostatecznie może nie być jego żoną, ale interesuje go ponad wszystko w świecie. Jakim sposobem miałby wiedzieć, że jest u niej facet i że właśnie wychodzi, nie zastanawiałam się, moja wyobraźnia bowiem lekceważy sobie sens i logikę podsuwanych wizji.

Część pierwsza, ta błogo rozanielona, znów wzięła górę nad drugą, pełną podejrzeń, musiałam bowiem skończyć korektę i nie mogłam się zbytnio rozpraszać. Udało mi się utrzymać właściwe proporcje między sprzeczącymi się ze sobą częściami aż do popołudnia dnia następnego, do ostatniej strony maszynopisu. Wyczerpana nieco wysiłkami umysłowymi i niewyspaniem wsiadłam do samochodu i udałam się na pocztę, żeby do reszty mieć z głowy. Wyszędłszy z poczty, przeszłam piechotą na deptak, do księgarni, czytanie własnej twórczości budzi we mnie bowiem zazwyczaj namiętne pragnienie poczytania cudzej. Wychodząc z księgarni ujrzałam Marka z dziwa, idących w stronę poczty, i zamarłam na progu.

Dziwa zachowywała się skandalicznie. Obchodziła się z nim jak ze swoją własnością, kładła mu rączkę na rękawie, pociągała go ku wystawom, omal że nie turlała mu się łbem po łonie, lśniła uwodzicielskim, triumfującym blaskiem. On się temu poddawał z tą przedwojenną galanterią, robiącą wiadomo jakie wrażenie.

W mgnieniu oka trzasnęła mnie wielka cholera. Druga część energicznie wykopała z pola bitwy pierwszą. Wróciłam pod Grand Hotel i pchana nie wiadomo czym, z wściekłości niezdolna do myślenia, weszłam do recepcji, gdzie na moje pytanie odpowiedziano uprzejmie i wyczerpująco.

Wolne, pojedyncze pokoje od strony morza były przez cały czas. Od jesieni nie zabrakło ani razu, z wyjątkiem okresu zjazdu hodowców zwierząt futerkowych, czy czegoś takiego, przez dziesięć dni w styczniu. Teraz był maj. Zabraknie dopiero w połowie czerwca.

Wyraźnie uczułam lęgnące mi się wewnątrz jakieś komplikacje fizjologiczne. Przytomnie pomyślałam, że należy je opanować. Udałam się do własnego pokoju, zmieniłam pantofle na gumiaki, włożyłam na głowę szal i wyszłam na plażę. Tylko bezpośrednia bliskość morza mogła mi pozwolić odzyskać coś w rodzaju równowagi.

W pobliżu Gdyni morze odpracowało swoje o tyle, że udało mi się zacząć myśleć. Podstawową kwestię rozstrzygnęłam od razu. Tyle razy w życiu bywałam uwielbiana, kantowana i porzucana, tak różnych uczuć byłam przedmiotem i świadkiem, tyle razy analizowałam je sobie z zainteresowaniem, że doprawdy jakaś wiedza w tej dziedzinie musiała we mnie pozostać! Rzecz była niby jasna, ale tyłka pozornie. Z jednej strony wyraźnie porzucał mnie dla obrzydliwej wampirzycy, łącząc bez żadnego opamiętania, z drugiej jednakże równie wyraźnie zależało mu na mnie nadal, kto wie, czy nie coraz bardziej. Wydawało się to dość niepojęte. Wzięłam pod uwagę to jego wersalskie dobre wychowanie i złośliwość losu, dołożyłam nachalność dziwy i wyszło mi, że to ona zamówiła mu pokój z przeciwnej strony. Nie grało...

Zawróciłam w kierunku Sopotu. Pogoda się zepsuła, wzmógł się wicher, niebo zakryły czarne chmury, coś jakby mżyło i cała aura zrobiła się bardziej podobna do lutego niż do początków maja. Zmarzłam beznadziejnie. Dotarłam do Grandu w stanie, który kategorycznie wykluczał tak wzięcie do ust kolacji, jak i zmruczenie oka w nocy. Miałam dość tych kretyńskich rozważań, postanowiłam rozmówić się z nim natychmiast. Albo przełamie się i będzie dla niej nieuprzejmy, albo precz ze mną!

Na schodach Grand Hotelu uświadomiłam sobie, jak wyglądam. Rozczochrane kołtuny zwisały mi spod szala na twarz, nos lśnił czerwonym, rażącym w oczy blaskiem, gdzieś tam prawdopodobnie byłam sina albo zgoła zielona. Nie tak powinno się prezentować w czasie zasadniczej rozmowy z ukochanym mężczyzną! Grzebień i puderniczkę miałam przy sobie w torebce, mogłam bez przeszkód dokonać korekty urody. Bez namysłu skręciłam do damskiej toalety na



pierwszym piętrze, nie zastanowiwszy się nawet, że mogłabym spotkać tę obmierzłą kreaturę.

Dzięki gumiakom poruszałam się bezszelestnie, w ogóle nie było mnie słychać. Toaleta była w stanie remontu, ale lustro wisiało. Z wściekłością zaczęłam rozszarpywać skłębiony kołtun na głowie, kiedy nagle dobiegły mnie jakieś dźwięki. Ludzkie głosy. Przez chwilę nie rozumiałam, skąd pochodzą i dlaczego je słyszę, w końcu Grand Hotel jest przedwojenny, doskonale izolowany akustycznie i znikąd nic nie powinno dobiegać. Poniechałam kołtuna, mimo woli zastanawiając się nad zjawiskiem, po czym nagle doznałam strasznego wstrząsu. Poznałam głos Marka...!

I równocześnie pojąłam przyczynę. Rura kanalizacyjna była odkuta, płyta pilśniowa, izolująca ją od strony pokoju, częściowo wydlubana, ścianka na pół cegły za nią miała dziurę, przez którą dźwięki dobiegały wyraźnie. Za tą dziurą zaś, pamiętałam to, znajdował się pokój dziwy!

Zamarłam, schylona przy dziurce, z grzebieniem w kołtunach, z szaleństwem w duszy, a to coś, co eksplodowało mi wewnątrz, omal mnie z miejsca nie zadusiło.

Marek był u niej, jak byk. Rozmawiali chyba tuż przy tej ścianie, dokładnie na wysokości mojego ucha i znając umebłowanie pomieszczeń domyśliłam się, że siedzą na wersalce. Siedzą, chwała Bogu...!

- Dlaczego? - szeptała odrażająca harpia rozgorączkowanym głosem. - Dlaczego?... Wiem, domyślałam się, narzucam ci się chyba...?

A jak ci się zdaje, ty nachalna ropucho? Pewnie, że mu się narzucasz...

- Nie wierzę, że mnie nie chcesz - szemrała kuszącym, namiętym szeptem i omal nie wyrznęłam łbem w tę rurę, bo w oczach mi się zaćmiło. - Czy mam jeszcze wyraźniej okazać, jak mi się podobasz?...

A jak mu niby okazała do tej pory...?!!!

Szeptala dalej uwodzicielsko, aż się niedobrze robiło, mizdrząc się w sposób całkowicie jednoznaczny, kamień by uległ i pomyślałam sobie, że jeśli szlag mnie tu trafi za chwilę,

to śmierć, zważywszy miejsce, będą miała antyromantyczną. Ile czasu ona tak może, on już wie, już rozumie, wół by zrozumiał...

- Przestań! - powiedział nagle Marek dziwnym, zdenerwowanym głosem i aż podskoczyłam, zaplątując się włosami w jakiś zadziór wykutej w cegle bruzdy. Przez chwilę panowało tam niezrozumiałe milczenie. W gardle zaczął mnie dławić globus jak dynia.

Sądząc z dźwięków, bezczelna hetera zdenerwowała się i przeraziła.

- Dlaczego...? Boże! Co ci się stało? Co się stało, powiedz...!

Co mu się, o rany boskie, miało nagle stać?! Nie umarł przecież z wrażenia! Szarpie nim amok na tle dziwy i ukąsiły go wyrzuty sumienia...? Coś tam się działo, wyraźnie usłyszałam, jak skrzypnęły sprężyny wersalki, rzuciła się na niego chyba, nic innego...

- Daj spokój - powiedział nagle Marek posępnie, dramatycznie i grobowo. - Nie. Nie chciałem ci tego mówić, po co poruszać tę sprawę... To jest moja osobista tragedia...

Jaka znowu tragedia, do diabła?! Co to ma być, ta tragedia, ja czy co...?! Dziwa nie popuściła.

- Jaka tragedia? Jak to...?! Nie, nie możesz teraz milczeć, musisz mi powiedzieć, musisz! Co to znaczy?!

Znowu nastąpiła tam chwila straszliwego milczenia. Wstrzymałam oddech, wstrzymując także na razie pracę umysłu. -

- Mój stan zdrowia... - zaczął Marek cicho, z wahaniem, tonem, który pasował do niego jak pięść do nosa. - Widzisz, ja... Trudno, powinnaś to wiedzieć. Ja jestem impotentem. Od wielu lat...

Nie wiem, jak dziwa, ale ja zbaraniałam gruntownie. Impotentem...! Na litość boską...!!!

Albo ktoś z nas zwariował, on lub też ja, albo coś tu okropnie, przeraźliwie nie gra. Co mu do łba strzeliło, mówić taki idiotyzm...? Przez oszołomiony umysł przeleciało mi przypuszczenie, że może przeoczył fakt wyzdrowienia, potem zaś nagle pojęłam, że przecież coś w tym jest...

Dziwa wydała stłumiony okrzyk, następnie milczała chwilę, starając się zapewne ukryć rozczarowanie. Ze swej strony starałam się opanować chęć żywiołowej reakcji.

- No tak, teraz rozumiem... - powiedziała chłodno i nagle zmieniła ton. - Słuchaj... Nie, to potworne! Czy ty byłeś u lekarza? Próbowaleś się leczyć?

- Kiedyś... Potem zrezygnowałem. Nie wierzę w możliwość wyleczenia...

- Ależ, jak mogłeś...!?

Pokiwałam sobie głową, starannie uważając, żeby nie walnąć nią w rurę. Kretynstwo sytuacji przechodziło ludzkie pojęcie. Zrozumieć z tego nie mogłam nic kompletnie, jasne było, że nie chce tej harpii, ale to w takim razie po diabła się z nią zadaje?! Spodobała mu się z nagłą rola łzawego idioty? Postanowił zrobić z niej konkursowego balona? Proszę bardzo, taką chęć z przyjemnością popieram, ale nie sposób przecież uwierzyć, że tylko o to mogło mu chodzić!

Harpia czyniła szalenie wysiłki, starając się przekonać go, że niesłusznie stracił nadzieje, i namówić na lekarza. Oświadczyła, że ma znajomości w tych sferach, jej ojciec jest lekarzem, znajdzie mu najlepszych specjalistów, w razie potrzeby wyśle za granicę, technika i medycyna poszły naprzód, mogą dokonać cudu!... Marek protestował coraz słabiej. Doszło w końcu do tego, że obiecał jej udać się na badania najpierw w Gdańsku, a potem w Warszawie. Zaczęło mnie ciekawić, jak też zamierza spełniać te obietnice...

Przy okazji dowiedziałam się paru drobnostek o sobie. Dziwa nie chciała być nietaktowna, ale interesowało ją, jak to w takim razie jest z tą panią, którą widziała przy jego boku naprzeciwko i jak też pani znosi ową impotencję. Sama byłam zaciękwiona. Okazało się, że jestem osobą niesłysząca uduchowioną, zgoła ciałem astralnym, z awersją do seksu i wcale mi na tym nie zależy. Dziwa pozwoliła sobie zaprezentować uprzejme politowanie, z którym dość chętnie się zgodziłam.

Zrezygnowałam z zaplanowanej zasadniczej rozmowy, opuściłam czarowne miejsce na pierwszy sygnał zakończenia

jego wizyty, pognałam biegiem do swojego pokoju i dopiero teraz zaczęłam mieć o czym myśleć! Cała impreza zrobiła się do reszty niepojęta.

Jedno było pewne. Cokolwiek wymyślił, jakikolwiek miałby cel w kantowaniu tej dziwy, jakiegokolwiek miałby zamiary, wszystko postanowił ukryć przede mną. Nie byłabym sobą, gdybym nie postanowiła z kolei stanąć na głowie w celu rozszyfrowania tajemnicy. On mnie jeszcze nie zna z mojej najgorszej strony...

Przyszedł po mnie i razem zesłiśmy na kolację. Dwie części mojej osobowości doszły wreszcie do porozumienia i przestały sobie wzajemnie przeszkadzać, podejmując działanie we właściwych chwilach.

- Skończyłaś korektę? - zainteresował się już przy stoliku.

- Jeszcze nie, ale prawie - odparłam bez namysłu. - Skończę jutro po południu. Potem postoję w ogonku na poczcie, do czego mi nie jesteś niezbędny. Możesz to przespać.

- Nie będę tego przesypiał. Przelecę się kawalek, nie czekaj na mnie z obiadem, w razie gdybym widział, że się spóźniam, zjem sobie coś po drodze.

- Plażą?

- Nie, łądem. Dlatego właśnie wybieram się, kiedy ty jesteś zajęta. Nie lubisz chodzić łądem.

Natychmiast wywnioskowałam z tego, że wybiera się gdzieś z dziwa. Nie podejrzewał mnie o łgarstwo, uwierzył, że jestem uwięziona do maszyny, miałam zatem wolną rękę. Nie wiedziałam, czy ta pijawka ma samochód, ale nie robiło mi to różnicy, czymkolwiek by jechali, zdecydowana byłam pojechać za nimi!

Ile wysiłku kosztowała mnie realizacja tej decyzji, tego ludzkie słowo nie opisze. Mój samochód odznaczał się cechą szczególną, po której łatwo go było poznać wśród całego stada jednakowych volkswagenów. Mianowicie w miejsce anteny posiadał starą, nieco zgiętą, zardzewiałą szpadę, która jako antena działała znakomicie, ale za to z daleka rzucała się w oczy. Należało ją wyjąć, co przedstawiało pewne trudności, zaklinała się bowiem w uchwycie na mur. Na domiar złego

pojazd stał na parkingu akurat przed jego oknem, gdzie szarpanie się z tym żelastwem było wykluczone. Odjechać tak zwyczajnie też nie mogłam, bo usłyszałby dźwięk silnika, a słuch miał czuły do obrzydliwości. Musiałam doczekać nocy i wybrać chwilę, w której zagłuszyłyby mnie inne samochody...

Wykonałam to wszystko. W dzikim napięciu pół godziny czatowałam na głośniejszy warkot, wydawało mi się, że czatuję pół roku, odjeżdżałam z otwartymi drzwiczkami, bojąc się nimi trzaskać i trzymając je ręką, w odludnym miejscu przez godzinę w pocie czoła wydłubywałam broń z uchwytu, rozglądając się, czy nie ujrzę gdzieś jakichś chuliganów, którzy załatwiają takie rzeczy jednym gestem. Doprawdy nie wiem, jakim cudem im się udaje... Wracałam wśród podobnych, skomplikowanych sztuk. Wydłubaną szpadę zostawiłam na dawnym miejscu, zamierzając wyjąć ją dopiero w czasie czynności śledczych, przećwiczyłam wyjmowanie i wkładanie w czasie jazdy i razem wzięwszy spędziłam upiornie pracowitą noc.

Potem zaś spędziłam upiornie pracowity poranek. Czegokolwiek Marek mógłby się po mnie spodziewać, to z pewnością nie tego, żebym dobrowolnie wstała o siódmej rano. Wobec tego wstałam. Śniadanie jadłam w oknie. O mało się nie udławiłam, widząc, że wychodzi razem z dziwa. Moje przewidywania okazały się słuszne, spacer łądem, rzeczywiście...!

Miała samochód, zielonego peugeota. Zdążyłam wystartować za nią, kiedy jeszcze była widoczna w perspektywie ulicy. Skierowała się w stronę Gdańska.

Czarowne, przedpołudniowe godziny spędziłam w charakterze psa gończego, ganiając po Trójmieście zielonego peugeota. Rezultat był przedziwny. W nie znanej mi gdyńskiej dzielnicy willowej niezbitcie stwierdziłam, że ich celem była wizyta w budynku, na którym wisiała jak byk tabliczka lekarza odpowiedniej specjalności!

Za skarby świata nadal nie mogłam nic zrozumieć. On rzeczywiście postanowił się leczyć, z czego, na Boga...?! Jeżeli będzie kontynuował ten proceder w Warszawie, uwierzę, że ktoś z nas dostał pomieszania zmysłów. Zainteresowało mnie,

co zrobi od jutra, odespał swoje, korektę skończyłam, znów mamy czas dla siebie, jakim sposobem podzieli się pomiędzy dziwę i mnie tak, żeby nie zwiększać podejrzeń? Co wymyśli?

W drodze powrotnej spadł na mnie ekstra kłopot. Jechali wprost do Sopotu i nie miałam żadnego sposobu wyprzedzić ich na tej jedynej, rozpaczliwie prostej drodze, a jasne było, że przyjechawszy na miejsce, Marek musi ujrzeć mój samochód stojący spokojnie na parkingu, w dodatku z anteną. Dręczyłam się tym przez cały czas jazdy, w ostateczności zdecydowana zełgać, że byłam na poczcie, aż przyszedł mi z pomocą przypadek. Dziwa parkowała po drugiej stronie Grandu, skręciła wcześniej niż ja, zasłoniły mnie przed nią murki podjazdu, wykorzystałam tę chwilę, rozpędziłam przechodniów na chodniku, omal nie wpadłam na wyjeżdżający samochód, którego kierowca gwałtownie popukał się palcem w czoło, omal nie wydłubałam sobie oka przekłętą szpadą i zdążyłam nawet wyskoczyć i ukryć się za budką z lodami. Kiedy wchodzili do hotelu, volkswagen stał pusty, z anteną, na poprzednim miejscu. Następnie spędziłam w damskiej toalecie dobre pół godziny, gorzko żałując, że nie zabrałam czegoś do czytania, i melancholijnie porównując powszechnie wyobrażenia o romantycznym weekendzie ze stanem faktycznym. Jeszcze jak świat światem nie słyszano, żeby ktoś przesiedział swój romans w damskiej toalecie, a wyraźnie zanoszą się na to, że ta właśnie rozrywka będzie moim udziałem przez większą część czasu...

Dziwę słyhać było w pokoju, robiła coś cichego, czego nie umiałam określić, niekiedy szeleściła jakby papierami, niekiedy czymś pstrykała. Po nieskończeniu długich wiekach wykręciła numer telefonu. Ten dźwięk rozszyfrowałam.

- Jesteś gotów? - spytała słodko. - To przyjdź tutaj, ja czekam.

Czekałam również, czując, jak mi się wszystko w środku kotłuje. Wstrętne klempa, amanta sobie znalazła... Po chwili usłyszałam Marka, po czym znów dziwę.

- Napisałam do ojca - rzekła syrenim głosem, szeleszcząc papierami. - Weźmiesz to ze sobą, czekaj, przeczytam ci...

Z obrzydzeniem wysłuchałam gwałtownych próśb, ażeby tatuś zajął się oddawcą pisma wyjątkowo gorliwie, w razie potrzeby wysyłając go do Szwecji. Zainteresowało mnie, czy Marek posunie symulację aż do zagranicznego wojażu. Sądząc z odgłosów, przyjął dzieło i schował kopertę. Obrzydła upioryzka, radosna jak prosię w deszcz, wetknęła mu aparat fotograficzny, gładząc coś o zdjęciach, które ma zrobić dla tatusia. Tatuś jest opętany manią fotograficzną i kolekcjonuje pejzaże, szczególnie nadmorskie.

Wysłałam z hotelu w dość dużej odległości za nimi. Udali się w stronę Gdyni plażą, udałam się zatem w tę samą stronę lasem. Powinszowałam sobie zabrania gumiaków. Harpia w szampańskim humorze miotła się po plaży tam i z powrotem we wdzięcznych podskokach rozbrykanej sarenki, wierzyła nóżką w wodzie i uciekała przed falą. Nie odrywałam od niej zachłannego oka, z nadzieją, że wreszcie pośliznie się na którejś meduzie albo na rybich flakach. Doprawdy, niewielu rzeczy pragnęłam goręcej. Co parę metrów kazała sobie robić podobizny na tle wszystkiego, co się napatoczyło po drodze.

Gdyby nie najgłębsze, granitowe przekonanie, że jestem właśnie świadkiem rozwoju jakiejś niesłychanie tajemniczej, dziwnej i niepojętej akcji, oglądane sceny znaczą zupełnie co innego, niż się wydaje, bez wątpienia w tym nadmorskim lasku trafiłaby mnie apopleksja. Marek cierpliwie podążał za tą zwyrodniałą bajaderą, z podziwu godną zręcznością unikając ataków jej czułości. Odrobinę mnie to pocieszało.

Dowłokła go aż do miejsca, gdzie konfiguracja terenu tworzyła coś w rodzaju cypelka. Włazła na pochyłą, spróchniałą wierzbę, rosnącą nad potoczkiem, upozowała się do fotografii, wlała wyżej, zlała niżej, wila się po tym pniu jak znerwicowany padalec. Następnie przeniosła się w głąb jaru, którym płynął potoczek, przybierając na górkach i w dołkach coraz, bardziej wymyślne pozy. Ze swego miejsca w zaroślach słyszałam protesty Marka, który twierdził, że w jarze jest za ciemno i zdjęcia nie wyjdą. Wiedziona zapewne małpią złośliwością uparła się odbyć powrotną drogę lasem, co

zmusiło mnie do przeczekiwania w grząskim błocie i mokrych zaroślach. Musiałam puścić ich do przodu.

Dalsza obserwacja nasunęła mi mniemanie, że zaistniał ogólny melanz. Poświęciłam się pilnowaniu Marka, Marek zaś najwyraźniej w świetcie pilnował dziwy. Obiad zjadłam samotnie, przy kolacji zaś ukochany mężczyzna, wielce zmartwiony, powiadomił mnie o swoich zamiarach. Chciałby mianowicie oddalić się na kilka dni i nie wie, jak ja to przyjmę. Wypadło mu niespodziewanie, w Szczecinie ma się odbyć taka nieduża narada dziennikarzy, w której powinien uczestniczyć; niech ja mu to przebaczę, potem wróci, niech więc poczekam, klimat w Sopocie świetnie mi robi... Nie uwierzyłam ani w Szczecin, ani w dziennikarzy i od razu przeraziła mnie myśl, ile roboty będę miała ze śledzeniem go po całym kraju.

- Odwiozę cię na pociąg - zaproponowałam podstępnie, wyraziwszy zgodę na wszelkie jego plany.

- Wykluczone. Mam pociąg o szóstej rano.

- No to tym bardziej...!

- Mowy nie ma! Nic będziesz o takiej porze niepotrzebnie wstawiała. Co ty sobie wyobrażasz, że ja nie dojdę do dworca piechotą? Nie mam przecież bagażu, zwolnię pokój i rzeczy zostawię u ciebie. Załatwię to zaraz po kolacji.

Nie zamierzałam upierać się przy swoim. Uczyniłam wysiłek umysłowy, w wyniku którego z łatwością osiągnęłam cel. Przeczekałam nazajutrz, aż Marek wyszedł, ubrałam się bez zbytniego pośpiechu, wsiadłam do samochodu i spokojnie pojechałam wprost na lotnisko. Przybył tam w jakieś pół godziny po mnie i akurat zdążył na samolot do Warszawy.

Potwierdzenie moich podejrzeń dobiło mnie ostatecznie. Cóż, za przedziwna jakaś tajemnica mogła go wpędzić w tę manię leczenia?! Udał się do Warszawy z listem polecającym od dziwy do lekarza w takim pośpiechu, jakby wyimaginowana dolegliwość groziła wszystkim natychmiastową katastrofą. Zараźliwe to ma być czy jak...? Z punktu widzenia dziwy rzecz można było sobie wytłumaczyć, wpadł w nieopanowany szał uczuć do niej i zapragnął dać im wyraz, zanim ona się rozmyśli.



Natchniony przez nią nadzieją, zaczął się dziko śpieszyć. Z mojego punktu widzenia nie było w tym sensu za grosz.

Wróciłam do Sopotu, po drodze analizując sobie sytuację. Nie ulegało wątpliwości, że kantował nas obie. Do Grandu przeniósł się nie z żadnej bezsenności, tylko dla tej hetery. Gdyby ją potem zwyczajnie poderwał, wszystko byłoby dobrze, to znaczy wcale nie byłoby dobrze, ale byłoby proste i jasne. On jednakże w miejsce romansowej rozrywki wykombinował łągarstwo, które ją całkowicie wyklucza. Musi zatem mieć na myśli coś zupełnie innego. Po jaką cholere lata po lekarzach...?

Przyszło mi do głowy, że wcale nie dziwa go interesuje, tylko właśnie owi lekarze, i wybrał sobie taką osobliwą drogę dotarcia do nich. Co może tkwić w lekarzach...? I dlaczego ja nie mogę o tym wiedzieć...? Pomyślałam, że w sprawę, być może, wmieszany jest pułkownik, że sekret przede mną bierze się z posadzania mnie o rąbnięcie idiotycznych brylantów, że ktoś połknął te brylanty i jakiś chirurg wydobył je z niego drogą operacji, teraz zaś należy wydobyć je z chirurga, że w tym celu Marek udał się do Warszawy, podstępnie pozbywając się mnie, i że w ogóle specjalnie po to przyjechał ze mną do Sopotu. Żeby mnie usunąć z Warszawy.

Siedziałam w samochodzie na parkingu przed Grandem, dochodząc stopniowo do coraz to celniejszych hipotez. W chwili, kiedy skłaniałam się ku przypuszczeniom, że dziwa również, inną drogą, udała się do stolicy, ujrzałam ją wychodzącą z hotelu. Jasną jest rzeczą, że ruszyłam za nią bez chwili namysłu.

Jako śledzony obiekt była mało atrakcyjna. Poszła do zakładu fotograficznego na tej samej ulicy i odebrała wywołane odbitki, co udało mi się dojrzeć przez szybę. Wróciła do hotelu. Następnie wyszła znowu i udała się na pocztę. Nadała list. Ekspres. Wróciła. Przemeblowałam sobie pokój, żeby móc siedzieć przy stole, nie tracąc z oczu wejścia do Grandu.

Nazajutrz zaczęłam tracić do niej cierpliwość. Czy ta kretynka po to przyjechała nad morze, żeby tkwić murem w hotelowym pokoju z widokiem na parking? I ja mam przez nią pędzić taki sam kretyński tryb życia?

Przez, dwa dni wyszła na świeże powietrze tylko raz, znów na pocztę, gdzie odebrała jakąś depezę na poste restante. Zirytowało mnie to ostatecznie, pomyślałam, że chyba teraz posiedzi w pokoju całą dobę bez przerwy, i wybrałam się na spacer plażą.

Lażałam powoli w kierunku Gdyni, nie rozglądając się dokoła i w zamyśleniu patrząc pod nogi. Uświadomiłam sobie, że w nocy był chyba sztorm, bo świeży ślad fali znajdował się daleko na piasku. Skręciłam ku temu śladowi z cichą nadzieją znalezienia okrucich bursztynu, ludzi bowiem o tej porze i przy pochmurnej pogodzie chodziło tędy niewiele, ci zaś, którzy chodzili, mogli trochę niedowidzieć. Z niesmakiem i urazą przyjrzałam się zbyt liczny jak na moje nadzieje odciskom stóp wśród wysychającego morszczyku i szłam pomiędzy nimi, ciągle wierząc, że przebywali tu sami ślepi.

Nagle doznałam wrażenia, że w oko wpadło mi coś znajomego albo też coś, na co powinnam była zwrócić uwagę. Wrażenie było tak silne, że zatrzymałam się, usiłując odgadnąć, co też to mogło być. Obejrzałam się, spojrzałam pod nogi, błysnęła mi myśl, że pewnie dostrzegłam kawałek bursztynu, czego nie uświadomiłam sobie od razu, wróciłam więc kilka kroków i rozejrzałam się uważniej. Żadnego bursztynu nie było, za to na piasku, wśród śmieci, widniał odcisnięty porządnie ślad obcasa.

Znałam ten ślad doskonale. Obcas należał do męskiego gumiaaka z prawej nogi i był wygryziony w sposób bardzo charakterystyczny, mianowicie jeden narożnik miał półkoliście odcięty. Przy mnie Marek włożył na jakiś gwóźdź, sterczący z desek obok zejścia na plażę i w moich oczach ładnie wyciął naderwany tym gwoździem kawałek. Na wilgotnym piasku obcas odcisnął się z nadzwyczajną dokładnością.

Stałam nad śladem wpatrzona weń jak sroka w gnat i usiłowałam zrozumieć, co to znaczy. Gumiaaków Marek u mnie w pokoju nie zostawił, zabrał je do tego zełganego Szczecina. Chodziliśmy tędy milion razy, ale niemożliwe przecież, żeby ślad został nienaruszony tyle czasu, co najmniej trzy doby... Ludzie też chodzili, poza tym w nocy był sztorm...

Od wniosków zrobiło mi się gorąco. W nocy był sztorm, ślady pochodzą z dzisiejszego poranka, on musi być gdzieś tu! Wcale nie siedzi w Warszawie, jest w Sopocie, peta się po plaży, ukrywa się przede mną, diabli wiedzą gdzie i diabli wiedzą dlaczego, na litość boską, co w tym jest...?! Nie wierzę w istnienie dwóch prawych, męskich obcasów, identycznie uszkodzonych!

Przypomniałam sobie Karola Maya. Zawsze miałam entuzjastyczny stosunek do zabawy w Indian. W dzieciństwie przeżywałam emocje na dzikich preriach, rozciągających się nad rzeczką za rzeźnią miejską, własnoręcznie robiłam sobie łuk, z którego strzały doskonale zaczęły się w firankach, i miałam pióropusz z indyjskich piór, który z niezbadanych przyczyn do obłędnej paniki doprowadzał kota. Badałam wnikliwie ślady stóp i nawet udawało mi się odróżnić ludzką nogę od krowiego kopyta. Przywołałam teraz na pamięć całą wiedzę w tej dziedzinie.

Śladów wygryzionego obcasa znajdowało się tam więcej, acz nie tak wyraźnych jak ten pierwszy. Dostrzegłam kilka, prowadziły w kierunku Gdyni, a potem gdzieś nikły. Bliżej morza nie było ich widać, musiały zatem oddalić się w stronę łądu. Przestałam gapić się pod nogi i spojrzałam przed siebie.

Na skraju lasu stała szopa, ściśle biorąc kiosk, prawdopodobnie czynny w lecie, obecnie na głucho zabity deskami. Zbliżywszy się do niego, znalazłam jeszcze jeden ślad. Piasek był tu mało zdeptany, ale sypki, trudno w nim było coś wyodrębnić, obesłam szopę dokoła i po drugiej stronie, bliżej lasu, ujrzałam jeszcze kilka wygryzionych obcasów. Grunt był tu nieco twardszy, ślady odcisnęły się wyraźniej i wydały mi się niejako dwukierunkowe. Prowadziły do lasu i z lasu. Ślad z lasu był późniejszy, nakładał się w jednym miejscu na ten drugi. Poszedł i wrócił. Święci patroni, cóż to znaczy...?!!

Zajrzałam do szopy przez szparę między deskami, nie wiadomo po co, bo trudno było sobie wyobrazić, że Marek porzucił pokój w hotelu, porzucił pokój w Zaiksie, porzucił luksusy i ukochaną kobietę po to, zęby zamieszkać w opuszczonej psiej budzie na plaży. Chyba że dojadły mu już

nieznośnie te baby, dziwa i ja, i zapragnął wreszcie samotności i świętego spokoju... W szopie było ciemno jak we wnętrznościach Murzyna i nie zobaczyłam kompletnie nic.

Duch Karola Maya latał nade mną nadal. Spłoszona, zdenerwowana i szaleńczo przejęta, pomyślałam, że jeśli ja odkryłam ślady Marka, on niewątpliwie odkryje moje. Obmywał z błota moje gumki dziesiątki razy, przysięgnę, że zapamiętał każdy szczegół ich zelówek! Poweźmie podejrzenia i nie wiadomo, co zrobi, nie mogę do tego dopuścić...

Produkując z dość dużym wysiłkiem potężną miotłę, posępnie stwierdziłam, że ten cały łańcuch dziwacznych afer, i których od kilku tygodni nie mogę się wyplątać, staje się coraz bardziej męczący i coraz więcej ode mnie wymaga. Epokowy romans pana Palanowskiego z Basieńką przeistoczył się w działalność przestępczą, natomiast mój prywatny romans wszechczasów przybiera oblicze nader oryginalne i raczej nietypowe. Bóg raczy wiedzieć, w co się przeistoczy...

Miotła wyszła mi nawet nieźle, rozejrzałam się, czy nikt nie widzi, po czym z największą starannością zamiotłam bez mała pół plaży, ze szczególnym uwzględnieniem okolic szopy. Wróciłam wodą po kostki, a zużyte rękodzieło wyrzuciłam do kosza na śmieci koło Grand Hotelu.

Cała impreza przybrała charakter w najwyższym stopniu zagadkowy. Dopuszczałam możliwość, że Marek ukrywa się nie tyle przede mną, ile przed dziwą, która natrętnie wymusza na nim kuracje. Może boi się zastrzyków, a może tatuś-lekarz wyprowadził ją z błędu co do stanu jego zdrowia i teraz nic mu już innego nie pozostaje, jeśli nie chce narazić się na straszne następstwa, jak zejść jej z oczu. Oderwać się od niej całkowicie najwidoczniej nie może i śledzi ją, sam kryjąc się w cieniu. Dziwa po całych dniach absolutnie nic nie robi, kto wie wszakże, czy nic rekompensuje sobie tego nieróbstwa nocą. Wygląda na to, że powinnam przestawić się na nocny tryb życia...

W nocy wstrętna wydra okazała się równie nieruchawa jak w dzień. Zapałam się zadnimi łapami, że teraz już nic nie przepuszczę, dosyć tego, raz wreszcie chcę widzieć na własne

oczy i wiedzieć na pewno, a nie pozostawać przy domysłach, dedukcjach i wnioskach. Domyślić się, o co tu chodzi, zupełnie nie byłam w stanie. Załęgło się we mnie przypuszczenie, że od początku służyłam wyłącznie za parawan, przyjechał tu nie dla mnie, tylko dla uprawiania tych dziwnych sztuk, ściśle związanych z podejrzaną heterą. Znów blondyn, oczywiście, z blondynem musi mi się przytrafić jakieś kretyństwo nie z tej ziemi. A tak porządnie wyglądał w tym autobusie... Jakikolwiek jednakże były jego zamysły i cele, ja je muszę odkryć, bo inaczej szlag mnie trafi!

Plażę, Grand Hotel i psią szopę wizytowałam o najrozmaitszych porach dnia i nocy. Stwierdziłam istnienie wokół budy świeżych śladów wygrzzonego obcasa. Wschód słońca zastał mnie w pobliżu wierzby na cypelku, dokąd dotarłam, zbierając przy okazji okruchy bursztynu. W zaroślach obok wierzby rosły żółte kwiatki, przypomniało mi się, że lubię kwiatki, ruszyłam w tamtą stronę, żeby je zerwać, schyliłam się i nagle pośród nich ujrzałam znajome ślady!

Był tu w nocy. Wcale nie śledził wampirzyca, tylko błąkał się dookoła wierzby. Co tu robił, u diabła, złe w niego wstąpiło czy jak? Trzeba było też tu przyjść, niepotrzebnie pilnowałam Grand Hotelu.

Niezadowolona z siebie, pełna rozterki, zdezorientowana, narwałam tych kwiatków i wróciłam pod hotel akurat w chwili, kiedy harpia wyjeżdżała samochodem. Kluczyki od swojego, jak zwykle, miałam przy sobie. Zdążyłam wystartować za nią, posępnie wściekła, zdecydowana na wszystko, ogłupiała nadmiarem niejasności i przygnębiona własną nieudolnością śledczą.

W połowie drogi pomiędzy Gdańskiem a Elblągiem, na szosie do Warszawy, oprzytomniałam nieco, zreflektowałam się, zostawiłam ją i zawróciłam. Najwyraźniej w świecie jechała do Warszawy, byłoby beznadziejnym idiotyzmem znaleźć się tam nagle w starym płaszczu, gumiakach i bez kluczy od mieszkania, a za to z bukiecikiem przywędłych, żółtych kwiatków. Jeśli oddała się definitywnie, niech ją diabli wezmą,

nie o nią mi w końcu chodzi, tylko o Marka, którego niepojęte poczynania muszę wreszcie rozszyfrować.

Późnym wieczorem ulokowałam się w pobliżu szopy. Księżyc rósł, zbliżając się do pełni, wypogodziło się, jasno było jak w dzień i siedząc w głębokim cieniu miałam doskonały widok poprzez gałęzie na całą plażę. Postanowiłam czekać. Nie wiadomo dokładnie, czego się spodziewałam, w każdym razie z pewnością nie tego, co nastąpiło.

Tkwiałam w tych zaroślach upiornie długo. Na plaży nie było żywego ducha, wokół szopy panowała cisza i całkowity spokój, nic nie drgnęło, nic się nie poruszyło. Zmarzłam, zdrętwiałam, wilgoć przeniknęła mnie na wylot. Zaczęłam, się wahać, czy istotnie takie spędzenie nocy ma swój głębszy sens i czy jedynym jej rezultatem nie pozostanie reumatyzm. W chwili, kiedy zdecydowałam się jednak wracać i trzymając się pnia odzyskiwałam władzę w nogach, usłyszałam zbliżający się cichy warkot. Poniechałam gimnastyki i zamarłam w bezruchu.

Leśną drogą, będącą raczej aleją parkową od biedy nadającą się do jazdy, powoli przejechał jakiś samochód. Nie rozpoznałam go zarówno na skutek odległości, jak i dlatego, że w głębi lasu było znacznie ciemniej niż na plaży, poza tym zasłaniały mi go gałęzie i widziałam tylko jego światła. Był jednakże jedynym elementem ruchomym i jechał w kierunku wierzby, postanowiłam zatem iść za nim. Na wszelki wypadek...

Dogoniłam go przy jarze w chwili, kiedy zawracał. Droga kończyła się mostkiem nad odnogą potoczku, przed mostkiem znajdowało się coś w rodzaju małej polanki z ławeczką i na upartego można było tam manewrować. Samochód porykiwał cicho silnikiem, usiłując zmieścić się obok drzewka, nie urywając sobie zderzaka. O mało trupem nie padłam, rozpoznawszy peugeota dziwy!

W pierwszej chwili byłam święcie przekonana, że jakimś cudem się rozdziwił, względnie że mam halucynacje. Oprzytomniawszy, pojęłam, że od rana do tej pory mogła trzy razy dojechać do Warszawy i wrócić. Samochód był równomiernie zakurzony, co wskazywało na długą jazdę przy ładnej pogodzie. Zrobiła sobie wycieczkę, mało jej było tych

siedmiuset kilometrów, więc pojechała jeszcze kawałek dalej, tutaj do wierzby...

Udało jej się wreszcie zawrócić, tyłem podjechała aż do mostku, nie miała reflektora świecącego wstecz i nabrałam nadziei, że wjedzie na te spróchniałe deski, po czym peugeot zakończy swoją karierę wśród efektownego trzasku. Nie sprawiła mi jednakże tej przyjemności, zatrzymała się, wysiadła i poszła na spacer w stronę wierzby.

Teraz czekałam z kolei pojawienia się Marka. Wyglądało na to, że wspólnie uprawiają tu płasy przy świetle księżyca, deptając żółte kwiatki, ewentualnie zbierają może rośliny lecznicze lub też badają życie sów. Wszystko inne mogli spokojnie robić w pomieszczeniach zamkniętych, w hotelowych pokojach albo w lokalach publicznych i wierzba do niczego nie byłaby im potrzebna. Cokolwiek by w każdym razie czynili, obejrzawszy to, być może zaczną coś rozumieć.

Nic się nie działo. Hetera siedziała na pniu wierzby i paliła papierosa za papierosem, ja zaś w mokrych zaroślach klęłam ją w żywe kamienie. Posiedziałyśmy tak obie dobre pół godziny, Marek się nie zjawiał, sylfida wstała z pnia, wyrzuciła papierosa, wsiadła do samochodu i odjechała z powrotem. Albo coś nie wyszło, albo też zażywała świeżego powietrza akurat w tym miejscu przez czystą złośliwość.

Upolowanie Marka wydawało się zgoła niemożliwe. Ze zdenerwowania wstałam przerażająco wcześniej i jeszcze przed śniadaniem poleciałam oglądać ślady. Wokół szopy znalazłam kilka nowych, udałam się dalej i poszukałam przy wierzbie. Żółte kwiatki były mi drogowskazem.

Przy samej wierzbie wygryzionego obcasa nie dostrzegłam, wśród kwiatków natomiast, w zaroślach, występował gęsto. Wywnioskowałam z tego, że Marek, tak samo jak ja, tkwił w krzakach, przyglądając się dziwie, upozowanej na pniu. Co za sens to miało? Malował jej portret...? Z rozpaczy węszyłam bez mała nosem przy ziemi, usiłując wydedukować z tego coś więcej, aż nagle znów doznałam wrażenia, że widzę coś znajomego.

W alejce było błoto i mech, w lesie mech i trawa, pod wierzbą sypki piasek. Między kwiatkami trafiły się gdzieniegdzie kawałki twardego, wilgotnego gruntu, między mostkiem a plażą natomiast było samo błoto. Wpatrywałam się w ten urozmaicony teren, nie mogąc zrozumieć, co też takiego mogło mi wpaść w oko, bo przecież nie wygryziony obcas, do którego już się przyzwyczałam. Badałam wzrokiem kawałek po kawałku, aż wreszcie pojęłam i wręcz zabrakło mi tchu.

W błocie tkwił płaski, duży kamień, odrobinę wystający i zadziwiająco czysty. Na tym kamieniu, wyraźnie i dokładnie, odcisnięty był ślad zelówki, uprzednio średnio zabłoconej. Czarny, jeszcze nieco wilgotny ślad, zaczynający już wysychać... Oczyma duszy ujrzałam arkusz białego brystolu na stole i odcisnięty na nim identyczny ślad, nieco jaśniejszy, bardziej szary, ale tak samo wyraźny...

Nie wierząc własnym oczom przykucnęłam przy kamieniu i obejrzałam ślad z bliska, z nadzwyczajną dokładnością. Nie było miejsca na wątpliwości, dostateczną ilość razy własnoręcznie rysowałam ten wzorek, zamazując go na czarno, żeby teraz mieć pewność. To była zelówka włamywacza, tego samego, który wdarł się do piwnicy państwa Maciejaków!

Śniadanie mi wystygło, bo dość dużo czasu spędziłam przy płaskim kamieniu, usiłując w jakiś sposób przenieść ślad na coś, co mogłabym zabrać ze sobą. Kamień był wielki i nie dał się wydłubać. Tkaniny męża poszły już w świat, miałam olbrzymie szansę spotkać własny wzór w byle którym sklepie GS-u w okolicach Trójmiasta. Za wszelką cenę chciałam porównać ślad na kamieniu z zelówką na wzorze, żeby ostatecznie pozbyć się niewiary w swoją pamięć wzrokową.

Dokonałam w końcu zamierzonego dzieła, posługując się wypalonymi zapalkami i opakowaniem od papierosów, po południu zaś cała rzecz była załatwiona. Nie musiałam nawet kupować tej tafty, porównałam sobie w sklepie. Bezwzględnie był to ten sam wzór!

Nadeszła chwila, kiedy należało posłużyć się z kolei umysłem. Ślad włamywacza to już było coś! Głupawa afera państwa Maciejaków wlokła się za mną aż do Sopotu, a duch



pana Palanowskiego straszyl pod wierzbą. Wydawało się to nawet dość logiczne, w Warszawie kogoś tam nie złapano, zaginęły brylanty, pułkownik popędził mi kota, zażądałam od Marka, żeby coś z tym fantem zrobił, Marek jest tu, pilnuje dziwy, dziwa pilnuje wierzby, w okolicach wierzby zaś lata włamywacz, który miał wszelkie szanse zawładnąć brylantami. Koło się zamknęło. Możliwe, że to na niego właśnie czekała wieczorem na pochyłym pniu...

Trzymanie tego wszystkiego w tajemnicy przede mną również można było na upartego uzasadnić. Nie wiadomo, co się może zdarzyć, nie daj Boże brylanty zginą ponownie, względnie zginie coś innego, mnie już w tym nie ma, nic nie wiem, stoję na uboczu w charakterze tępego tumana i o nic mnie posądzać nie można. Nikt mnie w nic nie wrobi. Owszem, takie tłumaczenie miało pewien sens, mnie jednakże zupełnie nic przemawiało do przekonania. Pomijając już inne drobnostki i tak się sama wplątałam tropiąc Marka, pilnując dziwy i płacząc się wokół podejrzanego drzewa. Tym bardziej można było posądzać mnie o najgorsze. Gdybym zaś została przez niego uprzedzona, że mam się trzymać z daleka i czekać cierpliwie, czekałabym cierpliwie, nie zbliżając się do niepożądanych miejsc i niepewnych jednostek.

W trakcie dalszych czynności śledczych, od których w tej sytuacji nie powstrzymałaby mnie żadna ludzka siła, przyszło mi do głowy jeszcze parę rzeczy. Mógł to być istotnie zbieg okoliczności, Marek mógł cały czas łapać owego włamywacza, dziwa zaś wpadła w to wszystko jak śliwka w kompot, zupełnie przypadkowo, wyłącznie przez swoje natręctwo. Przydała mu się jako parawan, między innymi po to, żeby mnie zmacić. Mogło to też nie mieć nic wspólnego z brylantami, a dotyczyć raczej owego szefa, który się mgliście pętał po przemysłniczej imprezie. Mogło być jeszcze inaczej, w ogóle nie wiadomo jak, tym bardziej więc musiałam trzymać rękę na pulsie wydarzeń.

Puls wydarzeń dostarczał mi szalonych ilości świeżego powietrza. Harpia popadła nagle w osobliwą pedanterię i promenowała samochodem po leśnej alei tam i z powrotem, dzień w dzień, o wpół do jedenastej wieczorem z przerażającą

regularnością. Dojeżdżała do polanki, zawracała, wysiadała, podchodziła do wierzby i pół godziny siedziała na pniu. Następnie wracała. Przeistoczyłam się w psa myśliwskiego, ewentualnie w dzikiego Indianina i odkryłam jeszcze jeden ślad włamywacza. Przeczekałam, aż hetera odjedzie, i z największą dokładnością zbadałam pień przekłętej wierzby wraz z jej najbliższą okolicą, mogli bowiem coś tam sobie wzajemnie chować. Nic nie znalazłam. Zmartwiło mnie, że ślad wygryzionego obcasa przestał pojawiać się wśród żółtych kwiatków.

Znudziło mi się w końcu latać za nią na piechotę i zorganizowałam sobie ułatwienie. Kilkadziesiąt metrów bliżej odkryłam miejsce, gdzie można było również podjechać samochodem, zawrócić i ukryć go w lesie. Nie było to takie całkiem proste, szczególnie w ciemnościach, ale mój stary volkswagen przyzwyczajony był do wjeżdżania wszędzie, a gdzie wjechał, tam i wykreślił. Jej manewry na polance głośny dźwięk mojego silnika, wiadomo, że warcząc samemu, nie słyszy się cudzego warkotu. Świateł oczywiście nie zapalałam, przeczekiwałam potem, aż odjedzie i ruszałam za nią, spokojna, że mnie nie dostrzeże, bo nocą widzi się tylko to, co znajduje się w świetle reflektorów. Z boku, w ciemności, może sobie stać stado słońi, byle nieruchomo.

Piątego wieczoru ustawiłam się jak zwykle, pilnując, żeby nie warcząć dłużej niż ta obłąkana heroina. Wsiadłam, zbliżyłam się ku niej ostrożnie, przez chwilę był spokój, potem zaś wydało mi się, że opodal wierzby dostrzegam jakiś ruch. Lekko trzasnął zamykany bagażnik samochodu. Serce od razu wlaźło mi do gardła, a całe wnętrze przepełniła nadzieja, że nareszcie dzieje się coś, co posunie ku przodowi niemrawą i niepojętą akcją. Czając się w cieniu i wstrzymując oddech, powoli podeszłam jeszcze bliżej.

Spod wierzby ktoś przeniknął do jaru. Harpia gmerała się przy samochodzie, cichutko pobrząkując bagażnikiem. Coś tam się odbywało takiego, czego ciągle nie mogłam zrozumieć. Żeby nie wiem co, żebym miała pęknąć albo paść trupem, muszę zobaczyć, o co chodzi, włamywacz tam jest albo Marek, albo

może obydwaj, muszę tam dotrzeć! Nie tędy, nie wprost, tutaj ona może mnie zobaczyć, trzeba przejść dookoła, doczołgać się po piasku, pod krzakami, a potem wzdłuż potoczku...

Z nieopisanym mozolem zaczęłam przekradać się w stronę plaży. Szum morza zagłuszał nieco szelest. Sforsowałam tak ze trzy metry zarośli, już byłam blisko ich skraju, kiedy nagle nastąpiło coś strasznego. Czarna postać wyrosła przede mną, jakaś ręka zakryła mi twarz, żelazne ramię unieruchomiło mnie w uścisku. Serce w przetyku zamieniło mi się w kamień.

- Cicho - syknął mi .Marek wprost do ucha. - Nie ruszaj się...!

Nogi ugięły się pode mną. Zarówno polecenie, jak i zatykanie mi gęby były całkowicie niepotrzebne, tak mowę, jak i inne właściwości odjęło mi radykalnie. Zdążyłam pomyśleć, że od takich wstrząsów człowieka może szlag trafić, jeśli zaś mnie nie trafi, to i tak tym razem zostaną chyba zadżgana. Po kilku potwornych sekundach całkowitego bezruchu Marek rozluźnił nagle uścisk.

- Prędej! - szepnęła rozkazująco. - Do wozu! Bez hałasu!

Prędej i bez hałasu, to było niewykonalne. Na szczęście dziwa razem z tym czymś, co się kotłowało obok niej, zniknęła gdzieś w jarze. Marek przewłókł mnie przez drogę i pociągnął w kierunku volkswagena.

- Prędej! - szeptał. - Wypchnę cię, zapalisz później! Tam dalej już nie będzie słyhać...

Nawet rozumiałam, co ma na myśli, nie dziwiło mnie wcale, że wic wszystko o moich poczynaniach z samochodem, oburzało natomiast, że każe mi odjeżdżać, zanim się coś wykryło. Nie miałam jednakże czasu protestować ani się zastanawiać, gwałtownie usiłowałam opanować drżenie rąk i szcękanie zębów, przyjść do siebie, odzyskać odrobinę równowagi, w najbliższej perspektywie mając jazdę po lesie bez świateł i to tak, żeby mnie nie było słyhać. Posłusznie wsiadłam do garbusa, odruchowo skrzyłam na najtwardszy teren, Marek przepchnął mnie aż do zakrętu alejki i wskoczył w biegu. Mój silnik po remoncie pracował niezwykle cicho. Ruszyłam nieco ostrzej, niż zamierzałam, ponieważ noga na

gazie też mi się trzęsła, cudem zapewne nie trafiłam w drzewo i znalazłam się na szerszej drodze, odgradzona od wydarzeń w jarze dużą ilością krzewów i zarośli.

- Zapal światła, już możesz - powiedział Marek. - I nie wjeżdżaj na parking.

Spełniałam jego polecenia posłusznie i bez słowa nie z przyczyny anielskiej uległości charakteru, a wyłącznie dlatego, że na razie nie byłam zdolna do żadnego oporu. Samo oddychanie wydawało mi się dostatecznie uciążliwe, nie mówiąc o prowadzeniu samochodu. Pierwszy raz od lat zwątpiłam w słusność swojej zasady, że za kierownicą samochodu może siedzieć tylko ten, czyje nazwisko widnieje na karcie rejestracyjnej. Wyjechałam na ulicę.

- No i teraz gazu! - powiedział Marek z ożywieniem i jakby zaciętością. - Jazda, prędzej! Pokażę ci, którędy.

Skutki ataku przerażenia już mi nieco mijały, natomiast ciągle jeszcze nic nie rozumiałam.

- Czy ja bym się... - zaczęłam ostrożnie.

- Nie tędy! - przerwał. - Prosto! Musimy się dostać do rybackich łodzi! Teraz w prawo i w lewo! Prędzej!

- Czy ja bym się mogła dowiedzieć...

- Nie gadaj teraz, tylko jedź! Prędzej!

Nigdy jeszcze mnie tak nic poganiał. Jechałam na długich światłach, z narażeniem życia i mienia, piszcząc oponami na zakrętach i nie patyczkując się z przepisami ruchu. Wjechałam pod włos w jednokierunkową ulicę, która na szczęście był zupełnie pusta. Zaczynało mnie wypełniać coś potężnego.

- Teraz w lewo! - rozkazał Marek.

- Tam nie ma drogi! - zaprotestowałam ze świętym oburzeniem.

- Wszystko jedno! Przejedziesz! Pośpiesz się! Przede mną pojawiły się roboty drogowe. Pomyślałam,

że woła boska, co będzie, to będzie. Samochód sadił skokami po jakichś wądołach, chwala Bogu niezbyt długo, zanim zdążył się rozlecieć, w poprzek wyrosło znienacka ogrodzenie z siatki. Brama w nim był zamknięta. Niewiele

brakowało, a próbowałabym ją staranować, na szczęście Marek mnie powstrzymał.

- Stój, dalej nie trzeba! - krzyknął, wyskakując jeszcze w biegu. Przelazł przez dziurę w siatce i pognął przed siebie.

Zatrzasnęłam drzwiczki, przelazłam również przez dziurę i rzecz jasna pognałam za nim. Drogę oświetlały mi przez chwilę reflektory samochodu, potem skręciłam na plażę i musiałam zadowolić się światłem księżyca. Przed sobą ujrzałam morze, zamajaczyły mi trwające w bezruchu na brzegu łódzie rybackie i Marek, przeskakujący przez linki. Pojąć nie mogłam, jakim cudem je widzi, sama potykałam się o wszystkie po kolei. Dopadłam go, zanim zdążyłam coś powiedzieć, wepchnął mi w ręce łopatę na krótkim trzonku.

- Kop! - krzyknął rozkazującym szeptem. - Prędeej, podkopuj łódź!

Coś potężnego we mnie urosło, pękło i wydostało się na zewnątrz.

- Do wszystkich diabłów!!! - wrzasnęłam wściekle, również zduszonym szeptem. - Co to znaczy?!!! Mów coś!!! O co chodzi?!!!

Pytanie było retoryczne, stanowiło krzyk rozpacz, odpowiedzi i tak bym nie usłyszała. Posłusznie, zarażona gorączkowym pośpiechem, rozjuszona, wygrzebywałam piasek spod dna łodzi, on zaś po drugiej stronie pracował jak maszyna, posługując się, nie wiem, większą łopatą czy może zgoła koparką mechaniczną. Automat, nie człowiek. Łódź przechylała się na jego stronę, napływająca Fala, chociaż niewielka, zaczynała już nią chybotać. Marek wskoczył do środka.

- Podkopuj, podkopuj! - pogonił mnie niecierpliwie, szarpiąc się z czymś błyskawicznymi ruchami i wykonując jakieś niezrozumiałe w ciemnościach pośpieszne czynności.

Pomimo bezgranicznego oszołomienia i rozpaczliwej wściekłości podświadomie zdawałam sobie sprawę, że chodzi o zbliżenie łodzi ku wodzie i mechanicznie kopałam tam, gdzie trzeba. Włos mi się jeżył na głowic, razem z wściekłością narastało przerażenie, które zwiększało ją jeszcze bardziej. Fale

mi przeszkadzały, zrobiło mi się gorąco, spociłam się z wrażenia i z wysiłku.

- Do ciężkiej cholery!!! - wysyczałam z furją. - .lak długo tego jeszcze...?!!!

Silnik w łodzi nagle kaszlnął, zakrztusił się i zaterkotał. Marek wyskoczył i odczepiał linki.

- Spychaj! - krzyknął. - Teraz nie ma czasu, on ucieka!

Rzuciłam łopatę i zapałam się nogami w mokry piasek.

- Kto ucieka, do diabła?! - warczałam w szale, z wściekłości pchając łódź jak maszyna parowa. - Czyja to łódź, Chryste Panie, czy ty ją kradniesz?!!!

- No pewnie, że kradnę! Dosyć, wsiadaj! Na dziób! Trzeba go dogonić...!

Łódź wysunęła się z piasku, zaryta już tylko dziobem, Marek podparł ją i uwolnił jednym pchnięciem. Pojęcia nie mając, kto ucieka, dlaczego po wodzie, dlaczego trzeba go gonić, spłoszona kradzieżą łodzi, z wodą w gumiakach, z przerażającą myślą, że zostawiłam samochód na długich światłach, śpiesząc się jak na pożar, przelazłam przez burzę i pośliznęłam się w środku na rybiej łusce. Cudem nie wybiłam sobie zębów. Marek odepchnął łódź dalej i po chwili już siedział przy sterze. Stara, rybacka krypa majestatycznie zakręciła i ruszyła całą naprzód jak pełnomorski jacht.

W umyśle poprzekręcało mi się wszystko do góry nogami. Nagle zyskałam pewność, że nielegalnie uciekam z Polski, ukradłszy łódź, zostawiając dom, dzieci, dobytek, zaczęta książkę, maszynę do pisania, torebkę z dokumentami, nic rozwiklaną tajemnicę włamywacza i brylantów, a co najgorsze, ten samochód z zapalonymi światłami! A pułkownik mówił, żeby nie dalej...!!!

Wpadłam w popłoch.

- Ja nie jadę! - wrzasnęłam desperacko. - Jeśli mi nic wyjaśnisz natychmiast, o co chodzi, wysiadam i wracam! Ja mogę jechać za granicę ze zwyczajnym paszportem, nie potrzebuję tędy!!!

- Tam płynie człowiek, którego szukam dwadzieścia siedem lat - odparł z kamiennym spokojem Marek, wpatrzony w

przestrzeń za moimi plecami. - Ucieka składakiem do statku, który dziś wyruszył z portu w drogę powrotną i czeka na niego na redzie. Ma bliżej niż my. Nie może do niego dotrzeć!

Obejrzałam się. Zobaczyłam powierzchnię morza połyskującą w świetle księżyca i nic więcej. Widok był nawet malowniczy, ale raczej niewiele wyjaśniał. W umyśle miałam coraz większy zamęt.

- Co za człowiek, na litość boską?! Skąd wiesz, że ucieka składakiem?!

- Złośliwy bydlak i genialny przestępca. Widziałem, jak zaczynał go składać. Ty też widziałas, bylas tam.

- Nic nie widziałam, napadłeś mnie, kiedy szłam zobaczyć! Co za melanż z tego się zrobił, Matko Boska! Tam był ten włamywacz, który rąbnął brylanty, co ta dziwa ma z tym wspólnego, dlaczego nie złapałeś go na brzegu, dlaczego musimy go teraz ganiać po morzu...?!

- Na brzegu nic mu nie mogłem zrobić, jest uzbrojony i zdecydowany na wszystko. Ona też. Skąd wiesz o włamywaczu?

- No jak to skąd, ślady zostawił, znam je na pamięć!

To on ucieka?

- Nie. Ten, co ucieka, to jej ojciec. Przesuń się na bok i usiądź niżej.

Otumaniona do ostateczności przesiadłam się na burzę. Marek niecierpliwym gestem spędził mnie w dół, wprost w rybie łuski. Łódź pruća przed siebie z rytmicznym terkotem. Zachłannie wpatrywałam się w ruchliwe błyski, nic już nie myśląc, czując tylko, jak moje ogłuszenie zaczyna przeistaczać się w podniecenie i gorączkowe napięcie. Marek wyglądał niczym wódz Wikingów, płynący dokonać zemsty na wrogu.

- Tam! - powiedział nagle. - Widzisz?

Oczy mi bez mała wyszły z głowy. Daleko przed nami udało mi się wreszcie zauważyć maleńki, pojawiający się i znikający punkcik. Jeszcze dalej rysowało się niewyraźnie na tle horyzontu coś większego, czarnego, nieruchomo leżącego na wodzie. Statek bez światła!

- Zdążymy. Przetniemy mu drogę...

- Czy z tego statku nie podpłyną do niego jaką motorówką?  
- zaniepokoiłam się, spłoszona wizją bitwy morskiej, w wyniku której niewątpliwie zażyłabym kąpieli. - Mają bliżej niż my.

- Na tym statku teraz oślepli, ogłuchli i zidiocieli. Mógł dobić i wsiąść, ale tak, żeby o tym nikt nie wiedział, teraz już nie. Zobaczysz, jak zaczną wiać za chwilę. Zostawią go na pastwę losu.

Punkcik urósł i zamienił się w człowieka, wiosłującego na składaku, dość słabo widocznego w świetle księżyca. Czarny statek był coraz bliżej. Marek celował między jedno i drugie.

- Masz być teraz absolutnie posłuszna - powiedział takim tonem, jakim nigdy dotychczas nie ośmielił się mówić do mnie żaden mężczyzna. - Masz siedzieć na dole i nie ważyć się wystawiać głowy nad burtę. Nie wolno ci się w ogóle ruszać, I trzymaj się, bo ja go zamierzam staranować.

Włosy na nowo stanęły mi dęba na głowie.

- Zwariowałaś! - zaprotestowałam ze zgrozą. - Chcesz go zamordować w wodzie?! Przecież on się utopi...! Nic nie będę widziała!!! Mam się tarzać w rybich wąpłiach...?!

- Na dół!

- Oszalałaś...!

- Na dół!!!

Odruchowo skurczyłam się i schyliłam głowę. On również zsunął się niżej, patrząc do przodu wzdłuż burty. Poczułam, że kolanem przylepiłam się do smoły.

- Mów przynajmniej, co się dzieje! - zażądałam z irytacją. - Co on robi?!

- Daje nam drogę. Myśli, że to łódź rybacka płynie na połów i chce być w porządku, żeby go nikt nie zaczepiał.

Uważaj, potem przesiądziesz się do steru. Jest sam, bez niej, bardzo dobrze... No, teraz...!

Nagłym ruchem odepchnął ster. Łódź wykonała gwałtowny zwrot w lewo, potem w prawo, potem zaś gruchnęła w coś potężnie. Rozległ się okrzyk, trzask, plusk, równocześnie Marek zmniejszył szybkość, poderwał się i rzucił na dziób.

- Bierz ster! - krzyknął. - Skręcaj w lewo!



Musiał mi widocznie uwierzyć na słowo, że umiem sterować, przekonać się dotychczas nic miał okazji. Poderwałam się również, pośliznęłam, dotarłam na rufę na czworakach i wreszcie mogłam wyjrzeć. W wodzie odbywała się jakaś okropna kotłowanina, częściowo zgruchotany składak kołysał się do góry dnem. Ku mojemu zdumieniu i przerażeniu Marek nagle przestał się śpieszyć. Odczekał, aż wykonałam obrót i podpłynęłam bliżej, po czym wyrzucił linkę i zaczął o ruinę składaka coś, co wyglądało jak rozcapierzone pazury. Na pływającego w odległości kilkunastu metrów człowieka nie zwracał uwagi.

Odetchnęłam gwałtownie i odzyskałam głos.

- Na litość boską, przecież on się utopi!!! - krzyknęłam rozzwierając, pełna zgrozy, wstrząśnięta dokonywanym z zimną krwią morderstwem. - Opamiętaj się, co robisz...?!!!

- To, co trzeba. Nie utopi się, nic ma obawy, jest odpowiednio ubrany. Widzisz, że jeszcze usiłuje dopłynąć do statku. Nic z tego, teraz mi już nie ucieknie...

Pociągnął składak i przyczepił linkę do rufy. Odebrał mi ster. Oniemiała ze zgrozy, patrzyłam, jak podpływa do faceta w wodzie, zagradzając mu drogę. Facet zaczął coś krzyczeć, silnik zagłuszał go terkotem, Marek nagle zwiększył obroty. Facet usiłował uczepić się wleczonego za rufą składaka, nie udało mu się to, zaczął chyba słabnąć, pewnie zmarzł, woda była przeraźliwie zimna. Potwór u steru znów zwolnił, zawrócił, znalazł się tuż obok niego i wówczas zarzucił na niego linkę, zwiniętą jak lasso. Linka złapała go za nogę.

- Chryste Panie...!!! - jęknęłam, uczepiona burty na rufie.

Łódź pruć do brzegu na pełnych obrotach, wlokąc za sobą bliżej topielca, a dalej szczątki składaka. Nie mogłam pojąć, co za szaleństwo go opętało, w moich oczach popełnia zbrodnię na morzu i wraca na ląd z ofiarą i świadkiem! Będzie musiał teraz zamordować i mnie, bo nic mu innego nic pozostaje... Chyba że jest to nowy sposób holowania topiących się osób, wydaje się raczej mało humanitarny...

Marek przyglądał się pilnie topielcowi.

- Będzie miał dosyć - mruknął, zwalniając. - Nie patrz tak, to jest jedyna metoda. Widzisz, że nawet nie zdążył wyciągnąć spluwy. Nie mam zamiaru narażać się na to, że wykończy i ciebie, i mnie, spokojnie posługując się potem tą łodzią, a możesz być pewna, że tak by zrobił. Teraz jest już nieprzytomny, można go wciągnąć do środka.

Zastopował łódź, przyciągnął linkę, bez wielkiego wysiłku przewłócił przez burtę bezwładnego faceta, rzucił go na dno, odpiął mu skafander i odchylił.

- Proszę! Widzisz?

Nic nie widziałam, bo na dnie łodzi było kompletnie ciemno. Musiał zapewne mieć za pazuchą coś szalenie atrakcyjnego. Ślizgając się na rybach szczątkach przelazłam bliżej, schyliłam się i wytrzeszczyłam oczy, święcie przekonana, że koniecznie muszę to coś zobaczyć. Marek zlitował się i przyświecił mi latarką.

W wewnętrznej kieszeni skafandra topielca tkwił czarny przedmiot będący według moich wiadomości rękojeścią dość dużego pistoletu. Rękojeść wystawała tak, że łatwo ją było uchwycić. Marek jej nie dotykał.

- Nie mieści mu się w kieszeni, bo na lufie ma tłumik - wyjaśnił uprzejmie. - Gdyby nie wleciał do wody od razu, możesz być spokojna, że zdążyłby się nim posłużyć. Z tym człowiekiem nie można sobie pozwalać na żadne nieostrożności. Płyn do brzegu, muszę z niego wytrząsnąć trochę wody, żeby mi tu przypadkiem nie zdechł.

Ze zdenerwowania dostałam dreszczy. Poszczekując zębami sterowałam na rybacką przystań. Marek ratował topielca, miętosząc go i obchodząc się z nim nie bardzo tkliwie, ale za to z dobrym skutkiem. Przypomniałam sobie czarny statek, obejrzałam się i ujrzałam, że odpływa, rozbłysnąwszy nielicznymi światełkami. Daleko na morzu rozległ się warkot, głośniejszy od naszego. Topielec odetchnął, zakrztusił się i zaczął wypluwać z siebie wodę, jęcząc i dziwnie chrypiąc. Przede mną, na brzegu, dokładnie tam, gdzie celowałam, pojawiły się jakieś ruchliwe błyski, które zaniepokoiły mnie bardziej niż wszystkie poprzednie spostrzeżenia.

- Zostaw tego nieboszczyka i zobacz, co się dzieje - zażądałam nerwowo. - Zdaje się, że wykryto kradzież i już na nas czekają. Co mam robić?

Odratowany facet oddychał już samodzielnie. Marek związał go linką i rozejrzał się dookoła.

- Płynie do nas motorówka WOP-u - stwierdził z najdoskonalszą obojętnością i niezmaconym spokojem. - Na brzegu, zdaje się, jest milicja. Co oni tam robią...? Aha, wypływają na morze, też do nas. Trochę za wcześnie, jak na mój gust. Czekaj, wystawimy ich rufą do wiatru...

Odebrał mi ster. Z rybackiej przystani rzeczywiście wypłynęły dwie krypy i skierowały się na pełne morze, zapewne z zamiarem odcięcia nam drogi do Szwecji. Od strony Gdyni narastał warkot motorówki. Marek skręcił nagle pod kątem prostym do brzegu i pruł prosto ku plaży, tam, gdzie mieliśmy najbliżej. Krypy za nami zawahały się jakby, zmieniły kierunek, jedna zawróciła w naszą stronę, a druga popłynęła wzdłuż brzegu, na spotkanie motorówki WOP-u. Wszyscy byli od nas dość daleko, plaża zaś była tuż.

Po chwili łódź zaryła się dziobem w piasek.

- Przyholuj składak - rozkazał wódz Wikingów, wywlekając lecącego mu przez ręce wroga. - Przejrzyj go, zobacz, co w nim jest. Dasz sobie radę? Masz tu latarkę.

Z przejścia wlałam w wodę po kolana, do gumiaków nalało mi się na nowo. Smołę, nie wiem jakim sposobem, miałam w rękawie i na podszewce płaszcza, czułam, jak się do niej przylepiał. Zdenerwowanie wyładowałałam na składaku, który był już i tak ruiną, mogłam więc obchodzić się z nim dowolnie brutalnie. Udało mi się po wywleczeniu na piasek odwrócić go wierzchem do góry. W środku chlupotała woda. Świecąc sobie latarką zajrzałam pod dziób i ujrzałam jakiś pakunek. Spróbowałam go wyciągnąć, okazał się wbity na mur, poczułam nagle, że mam dość tych idiotycznych przeszkód, trudności i tajemnic, dostałam ataku szału i szarpnęłam tak, że dziób rozleciał się do reszty. Pakunek został mi w ręku.

Był to nieprzemakalny, plastikowy worek. Rozszarpałam go jak dziki zwierz, czujący w środku świece mięso. Mięsa nie

było, znajdowały się tam natomiast jakieś papiery, dwa metalowe pudełka z ciasno upchanymi filmami, jedna para męskich butów, szczotka do zębów, maszynka do golenia i skórzany, bardzo wypchany woreczek, w stosunku do wielkości niezwykle ciężki. Zajrzałam do woreczka, na samym wierzchu zobaczyłam pudełko zapalek, takie za czterdzieści groszy, rozzłościłam się jeszcze bardziej, bo zapalki wydały mi się tu jakimś całkowitym nieporozumieniem, zgrzytając zębami chwyciłam je i otworzyłam, brodą trzymając reflektorek tak, że świecił wprost na nie.

I osłupiałam. Nagły blask niemal mnie oślepił. W pudełeczku, równiutko ułożone i uszczelnione kawałkiem ligniny, lśniły brylanty, takie jakich nigdy dotychczas nie widziałam na oczy nawet na wystawach zachodnich jubilerów. Nie zastanawiając się, co robię, nie myśląc nic, pchana tajemniczą siłą, wytrząsnęłam je na dłoń i policzyłam. Było ich dwadzieścia sześć...

Nadal niezdolna do myślenia, nagle odczułam wyczerpanie i przestałam się śpieszyć. Upchałam brylanty z powrotem w pudełeczku. Zajrzałam do woreczka, wzięłam do ręki reflektorek, przytrzymywany do tej pory brodą i ramieniem, poczułam, że broda mi zdrętwiała, a ramię skrzywiło się nieodwracalnie, poświeciłam, z wnętrza woreczka buchnął na mnie blask nie mniejszy niż z brylantów, poprzyglądałam się chwilę temu obłędnemu bogactwu, wrzuconemu tam z barbarzyńskim lekceważeniem, wepchnęłam pudełeczko na poprzednie miejsce, zaciągnęłam rzemyk worka i obejrzałam się na Marka. Podniósł się właśnie, zostawiając eks-topielca opartego o dziób łodzi.

- Co znalazłaś? - spytał z zainteresowaniem.

- Różne rzeczy i precjoza - odparłam, z rezygnacją siadając na mokrym piasku, bo po tej wodzie, smole i rybich szczątkach już mi było wszystko jedno, a nogi zdrętwiały mi od kucania. - Sama bym chętnie z tym uciekła. I brylanty Basieńki Maciejakowej, te, które rąbnęłam. Ludzie lecą, nie wiem, co będzie.

- Nic nie będzie - odparł beztrąsko, zadowolony i usatysfakcjonowany. - Zapakuj z powrotem, jak było. Ja już wiem swoje, mogą sobie teraz wszystko zabierać...

Biegający ludzie i motorówka dotarli do nas równocześnie i na spokojnej przed chwilą plaży zapanowała Sodomą i Gomorą. Zaraz za motorówką przyplęły oba kutry. Rybacy, milicja i żołnierze WOP-u utworzyli razem coś, co wydało mi się obrazem z dantejskiego piekła. Miałam wrażenie, że każdy reprezentuje tu odmienny rodzaj interesów, każdemu chodzi o co innego i każdy domaga się innych informacji i wyjaśnień, przy czym wszyscy, na skutek nieporozumienia, domagają się ich od siebie nawzajem. Oczekiwałam chwili, kiedy zostanę zakuta w kajdany, rozłączona z Markiem i zawleczona do jakichś kazamatów i miałam tylko nadzieję, że nastąpi to, zanim rozwścieczeni rybacy zdążą nas rozszarpać na sztuki. Słów, które padały, nie umieszcza się nigdy w żadnych publikacjach. Przez chwilę wydawało się, że WOP i milicja w żaden sposób nie dojdą do zgody w kwestii wyłowionego z wody osobnika, każda ze służb bowiem udawadniała swoje prawa do niego z zadziwiająco namiętą zachłannością. Zarysowała się możliwość rozszarpania na sztuki wszystkich przez wszystkich, przy czym w takim wypadku górą bezwzględnie byłby WOP, z uwagi na psy.

Obłądne zamieszanie uspokoiło się wreszcie. Ku mojemu zdumieniu pomiędzy instytucjami nastąpiło nagle zagadkowe, błyskawiczne porozumienie. WOP się wycofał, na placu boju pozostała milicja, wśród objawów kurtuazyjnej życzliwości zepchnięto kutry na wodę i cała flotylla ruszyła do rybackiej przystani. Tam wpadły mi wreszcie w ucho sakramentalne słowa:

- Państwo pozwolą z nami...

Wówczas ocknęłam się nagle z tępego osłupienia, a rezygnacja minęła mi jak ręką odjął.

- O nie!!! - wrzasnęłam energicznie. - Żadne takie! To panowie pozwolą ze mną! I panowie będą uprzejmi mnie popchnąć, bo z tego co widzę, akumulator wyładował mi się do zera!...

\*

- Dosyć tego! - oświadczyłam kategorycznie po dwóch dniach wieczorem. - Siedzę cierpliwie na marginesie wydarzeń, jeżdżę, gdzie trzeba, pozwalam się karmić ochłapami informacji, a czas leci. Dłużej tego nie zniosę! Przyjmij do wiadomości, że żądam wyjaśnień i moim zdaniem nadeszła właśnie odpowiednia chwila.

Dwóch dni było mi potrzeba, żeby ochłonąć po przeżyciach, zakończonych wypychaniem samochodu tyłem z robót drogowych. Przede mną znów siedział wykwit cywilizacji i wydawało się absolutnie nie do wiary, że jest to ten sam człowiek, który dwie noce wcześniej kotłował się z topielcem na głębokiej wodzie. W równym stopniu nie pasowało do niego gnieźdzenie się w opuszczonej psiej budzie na plaży... Niemniej jednak zaistniało i jedno, i drugie i wreszcie musiał mi to wszystko wytłumaczyć.

- Myślałem, że już sama odgadłaś? - odparł z niewinnym zdziwieniem. - Uczestniczyłaś przecież w wyjaśnieniach przez cały czas...

Uczestniczyłam...! Jeżeli to się nazywa uczestnictwem... Mój udział w epilogu imprezy polegał na jeźdzeniu z Markiem w rozmaite miejsca, gdzie, na oko rzecz biorąc, składał towarzyskie wizyty osobnikom w cywilnych ubrankach, porozumiewając się z nimi za pomocą skrótów, przenośni, symbolów, gestów i spojrzeń. Jak dla mnie, jedynym rezultatem było cudowne rozmnożenie się tajemnic do wyjaśnienia.

Przyglądałam mu się wielce krytycznie i z nieskrywanym niesmakiem.

- Zanim co - powiedziałam złowieszczo - odpowiedz mi może na jedno, zasadnicze pytanie.

- Mianowicie?

- Mianowicie, kim ty, kochanie moje, właściwie jesteś? Zdziwił się tak, jakbym go na przykład spytała, dlaczego hoduje żyrafy.

- Ja?

- Nie, szach perski...

- Nikim szczególnym. Zupełnie zwyczajnym człowiekiem. Przeważnie dziennikarzem.

Pomyślałam, że nie trafię za nim, nie ma na niego siły...

- No dobrze - zgodziłam się z rezygnacją. - Niech ci będzie. To skąd w takim razie wiedziałeś wszystko to, co wiedziałeś?

- Nic nie wiedziałem, wszystkiego musiałem się domyślać.

- Słuchaj, jeżeli ja nie zwariuję z tobą, to będzie cud. Rozmawiaj ze mną jak człowiek, a nie takie jakieś nie wiadomo co. Co to było, to wszystko, i skąd się wzięło?! Ja mam w nosie domysły, ja chcę wreszcie wiedzieć!

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko! Sama nie wiem, od czego zaczynać! Coś ty, na litość boską, wyprawiał z tą dziwa, po jakiego diabła pozwoliłeś się jej podrywać?! Co miało znaczyć to idiotyczne przedstawienie?!

Pomilczał chwilę z odrobiną zakłopotania.

- Musiałem ją obejrzeć - wyznał w końcu z czymś w rodzaju skruchy.

- Jak to, obejrzeć.... Aż tak dokładnie?!

- No właśnie... Podejrzywałem, że ona to ona i musiałem się upewnić. Jeżeli ona, to powinna mieć bardzo charakterystyczne znamię, tak zwaną myszkę, w kształcie półksiężyca.

Omiał mnie nie zatchnęło.

- Można wiedzieć, gdzie? - spytałam ze złowieszczą słodyczą.

- Nic takiego, na biodrze. No, prawie na biodrze. W lecie, na plaży, nie byłoby z tym problemów, ale nie mogłem czekać do lata.

Po dość długiej chwili uporałam się z odzyskiwaniem równowagi.

- A skąd ci się wzięły te osobliwe potrzeby? Nie oglądasz przecież wszystkich bab, jak leci?

- Wiesz co, może byśmy jednak zaczęli raczej od początku? To długa historia i taka trochę nietypowa. Wcale nie o nią mi chodziło, tylko o jej ojca...!

- Topielec...?

- Topielec. Przepadł mi dwadzieścia siedem lat temu i uparłem się go odnaleźć. Udało mi się dopiero teraz...

- Dwadzieścia siedem lat temu, byłeś przecież gówniarzem?!

- A owszem i to bardziej dosłownie, niż myślisz. Ale byłem wyjątkowo dorosły gówniarz. Pod koniec lata czterdziestego szóstego roku do spółki z jednym kumplem szukałem skarbów. W zamku. Był w czasie wojny na Dolnym Śląsku pewien szkop, ze starej, arystokratycznej rodziny, kolekcjoner dzieł sztuki, który po całej Europie rabował, co popadło, i zwoził do siebie...

- Baron von Dupcrstangiel! - wyrwało mi się z ulgą, bo nareszcie zaczęłam dostrzegać jakieś skojarzenia.

- Niezupełnie tak się nazywał, ale nawet podobnie. Wiedziałem o tym jego kolekcjonerstwie, bo pod koniec wojny zatrudniałem się u niego w charakterze parobka od gnoju. W momencie klęski oczywiście uciekł, a całe zbiory gdzieś ukrył. Wszystko wskazywało na to, że w zamku, zakopał czy może замуrował. No i obaj z tym kumplem mieliśmy to znaleźć, legalnie, w porozumieniu z władzami, ale po cichu i dyskretnie, żeby nic powodować inwazji innych poszukiwaczy. Równocześnie z nami szukał też facet, który rzekomo był kustoszem jakiegoś muzeum i jeździł po kraju, odnajdując i oceniając poniemieckie dobra. Ten facet wydawał się dziwny, powęszyłem trochę dookoła niego i udało mi się wykryć, że już w czasie wojny pętał się przy panu baronie jako jego plenipotent czy coś w tym rodzaju. Podejrzana postać. Oczywiście on szukał oddzielnie, a my oddzielnie, ale w końcu spotkaliśmy się w tym samym zamku. I tam zrobił nam dowcip stulecia. Słuchałam z zapartym tchem.

- Ależ to szalenie romantyczna historia! - zauważyłam, kiedy zamilkł na chwilę.

- A tak, niezwykle romantyczna. Zaraz usłyszysz. To, co nastąpiło, było wszelkie rekordy romantyzmu i nie zapomnę tej



sceny do końca życia. Nie wiadomo było, gdzie szukać, trafiliśmy na jakiś dziwny mur, który nam do niczego nie pasował, takie coś, jakby zamurowany szyb. Studnia w ścianie. Z różnych przyczyn nie można się było do tego dostać inaczej, jak od dołu, i kuliśmy na zmianę strop w ciasnym pomieszczeniu w podziemiach, w dodatku nie wprost, a skosem. Każdy pracował oddzielnie, bo na dwóch nie było miejsca, jeden nie wiedział, ile zrobił drugi, tylko po prostu wlaźł tam i kontynuował robotę. Pan kustosz osiągnął podobne rezultaty jak my, też zwrócił uwagę na ów dziwny mur, też spodziewał się tam skarbu, ale pan kustosz lepiej od nas znał zamek. Wiedział, do czego służył szyb powyżej parteru. Przeraził się, że lada chwila znajdziemy mienie barona i zmaćł nas. Czekał, jak by ci to wytłumaczyć... Trzeba było kuć nad głową, w górę i skosem, żeby się przebić do tej dziwnej, zamurowanej części, parę metrów kamienia, w którym łatwo było zgubić kierunek. Ten łajdak to wykorzystał, wlaźł tam w nocy i zmienił kierunek naszego kucia w ten sposób, żebyśmy ominęli ową część pod parterem i przebili się od razu wyżej. Wystarczyły mu trzy takie wizyty. Żaden z nas się nie zorientował, każdy myślał, że kontynuuje robotę drugiego. Rezultat był straszliwy...

Patrzyłam na niego z narastającą zgrozą.

- Przestań się śmiać, na litość boską, co jest śmiesznego w straszliwym rezultacie...?!!!

- Nie mogę! Teraz już na wspomnienie tego nie mogę się nie śmiać. Ale, przysięgam ci, że wtedy się nie śmiałem! Przekuliśmy się w końcu przez dół tego szybu, nie tam, gdzie mieliśmy zamiar, tylko trochę obok, i istny cud, że przypadkiem zdążyłem! Padło na mojego przyjaciela, to on, nie wiedząc, co go czeka, przekuł się na wylot i nastąpiła rzecz potworna. Mianowicie okazało się, że ów szyb to był, za przeproszeniem, staroświecki wychodek...,

- Co takiego?! - spytałam, nie wierząc własnym uszom.

- Staroświecki wychodek, kiedyś tam, przed laty, zamurowany. Bardzo szczelnie zamurowany, bo to był bazalt, cały zamek z bazaltu. Na tego nieszczęsnego chłopaka poleciało

wszystko, co się tam gromadziło przez stulecia, pod potężnym ciśnieniem. Przypadkiem przyszedłem tam wcześniej, niż powinienem, i uratowałem mu życie. Byłby się utopił, wyciągałem go nieprzytomnego, tego wszystkiego tam, w górze, było więcej niż miejsca na dole. Sama rozumiesz, że śmiać się zaczęliśmy dopiero znacznie później... On cały dzień przesiedział w potoczku, a ja latałem i szukałem dla niego ubrania. Dla siebie zresztą też. Ode mnie ludzie przestali się odsuwać już po trzech dniach, od niego dopiero po dwóch tygodniach. Włosy musiał ostrzyć na zero, nie do wiary, jak przesiąkł! Ubrania trzeba było wyrzucić z butami włącznie, ale nie mógł wyrzucić dokumentów, które miał w kieszeni. Same te dokumenty wystarczały do uperfumownia całej okolicy...

Potworny obraz oszołomił mnie tak, że zapomniałam, o co mi chodziło i czego się chciałam dowiadywać? Trwała niechęć do osobnika, który wywołał katastrofę, wydała mi się ze wszech miar zrozumiała.

- Nie dziwię się, że go szukałeś dwadzieścia siedem lat...

- To nie dlatego. Potem okazało się, że to był bandyta...

- Czekaj! A co on chciał przez to właściwie osiągnąć? Ten skarb tam był? Znalazł go?

- Przeciwnie, był zupełnie gdzie indziej. Jemu chodziło o to, żeby się nas pozbyć. Miał nadzieję, że jeden zginie w tym staroświeckim łąnie, a drugi zrezygnuje z poszukiwań, jeśli zaś nie, wykończy i drugiego. Skarbu w zamku nie było i dalej rzecz poszła dwoma torami...

- Ile razy prosiłam, żebyś nie przerywał wtedy, kiedy ja słucham z zapartym tchem!

- Zastanawiam się nad kolejnością, żeby nie pogmatwać. Najpierw wyjaśniło się, kim był naprawdę pseudo-kustosz. Zwyczajnym bandytą, mordercą, który bogacił się za wszelką cenę. Pracował dla Niemców, potem robił nieprawdopodobne kanty, kradł i rzucał podejrzenia na niewinnych ludzi. Przez niego jeden facet się powiesił... Nas, dzięki jego staraniom, posądzono o sprzeniewierzenie skarbu barona, mieliśmy mnóstwo kłopotów, aż wreszcie prawda o nim wyszła na jaw i wtedy musiał uciekać. Zanim to jednak nastąpiło, znalazł ów

skarbu. Okazało się, że baron ukrył go wcale nie w zamku, tylko w domku ogrodnika, głuchego staruszka, którego ten łajdak zabił. Zabrał wszystko, co znalazł, schował gdzie indziej i wiadomo było tylko, że nie zdążył ani wywieźć, ani zużytkować. Przepadł bez wieści i straciłem go z oczu...

- Dlaczego ty go szukałeś, a nie nasze władze?

- Władze też, oczywiście, ale po paru latach uwierzono w jego śmierć. Ja zaś byłem jedynym człowiekiem, który znał niektóre rzeczy ze zbiorów pana barona, i kiedy przed paroma laty zaczął się przemyt...

- Aaaaa...! -powiedziałam z głębokim zrozumieniem.

- Właśnie. Rzekomy kustosz miał córkę. W owych czasach było to pięcioletnie dziecko, które wielokrotnie widywałem chlapiące się w wodzie. Zapamiętałem tę jej myszkę. Któregoś dnia własny ojciec omal nie odciął jej palców drzwiczkami samochodu, byłem tego świadkiem. W momencie kiedy musiał zniknąć, dziecko leżało w szpitalu, zostawił je i zerwał z nim wszelki kontakt. Na widok tej dziewczyny na schodach od razu wiedziałem, że jest w niej coś znajomego. Jest uderzająco podobna do ojca, a jego twarz zapamiętałem na zawsze... Potem ten brydź... Nie wiem, czy zauważyłaś, że miała zniekształcone paznokcie... Byłem przekonany, że to jego córka, i musiałem się upewnić, bo istniała szansa, że przez córkę trafię do ojca.

- Jakim sposobem? Skoro zerwał z nią kontakt...?

- Nie byłem tego pewien. Za dużo tu widziałem dziwnych rzeczy. Nie wyszła za męża, ale zmieniła nazwisko, posługiwała się nazwiskiem ojczyma...

- Ten tatuś-lekarz, do którego cię wykopywała, to kto?

- Właśnie ojczym. Obejrzałem go, oczywiście, ojciec mógł także zmienić nazwisko, przerobić sobie twarz, ale nie zmalał o pół metra. Taki dowcip odpada.

- Po to jeździłeś do Warszawy?

- Między innymi po to. Podejrzywałem, że coś się szykuje, domyśliłem się, że ona tu na kogoś czeka, i węż mi mówił, że na ojca.

- Nie rozumiem, skąd ci to mogło przyjść do głowy!

- To było dość wyraźnie widoczne. Przyjechała do Sopotu o dziwacznej porze roku, nic nie robi, nie chodzi na spacer, nie szuka towarzystwa, nie zawiera znajomości, nie ma nawet pokoju od strony morza, to niby co tu robi? Czeka. Przychodzi do niej facet, który przynosi wiadomość, że tatuś chciałby dostać od niej zdjęcia, i ten facet mi śmierdzi...

- Aaaa...! - powiedziałam znów i prędko zamilkłam, zdumiona niezwykłą przenikliwością własnej wyobraźni.

- Faceta poznałem. To jest taki jeden dziwny typ, który w czasach studenckich natrętnie interesował się obrazami w kościołach. Wypytywał studentów, jeżdżących na inwentaryzację, gdzie można znaleźć coś starego i cennego, przy czym sam nigdy się w takich miejscach nie pokazywał...

Z oderwanych kawałków powoli zaczynał się wyłaniać obraz całości. Państwo Maciejakowie, przemyt dzieł sztuki, tajemniczy szef, skarby barona, brylanty Basicńki, wszystko układało się stopniowo na właściwych miejscach...

- Jednym słowem, całość gra. Babka odwała zdjęcia jednego dnia, w różnych miejscach na plaży, co oznacza, że w którymś z nich ma nastąpić spotkanie...

- Cóż ty jesteś taki genialny? - przerwałam podejrzliwie. - Dla mnie to nic nie oznacza. Dlaczego dla ciebie zaraz musi oznaczać?

- Nie musi, ale może. Biorę to pod uwagę i okazuje się, że słusznie. Ustaliła w ten sposób miejsce na cypelku pod wierzbą.

- Wiedziałaś, że to ma być tam?

- Oczywiście. To było jasne.

- Jak dla kogo! Podobizny kazała sobie robić, gdzie popadło! Jakim sposobem zgadłeś?

- Wszystkie były robione w jednym kierunku, naprowadzały wyraźnie na cypelek. Poza tym wcale nie musiałem zgadywać, sprawdziłem po prostu, co wysłała. Wystarczyło tam poczekać...

- Domyśliłeś się, że to będzie tatuś i że będzie nawiewał składakiem -mruknęłam jadownicie.

- Coś takiego było bardzo prawdopodobne. Gdyby moje przypuszczenia były słuszne, to grunt mu się zaczynał palić pod

nogami. Dlatego na wszelki wypadek przygotowałem się, żeby ukraść łódź.

- No dobrze, a gdzie się podział włamywacz?

- Jaki włamywacz?

- Ten, co rąbnął brylanty. Sama widziałam jego ślady i nawet mam tu narysowane. Nie mógł to być tatuś, bo rozumiem, że przyjechał w ostatniej chwili, przedtem go nie było. A włamywacz tam latał. W ogóle rozumiem, że tatuś był szefem szajki, bardzo ładnie zorganizował sobie cały proceder, za pośrednictwem córki nadawał robotę...

- Za pośrednictwem tego twojego pana Palanowskiego też.

- Co?

- Pracowali przecież w tej samej instytucji...

- A... To już wczoraj wydedukowałam. Pracował też w MHZ, tyle że na wyższym stanowisku. Państwo Maciejakowie razem z kacykiem załatwiali resztę... Rozumiem, że trafili do niego po komodzie, nie państwo Maciejakowie oczywiście, tylko milicja. To on ją zabrał ze śmietnika, tak? Taki był łasy na te sto tysięcy złotych?

- Sto pięćdziesiąt. Chciał zrobić uprzejmość jednemu facetowi z dyplomacji, ukrywając zarazem swój związek z Maciejakami. Oni go zresztą rzeczywiście w ogóle nie znali, transakcję uzgodnili z nim drogą pośrednią. Mebel wyrzucili, wolno im, a on zamierzał tłumaczyć, że natknął się na tę komodę przypadkowo, rozpoznał, że to antyk, i zabrał.

- I naprawdę nikt nie wiedział, kim on jest?

- Naprawdę. Parę osób się domyślało, ale bardzo mgliście, nie sposób go było rozszyfrować. Mógł to być on, a mógł być i ktoś inny, kandydatów istniało kilku i komoda wreszcie przesądziła sprawę. Od stolarza trafiono do dyplomaty, od dyplomaty do tatusia-szefa, przy czym dzięki tobie poszło szybko.

- Beze mnie poszłoby wolniej?

- A jak to sobie wyobrażasz? Kto mógł stwierdzić od razu, że to na pewno ta sama? Oni wyrzucili na śmietnik dużo różnych rzeczy... Samo zabranie jej z wysypiska nie było zresztą żadnym dowodem i niczym mu nie groziło, tyle że skierowało na niego

uwagę. Zidentyfikowało go niejako. Trochę to załatwił lekceważąco i beztrąsko, ale mógł sobie na to pozwolić, bo wiedział, że zanim do niego dotrą, zdąży zniknąć. Zauważ, że siedział w handlu morskim i miał wpływ na terminy wyjścia statków w morze. Umówił się z mechanikiem, że postoi na redzie. W razie potrzeby coś tam będzie mu szwankowało i zacznie sprawdzać, dostatecznie długo, żeby składak zdążył dobić. Nie przewidział tylko, że w maszynach rzeczywiście coś nawali i statek spóźni się z wyjściem o pięć dni...

- To dlatego ona tam jeździła przez pięć wieczorów?

- Dlatego. On miał przyjechać zwyczajnie, w ostatniej chwili, pociągami, tym wieczornym, bez bagażu, to znaczy walizkę zostawił w przedziale. Składak i jego torbę ona przez cały czas wozila w bagażniku samochodu. Ale już go pilnowali i w Gdyni milicja na niego czekała.

- Dlaczego w Gdyni?

- Pozorował konszachty z jednym facetem, który ma w Gdyni własny jacht. Przypuszczano, że spróbuje uciec tym jachtem.

- Znaczący, zabezpieczył się na wszystkie strony? Musiał chyba wiedzieć o tych brylantach Basieński?

- No pewnie, że wiedział! Wiedział nawet, że przez pomyłkę zostawili je w domu. W zdenerwowaniu tyle o tym głądzili, że nietrudno było podsłuchać.

- Wiedział, jakie one są?

- W dużym stopniu. Sam im raił niektóre transakcje...

- Kantował ich!

- Jeszcze jak! Zawsze kantował swoich współników. Wiedział wszystko, to on poddał pomysł wymiany jednej albo dwóch osób na kogo innego, wiedział o tym zostawionym w szufladce kluczyku od skrytki, mógł działać na pewniaka. Zrobił sobie operacje plastyczną twarzy, sfałszował dokumenty, dla skarbu barona opłaciło mu się. Większość, niestety, zdążył wywieźć.

- Ale nie wlaźł osobiście do piwnicy państwa Maciejaków. Gdzie, do diabła, podział się ten, co wlaźł? Dlaczego ja go nie widziałam pod wierzbą?

- Naprawdę jeszcze się tego nie domyślasz? Trzeba ci to tłumaczyć?

Od razu mnie zirytował. Znów to samo, każe mi dedukować samodzielnie i nadzwyczajnie się dziwi, że z takich wyraźnych przesłanek wnioski nie wyciągają mi się same. Ktoś tam wszedł do sklepu rybnego, a ja powinnam z tego przewidzieć, że o siedemnastej piętnaście dworzec kolejowy wyleci w powietrze. Albo coś w tym rodzaju. Rzeczywiście, zupełnie jasne i można powiedzieć, samo się kojarzy!

- W ludzkiej postaci pętała się tam tylko ona - powiedziałam gniewnie. - W charakterze śladów występowałeś ty i włamywacz. Jej śladów nigdzie nie było... Zaraz. Nie było...? Dlaczego nie było jej śladów? Co ona miała na nogach...?

I nagle uprzytomniłam to sobie. Widziałam przecież, co miała na nogach, podjechałam na parking, zanim zdążyła się ustawić z drugiej strony i wysiąść. Widziałam, jak wchodziła do Grandu, na nogach miała miękkie mokasyny na płaskim obcasie...

- Jak to?! Więc to ona...?! Ta wstrętna żmija gmerała w brylantach Basieńki i w mojej herbacie?! I ja tę herbatę piłam...?!!!

- No widzisz, jak to łatwo, wystarczy się zastanowić... Omal mnie szlag nic trafił na myśl, że tak pieczołowicie odtwarzałam zelówkę tej obrzydłej harpii na wzorze dla męża. Nie dało się tego już cofnąć.

- To okno było ciasne i niewygodne - powiedziałam ze wstrętem. - Zakradła się tam dwa razy i to tak, że milicja jej nie złapała. Cóż ona taka utalentowana?

- Też mogłabyś się tego domyślić.

- Mogłabym. Domyślałam się. Była w balecie.

- Albo może przeszła jakieś specjalne przeszkolenie?... Powiedział to takim tonem, że znów spojrzałam na niego podejrzliwie. Czyżby jeszcze coś w tym było...?

- Ten jar nad potoczkiem stanowił wymarzone miejsce - ciągnął dalej. - Pusto, spokojnie, nikt prawic tam nie chodzi, teren zasłania ze wszystkich stron, od strony plaży łatwo trafić.

Dla tatusia najbezpieczniej było symulować wieczorny spacer. Wybrała znakomicie. Nie dziwi cię to?

- Już przestało - powiedziałam ponuro. - Pewnie w tej dziedzinie też przeszła specjalne przeszkolenie. Dziwi mnie za to, że nie uciekła z nim razem.

- Przypuszczam, że było im to nic na rękę z dwóch powodów. Pierwszy to ten, że on nie mógł się przyznać do siebie samego, zbyt wielu ludziom się naraził, i nie mógł dopuścić, żeby go ktoś poznał. O tym, czyją ona jest córką, różne osoby wiedziały i łatwo mogły sobie skojarzyć. Wszelkie kontakty z nią utrzymywał w najgłębszej tajemnicy. A drugi powód... Ona, ściśle biorąc, w ogóle nie zamierzała uciekać, miała tu jeszcze dużo rzeczy do załatwienia, a nikt jej o nic nie podejrzewał. No, prawie nikt...

- A tak między nami mówiąc, to skąd wiedziałeś, że ten śmierzący facet od kościołów przyniósł jej wiadomość od tatusia?

- Podśledzałem - wyznał po namyśle z lekką skruchą.

- Jak?

- Nie wszystko ci jedno? Dość, że podśledzałem.

- No dobrze, a po cóż, na litość boską, robiłeś z tego taką tajemnicę przede mną?

- Żebyś mi nic przeszkadzała. Musiałem mieć swobodę działania, a bałem się o ciebie panicznie. Pewnie nawet nie wiesz, na co się narażałaś tego ostatniego wieczoru. Gdyby cię dostrzegli, już byś nie żyła, nie zawahaliby się ani chwili, nie mogli zostawić świadka jego ucieczki i jej udziału. A poza tym bałem się, że ona zacznie coś podejrzewać. Nie mogłem sobie pozwalać na to, żeby się pokazywać na zmianę z tobą i z nią, bo zaczęłyby się dziwić, co ty jesteś taka tolerancyjna. Musiałem się w końcu schować.

- Mogłeś mnie powiadomić, że twoim życiowym marzeniem było zamieszkać w psiej budzie. A propos, jak tam wszedłeś?

- Przez dach. Gdybym zdołał przewidzieć, co zrobisz, na pewno bym cię wtajemniczył. Okazuje się, że cię nie doceniłem. Przewidziałem, że się wtrącisz już od chwili, kiedy wydłubałaś



antnę, ale nie sądziłem, że do tego stopnia! Co ja się nazastanawiałem, po jakiego diabła zamiatasz plażę...!

- A co ja się nazastanawiałam, po jakiego diabła latasz po lekarzach...! Na drugi raz bądź uprzejmy nie narażać mnie na takie wstrząsy.

- Na drugi raz będę znacznie ostrożniejszy... Co za nonsens, w ogóle nie będzie drugiego razu! Pseudokustosz był tylko jeden!

- Nie szkodzi. Martwię się tylko, że ona z tego wyjdzie ulgowo - powiedziałam z westchnieniem. - Pomagała tatusiowi do ucieczki, ale to jej tatuś, więc ma okoliczności łagodzące. Nawet kradła dla tatusia. Nie wiem, czy jej coś więcej udowodnią.

- Raczej tak. Miała przecież rozmaite talenty. Bardzo możliwe, że je wykorzystywała wszechstronnie. Faszrując na przykład dzieła sztuki... też dziełami sztuki, ale zupełnie innego rodzaju...

- Skąd wiesz?!

- Domyślam się. Podejrzewam też, że tatuś świadomie robił w konia swoich współników czy może podwładnych, nie wiem, jak ich nazwać. Doskonale orientował się, kiedy wpadną. Droge ucieczki tym statkiem przygotowywał sobie przez rok.

- Ta historia z komodą to była szalona nieostrożność z jego strony - oświadczyłam z naganą. - Jeszcze ze dwa dni, a milicja by go dopadła...

- Już go dopadła, mówiłem ci, że czekali na niego w Gdyni.

- I po co mu to było?

- Po pierwsze nie wziął pod uwagę twojej namiętności do komód. Nie trafiliby tak łatwo, gdybyś jej od razu nie zidentyfikowała. A po drugie był chciwy na pieniądze. Za te sto pięćdziesiąt tysięcy od razu kupił dolary..

Zastanowiłam się.

- Dolarów nie było - oświadczyłam stanowczo po namyśle. - Sama to przecież oglądałam. Nie trzymał ich chyba w kieszeniach?

- Nie, dolary ma córka.

Powiedział to takim tonem, że mnie poderwało.

- Ty to wiesz!!! - krzyknęłam ze śmiertelnym oburzeniem. - Ty to wszystko od początku do końca doskonale wiesz, wcale nie musisz nic podejrzewać i niczego się domyślać! Kantujesz mnie!!!

Znów zaczął się śmiać.

- Nic podobnego, wcale nie wiem! To znaczy, tyle wiem, że znaleźli przy niej dolary, nic więcej. Ja naprawdę tylko się tego domyślałam!

- Nie, ja tego nie zniosę...! I jak się zaczął przemyt, od razu domyśliłeś się, że przez granicę lecą szczątki pana barona, chociaż kontrola celna ich nie złapała i nikt ich nie widział! Telepatycznie wiedziałeś, co to jest! Domyślasz się tak wszystkiego po całej Europie!!!

- No, ostatecznie, czegoś tam czasem mogę się dowiedzieć... Ale potem już łatwo było zgadnąć, że pan kustosz musi tu być żywy, bo na pewno nikomu nie zdradziłby miejsca ich ukrycia...

- Dziwię się, że już dawno nie domyśliłeś się, gdzie jest to miejsce!

- Oczywiście, że się domyśliłem, ale nie wiedziałem na pewno. Najlepszy dowód, sama widzisz, że nic nie wiem i wszystkiego się muszę domyślać...

Wraciałam z Sopotu do Warszawy w prześliczny, wiosenny dzień, od czasu do czasu spoglądając na profil siedzącego obok mnie faceta. Wyglądał zupełnie tak samo jak dwa miesiące temu, w autobusie pospiesznym B, tyle że znikło gdzieś widmo tej jego pięknej żony, która była dla niego całkowicie niestosowna i zatruchiwała życie nie wiadomo komu bardziej, jemu czy mnie. Wyglądał, jakby już mu przestała zatruchiwać. Zwracał na mnie wyraźną uwagę i niekiedy zdecydowanie przeszkadzał mi prowadzić samochód.

- No i proszę - zauważyłam w zadumie, zwalniając przy przejeździe przez las. - Niech mi kto powie, że Przeznaczenie nie działa! Gdyby nie te cholerne patyki akurat tutaj, w tym miejscu, widzisz? O, tutaj wjechałam... Gdyby nie to bagno, w którym się tak zabuksowałam, gdyby nie to, że ten samochód mi się rozleciał... Rozleciałby się i tak, ale znacznie później. Gdyby nie te głupie drobiazgi, pan Palanowski w żaden sposób

nie natknąłby się na mnie na placu Zamkowym, bo nie chodziłabym piechotą. Nie zmusiłby mnie do latania po skwerku i nie spotkałabym cię przez następne piętnaście lat. Nie jechałabym autobusem komunikacji miejskiej i nie zwróciłabym na ciebie uwagi...

- A zatem należy się cofnąć bardziej - odparł pouczająco. - Gdyby pan baron nie schował tak starannie swojej zdobyczy, gdyby antyczne łajno nie wylało nam się na głowę, gdyby pan kustosz nie przyciął dziecku palców i gdyby udało mu się we właściwej chwili nawiać z tego kraju, nie byłoby komu po dwudziestu pięciu latach tak pięknie zorganizować afery i wpaść na genialny pomysł zamiany państwa Maciejaków na dwie zupełnie inne osoby...

- Przestań natychmiast! Wyjdzie na to, że połączyło nas antyczne łajno! Ale romans, ho, ho!

- Boję się, że jednak ma to pewien związek. Tak się składa, że pułkownik chyba coś tam na ten temat wiedział. Miał swoje podejrzenia i domyślał się, że chodzi o człowieka, którego nikt nie będzie szukał z takim uporem jak ja...

- Następny, co się domyśla... - mruknęłam zgryźliwie. Przyjrzałam mu się ponownie z niesmakiem i naganą.

Wyglądał bezgranicznie niewinnie i odpowiadał wszelkim wymogom mojej wyobraźni. Zastanowiłam się, co właściwie powinnam myśleć o tym człowieku, bo niemożliwe przecież, żeby tak dokładnie, tak przeraźliwie dokładnie był tym, co wymyśliła moja rozbestwiona imaginacja. Wygląda na to, że przez całe życie robił, co mógł, żeby się dostosować do jej najdziwniejszych wybryków i co dziwniejsze, z największą starannością stosuje się nadal...

I najprawdopodobniej nigdy w życiu nie dojdę, kim on właściwie jest...

PS. Ale, prawdę mówiąc, wszystko mi jedno.

Szarpnął zasłonę, szarpnął okno, coś spadło z trzaskiem na podłogę, na nogi posypały mi się jakieś drobne przedmioty. Zglupiałam z tego do reszty, rzuciłam się do drzwi, żeby spełnić jego rozkaz, pomyślałam o kluczyczkach, rzuciłam się na schody, bo kluczyki miałam w torebce, potknęłam się i stłukłam sobie kolano. To mnie nieco otrzeźwiło. Gdzie gonić, kogo gonić, jakim samochodem, zanim wystartuję, on będzie już daleko i w ogóle w którą stronę?! Idiotyzm!

- Milicję...!!! - wyrwało mi się mimo woli.

I natychmiast okropnie ugryzłam się w język. Jaka milicję, zwariowałam chyba! Jeśli on ich wezwie... Dno, mogiła, dokumenty Basieńki, pięć lat bez zawieszenia...!

